

LONGIN JAN OKOŃ

# TECUMSEH

*POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY*

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Projekt okładki i ilustracje MARIUSZ GLAZOWSKI

Copyright by Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1981

## SPOTKANIE

Ryszard Kos lubił samotne wędrówki. Jako traper przewędrował Wirginię, Pensylwanię, Ohio, Kentucky i Indianę. Zapuszczał się poza Missisipi, docierał do malowniczych plemion Dakotów, sypiał nawet w wigwamach Czipewejów nad Jeziorem Górnym. Wszędzie pędziła go ciekawość i wołały dziewicze knieje. Poznał śpiewny język Irokezów i Algonkinów, z łatwością potrafił dogadać się z Kriksami, mówił dość sprawnie po francusku i płynnie po angielsku. Miał czas dobrze poznać kraj i ludzi.

Przybył tu w roku 1797, w dwa lata po upadku insurekcji kościuszkowskiej. Musiał uchodzić z Polski. Popłynął więc do Stanów Zjednoczonych, o które przed laty tak bohatersko walczył Tadeusz Kościuszko. Wielki kontynent Nowego Świata przyjął go chłodno. Kos ciężko pracował na kawałek chleba. Był robotnikiem portowym w New Yorku, później kramarzem i traperem, a od kilku lat służył w armii amerykańskiej. Wprawdzie zamieszkał ostatnio w forcie Vincennes, stolicy stanu Indiana, u boku gubernatora generała Williama Henry'ego Harrisona, ale rzadko go można było tu zastać. - Przyzwyczajony do swobody, chętnie wychodzący naprzeciw przygodom i niebezpieczeństwom, wypełniał przeróżne misje powierzone mu przez generała.

Teraz też siedział w lekkim canoe i płynął w górę rzeki Wabash. Dawno już minął fort Quiatenon, gdzie zatrzymał się na krótki odpoczynek. Zbliżał się wieczór. Słońce stoczyło się już prawie z nieba i długie cienie kładły się na wodzie. Szybkimi krokami nadbiegała noc. Kos uważnie wypatrywał dogodnego miejsca na nocne obozowisko, ale obydwie brzegi były wysokie, a puszcza podchodziła nad sam skraj rzeki. Konary potężnych dębów, klonów, kasztanów i hikor tworzyły splecione dach zieleni. Nagle puszcza jakby cofnęła się od rzeki, odsłaniając wolną przestrzeń. Kos dojrzał krzątające się na brzegu trzy ludzkie sylwetki. Biali czy Indianie? Nie zastanawiał się nad tym, kogo spotka. Nie miał powodu obawiać się ani jednych, ani drugich. Dalej pośpiesznie wiosłował. Nim skręcił canoe ku przystani, na brzegu zapłonęło ognisko. W blaskach płomieni zobaczył brodate twarze białych. Pewnie i oni spostrzegli łódź, bo ze strzelbami w ręku stali, uważnie patrząc w stronę płynącego. Kos machnął wiosłem raz i drugi. Canoe wysokim dziobem uderzyło o łagodnie schodzący brzeg. Położył wiosło na dnie łodzi, przerzucił przez ramię traperską torbę i chwyciwszy do ręki strzelbę wyskoczył na brzeg. Wyciągnął łódź na piach i ruszył w stronę obozowiska.

- Nie będę wam przeszkadzał? — zagadnął.
- Siadajcie — powiedział oschle jeden z nich. — Z daleka plyniecie?

Kos położył torbę na ziemi, a sam wygodnie usadowił się koło ogniska. Sztucer oparł o udo. — Od świtu wiosłowałem — odpowiedział wymijająco.

Tamci także usiedli. Niewątpliwie byli traperami. Świadczył o tym ich ekwipunek i duży pęk skór dzikich zwierząt.

- Szczęście, widzę, wam sprzyja — zauważył Kos. — Macie zabezpieczone co najmniej

dwa miesiące beztroskich hulank.

- To prawda — powiedział najstarszy wiekiem. — Puszcza had Wabash obfituje w zwierzynę, łatwo tutaj o skórki.

- Ale to łowieckie tereny Wyandotów i Miamisów. Zaglądają tu także Szawanezi i Lenapi. Można stracić skalp.

- A od czego strzelby? — zaśmiał się drugi. — Ziemie te należą do stanu Indiana, są więc własnością białych. Czyż nie tak?

- Niezupełnie! — odparł Kos. — Rzeczywiście terytorium od Ohio po jezioro Michigan włączono parę tygodni temu do Stanów; o zgodę nikt Indian nie pytał. Puszcze po obu stronach Wabash są nadal ich ojczyzną.

- Kto się z tym liczy?! — zawołał trzeci traper.

- Może i macie rację — zgodził się z nim Kos. — Ja także jestem łowcą skórek.

Poznajmy się. Nazywam się Ryszard Kos. Podążam do fortu Miami.

- A ja Tomasz Connel — przedstawił się Kosowi stary traper, dobrze już przyprószonej siwizną. Dorzucił kilka grubych polan do ogniska. Na moment płomienie przygasły, a po chwili złote języki strzeliły w górę, oświetlając chybliwym światłem twarze siedzących. — Jerry, zabierz się wreszcie do pieczenia! — ponaglił najmłodszego z tego grona, najwyżej dwudziestoletniego chłopca. — To mój syn! — wyjaśnił Kosowi. — A to wypróbowany towarzysz naszych wędrówek, Johann Gunter.

- Cieszę się, że was poznałem — powiedział Kos. — Przyjemniej i bezpieczniej razem spędzić noc. O świcie odpłynę.

- Co tak wam spieszo? — zakpił Johann. — Nie zapolujecie nawet z nami na jelenia? Niedźwiedzi też tutaj nie brak. A na pobliskich rozlewiskach są bobrowe żeremia.

- Mówicie, że polujecie na skórki, a gdzie one? Wasza łódź pusta — zauważył podejrzliwie Jerry.

- Ano właśnie — poparł go Tomasz.

Kos patrzył na potężny udziec skwierczący nad ogniem. Zapach pieczeni drażnił nozdrza, wzmagając głód.

- Mam pilną sprawę w forcie Miami, dlatego muszę śpieszyć. Skórki zaś wymienię na kule i proch w forcie Quiatenon.

- My także zajrzemy do Quiatenon, ale później. Mamy czas.

Kos usiadł skrzyżowawszy nogi, przeciągnął się. Sztucer położył na kolanach. Uśmiechnął się szeroko do ponurego Guntera.

- Kiedy będę wracał z Miami, znów zawitam do fortu Quiatenon. Może się spotkamy. Wtedy chętnie wyruszę z wami. Znam doskonałe łowiska, lepsze niż nad Wabash.

- Gdzie one?

- W Kraju Zielonej - Trzciny. Pełno tam grizzli i muskwy. Wystarczy tylko trafić na legowiska, a w ciągu paru godzin można ubić kilkanaście. Zwłaszcza muskwa sam niemal idzie pod kule. Ech, co to za raj dla traperów!...

- Gdzie ten raj leży?

- Gdzie? Za Ohio. To cudowne tereny. Stada jeleni i chmary ptactwa, bobrowe żeremia i łosie, a nawet wielkie bizony... A jakie lasy! Srebrzyste topole, rozłożyste tulipanowce, drzewa laurowe, sykomory... I łąki sazafranu... Mówię wam, nie ma piękniejszej i bogatszej krainy.

- Zaciekawiasz nas — powiedział Tomasz Connel. — Gotowi jesteśmy czekać na ciebie w Quiatenon.

- To zaczekajcie.

- Kiedy tam wrócisz?

- Za miesiąc. Wcześniej chyba nie zdążę.

Jerry zdjął z rożna jeleni udziec. Chwycili za noże i odcinali grube płyty soczystego mięsa. Zaczęli się pożywiać. Jedząc gwarzyli jeszcze o różnych łowieckich przygodach. Później Tomasz wyznaczył kolejność warty. Pierwszy miał czuwać Jerry, a ostatni Kos. Chłopak podrzucił więc drew do ogniska i usiadł skrzyżowawszy nogi, obok siebie położył długą rusznicę. Kos zaś pod kępą dorodnych paproci przygotował sobie miejsce do spoczynku. Z ręką na sztucerze usnął spokojnym snem nawykłego do niebezpieczeństwa człowieka.

Było już dawno po północy. Niebo zaczynało szarzeć, a gwiazdy traciły swoją intensywność. Nad bezpieczeństwem czuwał teraz Johann Gunter. Aby nie usnąć, przechodził się wokół obozu. Zbliżył się właśnie do gęstego ładu paproci, za którymi stały olbrzymie pnie prawniczych drzew. Przez chwilę nasłuchiwał głosów puszczy, po czym ruszył dalej. I wtedy właśnie wśród paproci zauważył przywartego do ziemi człowieka. Krzyknął donośnie i runął na<sup>1</sup> ukrywającego się. Kos, usłyszawszy wołanie, zerwał się jak sprężyna i jednym skokiem znalazł się obok Guntera. Stary traper i jego syn zjawili się tuż za nim. Tymczasem zaatakowany nie stawiał oporu." Zrzucił z siebie Guntera i zwinnie wyskoczył w krąg światła padającego od ogniska.

— Noc nie lubi hałasów — powiedział śpiewnym dialektem Szawanezów. — A biali bracia krzykiem straszą ciszę.

Traperzy byli zaskoczeni zachowaniem Indianina. Czerwono-skóry stał spokojnie. Skrzyżował ręce na piersi. U pasa miał tylko długi myśliwski nóż.

- Czego szukałeś w paprociach? — spytał napastliwie To-' masz.
- Przyszedłeś szpiegować! — rzucił z wściekłością Gunter.
- Biali bracia są na ziemi moich ojców, niech usiądą, jald wojownikom przystało. Wysoki Orzeł zmarzył w paprociach, bo noc dzisiaj chłodna, chętnie ogrzeje -się ciepłem ogniska — powiedział spokojnie Indianin i usiadł, plecami skierowując się w stronę rzeki.

— Usiądźmy i my! — rzekł ugodowo Kos. — Nie róbcie głupstw — zwrócił się do towarzyszy. — On nie jest sam.

Traperzy usłuchali go. Jedyne Gunter ze strzelbą gotową do strzału stanął w cieniu przybrzeżnych krzewów.

Stary Tomasz nie ukrywał niechęci do czerwonoskórego. Powiedział szorstko:

- Śledziłeś nas z ukrycia. Tak postępuje tylko wróg!
- Tak postępuje każdy rozważny wojownik — odparł z godnością Indianin.
- Mogłeś przyjść jak przyjaciel do przyjaciół. Tylko wróg podchodzi w tajemnicy obozowisko! — rzucił porywczo Jerry.

Indianin nawet nie spój rzał w stronę mówiącego. Nikły uśmiech przemknął przez jego twarz.

— Biały brat niewiele liczy męskich wiosen — powiedział. —

Cóż może wiedzieć o ścieżkach wojny i pokoju? Wysokiego Orła nie trzeba pouczać.

Chłopak zerwał się. Jego ręka spoczęła na rękojeści noża.

- Chcesz mnie obrazić?! — syknął.
- Spokojnie — rzekł Kos. — Wysoki Orzeł ma rację. Czy ty poszedłbyś do obozu Indian, nie poznawszy ich zamiarów?

• Usiądź, Jerry, uspokój się — powiedział do syna Tomasz. — To prawda, zachowujemy się jak dzieci.

Chłopak usiadł. Gniew zapłonął na jego twarzy. Nerwowo gryzł dolną wargę.

- Wysoki Orzeł siedzi w blasku płomieni, a tamta blada twarz, ze strzelbą gotową do strzału, kryje się w cieniu nocy. Czyż można białym ufać? — Czerwonoskóry wskazał Guntera.
- Wojownik Szawanezów nie musi się niepokoić — rzekł Kos. — Nasz towarzysz wróci do ogniska, gdy będziemy mieli pewność, że Wysoki Orzeł przybył tutaj w pokojowych zamiarach.

Indianin skinął głową i wyjął fajkę. Ze skórzanego worka wydobyl tytoń i poczał nabijać nim pięknie rzeźbiony cybuch.

— Niech święty dym kalumetu rozwieje niepewność białych braci — powiedział. — Wojownik Szawanezów podąża ścieżką pokoju, nie szuka wojny.

Zapalona fajka przeszła kolejno w ręce Kosa, Tomasza i Jerryego. Każdy z nich wciągnął haust dymu i wydmuchał go w cztery strony świata, w ziemię i w niebo. Kalumet wrócił do czerwonoskorego. Wtedy do ogniska zbliżył się Johann Gunter. Usiadł, a strzelbę położył na kolanach. Wyciągnął w milczeniu rękę po fajkę i jako ostatni dopełnił świętego przymierza z Indianinem. - Wysoki Orzeł powstał i wznosił rękę ponad głowę. Z rzadniejącego mroku nocy wyłonił się drugi wojownik, z godnością podszedł do obozowiska i zajął miejsce obok Orła.

— To mój brat, Ostry Krzemień — wyjaśnił Wysoki Orzeł. Fajka pokoju z rąk Guntera przeszła teraz w ręce nowo przybyłego Szawaneza.

• Ilu jeszcze wojowników ukrywa Wysoki Orzeł w puszczy? — rzucił złośliwie Tomasz Connel.

• Dym świętej fajki Manitou<sup>9</sup> złączył nas pokojem i przyjaźnią. Jesteśmy braćmi. Ostry Krzemień ma obie strzelby, swoją i moją — mówił spokojnie Indianin. — Gdyby w puszczy byli jeszcze jacyś wojownicy, broń zostałaby przy nich. — Orzeł odebrał długi muszkiet od przybyłego i położył tuż obok siebie. Ciągnął dalej: — Biali bracia polują na łowieckich terenach Szawanezów. Nie brak tutaj zwierzyny. Ale nad Wabash coraz więcej zwierząt ginie od kul białych. W dole rzeki zaczynają wyrastać wigwamy białych twarzy. Kraj Indian staje się mniejszy. To zły znak.

• Do czego zmierzasz? — przerwał mu niecierpliwie Gunter.

• Białe człowiek nie uznaje granic i mówi, że wszystko należy do niego. Czerwonoskóre plemiona od kłęski pod Zaporą z Pni żyją w niedostatku. Manitou białych jest wielki i potężny. Wojownicy Szawanezów chcą żyć w zgodzie z białymi braćmi. Przedwczoraj Wysoki Orzeł i Ostry Krzemień wrócili do swego wigwamu nad Eel River, skąd przed kilkunastoma dniami wyruszyli na łowy. Ich chata była pusta! Gdy wojownicy Szawanezów tropili ślady karibu<sup>11</sup>, ktoś ukradł cztery po dziesięć skórek. Szukamy teraz sprawców kradzieży. Czy biali bracia ich nie znają? — Pytanie Orła zabrzmiało jak oskarżenie.

Ryszard Kos dostrzegł niepokój w oczach starego Connela. Twarz Guntera wyrażała wściekłość, zaś młody Jerry znów położył rękę na rękojeści noża.

• Czerwoni bracia pytają nas o dziwne rzeczy — powiedział Kos. — Czyżby wokół wigwamu złodzieje nie zostawili śladów?

• Mogli to być Wyandoci albo inni wasi czerwoni pobratymcy — szorstko rzucił Johann.

— No! — odezwał się po raz pierwszy Ostry Krzemień. — Czerwonoskórzy wojownicy nie kradną. Wokół chaty były ślady skórzanych butów trzech bladych twarzy.

Na moment zaległa pełna napięcia cisza. Indianie uważnie obserwowali białych.

• Chyba nas nie podejrzewacie? — odezwał się stary Tomasz, siłąc się na spokój. — Tamtych było trzech, jak sami stwierdzacie, a nas jest czterech. Nie byliśmy nad Eel River, lecz łodzią przyплыliśmy tutaj z fortu Gjuatenon.

• Biały brat kłamie! — zawołał Wysoki Orzeł. — Na brzegu Wabash leży canoe, którym przyплыł jeden człowiek. Mówią o tym ślady pozostawione na brzegu.

• Milcz, łotrze! — wykrzyknął Gunter. — Nas posądzasz o złodziejstwo?! To obraza!

Oczy Indianina wbiły się w twarz Guntera. Powiedział spokojnie, ważąc słowa:

— Wysoki Orzeł ma tylko jeden język i jedną twarz. Nie jest więc łotrem. Siady złodziei przyprowadziły mnie i Ostrego Krzemienia tutaj. Tam leżą nasze skóry! Policzcie je. Jest ich cztery razy po dziesięć.

Jerry wyciągnął zza pasa nóż, Gunter wstał, podnosząc gotową do strzału strzelbę.

— Nikt skórek liczyć nie będzie! — syknął przez zęby Johann. — Wynoście się z obozu! Szybko! Indianie siedzieli nieporuszeni. Ich czarne źrenice śledziły najmniejsze ruchy traperów.

• Biali bracia mogą nie liczyć skórek — odezwał się Ostry Krzemień. — Mogą je zatrzymać dla siebie. Niech biały brat opuści strzelbę, walka jest niepotrzebna.

• Zmiękli! Zaczynają mówić do rzeczy — zawołał Jerry.

Johann Gunter opuścił broń i kucnął naprzeciw Indian. Strzelby jednak nie odłożył, lecz skierował jej lufę w stronę czerwonoskórych.

— Biały brat wypalił kalumet pokoju, a zachowuje się jak wróg — upomniał go Krzemień.

— To wy szukacie zwady — zaprzeczył Connel. — Podchodźcie podstępnie pod obóz i posądzacie nas o kradzież.

— Skórki są nasze — powiedział Wysoki Orzeł. — Wzięliście je z naszego obozowego wigwamu nad Eel River. Zostaną waszą własnością, jeżeli otrzymamy za nie proch, kule i wodę ognistą.

— Kule otrzymać możecie! I to zaraz! — ryknął Gunter. Zerwał się i wymierzył strzelbę w pierś Orła. Indianie wolno powstali.

— Biali bracia szukają wojny, Szawanezi pokoju. Biali bracia niosą kłamstwo i fałsz, a Szawanezi

prawdę i sprawiedliwość. Wysoki Orzeł i Krzemień odchodzą.

Czerwonoskórzy wolnym krokiem ruszyli w stronę lasu. Traperzy wstali. Kos przezornie stanął koło Guntera. Lufa strzelby Johanna ciągle skierowana była w szupłą postać oddalającego się Wysokiego Orła. Rąbek słońca wyglądał już spoza wierzchołków drzew. Rzeka, łagodna przystań i zielona łąka\* leżąca pomiędzy brzegiem a puszcza tonęły w świetle poranka. Indianie dochodzili do bujnych kęp paproci, gdy Gunter starannie wymierzył i pociągnął za spust. Kos podbił dłonią lufę strzelby. Padł strzał. Wysoki Orzeł zatoczył się gwałtownie. Chwycił za ramię Ostrego Krzemienia, aby nie upaść.

Kos odskoczył błyskawicznie kilka kroków od Guntera i podnosząc sztucer w stronę traperów krzyknął:

— Nie ruszajcie się, bo strzelam! Rzućcie broń!

Na moment zaległa cisza. Traperzy stali niezdecydowani. Indianie zrozumieli, że w Kosie znaleźli niespodziewanego sprzymierzeńca.

— Oszalałeś? Co robisz?! — zawołał Connel.

— Rzućcie strzelby! Szybko! Ja nie żartuję! — powtórzył Kos.

Ociągając się wszyscy trzej rzucili muszkiety na ziemię. Na ich twarzach malowała się wściekłość.

— A teraz odejdźcie na prawo, pod tamten krzak leszczyny. I ręce do góry!

I tym razem wykonali rozkaz. Stanęli w pobliżu samotnej kępy leszczyn. Słońce różowymi promieniami kładło się na czuby potężnych hikor i dębów, srebrzyło spokojny nurt rzeki i twarze traperów. Z podniesionymi w górę rękami stali, patrząc z nienawiścią na Kosa.

• Niech Ostry Krzemień pozbiera strzelby i złoży je w canoe. Skórki także. Szybko! — polecił Kos Indianinowi.

• Ja to uczynię! — zawołał Wysoki Orzeł. — Lewą rękę mam zdrową. To lekki postrzał.

Szawanez pośpiesznie uwijał się po obozowisku. Po rękawie łosiowej bluzy spływała strużka krwi.

— Zepchnijcie łódź na wodę! — krzyknął Kos do Indian, a sam, ciągle mając na muszce traperów, wolno wycofywał się w stronę rzeki. — Hej, Gunter! — zawołał. — Strzelby znajdziecie na drugim brzegu Wabash. Ręce możecie opuścić dopiero wtedy, gdy canoe zniknie za zakrętem rzeki.

Czerwonoskórzy siedzieli już w łódce. Kos wskoczył do canoe i odbili od przystani. Podpłynęli pod przeciwległy brzeg i tam pozostawili trzy strzelby.

— A teraz w górę rzeki, Krzemieniu. Ja będę uważał na traperów.

Canoe pruć fale. Płynęło wolno, choć Ostry Krzemień pracował wiosłem, ile sił starczyło w jego muskularnych rękach. Wysoki Orzeł nadal krwawił. Leżał na dnie łodzi i poważnie patrzył w twarz Kosą. Co myślał w tej chwili o dziwnym białym człowieku, który tyle nieoczekiwanie stanął w obronie wojowników?

Kos ze sztucerką w ręku stał na tyle canoe i obserwował trzech przygodnie poznanych traperów. Ich sylwetki malały powoli i stopniowo zlewały się z zielenią krzewów. Zauważył jeszcze, jak stary Connel opuścił ręce. Wabash lekkim łukiem skręcała na wschód. Za chwilę jej wysoki brzeg, porośnięty gęstymi krzewami, przesłonił obozowisko złodziei indiańskich skórek. Kos opuścił sztucer i usiadł obok rannego.

• Czas zająć się tobą, Wysoki Orle — powiedział i z myśliwskiej sakwy wyciągnął bandaże. Nożem rozpruł rękaw pięknie haftowanej bluzy, odsłaniając krwawiące ramię. Kula przeszła przez mięsień i poważnie uszkodziła kość. Rana była bolesna. Orzeł nie mógł podnieść ręki do góry. Kos obłożył ranę suszonymi liśćmi ziół, jakie zwykł nosić w celach leczniczych, i obwiązał bandażem. — Wrócisz szybko do zdrowia, czerwony bracie! — rzekł na koniec i poklepał przyjacielsko Szawaneza po plecach.

• Biały brat ocalił mi życie — powiedział Wysoki Orzeł. — Widziałem, jak podbił lufę strzelby kojotowi o dwóch językach.

• Drobiazg, Wysoki Orle! — uśmiechnął się Kos. — Śpieszmy, bo traperzy gotowi nas ścigać. — I sam chwycił drugie wiosło.

• Dokąd podąża biały brat? — odezwał się milczący dotąd Ostry Krzemień.

• Daleka przede mną droga. Śpieszę do Detroit.

• Do krainy Pottawatonic i Ottawów?

• Tak, w pobliże ich łowieckich terenów.

• Jakiego białego brata nosisz imię?

• Nazywam się Ryszard Kos. A Czipewejowie znad Łąki Superior nazwali mnie Czerwonym Sercem.

- Trafne nadali ci imię — orzekł Wysoki Orzeł. — Masz białą skórę, ale serce Indianina.

Zbliżało się południe. Słońce wisiało nad koronami hikor, białych dębów i klonów. W przybrzeżnych trzcinach grały chrząszcze. Niebieskie ważki unosiły się nad wodą, a duże wielobarwne motyle siadały beztrzesko na wysokim dziobie łódki. Wiosła migały w rękach Kosa i Ostrego Krzemienia. Canoe zostawiło za sobą spienioną smugę wody i parło naprzód. Minęli wpadające do Wabash wody Salomonie River i gdy słońce zaczynało staczać się na drugą stronę nieba, postanowili odpocząć. Podpłynęli pod piaszczysty brzeg i wyszli na ląd.

- Mam w sakwie pemikan<sup>13</sup> i placki. Tym musimy się zadowolić — powiedział Ryszard. Rozwiązał rzemienie i wyjął prowiant. Ogniska nie rozpalali, bo czas naglił. Wysoki Orzeł poczuł się lepiej. Rana przestała krwawić. Przyjaźnie patrzył na Kosa.

- O świcie nasze drogi rozejdą się. Czerwone Serce popłynie dalej, a my wrócimy do wioski Szawanezów — zauważył ze smutkiem Orzeł.

- Z Czerwonym Sercem zostanie nas\*a przyjaźń — dorzucił Krzemień.

- Drogi ludzkie rozchodzą się i schodzą. Jeszcze może kiedyś siądziemy razem przy obozowym ognisku — rzekł Kos.

- Szawanezi będą cię witać jak brata — powiedział Wysoki Orzeł. — Czerwone Serce zawsze znajdzie dach wigwamu i ciepło -ogniska w wioskach naszego plemienia.

- Dziękuję. Może kiedyś zabłądzą do waszych osiedli nad Maumee River.

Wiosłowali aż do zmierzchu. Długie cienie drzew kładły się czarnymi plamami na wodzie, gdy skręcali w prawy dopływ Wabash, nazywany przez Indian Cichym Strumieniem. Rzeczywiście wody tej rzeki płynęły leniwie, wyglądały jak milczące, czarne zwierciadło. Canoe napotykało tu na mniejszy opór rzecznej prądu, dlatego zaczęło śmigać szybciej.

- Pożywimy się w łodzi — powiedział Ostry Krzemień. — Popłyniemy nocą. Znam Cichy Strumień, poprowadzę canoe bezpiecznie. Możemy spać na zmianę.

- Świetnie — ucieszył się Kos. — Muszę jak najszybciej być w Detroit.

Płynęli dalej mimo nieprzeniknionych ciemności. Niebo zaciągnęło się zwałami chmur, tak że księżyc i gwiazdy stały się niewidoczne. Ostry Krzemień siedział na przodzie łodzi i z niezwykłą zręcznością prowadził canoe. Po północy zastąpił go Wysoki Orzeł, a do wiosel usiadł Kos.

Mijał czas. Niebo zaczęło szarzeć. Słońce na wschodzie przebijało grubą oponę chmury. Cichy Strumień zaczął zmieniać się w coraz węższą rzeczkę. Ostry Krzemień obudził się. Jeszcze płynęli kilka godzin, po czym przybili do brzegu.

— Tutaj rozbijemy obóz. Musimy odpocząć i zjeść gorący posiłek — powiedział Ostry Krzemień i chwyciwszy strzelbę znikł w przybrzeżnych zaroślach.

Kos zrozumiał Indianina. Zajął się zbieraniem chrustu na ognisko.. Wysoki Orzeł pomagał mu w tym, posługując się zdrową ręką. Po chwili płomień trawiły już suche gałęzie. Ostry Krzemień przyniósł dwie kaczki, które upiekł sobie nad ogniem. Pożywiwszy się, wygasili żar ogniska i zaczęli szykować się do drogi.

— Biały brat zostawi tu w zaroślach swoje canoe. Nad Saint River mamy ukrytą łódź. Ona powiezie Czerwone Serce do Detroit — rzekł Wysoki Orzeł.

Zamaskowali łódź Kosa i ruszyli w głąb puszczy. Strzelby nieśli w ręku gotowe do strzału. Nigdy nie wiadomo, co w kniei może się zdarzyć. Po parogodzinnej wędrówce wyszli na łąkę, łagodnie schodzącą nad brzeg rzeki. Słońce stało już nad puszcza. Ciężkie chmury zasnuły niebo, a powietrze przepojone było wilgocią i dusznością.

— W tym krzaku jest canoe — rzekł Wysoki Orzeł. — Od dziś będzie własnością Czerwonego Serca.

Spojrzeni sobie w oczy i uścisnęli po męsku dłonie. Na twarzach czerwonoskórych malowało się szczere uczucie przyjaźni.

- Ocaliłeś nam życie — przypomniał jeszcze raz z wdzięcznością Orzeł.

- Nie pozwoliłeś ukraść naszych skórek — dodał Krzemień.

- Zawsze staję po stronie sprawiedliwości — odparł na to skromnie Kos.

- Mało jest takich białych — rzekł Wysoki Orzeł. Zdjął ze swej szyi kolorowy wampum<sup>14</sup>. — Niech Czerwone Serce weźmie ten talizman, który otworzy mu wszystkie wioski, który zjedna mu serca czerwonoskórych nawet wtedy, gdy topór wojny będzie szaleć na pograniczu. Hugh!<sup>15</sup>

- Dziękuję, Wysoki Orle. — Kos wziął do ręki pięknie wykonany z białych i zielonych muszelek kilkucentymetrowej długości pas, obszty po bokach frędzlami. Wampum wyglądał jak misterna barwna krajka. Ryszard zawiesił go na szyi i ukrył pod łosiovą bluzą.

I tak się rozstali.

Kos patrzył za oddalającymi się Indianami, aż zniknęli w gęstych zaroślach. Wtedy wyciągnął z przybrzeżnych zarośli prawie nową łódź. Spuścił ją na wodę i pomknął jak strzała. Przed wieczorem dopłynął do fortu Miami, wzniesionego w rozwidleniu dwóch rzek — Saint Joseph i Maumee River.

## W FORCIE MIAMI

Rankiem Ryszard Kos zerwał się z łóżka i pośpiesznie naciągnął na siebie ubranie. Czuł się wypoczęty. Wczoraj wykąpał się, spożył gorącą wieszczę i przespał na żołnierskim, wygodnym posłaniu. W doskonałym nastroju wybiegł więc na dziedziniec.

Dzień zapowiadał się słoneczny. Po chmurach, które przez cały czas towarzyszyły Kosowi w podróży, nie zostało ani śladu. Fort tętnił już życiem. Jakiś oficer ćwiczył kompanię żołnierzy, gromadka dzieci z zaciekawieniem przyglądała się mustrze. Niedaleko szynku leżał na ziemi Indianin, prawdopodobnie pijany do nieprzytomności. Nieco dalej, przed sklepem, stał uwiązany do barierki, z derką na grzbiecie, indiański mustang<sup>1</sup>. Tam właśnie skierował / swe kroki Kos. Przed opuszczeniem fortu musiał zaopatrzyć się w proch, kule i niezbędne w podróży drobiazgi. Pomiędzy Miami a Detroit nie było żadnego osiedla białych.

Wszedł po drewnianych schodach i pchnął drzwi. W mrocznym wnętrzu ujrzał właściciela sklepu i czerwonoskórego. Indianin stał przed ladą, na której leżał związany rzemieniem duży stos bobrowych skórek.

- Good morning<sup>2</sup> — rzucił pozdrowienie Kos.
- Witam, sir<sup>3</sup> - odparł handlarz. Stał oparty rękoma o kontuar. Rude włosy, dawno nie strzyżone, wychodziły mu aż na kołnierz jeleniej bluzy, a broda niczym płomień poruszała się na piersi, gdy mówił do czerwonoskórego: — Daję ci małą beczulkę prochu i skrzynię ołowiu. To bardzo dużo. Te skórkę więcej niewarte. Rozumiesz?... Ponieważ upierasz się, jak każdy czerwony, mogę ci dodać butelkę whisky<sup>4</sup>. Zastanów się, a ja tymczasem załatwię mojego klienta. — Odwrócił się do Kosa. Jego małe, ciemne i błyszczące jak paciorki, rozbiegane oczy, usadowione głęboko w tłustej, okolonej rudym zarostem twarzy, miały w sobie coś z lisiej chytrności. — Ciężki handel z tymi dzikusami — sapnął z nutą głębokiego strapienia. — Za byle jakie skóry chcą Bóg wie ile! — A widząc, że nowo przybyły nie bardzo ma ochotę wchodzić z nim w dyskusję, zrobił krótką przerwę i uważnie spojrzął mu w twarz. — Czym mogę służyć, sir? — zapytał uniżenie.

- Amunicja, proch, pemikan, placki kukurydziane, dwa noże myśliwskie...
- Już służyć, sir!

Handlarz wykladał zamówione towary na ladę. Kos zaczął powoli pakować je do podróżnego worka. Sklepiarz zwrócił się znowu do Indianina:

- Bierzesz to, co ci daję?
- Czamy Sęp więcej wystrzelał kul, żeby zdobyć te skórkę, niż biały brat daje mi prochu i ołowiu.
- Dodaję ci przecież butelkę whisky. Wczoraj twój pobratymiec za sam „napój życia” dał mi tyle skórkę, co ty. Zobacz, do tej pory śpi pod szynkiem w błogim szczęściu.
- Czamy Sęp gardzi wodą ognistą. Tylko wojownicy Szawa-nezów nazywają ją napojem życia. Ona przynosi zgubę.
- To co chcesz? Dodam ci nóż i sznur koralu dla twojej sauw<sup>5</sup>.
- Za mało.
- Słyszycie, sir?! — zawołał rudy handlarz. — Mało i mało! Chciałby cały sklep za parę bobrowych skórek!
- I ma rację — powiedział Kos zawiązując worek z zakupionym towarem. — Oszukujecie go. Te skórkę są więcej warte niż dajecie.

Sklepiarz poczerwieniał ze zdenerwowania. Małe oczy zamigotały złym blaskiem.

- Sir, wy stajecie w obronie tego czerwonego szakala?! — krzyknął do głębi oburzony.

- Tak, Czarny Sęp ma rację. To piękne i wartościowe skóry. Dlaczego chcecie go skrzywdzić? Czerwonoskóry położył dłoń na sercu i w geście wdzięczności pochylił głowę w stronę Kosa.
- Wojownik Wyandotów dziękuje białemu bratu — powiedział i zwrócił się do sklepikarza. — Niech błada twarz zwiększy zapłatę.
- Do pioruna! Po cóż wtrąćcie się, sir? — oburzył się rudy. — Czego chcesz jeszcze, czerwona skóro?
  - Dwie beczki prochu i dwie beczki ołowiu.
  - Nie dam, to za dużo!
  - To zaproponujcie właściwą zapłatę — rzekł Kos z uśmiechem. — Bo sam kupię te skórki. Handlarz milczał. Jego małe oczy patrzyły niespokojnie. Ważył coś w myśli.
  - No, dobrze. Dodam siekiere, nóż, trzy sznurki paciorków, lusterko i butelkę whisky.
  - Biały brat wodę ognistą zostawi dla Szawanezów — powiedział Indianin. — Sępowi dołoży jeszcze jeden topór i nóż.
  - Widzicie, czerwonoskóry nie żąda wygórowanej ceny — stwierdził Kos. — Godzicie się? Bo ja jestem zdecydowany!  
Handlarz zniżył w ustach przekleństwo.  
— Bierz, czerwona skóro, i wynoś się! — syknął. Ściągnął z półki skrzynkę ołowiu, a potem bardziej rzucał, niż podawał Indianinowi siekiery, noże, paciorki, lusterko. Zza lady wytoczył małą beczkę prochu.  
Czarny Sęp zatknął topory za pas, drobne przedmioty wcisnął do kieszeni, beczkę i skrzynię z ołowiem oparł na ramieniu i wyszedł ze sklepu.  
— Bywajcie. Szkoda, że kupiliście te bobrowe futerka — zakpił Kos. — Taką miałem na nie ochotę. Sklepikarz, purpurowy ze złości, patrzył oczyma pełnymi gniewu za wychodzącym Kosem.  
Czarny Sęp stał przy mustangu. Kupione siekiery położył na ziemi. Pochylony nad beczką, nożem podważał wieko. Krążek odskoczył. Indianin zanurzył rękę. Nagle wyprostował się gwałtownie i rozszerzone zdumieniem oczy wlepił w dłoń. W tym właśnie momencie mijał go Kos.  
— Uff! Oszukał mnie! — ryknął Sęp i pobiegł do sklepu.  
Kos zatrzymał się. Rzeczywiście pod cienką warstwą prochu złożyły się ziarenka piasku. Z głębi sklepu dobiegały odgłosy kłótni i szamotaniny. Wreszcie Czarny Sęp wypchnął siłą handlarza z wnętrza, budynku. Trzymając go za kołnierz skórzanej bluzy, krzyczał:  
— Ty oszuście! Podły lisie!  
W tej chwili sklepikarzowi udało się wyrwać z rąk Indianina. Z całej siły wymierzył mu policzek. Czarny Sęp oddał mu cios w szczękę. Rudy zatoczył się i padł na stopnie wiodące do sklepu.  
— Ratunku! Ratunku! — wrzeszczał ile sił w płucach.  
Indianin tymczasem wskoczył na mustanga i popędził w stronę bramy, pozostawiając beczkę z piaskiem, siekiery i porzucony nóż.  
— Trzymajcie go! Trzymajcie! - krzyczał dalej sklepikarz.  
Zatupotały żołnierskie buty. Czyjaś ręka chwyciła konia za uzdę. Kompania żołnierzy w błękitnych mundurach otoczyła Indianina.  
— Zejdź z konia! — rozkazał młody porucznik.  
Nim czerwonoskóry zeskokczył z mustanga, handlarz wbiegł pomiędzy żołnierzy z wrzaskliwym lamentem.  
— Czerwony pies mnie znieważył, spoliczkował, oszukał, sponiewierał... Rety! Ludzie! Zęby mi wybił!... Ukradł proch, a piasku w beczkę nasypał! Ukarzcie go, zabijcie, powieście!...  
Czarny Sęp usiłował przerwać potok jego słów, wyjaśnić zajście, ale wrzask rudego górował nad wszystkimi głosami,  
— Żołnierze niezwyciężonej Unii, pozwalacie, aby ten czerwony pies poniewierał uczciwym człowiekiem?! Patrzcie na moje wybite zęby, na moją krzywdę, na zniewagę!... Nie dopuszczajcie, aby w samym forcie Miami czerwony podnosił rękę na białego!... Zmiłujcie się, powieście tę hiene, utnijcie mu ręce, wyrwijcie język! Do kogóż mam wołać o sprawiedliwość, skoro nasi żołnierze są ślepi i głusi?...  
Uspokój się, Willi! — Porucznik położył handlarzowi rękę na ramieniu. — Co on ci zrobił?  
• Sprzedałem mu beczkę prochu, a on ją zamienił na inną, z piaskiem. A potem uderzył mnie i wybił zęby. O, patrz! — Palcami odchylił wargę, ukazując krwawiącą jamę po dwóch zębach w górnej szczękę.



- Na sznur z czerwonym! — krzyknął ktoś. — Na powróż!
- Na powróż! — zawołali inni.

Wokół żołnierzy zbierali się gapie.

- To rudy kuj ot<sup>7</sup> sprzedał Czerwonemu Sępowi piach zamiast prochu — wyjaśnił spokojnie Indianin.
- On kłamie! Bezczelnie kłamie! — ryknął Willi.
- Nieprawda! — zaprzeczył donośnym głosem Kos, przedzierając się przez gromadę żołnierzy. — Jestem świadkiem zajścia. Widziałem wszystko. Handlarz sprzedał Indianinowi piasek zamiast prochu.
- A wy kim jesteście, sir? — spytał porucznik przymrużając znacząco oko.
- Kurierem armii.
- Kurierem? Bez munduru? Pewnie włóczykijem, co to szuka pod wigwamami śmierdzących łojem squaw.

Żołnierze wybuchnęli rubasnym śmiechem.

- Tylko bez docinków, poruczniku! — powiedział twardo Kos.
- Byłeś świadkiem?
- Tak.
- Czy Indianin uderzył Willego?
- Najpierw handlarz spoliczkował Sępa, a dopiero wówczas tamten mu oddał.
- A więc Willi ma rację! — stwierdził porucznik. — Chłopcy, związać Wyandotę!

Żołnierze chwycili Indianina. Stał spokojnie z podniesioną głową. Bez oporu pozwolił skrepować sobie ręce.

- Na białego nie wolno podnosić ręki — rzucił porucznik w twarz Indianinowi. — Musisz ponieść karę.
- Ależ to podłość! — zawołał Kos. — Ten człowiek jest niewinny!
- Sir, to przecież Indianin, nie człowiek — powiedział porucznik. Odwrócił się tyłem do Kosa. — Zaprowadźcie go przed koszary. Pod beczki ze smołą! — wydał rozkaz żołnierzom. — A ty, Willi, masz w sklepie pierze?
- Yes!<sup>8</sup>
- Przynieś mi worek pierza. Szybko!

Kos ruszył za żołnierzami prowadzącymi Czarnego Sępa. Zatrzymali się na obszernym placu. Pod palisadą zbudowaną z potężnych pni drzewnych stały ogromne beczki. Ostry zapach smoły unosił się w powietrzu. Na plac ściągali z koszar żołnierze, cywili mieszkańcy fortu, kobiety, dzieci...

Porucznik stanął przed czerwonoskórym.

— Uderzyłeś Willego i wybiłeś mu dwa zęby. Tak?

Indianin milczał.

— Odzywaj się, czerwona skóro, bo każę ci zajrzeć do twego

^ plugawego pyska i sprawdzić, czy masz język.

Wojownik podniósł głowę do góry i ogamął dumnym wzrokiem zgromadzony tłum gapiów. Osaczały go nienawistne spojrzenia. Jedyne na twarzy Kosa malowało się głębokie współczucie.

— Uderzyłeś Willego? Mów! — krzyczał porucznik, rozwścieczony zachowaniem Indianina.

Czarny Sęp stał bez słowa.

— Milczysz, więc jesteś winien — rzekł porucznik. — Zwiążcie mu nogi — polecił żołnierzom.

Gdy wykonali jego rozkaz, i tym razem nie spotkawszy się z oporem dumnego Indianina, porucznik zawołał:

— A teraz, Tom i Harry, rozbierzcie do naga tego dzikusa. Pośpieszcie się!

Zebrani, nie bardzo wiedząc, co z tego wyniknie, z zaciekawieniem przyglądali się, jak dwaj żołnierze rozcinali legginy<sup>9</sup> Indianina, pruli rękawy jego łosiowej bluzy... Na oczach tłumu zdarli z niego okrycie. Porucznik odwrócił się w stronę zgromadzonych i donośnie zawołał:

— Myladies and gentlemen, oto stoi przed wami czerwona skóra z pieskiego plemienia Wyandotów. Ten dzikus w samym sercu Miami podniósł rękę na powszechnie szanowanego Willego Gayera. — Umilkł na chwilę, bo zobaczył, że rudy sklepikarz z wypchanym workiem pod pachą przeciska się w jego stronę.

Oficer gestem ręki kazał utworować mu przejście. A gdy Gayer zbliżył się do niego, zawołał patetycznie: — Znacie jego uczciwość i szanujecie go wszyscy. Wiecie już,

że ten dziki szakał — tu wskazał na Sępa — wybił mu dwa zęby. Czy pozwolicie, aby uszło mu to bezkarnie?!

W podjudzonym tłumie rozległy się okrzyki domagające się ukarania Indianina.

Oduczymy więc go podnoszenia ręki na białego, cywilizowanego człowieka. Wysmarujemy dzikusa smołą, a potem..

Tłum zarechotał ubawiony. Zaczynało się coś ciekawego.

— A potem wsadzimy go w pierze, aby wyglądał jak wielki wojownik — dokończył porucznik.

Widzowie znowu wybuchnęli śmiechem. Dalej stojący zaczęli przepychać się, aby nie uronić nic z niezwykłego widowiska.

Porucznik skinął na żołnierzy. Podnieśli Indianina do góry i wtłoczyli do beczki, z której wyglądała tylko głowa czerwonoskórego, ustrojona wpiętym w kucze włosy jednym piórem sępa. Indianin bezwolnie poddawał się upokarzającej torturze. Na twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień, jedynie w oczach malowała się bezbrzeżna rozpacz.

Ludzie przyglądali się w ciszy, z uśmiechem przylepionym do warg.

— No, wyciągnijcie go już! — rozkazał porucznik.

Żołnierze chwycili Czarnego Sępa za włosy i szyję i zwalili na ziemię koło beczki.

— Pomóście mu wstać!

Ostrożnie, aby nie bardzo pobrudzić się smołą, podnieśli Indianina. Stanął przed tłumem białych oprawców, oblepiony grubą warstwą czarnej, klejącej mazi, z wolna spływającej z jego ciała. Wyglądał jak niesamowita zjawia.

Tłum zarechotał. Rozległy się okrzyki: „diabeł”, „belzebub”, „dobrze mu tak”.

— Rozetnijcie mu rzemienie u nóg! — rzucił Oficer.

Żołnierz długim ostrzem kordelasa" rozciął sznury kępujące nogi Indianina.

— Spójrzcie! — zawołał oficer. — Czarny Sęp jest naprawdę czarny. Ale cóż to za wojownik z jednym piórem w czuprynie? Damy mu tyle piór, że od razu zostanie wodzem Wyandotów.

Sęp stał ponury. Bez jednego jęku, bez słowa skargi znosił upokorzenia i obelgi.

Rudy handlarz z worem zaszedł Indianina od tyłu. Biali, stłoczeni wokół, śmiali się, rzucali uszczypliwe, ordynarne uwagi. Bawili się wyśmienicie. Nagle Willi zarzucił Sępowi worek na głowę. Indianin stracił równowagę i upadł. Czuł, że się dusi. Usiłując wydostać się z worka, tarzał się po ziemi. Tłum białych przywitał to huraganowym śmiechem. Lecutki wiatr począł unosić rozsypane pierze.

— Zerwijcie z niego worek! — krzyknął porucznik.

Jakiś żołnierz wykonał polecenie. Na ziemi poruszała się kupa białego puchu. Wreszcie Indianin usiadł i ciężko dysząc czekał na dalsze tortury. Wiatr zwał pierze z jego twarzy.

— Tom, rozetnij mu rzemienie na rękach! — wydawał dalsze rozkazy porucznik. — I odprowadź wodza Wyandotów do bramy. Karę poniósł. Ale niech zna wspaniałomyślność białych. Darujemy mu życie.

Indianin stał przed porucznikiem i sklepikarzem. Patrzył w twarze oprawców z zimnym blaskiem nienawiści. Odwrócił się i ruszył przez szeroki plac w stronę wyjścia. Za nim goniły śmiech i drwiny. Ludzie powoli rozchodzili się.

Kos skierował kroki w stronę swej kwatery. Ciągłe dźwigał zakupione w sklepie towary. Zbliżało się już południe. Stracił zbyt wiele cennego czasu. Szedł i rozmyślał nad podłością białych i krzywdą prawowitego syna tej ziemi. Dochodził właśnie do budynku, gdzie nocował, gdy zauważył rudego Gayera uwijającego się koło mustanga Czarnego Sępa. Pośpieszył więc w jego kierunku.

— Hej, Gayer! — zawołał dochodząc do drewnianej barierki.

— Konia chcesz kupić?

Rudy handlarz odwrócił się błyskawicznie, zaskoczony pytaniem, a zobaczywszy Kosa aż zbladł z nie ukrywanej złości.

- Sir, znowu wtrącasz się do nie swoich spraw! Przez was straciłem dwa zęby.

• Możesz stracić dwa następne — powiedział Kos z uprzejmym, lecz zimnym uśmiechem. — Zostaw tego' mustanga, odprowadzę go za bramę.

Willi spurpurowiał. Przez chwilę ważył coś w myślach.

— Niech i tak będzie, sir — zgodził się. — Ta indiańska szkapa niewiele warta. — Pochylił się po skrzynkę ołowiu, siekiery i nóż leżący na beczce z piaskiem.

To także zostaw! — rzekł ostro Kos. — Chyba nie jesteś złodziejem?

Sklepikarz podniósł się i znowu spój rzał w twarz Kosa.

Sir, czy tego nie za wiele? Wy mnie obrażacie! — uniósł się.

Ależ skąd? Chodźmy do sklepu, chcę jeszcze coś dokupić.

Willi wyraźnie się wahał. Nie mógł zrozumieć, do czego Kos zmierza.

— Chodźmy! — pomógł mu zdecydować się Kos, lekko go popychając.

Weszli do mrocznego wnętrza budynku.

• Nie macie czasem prochu w workach? — spytał Kos. — Beczkę źle będzie mi wieźć na łódce.

• Mam.

• To dobrze. Duże to worki?

Willi Gayer uważnie patrzył w oczy Kosa. Rzekł zdziwiony:

• Kupiliście takie dwa woreczki rano.

• Ach, tak. Zapomniałem. A w tej beczce, którą sprzedałeś Indianinowi, ile takich woreczków się zmieści?

-v Cztery.

— To dasz mi cztery woreczki prochu i zwój sznura.

Rudy stał niezdecydowany.

— Pośpiesz się, bo muszę zaraz wyruszać do Detroit. A poza tym nie lubię czekać.

Willi podawał żądany towar. Ręce mu się trzęsły, źrenice biegały niespokojnie. Dopiero kiedy Kos wyjął z kieszeni sakiewkę i zaczął odliczać pieniądze, rudy odetchnął z ulgą.

— A ja myślałem, sir, że wy dla tego przekłętego Indianina bierzecie proch... Że nie zapłacicie...

Ryszard uśmiechnął się szeroko.

— Mielicie rację. Skórki bobrowe warte są trzy razy więcej, niż daliście czerwonoskóremu.

Oszukaliście go, a gdy upominał się o swoje, znieważyliście. Strzeżcie się zemsty, Gayer! Placę wam tylko za sznur, a proch doręczę Indianinowi poza bramą Miami. — Rzucił na ladę kilka monet. — Bywajcie.

Trzasnęły drzwi sklepu. Na dziedzińcu, pełnym słońca, tu i ówdzie stały jeszcze grupki ludzi, komentujących zapewne niedawne zajście z Czarnym Sępem. Kos przystanął przy mustangu i przytroczył doń pozostawione przez Indianina dwie siekiery i nóż oraz swój worek z zakupionym towarem. Chwycił konia

za uzdę i obejrzał się w stronę sklepu. W uchylonych drzwiach stał Willi. W\* jego rękach błyszczała lufa strzelby.

— Bez głupich kawałów, Gayer! — zawołał Kos. — Ja nie jestem Wyandotą. Ostrzegam was!

Wtem w powietrzu zafurkotało coś cienko jak osa. Długa strzała wbiła się w drzwi sklepu tuż obok ramienia Gayera. Jej upierzony koniec lekko drżał. Oczy rudego sklepikarza zrobiły się okrągłe, a brwi poruszyły się nerwowo. Znikł w cieniu sklepu.

• Czarny Sęp was pozdrawia! — krzyknął Kos i pośpieszył pod swoją kwaterę. Wbiegł do izby, chwycił strzelbę, podróżną torbę i już był z powrotem przy koniu. Wskoczył na jego grzbiet i pognął ku bramie.

• Żegnajcie, chłopcy! — zawołał do żołnierzy czuwających przy wjeździe do fortu. — Za miesiąc znowu tu zawitam.

Zgrzytnęły żelazne zasuwki i Kos wyjechał na drogę wiodącą do puszczy. Spojrzał na ziemię. Siady Czarnego Sępa były wyraźne. Wyznaczały ją krople smoły, które gubił. Kos podążył tym tropem. Ledwie wjechał w zarośla, wyszedł z nich Indianin. W rękę trzymał łuk i pęk strzał. Kos zeskoczył z mustanga.

— Oto koń mojego brata, proch, ołów, dwie siekiery i nóż.

Czarny Sęp spojrzał na worki przewieszone przez grzbiet konia. Domyślił się prawdy.

- Wojownik Wyandotów dziękuje białemu bratu.
  - Posłałeś rudemu strzałę zemsty. Musisz stąd szybko uchodzić. Będą cię na pewno tropić.
  - Wysłałem rudemu kujotowi i wodzowi białych wojowników strzałę wojny. Krwią zmyję swą hańbę! Hugh!
  - Bądź ostrożny, Czamy Sępie — powiedział zyczliwie Kos. — Nasze drogi rozchodzą się. Pilno mi na szlak.
- Oczy Indianina ciepło spojrzały w twarz białego. Przyjaźnie się uśmiechnął.
- Biały brat ma mężne i sprawiedliwe serce. Jakież jest jego imię?
  - Nazywają mnie Czerwonym Sercem. Bywaj!
  - Bywaj!
- Kos zarzucił worek na plecy, zabrał strzelbę i podążył ku nadbrzeżnym zaroślom. Tu bez trudu odnalazł swoją łódź. Umieściwszy w niej bagaż, popłynął z prądem Maumee River w kierunku jeziora Erie.

## TECUMSEH

Po czterech, dniach wiosłowania Kos dopłynął do błękitnych wód jeziora. Przez ten czas prawie nie odpoczywał. W łódce posilał się, drzemał i dalej mknął. Wartki nurt rzeki niósł leciutką, z brzozonej kory zbudowaną łódź niczym strzałę wyrzuconą z łuku. Ryszard znał te wody doskonale. Nawet nocą potrafił wyminąć skalne występy, bagniste wysepki i niebezpieczne wiry.

Było późne popołudnie, gdy postanowił zawinąć do brzegu i spędzić noc przy ognisku, aby wreszcie przyrządzić sobie coś gorącego do jedzenia. Czekał go jeszcze spory szmat drogi. Skierował więc łódź ku brzegowi i z trudem przebijał się przez wodne szuwary. W wysokich trzcinach ukrył canoe. Puszcza podchodziła tutaj do samego jeziora. Olbrzymie sykomory, jesiony, hikory i białe dęby szumiały majestatycznie. Gęste krzaki leszczyny i łoży zwartą, zieloną ścianą jakby broniły wstępu w głąb kniei. Kos jednak znał jej tajemnice. Na tych terenach właśnie, między fortem Miami i Detroit, przez pięć lat pełnił służbę kuriera. Nieobcy był mu każdy zakątek zachodniego wybrzeża Erie. Przedał się przez spletaną kępę łożin; Dalej, pomiędzy prawiecznymi olbrzymami, było już trochę wolnej przestrzeni.

Zmęczony, rozkoszował się panujący tu chłodem i aromatycznym, wilgotnym powietrzem.

Z nawyku, zdobytego podczas wieloletnich wędrówek, nim głębiej wszedł w puszcę, przystanął pod którymś z olbrzymów i uważnie nasłuchiwał. Prócz świergotu ptaków czujne jego ucho nie złożyło nic niepokojącego. Zabrał się więc do gromadzenia chrustu na ognisko. Kiedy sterta gałęzi urosła do takich rozmiarów, że powinna starczyć na całą noc, postanowił zapolować, aby spożyć świeży, gorący posiłek.

Szedł, uważnie rozglądając się w poszukiwaniu tropów zwierząt. Na gałęzi dębu siedział drożd<sup>1</sup> przedrzeźniacz i pogwizdywał niczym człowiek. Przeskakując z drzewa na drzewo leciała za Kosem, niby wiemy towarzysz, cudownie ubarwiona zięba<sup>2</sup>. Jej podgardle i cały brzusek mieniły się ciemną purpurą, główka przypominała czysty błękit nieba, a grzbiet połyskiwał szmaragdową zielenią. Ryszard zatrzymał się na chwilę i z za-

chwycem patrzył na ten żywy cud amerykańskich borów. Wsłuchany w ptaszęcy śpiew, nie tracił jednak czujności. Łowił z głębi puszczy płynące szmery, a oczyma uważnie badał ziemię. Rozśpiewane ptactwo nagle umilkło i spłoszone rozpierchło się. Skrył się za pnem kasztanowca, zaskoczony gwałtowną ciszą. Podniósł sztucer i czekał. Cisza. Szemrze prawieczny bór.

— Aby cię licho! — szepnął. Na sąsiednim drzewie dostrzegł wirginijskiego oposa, nieubłaganego wroga ptaków. Zwierzę wielkości dużego kota o popielatobrunatnym futerku siedziało przyczajone na rozłożystej gałęzi dębu. To ono było przyczyną ucieczki leśnych śpiewaków.

Kos ruszył dalej. Przeszedł kilkadziesiąt jardów, gdy w głębi kniei doszedł go narastający szmer. To musiało iść duże zwierzę. Człowiek w tych dziewiczych ostępach nie robi tyle hałasu. Kos oparł się o pień strzelistej hikory i czekał. Mógł rozróżnić teraz miękkie stąpania. Jeleń, łoś czy niedźwiedź? Zwierzę zbliżało się w stronę stanowiska myśliwego. Minęło jeszcze kilkanaście minut, nim spośród drzew wyłonił się dorodny łoś<sup>4</sup>.

Ryszard podniósł sztucer i zawahał się. Żał mu było zwierzęcia. Nie miał jednak wyboru. Musiał zdobyć zapas pożywienia na drogę. Wycelował. Huk wystrzału wstrząsnął puszczą. Na moment umilkły ptaki. Jego echo tłuło się o pnie drzew i stokrotnie powtarzane, coraz słabsze, wtapiało się w leśną ciszę. Łoś opuścił kształtny łeb z królewską koroną rogów i padł obok pnia rudej jodły.

Ryszard ponownie załadował broń i ostrożnie zbliżył się do powalonego olbrzyma. Gdy stwierdził, że zwierzę nie żyje, oparł strzelbę o jodłę i z nożem w ręku uklęknął przy łosiu. Z niezwykłą wprawą począł ściągać skórę. Niełatwa to była praca. Porządnie zmęczył się, nim się z tym uporał. Gdy skończył, spojrzął na brunatnie połyskującą skórę. Nie mógł, niestety, jej zabrać ze sobą, choć warta była co najmniej pięć dolarów. Duży bagaż utrudniałby mu dalszą wędrówkę, a musiał się śpieszyć.. Traperskim zwyczajem, przejętym od Indian, zawiesił skórę wysoko na gałęzi, by nie dosięgły jej drapieżne zwierzęta. Postanowił zabrać ją, gdy będzie wracać z Detroit, jeśli zgodnie z prawem puszczy jakiś przygodny myśliwy nie zdejmie jej wcześniej. Następnie wyciął najsmaczniejsze kawały mięsa, obwiązał je rzemieniem i przewiesił przez ramię. Spojrzął na parujące cielsko. Nocą zapewne przybędzie tu zwabione zapachem krwi wilcze stado i z łosia pozostanie jedynie biały szkielet.

Chwycił sztucer i skracając sobie drogę, ruszył na przełaj w stronę miejsca wybranego poprzednio na obozowisko. Był już po temu najwyższy czas. Słońce na zachodzie stoczyło się na krawędź borów. Mrok gęstniał coraz bardziej.

Natrafił na jakąś polaną. Zatrzymał się na jej skraju, zaintrygowany zapachem spalenizny. Rozejrzał się dokoła, a nie zauważywszy żadnego podejrzanego ruchu, ostrożnie posuwał się dalej, pochylony nisko nad ziemią. Mimo mroku zauważył w trawie wydeptane przejście. Idąc tym śladem dotarł do wygaszonego ogniska. Dotknął czarnych, nie dopalonych kawałków drewna. Były zimne, ale gdy rozgrzebał ręką kupę popiołu, w głębi wyczuł nieznaczną ciepłotę. A więc ogień wygaszono parę dni temu. Na skraju popieliska dostrzegł odcisnięty dokładnie obcas buta, co świadczyło, że obozowali tu biali traperzy, żołnierze albo handlarze. Zbierał się właśnie do odejścia, gdy usłyszał ledwie uchwytny jęk. Błyskawicznie zaległ wśród traw. Oczyma uważnie badał skraj lasu. Zapadający mrok utrudniał widoczność. Wytężył więc słuch. Po dłuższej przerwie jęk się powtórzył.

Kos był pewny, że mógł wyjść tylko z ust człowieka. Z bronią gotową do strzału jak mógł najciszej podczołgał się bliżej krzewów i drzew. Przed nim wyrósł olbrzymi kopiec mrowiska, wznoszący się pod konarami potężnego dębu. Miał właśnie wyminąć tę wielką budowlę pracowitych owadów, gdy sponad niej doleciał znowu cichutki jęk. Kos podniósł głowę i zaskoczony ujrzał wiszącego nad mrowiskiem człowieka. Nieszczęśnik przywiązany do grubej gałęzi spętanymi nogami dotykał szczytu kopca. Ubranie zdradzało Indianina.

Ryszard nie zastanawiał się ani chwili. Począł pięć się ku wiszącemu. Nożem poprzecinał rzemienie oplatające konar, ujął skrępowane w przegubach ręce ofiary i przesuwając się razem z nią, powoli wycofywał się znad kopca. Indianin był nieprzytomny, nie reagował ani na słowa, ani na dotknięcia. Przestał nawet pojękiwać. Kos, znalazłszy się już poza mrowiskiem, wychylił się możliwie najniżej i ostrożnie opuścił go na ziemię. Czerwonoskóry upadł bezwładnie jak wór. Ryszard zeskoczył z drzewa i uwolnił go z więzów. Pochylił się i przywarł uchem do piersi. Słuchał. Serce uderzało słabym rytmem.<sup>1</sup> Nie było się nad czym zastanawiać. Robiło się coraz ciemniej. Rozlegały się nieprzyjemne wołania puszczyków i pohukiwania! sów. Gdzieś zabrzmiało wilcze wycie. Nie mógł tutaj zostać. Noc spędzona w puszczy bez ogniska jest niebezpieczna. Indianin właściwie. mrówkom zawdzięczał, że wisząc na drzewie zachował życie, bo żadne zwierzę z ziemi nie miało do niego dostępu. Zwłaszcza wilki i jaguary omijały z daleka siedliska tych jadowitych owadów.

Kos przewiesił mięso przez ramię, zarzucił nieprzytomnego Indianina na plecy, sztucer przycisnął pod pachą. Klucząc w mroku wśród drzew z trudem odnalazł stertę zgromadzonego poprzednio chrustu. Zmęczony położył Indianina na ziemi, a sam sięgnął po krzesiwo. Po omacku odszukał przygotowany pęk suchych traw i mchów, by rozniecić ogień. Posypały się złote iskry, smużka białego dymu pojawiła się nad garścią traw, a potem strzelił w górę płomień. Kos obłożył go cienkimi gałęziami, a kiedy zapłonęły jasnym płomieniem, narzucił foremny stos. Ogień i rozświetlił noc. Drzewa stały tu rzadko, a ziemię wyścielał kobierzec mchów. Ognisko płonęło na wzniesieniu tworzącym niewielką polankę. Jego światło walczyło z mrokiem nocy. Cienie drzew i krzewów niczym dzikie stwory poruszały się w walce ze światłem. Lekki wiatr buszował wśród listowia. W kniei trwała cisza pogodnej nocy,

tylko gdzieś w głębi odzywać się poczęły coraz częściej głosy mieszkańców tego dziewiczego królestwa.

Ryszard zawiesił na drążkach metalowy kubek z wodą, do\* której wrzucił wydobytą z torby garść suchych ziół. W ciągu swych długich wędrówek po amerykańskich bezdrożach poznał wiele tajemnic indiańskich szamanów<sup>5</sup>. Dużo skorzystał też towarzysząc jako przewodnik Ludwikowi Martinowi — francuskiemu lekarzowi, który przed paru laty przemierzał puszcze w celu poznania jej roślinności. Teraz na stałe w swej traperskiej torbie nosił zioła lecznicze. Czasami ratowały one zagrożone zdrowie napotkanych ludzi, często Kos sam z nich korzystał.

Kiedy płomień zaczął lizać dno kubka, Ryszard zajął się Indianinem. Ściągnął z niego łosiową bluzę i zaczął masować jego bezwładne ręce, piersi i plecy. Po zdjęciu skórzanych legginsów podobnie postąpił z nogami, pełnymi bąbli od ukąszeń mrówek, i rozchylił zaciśnięte szczęki czerwonoskórego i wlał mu do ust odrobinę rumu.

Tymczasem woda zaczęła kipieć. Ryszard odstawił ją na bok, aby pachnący wywar ostygł. Chwycił ubranie Indianina, począł wytrzępywać nad ogniem. Duże, rude mrówki spadały w płomień lub kryły się w zakamarkach odzieży. Kos możliwie najdokładniej oczyścił ubranie Indianina z dokuczliwych owadów. Wtedy ubrał go i zaczął poić ziołami.

Czerwonoskóry otworzył oczy. Patrzył na Kosa półprzytomnie. Dopiero po dłuższej chwili pojawił się w jego oczach niepokój.

Mój czerwony brat jest w bezpiecznym miejscu. Nic mu nie grozi — uspokoił go Ryszard.

Powieki Indianina opadły znowu. Kos ułożył go wygodniej na ziemi, a pod głowę wetknął mu grubą warstwę miękkiego mchu. Czerwonoskóry przytomniej spojrzął na białego.

— Wody! — szepnął językiem Szawanezów.

Kos podał mu przygotowany napój. Indianin lknął i skrzywił się.

— Pij! — powiedział Kos szawaneskim dialektem. — Ten napój przyniesie ci siły. Jesteś osłabiony. Całe ciało masz zdrętwiałe i pokasane przez mrówki. Głód też zrobił swoje. Musisz to wypić. — Ryszard wolno przechylał kubek i pomagał czerwonoskóremu opróżnić go. — Odpocznij, później porozmawiamy — powiedział. — Masz szczęście, że cię znalazłem. Jeszcze dwa, trzy dni i trafilibyś do Krainy Wiecznych Łowów<sup>6</sup>. Teraz odpocznij, prześpij się. — Uśmiechnął się do leżącego i zajął się przygotowaniem pieczeni.

Dopiero kiedy mięso piekło się na rożnie, Kos mógł odpocząć. Usiadł blisko ognia, krzyżując nogi. Od czasu do czasu spoglądał na przygodnego towarzysza. Indianin leżał spokojnie. Głowę miał wysoko opartą o mech. I wtedy Ryszard przypomniał sobie słowa Ludwika Martina, który twierdził, że zmęczone długim marszem ciało odpoczywa szybciej, gdy człowiek ułoży nogi wyżej poziomu tułowia i głowy. A Ludwik był lekarzem. Wprawdzie czerwonoskóry nie odbył forsownego marszu, tylko wisiał związany na drzewie, ale i tak krew nie mogła normalnie krążyć. ^Płynęła do nóg, nie docierała zaś do wyciągniętych ponad głow<sup>3</sup> ramion. Ryszard odłożył sztucer i wstał.

— Niech czerwony brat położy się teraz inaczej — powiedział. Wykorzystał nierówność terenu i ułożył Indianina w zalecanej przez Martina pozycji.

— Lepiej się czujesz, Szawanezie? — spytał. Czerwonoskóry przytaknął głową.

— Jeść — szepnął.

— Z jedzeniem poczekaj. Mięso jeszcze surowe.

Kos przekręcił bryłę połędwicy. Usiadł znowu i wpatrywał się w płomień.

Wokoło rozpyływała się "smakowita woń pieczystego. Nocne owady cichutko bzykały, zlatując się do światła. W blasku ogniska drzewa wyglądały jak olbrzymie, groźne potwory. Nastroj pogłębiało wycie nocnych drapieżników, wyruszających właśnie na żer.

Wreszcie pieczeń była gotowa. Kos zbliżył się do śpiącego. Ledwo mógł go dobudzić.

— Możesz włączyć już rękoma? — spytał.

Indianin usiłował podnieść rękę, ale widać było, że sprawia mu to dużą trudność.

• Jesteś jeszcze słaby jak dziecko. Ale to minie — pocieszył go Kos. — Usiadł obok niego i

odkrawając małe kawałeczki, i podawał mu je wprost do ust. — Dość! — powiedział wreszcie. — Przekarmiać cię nie mogę, bo to mogłoby być dla ciebie niebezpieczne. Domyślam się, że wisiałeś kilka dni.

- Biały brat jest wielkim szamanem. Tecumseh<sup>7</sup> dziękuje.
  - Możesz już mówić, to dobrze. Kto cię tak urządził?
  - Białe kujoty — szepnęła Indianin z nienawiścią.
  - Biali. Ale kto? Traperzy, żołnierze, handlarze?...
  - To byli backwoodsmeni<sup>8</sup> i Miczi-malsa<sup>9</sup>.
  - A więc osadnicy i żołnierze.
  - Tak.
  - Długo wisiałeś?
  - Trzy razy zajaśniał dzień i zapadła noc.
- Trzy doby?

Indianin skinął głową.

— O co poszło? Dlaczego skazali cię na taką powolną i okrutną śmierć?

Czerwonoskóry nie odpowiadał. Leżał z zamkniętymi oczyma. Kos uciął kawał pieczeni i z apetytem jadł. Nie nalegał. Może

Indianin wołał nie ujawniać przyczyny zajścia. Dorzucone gałęzie płonęły wysokim płomieniem.

Słońce świeci, aby drzewa i rośliny mogły żyć — zaczął mówić Tecumseh. — Noc przychodzi, aby człowiek, odpoczął w wigwamie lub przy ciepłym ognisku, a blade twarze zabijają, aby zagarnąć ziemię czerwonoskórych plemion...

Zatrzeszczały płonące gałęzie, snop iskier poszybował w górę i pod koronami, drzew zgasł.

— Tecumseh odpoczywał w puszczy, gdy przyszły blade twarze — ciągnął dalej Indianin. — Wódz Szawanezów przyjął ich jak braci, bo topór wojny od czasów bitwy nad Kanawahą spoczywa zakopany. Długie Noże i backwoodsmeni rozsiedli

się przy ognisku, jedli i pili „wodę życia”. Tecumseha często wali, mówiąc: „Pij, czerwony bracie, będziesz miał prorocze sny”. I Tecumseh pił. Później zaczęli drwić z Szawaneza. Odebrali broń, związali, a o świecie powiesili nad mrowiskiem. Wódz

Długich Noży odchodząc powiedział: „Zjedzą cię mrówki, czerwony psie!” Inni rzucali także na Tecumseha obelgi.

Zapadła cisza. Smuga siwego dymu płynęła spokojnie. Kos milczał. Był przedstawicielem białej rasy, a więc jednym z tych, którzy wdarli się tutaj przemocą i zabierali prawowitym mieszkańcom ziemię. Czuł niesmak. Zdawało mu się, że on również, uczestniczył w bestialskim czynie, choć przecież uratował życie tego człowieka. Odwrócił twarz od leżącego i patrzył w ogień!

• Wojownicy Wyandotów mają rację — podjął Indianin — że wodę życia nazywają wodą ognistą. Tecumseh wiele zrozumiał wisząc nad mrowiskiem śmierci. "Wielki Manitou rękoma białego człowieka uratował życie Tecumseha na zgubę białych.

• To nierozważne słowa — powiedział Kos. — Wielu mężnych wojowników zginęło, nim podniosło broń, bo ich plany za wcześnie poznał wróg.

Tecumseh głęboko się zastanowił.

- W słowach białego brata mieszka mądrość. To prawda.
- Noc już w pełni, musisz się wyspać, czerwony bracie, by szybciej wróciło zdrowie. Ja także chcę wypocząć. Czeka mnie jeszcze daleka droga. Rano porozmawiamy.

Tecumseh skinął głową. Kos pomógł mu wygodnie ułożyć się. Po drugiej stronie ogniska zrobił dla siebie posłanie. Z dłonią na zamku sztucera począł drzemać, bo tylko na taki sen mógł sobie pozwolić. Na Indianina nie liczył. Był wyczerpany, a prócz tego, czy można mu ufać, skoro tak haniebnie postąpili z nim biali? Kos wołał nie ryzykować. Drzemając łowił wszystkie głosy puszczy, szmer płonącego ogniska. Czasami otwierał oczy i ukradkiem zerkał na Szawaneza. Przyzwyczajony był do takiego półsnu, półczuwania. Ileż to nocy zupełnie samotnie spędził wśród dziewiczych lasów i prerii tego kontynentu?

W puszczy leżał jeszcze grubą warstwą mrok, gdy Kos zerwał się z posłania. Chłód ciągnął od jeziora. Mleczna mgła mieszała się z czernią nocy. Duża porcja gałęzi rzucona w dogasające ognisko strzeliła złotym płomieniem. Kos zawiesił gamek nad ogniskiem, a obok umieścił mięso. Spojrzał na czerwonoskórego — już nie spał.

- Jak się czujesz, czerwony bracie?
- W Tecumseha wstępuje siła bawołu i zwinność pumy. Jedynie głód mu dokucza.
- Zaraz zjemy śniadanie — uśmiechnął się Kos. — Dobrze spałeś?
- Tecumseh spał bezpiecznie, ale mój brat miał sen niespokojny.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Biały brat drzemał, często otwierał oczy, ręki nie odejmował od strzelby.
- Musiałem, przecież las kryje niebezpieczeństwo.
- Biały brat powinien zaufać Tecumsehowi.

Kos spojrzął na Szawaneza. W jego twarzy zauważył ledwie dostrzegalny cień ironii.

— Tecumseh był wyczerpany, nie mogłem obarczać go czuwaniem.

Czarne oczy Indianina zapłonęły jak dwa węgle w blasku<sup>1</sup> ogniska. Powiedział

- Biały brat nie ufał Tecumsehowi, dlatego wołał sam czuwać
- Może.
- Tecumseh nie jest łotrem, ma jeden język i jedno słowo-Dobrem płaci za dobro, złem za zło. Hugh!

Kos uśmiechnął się szeroko.

- Znam Szawanezów, wiem, że mówisz prawdę.
- Wszystkie plemiona od rzeki Delaware po Krainę Wielkich Jezior i rozległe prerie za nurtem Ojca Wód" nie znają kłamstwa i zdrady.

Dużo w tym racji — powiedział Ryszard — ale i wśród

walecznych wojowników czerwonej rasy także są kłamcy, zdrajcy i łotry. Czyż Irokezi nie wycięli w pień Mohikanów znad Wężowego Strumienia? Nie oszczędzili nawet kobiet, dzieci i starców...

Tecumseh patrzył w płomień ogniska. Długo milczał, potem powiedział z nutą goryczy;

— A któż nakłonił Irokezów do tego czynu? Kto nauczył ich niedotrzymywania układów? Kto płaci za każdy skalp zdjęty z głowy czerwonego wojownika, dziecka, squaw? — Przerwał, jakby ważąc dalsze słowa. — To blade twarze zarażają dzieci

Gicze Manitou<sup>13</sup> zdradą, fałszem, zbrodnią, pijaństwem... — wykrzyknął wzburzony. — Biali są wszystkiemu winni, biali sięją niezgodę wśród czerwonoskórych plemion i niosą im śmierć. Ty także jesteś biały. Wczoraj uratowałeś mi życie, a jutro może skierujesz strzelbę w pierś Tecumseha.

Ryszard Kos wrzucił resztki gałęzi do ogniska i zdjął gamek z kipiącym wywarem z ziół. Postawił napój przed Indianinem.

• Drogi ludzkiego życia są kręte, może kiedyś staniemy naprzeciw siebie z bronią w ręku. Któż to wie?... Ale dziś jesteśmy przyjaciółmi i chciałbym, aby tak było zawsze.

• Biali wypalają kalumet pokoju, aby uspić czujność czerwonoskórych wojowników, a potem zniemacka atakują.

• Gorycz mówi przez twoje usta. Nie wszyscy biali są tacy sami. Pomyśl tylko, Tecumsehu, z ilu plemion składa się lud czerwonoskórych dzieci. Prawie każde plemię mówi innym językiem. Tak samo jest z białymi.

• To prawda.

• Czerwoni wojownicy najczęściej stykają się z Anglikami i Francuzami, bo ich najwięcej przyplęnęło tutaj zza oceanu.

• Agolaszima<sup>14</sup> są jak jadowite węże.

• Ale obok tych dwóch narodów, pragnących zająć indiańską ziemię, narodził się nowy naród, który stworzył własne państwo. To Unia. Zagraża ona czerwonoskórym plemionom bardziej niż **Anglicy i Francuzi**.

**Tecumseh opuścił głowę i milczał.**

Wypij, czerwony bracie — Kos wskazał stojący garnuszek — bo zaraz będziemy jedli.

Indianin podniósł kubek do warg. Kos tymczasem zdejmował mięso z rożna. Mgła rzedła. Robiło się coraz widniej. Obaj jedli z apetytem, szybko, by się rozgrzać, bowiem wilgotny chłód ciągnący od jeziora dokuczliwie przenikał pod odzież, a ognisko wygasło. Złote główki pokrywały się siwym popiołem. W koronach wysokich klonów, modrzewi, buków i hikor, dębów i strzelistych brzoź budziły się ptaki.

Po śniadaniu przesykali ziemię żar ogniska i zdeptali butami węgle. W szerokie liście paproci



zawinęli dwie bryły pieczeni. Jedną z nich Kos dał Tecumsehowi, drugą zapakował do swej podróźnej sakwy. Po chwili byli gotowi. Kos chwycił sztucer i sprawdził ładunek.

— Dokąd biały brat płynie? Zainteresował się Tecumseh.

— Do Detroit.

• Do gniazda Długich Noży! To stamtąd pochodzili biali wojownicy, którzy uwiązali Tecumseha nad mrowiskiem.

• Znasz ich imiona?

• Tecumseh na zawsze zapamiętał ich twarze! Dowódcę wołał li Harry.

• Ach, tak! To pewnie Harry Dikson. Czy to był wysoki blondyn o niebieskich oczach?

• Biały brat dobrze określił tego psa. To był on. — Żrenice Szawaneza zapaliły się dziwnym blaskiem. Dodał sucho: - Tecumseh pojedzie z białym bratem obejrzyć wigwamy swego wroga.

• Zgoda!

Wyprowadzili canoe z przybrzeżnych szuwarów i wiosłując mknęli po jeziorze. Dawno już minęło południe, gdy Kos odłożył wiosło i sięgnął po traperską torbę.

— Czas posilić się — rzekł do Indianina, wyjmując bryłę mięsa.

Szawanez nawet nie drgnął. Zapatrzone w zachodzące słońce zaczął mówić:

— Kiedyś Wielki Manitou malował twarz słońca złotem i srebrem. Wody jezior i rzek mieniły się radością. Na ziemi czerwonoskórych nie było wtedy bladych twarzy. A dzisiaj? Spójrz! — Wskazał oblaną purpurą tarczę słońca. — Dzisiaj krew ścieki z nieba i czerwienią barwi wody. To krew czerwonoskórych plemion, rozlewana rękami białych...

Kos podniósł oczy. Patrzył na schylek dnia. Rzeczywiście słońce jakby broczyło czerwienią, malując wody jeziora miedzia-nokrwistą luną. Przypominał sobie Bobrowy Strumień, nad którym pionierzy w roku 1799 wycięli w pień całą wioskę Seneków. Wtedy woda w rzece miała podobny kolor. Ryszard znalazł się tam już po tragedii. Krew, dopalające się zgłiszcza wigwamów i płynące rzeką zwłoki poległych. To było straszne!

Uratowałeś mi życie, ale jednak jesteś biały — powiedział ostro Tecumseh, przerywając długie milczenie.

Kos spojrzał w czarną głębię oczu Indianina.

• Jestem biały, ale ręka moja nigdy nie przelała krwi czerwonoskórych braci.

• Po co przyjechałeś tutaj zza Wielkiej Wody?

Kos nic nie mówiąc rozkroił mięso na połowę, jedną część podał Tecumsehowi.

— Czy w twoim kraju brakuje ziemi, jezior i rzek, lasów i zwierzyny? — dopytywał się Tecumseh. — Czy wypędzono cię z wioski twego plemienia? Dlaczego porzuciłeś swą ziemię? Nie jesteś przecież Agolaszima.

Kos nadal milczał. Nożem odkrawał cienkie plastry pieczeni i jadł powoli. Spojrzał na rozległe wody Erie i na niedaleki brzeg, szumiący odwieczną puszcza, wzdłuż którego płynęli na północ. Wreszcie odezwał się.

• Nie jestem Anglikiem, Francuzem ani Hiszpanem. W moim kraju są także rozległe bory pełne zwierzyny, urocze jeziora i rzeki, wielkie kamienne miasta i drewniane wioski. Mój kraj nazywa się Polska. — Urwał. Żuł smakowity płat łosiowej polędwicy. Indianin pożywił się także. Canoe nie popychane wiosłami kołysało się leciutko na falach i spływało w stronę brzegu. Z niedalekich trzcin poderwało się z hałasem stado dzikich kaczek. — Kiedyś wrócę do swojego kraju — podjął Kos. — Teraz nie mogę. Widzisz, wodzu, ziemie czerwonoskórych zajęli biali. Mój kraj także zabrali wrogowie. Walczyłem z nimi i dlatego musiałem uciekać.

• Dlaczego nie zginąłeś w walce?

• Nie każdy ginie w boju. Widać sądzono mi było przybyć tutaj. Wrócę jednakże do swojej ojczyzny, gdy przyjdzie czas ostatecznej rozprawy.

Biały brat wierzy w zwycięstwo?

Wierzę!

Tecumseh patrzył, jak chybkie rybitwy skrzydłami dotykały fal jeziora i niczym strzały drążyły powietrze.

Tecumseh także kiedyś wierzył w zwycięstwo Szawanezów i wraz z Niebieskim Kaftanem stoczył

niejeden bój...

Wiem, wasi wojownicy rozbili armię generała Harmara, a później St. Claira<sup>16</sup>. To były wspaniałe zwycięstwa czerwonoskórych wojowników.

- Biały brat mówi prawdę. Tecumseh brał udział w tych bojach, ale przedwcześnie cieszył się zwycięstwem. Później pod Zaporą z Pni Szawanezi ponieśli klęskę.

- Jedna przegrana bitwa nie decyduje o wszystkim.

- Ojciec Tecumseha, waleczny wódz plemienia, podobnie twierdził. Zginął w bitwie nad Wielką Kanawahą u boku Cornstalka. I Tecumseh zginie. Nie wierzy już w zwycięstwo. Wierzy w zemstę. To tylko pozostało Szawanezom.

- Nie tylko...

Siedzieli naprzeciw siebie. Kos z tyłu canoe, a Indianin na przodzie, plecami zwrócony do dziobu łodzi. Czarne jego oczy patrzyły wciąż w miedziany krąg zapadającego za lasy słońca.

- Nie tylko! — powtórzył Ryszard z mocą. Czerwonoskóry oparł dłoń o kolana i spojrzał Kosowi w oczy.

- A cóż więcej pozostało Szawanezom prócz zemsty?

- Zwycięstwo! Zwycięstwo, które przyniesie walka przemyślana i zorganizowana. Wspólna wojna wszystkich zjednoczonych plemion przeciw białym.

- Masz białą skórę, a mówisz, jakbyś był po naszej stronie — zdziwił się Tecumseh.

— Bo rozumiem was, bo wiem, czym jest niewola.

Tecumseh opuścił głowę i nic już nie odrzekł. Siedział zadu many. Widać było, że poważnie nad czymś rozmyśla.

Po paru dniach o świcie byli blisko celu podróży.

— Spójrz, **wodzu, widać już baszty Detroit** — **powiedział Kos.**

Indianin jakby nie słyszał. Nie poruszył się, nie odwrócił głowy, tylko wiosłował dalej. Minęła dłuższa chwila, nim podniósł oczy na Kosa i rzekł:

- Skierujemy canoe do brzegu, Tecumseh wysiądzie na ląd. Tu muszą rozejść się nasze drogi.

- Nie wniesiesz skargi na Diksona? Generał Hull jest rozsądnym człowiekiem, wysłucha cię i na pewno porucznik poniesie karę za swój niecny czyn.

- Blade twarze mają dwie miary sprawiedliwości: jedną dla czerwonych, a drugą dla siebie.

Tecumseh nie pójdzie dobrowolnie do Detroit, gdzie spotkałoby go poniżenie albo śmierć

— Może masz słuszość, wodzu. Czyń więc, jak chcesz.

Łódka zwinnie skręciła ku zatoczce. Ale nawet wtedy, gdy dziób canoe uderzył lekko o brzeg, Tecumseh nie poruszył się. Siedział, jakby nie bardzo świadom tego, co się wokół niego dzieje. Ryszard nie przerywał mu milczenia.

Wreszcie Indianin ocknął się. Podniósł rękę, wstał i zwracając się do Kosa powiedział uroczystym głosem:

- Biały brat zasiał w sercu Tecumseha ziarno niepokoju. Tecumseh rozważył jego słowa i podejmie czyn wielkiego Pontiac, wodza Ottawów. Hugh! — Dopiero teraz zgrabnie wyskoczył z łodzi.

- Zaczekaj, wodzu! — zawołał za nim Kos, sięgając jednocześnie do podróżnego worka. — Jesteś przecież bez broni.

Tecumseh spojrzał w stronę potężnej warowni.

- Tak. Moją broń ukradł Harry Dikson, wódz Miczimalsa. Tecumseh przyjdzie kiedyś do Detroit nasycić swe serce sprawiedliwością.

- Jesteś nierozważny, wodzu — powiedział Kos. — Pamiętaj że Detroit jest najpotężniejszą warownią Unii. Pontiac, którego wspominałeś, tu właśnie poniósł klęskę.

Wódz Szawanezów odwrócił się do Kosa. Jego słowa zadźwięczały jak metal:

— Tecumseh zna dzieje Pontiac, dlatego nie popełni jego błędów.

- Jesteś uparty — powiedział z przyjaznym uśmiechem Kos — Niech twoich dróg strzeże Wielki Manitou.

- Hugh! — dokończył Szawanez.

- Oto podarunek dla ciebie, Tecumsehu. — Ryszard nie wychodząc z łodzi podał czerwonoskóremu długi myśliwski nóż i topór.

Oczy Indianina załśniły nie ukrywaną radością.

- To piękny dar — powiedział. — Tecumseh jest twoim dłużnikiem. Zawsze możesz liczyć na wszystkich Szawanezów. Puma Gotowa do Skoku pragnie znać imię **białego brata**.

- Czerwone Serce.

Tecumseh wyciągnął dłoń do Ryszarda.

- A więc bywaj, Czerwone Serce! **Niech Manitou skrzyżuje** nasze ścieżki.

- Bywaj, Pumo Skacząca, zawsze powitam cię jak **brata**.

- Hugh!

## W OBRONIE POKRZYWDZONYCH

Generał Hull, gubernator terytorium Michigan, powitał Ryszarda Kosa w swoim gabinecie.

- Ściskam dłoń niezawodnego -kuriera naszej armii — mówił wylewnie, a szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz, gdy wychodził spoza stołu naprzeciw gościowi. — Proszę, niech pan siada. — Wskazał Kosowi fotel obity skórą karibu. — Zdążył pan odpocząć po trudach podróży? — rzucił zdawkowe pytanie, wygodnie rozsiadając się obok Kosa w drugim fotelu.

- Przybyłem do Detroit już wczoraj, miałem więc sporo czasu, by dojść do siebie. — Ryszard rozpiął guziki swej myśliwskiej, łosiowej bluzy i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął małą kopertę? — Oto przesyłka od gubernatora stanu Indiana, generała Harrisona z Vincennes.

- Dziękuję — powiedział generał Hull i wzięwszy przesyłkę przełamał lakową pieczęć. Oczy jego poczęły przebiegać po równo nakreślonych rzędach liter.

Ryszard tymczasem rozejrzał się po obszernym i pełnym przepychu gabinecie. Stał tu długi stół o rzeźbionych nogach, miękkie fotele połyskujące sierścią karibu. Na podłodze rozścielone były skóry bizonów, a na ścianach obok wzorzystych dywanów porozwieszana broń: strzelby i szpady, tomahawki i łuki indiańskie, nawet pięknie zdobiony pióropusz jakiegoś wodza z dalekich plemion Dakoty.

Gubernator Hull wstał i odsunąwszy szufladę stołu wrzucił doń list.

— Przywiezione wiadomości są pomyślne, nie będzie ode mnie odpowiedzi — rzekł zwracając się do Kosa. — Jak przebiegła podróż? Indianie nie zakłócili spokoju? Nie zauważył pan czegoś niepokojącego?

Kos chwilę zastanawiał się, nim odpowiedział:

- Szlak łaskawy był dla mnie. Indianie, których spotkałem, śpieszyli mi z pomocą. Ale biali traperzy, nawet żołnierze Unii, traktują czerwonoskórych jak zwierzęta, krzywdzą ich. Z tego mogą wyniknąć kłopoty. Warownie takie jak Detroit oprą się zawsze atakowi Indian, lecz osady backwoodsmenów spłoną, a dziesiątki ludzi stracą życie.

- Jak to mam rozumieć? Czyżby plemiona coś knuły? Na jakiej podstawie przepowiada pan bunt czerwonoskórych? — rzucił Hull, bacznie przyglądając się Kosowi.

- Niczego nie przepowiadam — sprostował Ryszard. — Stwierdzam tylko, że żołnierze i traperzy źle się bawią, panie generale. Przyjaźnie do białych ustosunkowanego wodza Szawanezów, Tecumseha, znalazłem wiszącego nad kopcem rudych mrówek. Bez żadnej przyczyny skazał go na powolną śmierć wasz porucznik — Harry Dikson...

- Musiał czerwony zasłużyć.

- W forcie Miami Wyandotę unurzano w smole i pierzu. Takiej hańby nie daruje żaden czerwonoskóry.

- Tylko tyle?

- To mało, panie generale? Mógłbym dawać inne przykłady, jest ich sporo. Gdy zbierze się dużo kropel — spadł deszcz, a czasem przychodzi ulewna burza.

Generał machnął ręką.

- Nie trzeba krakać! — powiedział szorstko. — Czerwonych tylko strachem można utrzymać w posłuszeństwie. Nie ważą się na bunt. Harrison przysłał mi wieści, że niepokoje między Unią i Kanadą na trwałe zostały zażegnane. A tylko wojna pomiędzy białymi wepchnęłaby broń w ręce czerwonoskórych. Jeszcze nie zapomnieli klęski pod Zaporą z Pni. Pan zawsze okazuje niepotrzebną litość dla tych dzikusów, dlatego nazywają pana Czerwonym Sercem.

- Być może...

— Dikson poprowadził grupę nowych osadników. Trzeba zasiedlać ziemie stanu Michigan i Indiany.  
— Gubernator wstał, podszedł do okna i odsunawszy misternie plecioną, delikatną firankę, zwrócił się do swego rozmówcy: — Panie Kos, proszę spojrzeć, co to za cudowny kraj!

Ryszard stanął obok gubernatora.

- To prawda — przyznał.
- Wytniemy kiedyś te puszcze, wytrzebimy zabobon i ciemnotę, stworzymy tu cywilizację na miarę białego człowieka.

Kos milczał. Patrzył na wielkie wody jeziora Erie, osnute w dali siną mgiełką, na wyrąbany wśród puszczy szlak wiodący do otoczonej potężną palisadą warowni Detroit, na bujną zieleń, która dochodziła prawie pod sam ostrokół fortu.

• Ale żeby zrealizować nasze plany, nie możemy bawić się w sentymenty — kontynuował dalej swoje gubernator Hull. — Indianie zginą, aby Unia mogła potężnieć.

- To ich ziemia — wtrącił Kos.
- Teraz już nasza. Pan to musi zrozumieć. Jest pan świetnym żołnierzem i doskonałym gońcem naszej armii, ale jak wszyscy Polacy jest pan dziwnie sentymentalny.
- Bo Polacy znają gorycz niewoli.
- Yes! Znam dzieje waszego kraju i pańskie perypetie. Opowiadał mi je pan zimą ubiegłego roku. Ale teraz pańską ojczyzną jest Unia. Ja nie tęsknię za Anglią.

• Panie gubernatorze — rzekł porywczo Ryszard — Unia nie może skazywać czerwonoskórych na zagładę. Ten problem trzeba inaczej rozwiązać. Kontynent amerykański jest wielki, powinno wystarczyć miejsca dla obu ras: białej i czerwonej.

• To piękne słowa — ciągnął spokojnie generał Hull — ale Indianie sami wszczynają zatargi, kradną, napadają zniecka na wędrownych kramarzy, traperów i osadników... Na gwałt trzeba odpowiadać gwałtem.

• Od kilku lat włóczę się po tej ziemi, znam niemal wszystkie plemiona zamieszkujące puszcze od Ohio po Wielkie Jeziora, dotarłem nawet za Missisipi i na prerie Dakotów, wszędzie spotykałem się z życzliwością i przyjaźnią. Natomiast zło czynili zawsze kramarze, traperzy, osadnicy i wojsko. Nic dziwnego, że czerwoni się buntują, skoro nie mogą znaleźć sprawiedliwości u władz Unii. Na Indian często poluje się jak na zwierzęta. Trzeba ukrócić ten ohydny proceder.

- Jak?
- Surowo karać białych za wszelkie przestępstwa wobec Indian.
- Nie takie to proste — westchnął Hull.

Wtem odezwał się daleki sygnał rogu. Melodia zawirowała w ciszy południa. Gubernator i Kos spojrzeli na szlak wijący się wśród puszczy. Początkowo nie można było nic dojrzeć, bo ostre słoneczne światło raziło oczy. Wreszcie zobaczyli sylwetki konnych zdążających do fortu. Gubernator podniósł ze stołu lunetę, przyłożył ją do oczu i chwilę uważnie wpatrywał się.

— To porucznik Dikson wraca do Detroit — stwierdził. — Proszę popatrzeć!

Kos chwycił lunetę. Hull nie mylił się. Z lasu wynurzyli się żołnierze. Było ich dziesięciu. Trzech z nich prowadziło za sobą Indian, którzy biegli uwiązani na długich sznurach. Dwaj czerwonoskórzy byli wojownikami, jak wskazywały na to pióra tkwiące w ich włosach. A trzeci?... Kos długo obserwował trzecią postać, zakrytą przez konia. Dopiero gdy jeden z jeźdźców przyspieszył kroku, Ryszard ujrzał młodą indiańską dziewczynę.

Znów zabrzmiał ostry krzyk rogu. Melodia dwukrotnie załamała się, zajęczała jak prośba i cichnąc zgasła. Tylko bór pochwycił ją i poniósł w dal ku rozległym wodom jeziora.

Kos spojrział na żołnierskie stráže przy bramie fortu. Otwierali właśnie ciężkie wierzeje. Znów przeniósł szkła lunety na powracających żołnierzy. Na chwilę znieruchomiał, a wargi zaczęły mu drgać niespokojnie. Oto trzech jeźdźców widząc otwierającą się bramę warowni zacięli konie. Małe, półdzikie mustangi pognały naprzód, pociągając za sobą czerwonoskórych. W pewnym momencie Indianka potknęła się. Z trudem utrzymała jednak równowagę i z wielkim wysiłkiem biegła za cwałującym koniem.

— To podłe! — Kos niemal krzyknął. — Spójrzcie, gubernatorze, jak bawią się wasi

żołnierze! Czyż nie miałem racji?

Hull przyłożył lunetę do oczu.

— Ali right!<sup>1</sup> — powiedział spokojnie. Schował szkła do szuflady i wyszedł sprężystym krokiem z gabinetu.

Kos podążył za nim. Gdy znaleźli się na dziedzińcu, z budynków wychodzili ludzie zaalarmowani sygnałem rogu. W takim fortowym miasteczku jak Detroit, zagubionym wśród dziewiczej puszczy, najdrobniejsze wydarzenie ściągało mieszkańców. Pojawienie się ludzi, powracających choćby po parudniowej włóczędze, zawsze stawało się sensacją. Nic więc dziwnego, że dziedziniec fortu błyskawicznie wypełnił się żołnierzami, kobietami, dziećmi.

Kos założył ręce na piersi. Wraz z innymi czekał. Hull stał kilkanaście kroków dalej w otoczeniu oficerów. Wszyscy słuchali, jak dudni ziemia pod twardymi uderzeniami, jak narasta suchy, rytmiczny łomot kopyt końskich. Wreszcie wpadło na dziedziniec dwóch jeźdźców. Małe stepowe konie pędziły klusem, a za nimi biegli resztkami sił ziemnymi sznurami uwiązani do końskich ogonów czerwonoskórzy wojownicy. Rozpaczliwie chwyтали ustami powietrze, z trudem wyrzucali nogi do przodu, by nie upaść.

Za nimi wjechał trzeci jeździec, za którym biegła młodziutka dziewczyna. Nie miała więcej niż siedemnaście lat. Pierś jej gwałtownie falowała, po twarzy spływał pot, co chwila potykała się o nierówności terenu. Zdawało się, że zaraz przewróci się. W szeroko otwartych żenicach malował się strach.

Ryszard nie wytrzymał. Rozejrzał się uważnie. Gromada widzów patrzyła z ciekawością na przebieg widowiska. Oczy tych ludzi były zimne, bezlitosne. Wzrok Kosa zatrzymał się na postaci jakiegoś młodego oficera, który wsparty na długiej strzelbie obojętnie patrzył na maltretowanych Indian. Dwa susy i nim oficer zorientował się w sytuacji, strzelba znalazła się w rękach Ryszarda. Ostry trzask wystrzału targnął powietrzem. Koń, do którego uwiązana była dziewczyna, zrobił jeszcze kilka kroków i runął na ziemię, zrzucając nie przygotowanego na nic jeźdźcę. Kos skoczył naprzód i nim Indianka zdążyła stracić równowagę, podparł ją ramieniem. Zza pasa wyciągnął bowie knif<sup>2</sup> i rozciął krępujące ją rzemienie.

Duże, czarne oczy spojrzwały nań z wdzięcznością. Dziewczyna poruszyła ustami, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej tchu.

Dopiero teraz na dziedzińcu zawrzało. Jedni pobiegli pomagać podnoszącemu się z ziemi żołnierzowi, drudzy wraz z oficerem, któremu Ryszard wyszarpnął z rąk karabin, zbliżyli się do Kosa.

— Jak śmieliście wyrwać mi broń?! — podniesionym głosem wykrzyknął oficer.

Kos z gracją pochylił głowę.

— Wybaczcie mi, sir — powiedział — nie mogłem patrzeć, jak znęcają się nad dziewczyną. Oto wasza strzelba. Dziękuję

Oficer chwycił broń. Powiedział szorstko:

- To Indianka. Nie zasługuje na współczucie.
- Mylicie się — odparł dobitnie Ryszard. — Indianie to także ludzie.
- Brednie! — zachnął się oficer.

Wtem rozpychając krąg gapiów zbliżył się do Kosa kulejący na jedną nogę żołnierz:

— Psie! Podły psie! — krzyczał, a głos mu chrypiał nieprzyjemnie. — Potłukłeś mi nogę! Nie daruję!... — Stanął o trzy kroki przed Kosem i mierzył go świdrującymi oczyma. Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Wokół umilkły rozmowy. Wszyscy czekali na dalszy ciąg awantury. — Psie! — sapał podniecony żołnierz. — Włóczęgo! Obrońco czerwonych squaw!... Wybieraj: strzelby, szable czy noże?...

Ryszard spokojnie spojrzął mu w oczy. Powiedział cicho:

- Niczego nie wybieram. Nie będę z wami walczył. — Odwrócił się i podtrzymując słaniającą się wciąż Indiankę ruszył w kierunku swej kwatery.
- Stój, tchórze! — ryknął za nim żołnierz. A gdy Kos wolno szedł dalej, zabiegł mu drogę i z całym rozmachem uderzył go w policzek.

Twarz Kosa splonęła purpurą. Tego było już za wiele. A tu jeszcze tłum gapiów chichotał ubawiony i okrzyki „tchórz”! chłostały boleśnie jak bicze.

— Niech moja siostra zaczeka — szepnął do Indianki i postąpił krok w stronę żołnierza. Mięśnie jego twarzy stężały, a oczy zwięzły się w dwie podłużne szparki. Zbliżył się jeszcze bardziej do przeciwnika, a

gdy ręka żołnierza spoczęła na rękojeści szabli, pięść Kosa mignęła jak błyskawica przed oczyma widzów i wylądowała na żołnierskiej szczęce. Cios klasnął niczym splotka pistoletu. Żołnierz zatoczył się i runął jak długi na ziemię. **Przez tłum przeszedł szmer podziwu i zaskoczenia. Ryszard odwrócił się od leżącego i podeszedł do Indianki. — Moja siostra**

pójdzie ze mną. Jestem przyjacielem wszystkich czerwonych plemion.

— Zorza Ranna widzi to bez słów — odpowiedziała.

Nie uszli daleko, bo właśnie nadszedł generał Hull z oficerami i żołnierzami. Otoczyli Kosa i dziewczynę. Gubernator patrzył pochmurny jak noc. Jego zaszępiła twarz nie wróżyła nic dobrego.

- Czy znasz tę squaw? — spytał surowo.
- Nie.
- Czemu więc wywołałeś awanturę?
- Nie mogłem patrzeć, jak drań plugawi żołnierski mundur, pastwiąc się nad dziewczyną.
- Ach, tak? — rzucił z odcieniem ironii gubernator. — Poruczniku Dikson — zwrócił się do oficera

— zamknijcie tę dziewczynę wraz z jej dwoma pobratymcami w areszcie. Później podejmiemy dalsze decyzje. A wy, Kos — zwrócił się do Ryszarda — najpóźniej do "jutra rana opuścicie Detroit. Lepiej będzie, gdy wróćcie do Vincennes.

- Według rozkazu, generale — odparł Kos z przesadną grzecznością.

Hull odwrócił się i ruszył w stronę swej rezydencji. Dikson z żołnierzami poprowadził dwóch wojowników i dziewczynę, która odchodząc rzuciła swemu obrońcy długie, smutne spojrzenie. Kos widział, jak z daleka obserwują go niedawni świadkowie zajścia. Przez środek rozległego dziedzińca wlokł się do koszar, kulejąc na jedną nogę, żołnierz, z którym przed chwilą musiał się zmierzyć. Plac pustoszał. Tylko paru żołnierzy uprzętało cielsko zabitego konia.

Ryszard poszedł śladem Indian, aby przekonać się, dokąd ich prowadzą. W Detroit były dwa więzienia: ciemne i wilgotne piwnice bez okien pod piętrowym budynkiem, gdzie rezydował gubernator Hull, oraz znajdujące się pod wojskowymi koszarami półpiwnice, które Kos miał rok temu możliwość oglądać. Przekonawszy się, że tam właśnie, w owych półpiwnicach, których maleńkie okienka wyglądały tuż nad ziemią po obu stronach długiego, koszarowego baraku, zamknięto czerwonoskórych, Kos skierował się do swej kwatery. Zamierzał odpocząć i spakować podróżną sakwę. Dochodziło południe, a postanowił opuścić Detroit dopiero o świcie. Miał więc przed sobą pół dnia i całą noc. Wszedł do swojego pokoju, zamknął od wewnątrz drzwi i rzucił się na łóżko. Leżał wpatrzony w sufit zbity z mocnych, ładnie ociosanych belek. Myśl jego ciągle wracała do indiańskiej dziewczyny. Co z nią zrobią? Co stanie się z wojownikami?... Pewnie wymyślą jakieś oszczerstwa i wymierzają im karę ubliżającą ich godności, a może i powieszają. To przecież jedna z najczęstszych metod oczyszczania tego kraju z prawowitych właścicieli. A gdyby pomóc uwięzionym w ucieczce? Ale jak?...

Zapadał już wieczór, gdy Kos zerwał się z posłania. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że przepisał całe popołudnie, zapominając o Indianach, o jutrzejszym wyjeździe i pustym żołądku. Nie zwlekając spakował podróżną torbę. Zrezygnował z kolacji w szynku, postanawiając pożywić się w pokoju. Usiadł koło okna i z apetytem jadł placki i mięso, które zostały mu z podróży, obserwując przy tym znajdujący się naprzeciw budynek koszar, a nieco dalej na lewo okazałą rezydencję gubernatora Hulla. Nie działało się nic ciekawego. W zapadającym zmierzchu widział dwóch wartowników chodzących wzdłuż budynku. Spotykali się w jego środkowej części, mijali i znowu miarowym, równym krokiem szli wzdłuż ścian aż do końca koszar. Na rogu bacznie ogarniali oczyma otoczenie i zawracali. Przemierzali wielokrotnie, aż do znużenia, ten sam odcinek drogi.

W południe przed koszarami nie było wartowników. Nad bezpieczeństwem mieszkańców fortu czuwali tylko żołnierze stojący przy bramie i na wieżyczkach otaczających Detroit. Łatwo więc było odgadnąć, że straż przed koszarami postawiono specjalnie po to, by pilnowała indiańskich więźniów.

Kos uśmiechnął się. Co za szczególna ostrożność! Jakże troje czerwonoskórych może uciec z zamkniętego lochu? A gdyby nawet — to przecież musieliby przejść przez strzeżoną pilnie bramę lub przez wysoki i także strzeżony ostrokół. Bez pomocy z zewnątrz było to prawie niewykonalne. A kto zechciałby im pomagać? Tylko on. Ach, więc to ze względu na niego wzmocniono czujność, to on był przyczyną zaniepokojenia.

Za oknem zapadał zmierzch. Sylwetki strażników wtapiały się w mrok, z każdą chwilą stawały się mniej widoczne, tym bardziej że niebo zasnuło się pod wieczór chmurami.

Kos wstał od okna. Przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy. Zaczął chodzić po pokoju. Rozważał coś w myślach.

Było już po północy, gdy przerzucił przez ramię zwój sznura i z nożem myśliwskim za pasem postanowił niepostrzeżenie opuścić kwaterę. Uważnie wyjrzał przez okno. Odczekał parę minut, a gdy obłoki przysłoniły księżyc, cicho otworzył okno, po czym bezszelestnie przesadził parapet. Nie chciał wychodzić drzwiami. Na długim korytarzu mógłby go ktoś usłyszeć lub zobaczyć. Wolał zachować w tajemnicy swą nocną wyprawę. Przymknął okno i wykorzystując mrok ruszył w stronę koszar. Przywarł do ściany za rogiem budynku. Nie mógł iść dalej, bo akurat srebrną poświata zalała dziedziniec fortu i niedaleką rezydencję gubernatora. Wokół było cicho.. Tylko strumień przepływający przez Detroit i gubiący swe wody w rzece noszącej tę samą nazwę, co warownia, sennie pluskał. Kos czekał, wylawiając z nocy wszystkie szelesty-i dźwięki. Ostrożnie wyjrzał zza rogu. Wartownicy właśnie zagadali coś do siebie, potem odwrócili się i ruszyli wzdłuż koszar. Ryszard spojrzął na niebo. Duży zwal chmur nachodził właśnie na tarczę księżyc. Za parę minut znów fort utonie w ciemnościach. Kos wyciągnął z kieszeni rzemieenny sznur i położył dłoń na rękojeści sztyletu. Miarowe kroki żołnierza stawały się coraz wyraźniejsze. Mięśnie Kosa stężyły w nerwowym napięciu. Czekał. Żołnierz doszedł do rogu i bez pośpiechu zawrócił. Wtedy Ryszard kościanym trzonkiem myśliwskiego noża uderzył go w tył głowy. Wartownik bez jęku osunął się na ziemię. Strzelba wypadła mu z rąk i twardo stuknęła o ziemię. Kos zamarł w bezruchu. Ale wokół trwała cisza. Szybko więc związał ręce i nogi nieprzytomnego przeciwnika, chustą zerwaną z jego szyi omotał mu usta, a następnie zaciągnął za róg budynku. Podniósł porzucony karabin i naśladując stapania żołnierza podążył wzdłuż ściany. Dochodził już do środka koszar, gdy ujrzał przed sobą niewyraźną sylwetkę drugiego wartownika.

- To ty, John? — zagadnął tamten, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zaniepokoił się: — Czemu nic nie mówisz? Stało cię coś?

- Yes! — szepnął Ryszard i kolbą dzielił żołnierza w głowę. Dalej poszło sprawnie. I temu oplatał sznurem ręce i nogi, a usta zakneblował chustką.

Trzeba było się śpieszyć. Za parę minut zrobi się jaśniej. Kos szybko nachylił się do okratowanych piwnicznych okienek i w narzeczu Irokezów zapytał:

— Jesteś tu, Zorzo Ranna?

Z głębi piwnicy dobiegł męski głos:

- Kto pyta o córkę Seneków?

- Czerwone Serce — powiedział Kos. — Spieszcie się, nie ma wiele czasu. Zrzucę wam sznur i rozegnę kraty, a wy szybko wychodźcie.

Włożył luźną strzelbę pomiędzy żelazne pręty okratowań i z niemałym wysiłkiem począł je rozginać. Były już przerdziewiałe, z wolna poczęły więc ustępować. W końcu otwór w okiennych kratkach był tak duży, że mogła przecisnąć się przezeń postać ludzka. Wówczas Kos przywiązał do żelaznego pręta sznur i cały zwój wrzucił do wnętrza.

Za chwilę w okienku pojawiła się postać wojownika. Seneka zwinnie prześliznęła się przez kratę. Kos z niepokojem rozejrzał się wokół. Każdej chwili mógł ktoś nadejść lub zauważyć brak straży przy budynku. Był najwyższy czas, aby oddalić się z tego miejsca.

- Weź broń — powiedział, podając wojownikowi oba karabiny. — Za budynkiem jest strumień. Przepływa pod ostro kołem. Możecie się tamtędy wydostać nurkując. Rozumiesz?

- Ugh!<sup>3</sup> — szepnął Seneka i ucisnął ramię Kosa.

W tym czasie z piwnicy wyszła Zorza Ranna, a za nią ostatni więzień.

- Śpieszcie! — ponaglał ich Ryszard. — Zaraz zrobi się widno. Odwiedzę cię, Zorzo, w wiosce Seneków.

- Będę czekała — szepnęła.

Rozstali się. Uwolnieni przemknęli pod ścianą ku strumieniowi, Ryszard zaś nie zwlekając dłużej wrócił do swej kwatery. Zachowując wszystkie środki ostrożności wskoczył przez okno do pokoju. Jeszcze raz ogarnął oczyma otoczenie i wyteżył słuch. Nie dostrzegł ani nie usłyszał niczego niepokojącego. Zamknął okno, po ciemku rozebrał się i położył się do łóżka.

Zaczął analizować sytuację. Cała akcja nie trwała chyba dłużej niż godzinę. Jeżeli nikt nie zauważył, jak opuszczał swój gościnnie pokój, któż mu udowodni, że pomógł w ucieczce czerwono-skórym? Oby

tylko Senekowie szczęśliwie przepłynęli pod balami ostrokołu. W tym miejscu czuwały wprawdzie wzmocnione stráže, ale prawdopodobnie nie wiedzano o istnieniu podwodnego przejścia. W pogłębionym korycie rzeki umieszczono grube bale drzewne, pozostawiając wąziutkie otwory dla przepływu wody. Jeden z tych otworów był jednak tak duży, iż mógł się przezeń przecisnąć człowiek.

Kos uśmiechnął się. Przed dwoma laty w upalne południe kąpał się w pobliżu palisady. Nurkując natrafił właśnie na ten otwór i dla zabawy przedostał się pod wodą poza ostrokoł. Wrócił nie zauważony przez żołnierzy. Zamierzał wówczas zameldować dowódcy warowni o swoim odkryciu. Dziś odgrzebał w pamięci to drobne zdarzenie, które stało się podstawą do ułożenia planu ucieczki Seneków. Teraz leżał zadowolony ze swego dzieła, choć niepokój targał jego sercem. A jeśli w międzyczasie odkryto ten podwodny otwór i zlikwidowano go?... Indianie posądzą go, że wciągnął ich w pułapkę. Przez wysoką i strzeżoną palisadę przecież nie przejdą. Co wtedy się stanie?...

Podłożył obie dłonie pod głowę i patrzył na skrawek nieba widoczny z okna. Nagle ciszę nocy rozdarł karabinowy strzał. Koło koszar wybuchła wrzawa. Ryszard poderwał się z łóżka i podeszedł do okna. Gromada żołnierzy kręciła się wokół budynku. Padły jakieś rozkazy. Tupotały żołnierskie buty. Ktoś wybiegł z płonącym lucywnem i oświetlał ziemię. Szukano pewnie śladów uciekinierów albo karabinów, których przy związanych strażnikach nie znaleziono.

Kos wrócił do łóżka. Niepokojący gwar dobiegał do jego uszu. To rósł, to przycichał. Zaczynało już świtać, gdy na korytarzu załomotały b drewnianą podłogę żołnierskie buty i ktoś zaczął gwałtownie szarpać kłamkę.

— Otwierać! — usłyszał nerwowe polecenie.

Bez pośpiechu podniósł się z posłania. Chwyć do rąk strzelbę i w bieliznie podeszedł do drzwi.

— Ogłuchłeś? Otwieraj!

Odsunął zasuwę i odskoczył w głąb pokoju. Drzwi gwałtownie rozwarły się i do wnętrza wpadł porucznik Dikson, a za nim dwóch żołnierzy z bronią w ręku. Na widok strzelby Kosa zatrzymali się zaskoczeni. Przez chwilę mierzyli się milcząco oczyma.

• Co znaczy to najście, panie poruczniku? — rzucił Kos zimno.

• **Jest pan aresztowany. Proszę oddać broń!**

• **Za cóż to, jeśli laska?**

Za zorganizowanie ucieczki Senekom. Proszę oddać strzelbę!

• Indianie wam to powiedzieli, sir? — drwiąco spytał Ryszard.

• Oddajcie broń, bo... — Porucznik **zrobił krok w stronę Kosa**.

— Stój! — krzyknął Ryszard. — Ani kroku! Proszę opuścić moją kwaterę! Broń oddam osobiście gubernatorowi. Do innych będę strzelał! — Wymierzył prosto w pierś Diksona. Porucznik tłumiąc złość powiedział:

— Zamelduję o" tym gubernatorowi! — Odwrócił się i wyszedł wraz z żołnierzami.

Kos zamknął drzwi na zasuwę i pośpiesznie się ubrał. Usiadł w pobliżu okna. Po głowie kołatały się niepokojące myśli: Może poznali go wartownicy, gdy ich obezwładniał?... Może go ktoś nocą zauważył? Cóż stało się z Indianami! Uciekli czy złapano ich?... Pełen rozterki rozważał sytuację. Jeżeli udowodnią mu pomoc w ucieczce' czerwonoskórych, wówczas cała historia może skończyć się dla niego niewesoło. Zwłaszcza że nie znał przyczyny uwięzienia Seneków.

Słońce już wzeszło. Chmury, nocą wyglądające jak ponure bryły skał, płynęły obecnie niby stada białych baranków, ubarwionych różowo i złościście. Na dziedzińcu warowni tętniło **już** normalne życie. Jedynie małe oddziały żołnierzy przetrząsające każdy zakamarek świadczyły o tym, że musiało wydarzyć się coś niezwykłego.

Kos usłyszał kroki na korytarzu, a potem lekkie pukanie do; drzwi. Tym razem wyglądało to przyzwoicie. Nie dowierzając; jednak, ostrożnie odsunął zasuwę i ze strzelbą w ręku odezwał się:

— Wejść!

W drzwiach stanął młody oficer. Uśmiechnął się.

— Gubernator prosi, abyście zgodnie z jego rozkazem wyruszyli do Vincennes. Po drodze poleca wstąpić do fortu Wayne i przekazać tę oto poufną przesyłkę komendantowi warowni.

Kos opuścił strzelbę. Wietrzył niebezpieczeństwo. Skąd taka] zmiana? Przecież wczoraj gubernator Hull oświadczył, że niffł będzie żadnej przesyłki. A dzisiaj?...

— Nazywam się Stan Furgien — uprzejmie przedstawił się oficer. — W nocy uciekli Senekowie.



Porucznik Dikson mówi, że to pan im pomógł, ale wartownicy, którzy pilnowali pańskiej kwatery, stwierdzili, że nie opuszczał pan swego pokoju.

To prawda.

Dikson często przesadza.

Kos machnął lekceważąco ręką.

Proszę zameldować gubernatorowi, że przesyłkę doręczę dowódcy Wayne. — Wziął kopertę do ręki i spojrzął na lakową pieczęć. Nie budziła wątpliwości. Schował więc list do kieszeni bluzy.

- Gubernator prosił, aby podróż do fortu Wayne odbył pan najkrótszą drogą, rzekami.
- Zastosuję się do polecenia — odparł Kos.
- Niech pan uważa, bo Senekowie oskalpowali trapera w puszczy. — Na twarzy oficera błąkał się uśmiech. — Ale pan nie musi obawiać się Seneków...

- Być może.
- Szczęśliwej drogi.
- Dziękuję.

Oficer zasalutował i wyszedł. Kos został sam.

A więc pilnowali go nocą. Zapomnieli tylko postawić straż przy oknie i na tym polegali ich błęd. Indian nie złapali. A więc udało się! Jednak w zachowaniu Diksona i tego młodego oficera było coś dziwnego. Ale co? Postanowił zdwoić czujność.

Zabrał bagaże i broń, wcisnął na głowę czapkę i wyszedł z budynku. Ogarnął jeszcze wzrokiem tonący w porannym słońcu dziedziniec warowni. Pozdrowił żołnierzy uchylających wrota. W jednym z nich rozpoznał tego, pod którym wczoraj zastrzelił konia. Patrzył teraz nienawistnie na Kosa. Tuż obok niego stał porucznik Dikson.

## DRAMAT NA LEŚNEJ POLANIE

Stary Tomasz Connel opuścił ręce, splunął i zaklął siarczyście. Zawtórował mu jego syn, Jerry. Jedyne Johann Gunter z zaciśniętymi ustami patrzył, jak za zakrętem Wabash znika łódź unosząca dwóch Indian i Ryszarda Kosa. Sapnął z nienawiścią:

— Dosięgnę cię, lotrze!

— Popłynę po strzelby, ojciec — rzekł Jerry i nie czekając na odpowiedź ściągnął bluzę, buty i spodnie. Skoczył w nurty Wabash.

Connel z Gunterem patrzyli w milczeniu za nim. Chłopak dotarł do drugiego brzegu, pozbił rozrzuconą broń i obwiązawszy ją skórzanym pasem, zdjętym z jednej z rusznic, zanurzył się ponownie w wodzie. Trzymając broń ponad głową, aby nie zamokła, płynął z powrotem. Johann położył dłoń na ramieniu Connela.

— Musimy go ścigać! — stwierdził. — Tej zniewagi nie można darować.

Tomasz spojrzął w oczy Guntera, iskrzące się gniewem pod krzaczastymi brwiami. Wprawdzie złość rozpieła i jego pierś, ale rozsądek zwyciężył.

- Zaniechajmy — powiedział. — Lepiej opuśćmy okolice Wabash River. Indianie mogą wrócić, a wtedy...

- On gorszy od czerwonoskórych, bo biały — rzekł Gunter. — Kto nie idzie z nami, ten jest przeciw nam.

- To prawda.
- Rób, co chcesz, ale ja ruszam za tym lotrem. Nie daruję mu — upierał się przy swoim Gunter.
- Ja idę z Johannem, ojciec — zawołał Jerry, podchodząc ze strzelbą do rozmawiających. — Załadujcie broń! — rzucił i począł się ubierać.

Johann i Tomasz chwycili rusznice. Szczęknął metal. Gunter podszedł do obozowiska i zawiązał traperską torbę.

— Szkoda, że nasze canoe zostało w dole rzeki — powiedział z żalem.

— Nie martw się, jeżeli czerwonoskórzy nie znaleźli łodzi, za godzinę będziemy mieli doskonałe czółno — pocieszył go Tomasz.

- Więc idziesz?

- Cóż mam robić, skoro Jerry podziela twoje zdanie.
- Myśmy go przyjęli gościnnie przy ognisku, a on stanął po stronie czerwonych dzikusów — zżymał się Jerry. — Trzeba go nauczyć szacunku dla białych obywateli Unii.

- Święte słowa — dorzucił Gunter.
- Co wobec tego proponujesz? — spytał stary Connel.
- Gdzie masz ukryte canoe?

W miejscu, gdzie Salamonie River wpada do Wabash.

Za' godzinę tam dotrzemy?

Na pewno.

Plan mój jest prosty. Ten przybłęda twierdził, że podąży do fortu Miami. Może mówił prawdę, może kłamał. Jedno jest pewne — bardzo się śpieszył. Ciekawe, co go tak gnało w górę rzeki. Tę tajemnicę także warto poznać. Co wy na to? — Johann zrobił krótką pauzę i swymi świdrującymi oczami spojrzał na Connelów. Przytaknęli mu kiwając głowami. Wówczas ciągnął dalej: — Podążymy piechotą do ujścia Salamonie River, a później czołmem popłyniemy do Wayne. Tam zasięgniemy języka, a po drodze powinniśmy znaleźć ślady, które zdradzą nam jego zamiary. Od zdobytych informacji uzależnimy dalsze postępowanie.

- Chyba trudno będzie go dopędzić — zastanawiał się stary Connel. — Możemy zgubić jego ślad. Będzie przecież ostrożny, a poza tym my idziemy piechotą, a oni pewnie teraz wiosłują ile sił.

- Zapominasz, ojcze, że wiozą rannego.
- Jerry ma słuszość — podchwycił Johann. — Jeden czerwonoskóry nie nadaje się do wiosła. Ale przecież Indianie nie będą go, do licha, odprowadzać aż do Miami. Po drodze muszą minąć fort Wayne, a czerwoni, zwłaszcza Szawanezi nie znoszą tej warowni. Przed dwoma laty oglądali tam zbyt dużo swych pobratymców powieszonych na basztach fortecy. A więc będzie musiał sam wiosłować. Jeżeli czołno, które ukryłeś, jest dobre, **we** trzech szybko nadrobimy stracony czas.

- Yes! Masz rację! — przyznał Tomasz.
- To **w** drogę!

Przerzucili przez ramiona traperskie sakwy i ze strzelbami gotowymi do **strzału** podążyli w górę Wabash River. Przedzierali się przez gąszcz zarośli, brnęli przez bujne chaszczce, mijali urocze polany leśne, szli pięknymi łąkami rozciągającymi się nad rzeką i znowu wchodzili pomiędzy pnie leśnych olbrzymów. **Od rzeki szedł zapach rozkładających się traw**, zmieszany z odurzającą wonią kwiatów i ziół **bujnie** Rosnących nad jej brzegiem.

**Po godzinnym marszu zagroziła im drogę Salamonie River, wlewająca do Wabash swe ciemne wody.**

— No, jesteście na miejscu — powiedział Tomasz.

Stanęli na rozległym, pozbawionym drzew terenie. Dwie rzeki łączyły tutaj ze sobą swe spienione nurty. Ściana puszczy cofnę-i ła się nieco dalej od brzegów, pozostawiając miejsce dla bujnych kęp zarośli.

- Odpocznimy? — spytał Jerry. — Warto zjeść śniadanie.
- Nie! Trzeba się śpieszyć. Pożywimy się w łodzi — zdecydował Johann.
- To chodźcie, wyciągniemy ją — rzekł Tomasz i ruszyli w kierunku gęstych, kolczastych krzewów. Gunter i Jerry poszli za nim. Rozchylili chaszczce. Rzeczywiście, wśród pięter taminy! i dzikich traw leżało duże indiańskie czołno, wykonane z lekkiej brzozowej kory. Wydostali je z ukrycia i ponieśli nad brzeg. Wsiedli i załadowali bagaże. Wartki nurt zepchnął canoe na środek koryta. Chwycili dziarsko za wiosła i popłynęli w górę Wabash River.

Po paru dniach uciążliwej podróży dotarli do fortu Wayne gdzie zatrzymali się na krótki odpoczynek, a dowiedziawszy się, że Ryszard Kos nie wstępował tutaj, niezwłocznie ruszyli dalej. Pożywiali się w czołnie, rzadko schodzili na ład. Płynęli nawet w jaśniejsze noce. Nic szczególnego się nie działo. Pod wieczór któregoś dnia dopłynęli do fortu Miami i tu postanowili przenocować. Kiedy stary Connel z synem wyciągnęli się wygodnie w łózkach, Johann Gunter poszedł zasięgnąć języka. Znał tutejszego handlarza — rudego Gayera. Pierwsze więc kroki skierował do jego sklepu. Gdy Gayer ujrzał wchodzącego gościa, wyszedł mu naprzeciw.

— Johann! — zawołał uradowany. — Dawno cię nie widziałem! Witam, witam!

Gunter uśmiechnął się i po przyjacielsku uściśnął sklepikarza. Zнали się od dawna. Obaj pochodzili z Pensylwanii. Razem poszli na zachód, porzucając raz na zawsze uprawę roli. Willi zajął się handlem, a Johann został leśnym włóczęgą.

- Co u ciebie, Willi? Widzę, że na bogactwie ci nie zbywa.
- Ciężkie czasy. Więcej strat niż zysków.
- Nie kracz. Sklep pełen towarów, to i pieniądze pewnie! w mieszkaniu siedzą.

Nie za wiele ich, ale na dobry rum dla przyjaciela wyjść starczy — zawołał handlarz. Roześmiali się obaj.

To świetnie — ucieszył się Johann. — Chętnie z tobą pogwarzę, a rumem nie pogardzę. W puszczy takich specjalistów nie znajdziesz, choćbyś złotem sypał.

Ponieważ w sklepie nie było klientów, a wieczór już zapadał, Gayer zamknął drzwi i poprowadził gościa do wygodnie urządzonego pokoju, łączącego się ze sklepem i magazynem. Usiedli przy stole. Gospodarz rozlał do kubków aromatyczny trunek. Potoczyła się rozmowa.

• Szukasz Kosa? — Gayer zerwał się jak oparzony, gdy Johann spytał, czy przypadkiem Kosa nie było w Miami.

- Szukam.

Na twarz rudego handlarza wypłynął rumieniec, a w oczach zamigotał błysk niechęci.

• Co cię łączy z tym człowiekiem? — spytał Willi, a brzmienie głosu wyraźnie zdradzało tłumioną nienawiść.

- Mam z nim porachunki.
- To dobrze — odetchnął Gayer spokojniej. — Może wreszcie zrobisz porządek z tym łobuzem.
- Oszukał ciębie?

— Gorzej! Znieważył. Przez niego straciłem zęby. Zobacz!

Sklepikarz pokazał puste miejsce po zębach i opowiedział zajście z Czarnym Sepem i Kosem, odpowiednio naświetlając fakty.

• Drań! — wykrzyknął na to Gunter. — Zapłacę mu za nas obu. Powiedz tylko, kiedy ten pies był w Miami.

- Trzy dni temu.
- Nie wiesz, dokąd podążył?
- Wiem. Do Detroit.
- To pewne?
- Yes!
- A po co?
- Podobno - wiozł listy z Vincennes do gubernatora Hulla.
- Ach, tak? Ciekawe. — Johann podniósł kubek rumu. — Ten włóczęga, jak z tego wynika, jest gońcem leśnym armii — dodał. Służy więc dwom panom: białym i czerwonym. Chytra sztuka. Musiał wieść ważne materiały, skoro tak mu było pilno. Nie wiesz, Willi, nic na ten temat?

- Nie wiem.
- Za taki list można dużo dostać.
- Ej, kóż by go kupił? — z udaną naiwnością spytał Gayer.
- Kto? Anglicy.
- Ależ to zdrada — szepnął handlarz, zniżając głos.
- Nie udawaj — rzekł drwiąco Gunter. — Dziś wprawdzie panuje pokój między Unią a Anglią, ale jeszcze nieraz wezmą się za łby. Jednym i drugim potrzebne są wiadomości.

- Jesteś przecież obywatelem Unii.
- Jestem wolnym traperem i leśnym trampem — dobitnie oświadczył Johann.

Gayer nerwowo podszedł do okna, wyjrzał i szczerze zamknął wewnętrzne okiennice.

- Za głośno mówisz. Za zdradę czeka stryżek.
- Nie bój się, Willi. Możemy obaj niezłe zarobić, a przy okazji pozbedziemy się bez trudu tego ptaszka.

- Ja w tym palców w każdym razie maczać nie będę.
- Czyżby? — Głos Guntera zabrzmiał szyderstwem. — A co cię łączy z Anglikiem Jamesem Brentonem, he?

• To... to nieporozumienie... — powiedział Willi i nerwowo zaczął bawić się kubkiem. — Napijesz się? — dorzucił i chwyciwszy butelkę z rumem rozlał do kubków jej zawartość.

• Co tak się boisz, Willi? — rzekł z drwiącym uśmiechem. Johann. — Wiem wszystko. Żyć trzeba. Ja także miewam z nim kontakty. On za listy odebrane Kosowi dobrze zapłaci.

Przez chwilę obaj sączyli rum i patrzyli sobie w oczy. Gayer nadal nie ufał Gunterowi.

• James Brenton przywozi mi skórki, stąd go znam, ale...

• Daj spokój! Nie tłumacz się — przerwał Johann. — Patrz, już noc. Czas mi spać, bo jutro o świcie ruszamy. Posłuchaj, Willi. Jeżeli ten włóczęga wracając do Vincennes wstąpi do Miami, musisz podstępnie zabrać mu przesyłkę, którą pewnie będzie wiozł z Detroit dla Harrisona. Przesyłkę przetrzymaj do mego powrotu.

• Więc nie będziesz ścigał dalej Kosa?

• Będę, ale ścieżki w puszczy są kręte, możemy się minąć. Dlatego wracając z Detroit wstąpię i zaczekam tu na Brentona. Gdyby przybył do Miami przede mną, powiedz mu, że mam dla niego ważne wiadomości.

— Well.

Jeszcze jakiś czas gwarzyli, potem Gunter pożegnał znajomego sklepikarza.

Connelowie powitali Johanna pytającym wzrokiem.

Kos był tu trzy dni temu i popłynął do Detroit. Wiozł tajne listy z Vincennes dla gubernatora Hulla — przekazał im w skrócie zdobyte informacje.

Jest kurierem armii? — spytał Tomasz.

• Podobno.

• Co robimy?

• Warto go popilnować. Sądzę, że nim dopłynie do Detroit, dopadniemy tego gada. A teraz spać.

Ledwie bladziutki świt zaróżowił na wschodzie niebo, już byli na nogach. Szybko zjedli śniadanie, spakowali się i opuścili fort Miami.

Płynęli w górę Maumee River, uważnie obserwując brzegi. Zatrzymywali się jedynie na krótkie nocne odpoczynki.

Pewnego dnia powitały ich srebrne wody wielkiego jeziora Erie. Trzymając się jego zachodniego brzegu podróżowali dalej. Im bliżej Detroit, tym pilniej wyteżali wzrok w nadziei, że ujrzą przed sobą samotnego żeglarza. Ale wody jeziora były ciche i puste. Jedynie śmigłe rybitwy cięły powietrze i krzyczały stada dzikich kaczek. W pobliżu bujnych szuwarów czasami z głośnym pluskiem zatrzepotała na powierzchni wody złocista ryba.

Wpłynęli wreszcie w koryto Detroit River. Ujrzeni zamazane lekką mgłą kontury fortu. Zbliżało się południe, gdy dobili do brzegu. Ukrywszy w zaroślach czołno, poszli piechotą. Gunter był wściekły. Mimo olbrzymiego wysiłku i pośpiechu nie dopędzi-li Kosa.

Idąc układali plan dalszego działania. Byli zgodni, że w Detroit muszą odpocząć i dowiedzieć się, czy był tu Kos, co robił i kiedy opuścił miasto. No a jeśli jeszcze przebywa tutaj, w żadnym wypadku nie może ich rozpoznać.

Od razu zauważyli, że w forcie musiało wydarzyć się coś niezwykłego, bo ludzie zżywieniem komentowali jakieś zajście. **Do uszu** trzech traperów dobiegały urywane zdania, z których zorientowali się, że uwięziono czerwonoskórych z plemienia Seneków.

• Trzeba bliżej zbadać sprawę — powiedział Johann do towarzyszy. — Najlepiej od razu pójść do sklepu, do Jima Martina.

• A my odwiedzimy porucznika Diksona — zaoferował się Tomasz. — Byleby był w forcie.

Rozeszli się. Gunter podążył w stronę handlowych zabudowań miasteczka, a Connelowie od napotkanego żołnierza dowiedzieli się, że Dikson wrócił rano z puszczy i prawdopodobnie w tej chwili odpoczywa. Nie tracąc więc czasu skierowali się do domu oficera. Wraz z żoną i dwójkiem dzieci mieszkał w pobliżu koszar, w ładnym domku stojącym tuż nad strumieniem. Zapukali do drzwi. Otworzyła im służąca, Murzynka Betty, którą stary Connel znał z poprzednich wizyt. Zaproszeni do wnętrza usiedli w obszernym salonie. Nie czekali długo. Porucznik Harry. Dikson wchodząc już w progu zawołał:

— Cieszę się, że was widzę. Dzisiaj rano wróciłem z wyprawy.

Brak mi było w puszczy waszych niezawodnych oczu. Siadajcie.

Connelowie uśmiechnęli się zadowoleni. Dikson usiadł.

• Pamiętam, jak prowadziliście leśnymi ostępami mój oddział do wioski Huronów nad Wierzbowymi

Strumieniem — zaczął wspominać.

- To było przed dwoma laty — przypomniał Tomasz.
- Tak. Od tamtego czasu wiem, co warty jest dobry traper. Wam tylko zawdzięczam, że jestem jeszcze wśród żywych.

- Ale łaźnię zrobiliście wtedy Huronom! — wtrącił z zachwytem Jerry. — Niewielu ich uszło z życiem.

Porucznik skinął głową, potwierdzając słusność słów młodego Connela.

- Jeżeli chcecie osiąść na stałe w Detroit i służyć w armii Unii, zaraz to załatwię — mówił dalej Dikson. — Potrzebni są nam tropiciele śladów tej miary, co wy.

- Zawsze jesteśmy do usług Unii — rzekł służalczo Tomasz. —; Jeżeli trzeba, możemy przyjąć jednorazowe zadanie, ale nie usiedzimy długo na miejscu.

- Szkoda. Wziąłbym was pod swoje rozkazy.

- Jest w Detroit świetny tropiciel, Ryszard Kos, jęgo zaangażujcie! — powiedział niespodziewanie Jerry.

Porucznik uważnie spojrzął na młodego Connela.

Nie lubię białych, którzy bratają się z dzikusami. A Kos zachowuje się jak czerwonoskóry.

Przyjechaliśmy właśnie śladami Ryszarda Kosa. Czy zastaliśmy go w Detroit?

Przyjechaliście śladami?... Ścigacie go?... — spytał porucznik, badając wzrokiem twarz swych gości.

Nie ścigamy go, lecz szukamy — sprostował Tomasz.

Porachunki czy interes?

Na chwilę zaległa cisza. Potem Tomasz odpowiedział wymijająco:

- I jedno, i drugie.
- Weil, rozumiem. Macie szczęście. Kos jest w Detroit. Dziś rano był z nim kłopot. Gubernator Hull polecił mu o świcie opuścić warownię.

- To znaczy jutro? — spytał Jerry.

- Yes.

- A cóż to za kłopot sprawił Kos? — niby od niechcienia zainteresował się stary Connel.

- Przyprawdziliśmy z puszczy Seneków. Wynikła awantura. Sprawcą jej był oczywiście ten wasz przyjaciel.

- Stał pewnie po stronie czerwonych?

- Yes.

- Nie mogliście go zamknąć?

- Nie ode mnie to zależy. Kos cieszy się wielką-sympatią gubernatora Harrisona, a generał Hull nie chce psuć sobie stosunków z Vincennes.

- Gdzie zamieszkał Kos?

- Po tamtej stronie koszar znajdziecie hotelowy budynek wojskowy, w którym zatrzymują się kurierzy armii, traperzy, urzędnicy i tym podobni goście przybywający do Detroit. Sądzę, że znajdziecie go w domu, bo po awanturze zamknął się w swoim pokoju i dotychczas stamtąd nic wychodził.

— Skąd taka pewność, że Kos w domu? Czyżby był pilnowany? — spytał Tomasz.

— Na wszelki wypadek kazałem postawić dyskretnie straż Przed budynkiem. Nie chcemy nowej awantury, a Kos lubi sensacje.

- Mówicie o tym tak otwarcie? A jeśli powiemy Kosowi: o postawionej straży? — zażartował Jerry.

- Nie szkodzi. Będzie spokojniejszy. Sądzę jednak, że macie z nim osobiste sprawy, które was powstrzymają od tego. Zresztą, wasza rzecz... Ale jeśli przywiodły was tutaj porachunki z Kosem, załatwcie je jutro, na szlaku. Tak będzie lepiej.

Stary Connel uśmiechnął się dwuznacznie, a Jerry powiedział:

- Pan także czuje niechęć do Kosa?

- Być może... Hej, Betty! — Porucznik zawołał Murzynkę.; — Przynieś whisky.

- Kosa łatwo można załatwić — podjął Tomasz, gdy służąca: zamknęła za sobą drzwi. — Nawet gubernator Harrison, który tak Kosa ceni, sam podpisze na niego wyrok.

- Dotychczasowe dowody sympatii Kosa dla Indian nie są: podstawą do aresztowania.

- Nie to ojciec miał na myśli — powiedział Jerry.

- A co?

- Szpiegostwo na rzecz Anglii.
- Porucznik aż wstał z wrażenia. Wyrzucił z siebie gwałtownie:-
- Co mówicie!?... To pewne?... Jakie macie dowody?... Tomasz uśmiechnął się bez entuzjazmu.
  - Na szlaku trampi mówią o tym otwarcie.
  - Mówią... — sapnął sarkastycznie Dikson. — To trochę za mało, choć...
  - To dużo — poprawił go Jerry. — Reszta do zrobienia... Kos przecież wozi listy — zaznaczył.
  - Szczwane z was lisy — zaśmiał się porucznik.

Służąca wniosła trunek i szklanki. Popijając rozmawiali jeszcze na różne tematy. Potem Connelowie pożegnali Diksona i wrócili do hotelu. Wkrótce przyszedł także Gunter. Po przeanalizowaniu zdobytych wiadomości postanowili na krótko przed świtem opuścić Detroit i czekać w zaroślach na Kosa. Ponieważ zbliżał się już wieczór, legli na łóżkach, aby pokrzepić się snem.

Było już daleko po północy, gdy zbudził ich huk wystrzału i zmieszany gwar ludzkich głosów. Zerwali się i pośpiesznie, naciągnęli ubrania. Na dziedzińcu dowiedzieli się od żołnierzy o ucieczce Indian. Zauważyli porucznika Diksona. Pobiegli do niego.

— Jesteśmy do usług — szepnął stary Connel.

Czekajcie u siebie. Może będę was potrzebował — powie dział Dikson i z grupą żołnierzy odszedł w głąb fortu.

Trzej traperzy wrócili do hotelu, by spakować rzeczy. Byli gotowi do drogi. Szarzało już, gdy przybiegł goniec wzywający ich do Diksona. Po chwili zameldowali się u porucznika.

— Dobrze, że jesteście. Opuśćcie zaraz Detroit. Kosa przetrzymam jeszcze ze dwie godziny w forcie. Wasze zadanie będzie proste: odbierzecie Kosowi list do komendanta Wayne i przywieziecie gubernatorowi Hullowi. Powiecie, że zabraliście prze sylkę człowiekowi, którego podsłuchaliście na szlaku, gdy rozmawiał z Kanadyjczykiem na tematy szpiegowskie. Rozumiecie?

Dikson wtajemniczył ich dokładnie w swój plan.

Tak. A co mamy uczynić z Kosem? — spytał Gunter.

To wasza sprawa. Tak czy inaczej treść listu obciąży go bardzo poważnie. Hullowi powiecie, że uciekł... Jednak nie powinniście brudzić rąk krwią. Chyba że Kosa oskałpują... Indianie.

Na moment zapadło ciężące obu stronom milczenie.

- Nasze porachunki nie zasły tak daleko — mruknął stary Connel.
- Ale ten plugawy pysk stłukę, jak tylko nadarzy się okazja — powiedział twardo Johann Gunter.
- W każdym razie postaramy się zadanie wykonać — wtrącił Jerry.
- To w drogę!

Uścisnęli sobie dłonie. Trampi wyszli. Przenikli ostrożnie pod budynkami, przebiegli koszarowy plac, przekroczyli bramę fortu. W najbliższych zaroślach zapadli na czatach. Widok na bramę mieli doskonały. Czekali więc gwarząc i układając plany swych leśnych włóczęg.

Wreszcie ujrzeli Ryszarda Kosa opuszczającego Detroit. Nie skierował się na utarty puszczański szlak, lecz skręcił na lewo i wzdłuż domów podgrodzia podążył w stronę Detroit River. Trampi spodziewali się tego. Kos przecież gdzieś nad rzeką miał łódź. Przeczekali chwilę i ruszyli za nim. Nie mogli wyjść na otwartą przestrzeń, aby idąc na przelaj skrócić sobie drogę, bo wówczas mogli być spostrzeżeni przez Kosa. Postanowili więc obejść zaroślami, szerokim łukiem okalającymi fort i przyległe zabudowania, a to znowu pozwalało Ryszardowi poważnie się oddalić. Dlatego też przyśpieszali kroku, niemal biegli. Gdy znaleźli się nad rzeką, spostrzegli w miejscu, gdzie Kos opuszczał canoe na wodę, zgniecioną trawę, a na miękkim brzegu odcisniętą wyraźnie stopę.

— Odpłynął. — Jerry wskazał ślady.

Gęsty szpaler wierzb i przybrzeżnych trzciny zakrywał pole widzenia. Dlatego też nie mogli dojrzeć, czy rzeczywiście na rzece znajduje się czółno Kosa.

- A jeśli nie odpłynął? Jeśli to podstęp — powiedział Johann. — Może chce przekonać się, czy nie jest śledzony?
- I to możliwe — rzekł Tomasz.
- Co ty zrobiłbyś na jego miejscu? — Gunter rzucił pytanie; do Jerry'ego i nie czekając odpowiedzi ciągnął: — Bo ja wpłynąłbym niedaleko stąd w trzciny i cierpliwie czekał.
- Słusznie.

- Wobec tego pójdziemy brzegiem lasu do naszego czółna i tam spokojnie poczekamy na tego ptaszka. Zobaczycie, czy nie miałem racji!

Opuścili brzeg rzeki i pośpieszyli w stronę jeziora Erie. Las; tutaj był często nawiedzany przez licznych mieszkańców Detroit! dlatego też jego skrajem biegła utarta ścieżka. Posuwali się więc szybko, nie tracąc czasu na rozmowy. Dopiero gdy dotarli dJ miejsca, gdzie pozostawili swą łódź, wrócili do poprzednich rozważań.

- A jeśli Kos zrezygnuje z podróży szlakiem wodnym? Wówczas nigdy nie doczekamy się go nad rzeką — Tomasz zaczął wątpić w słuszność obranej drogi.

- Nonsens! — powiedział Gunter. — Ma przecież rozkaz jak najszybciej dostarczyć list do Wayne, a najszybciej to znaczy łodzią.

Ale Kos już dawno mógł opuścić swoją kryjówkę w trzcinach. Canoe szybciej niesie niż nogi. — Jerry również miał wątpliwości.

— Jeśli będzie, jak mówicie, i przechytry nas, to i tak nie straconego — uspokajał ich obu Gunter. — W najgorszym razie rozdzielimy się. Wy wróćcie tam, gdzie opuścił canoe na wodę i stamtąd zaczniecie szukać śladów na łądzie, a ja popłynę. Nie może nam zniknąć!

W końcu postanowili jednak tu zacząć się na Kosa. Gunter wlaź na olbrzymi konar olchy, pochylony nad Detroit River, ukryty w listowiu obserwował wodne lustro. Czas się dłużył. Dzień już chylił się ku wieczorowi; gdy tuż przy ścianie gęstych szuwarów ukazało się wreszcie mknące bezszelestnie canoe.

Gunter o mało nie krzyknął z radości na widok znieawidzonego żeglarza. Sprytny Kos nie wywiódł go w pole. Gdyby jednak Johann nie zrobił z konaru swego obserwatorium, kto wie, czy dostrzegliby płynącego Kosa. Kiedy łódź przemknęła pod olchą i znikła z oczu, ostrożnie, aby nie robić niepotrzebnego hałasu, Gunter zszedł na ziemię. Connelowie siedzieli znudzeni i oganiając się od komarów zlorzeczyli.

— Miałem rację! — zawołał Johann. — Przed chwilą przepłynął obok nas!

Zerwali się obaj. Z niedowierzaniem patrzyli na Guntera.

- Płynął tuż przy nadbrzeżnych szuwarach, zachowując indiańską ostrożność — opowiadał dalej Johann.

- Stąd należy przypuszczać, że obawia się pościgu lub zasadzki. Musimy być czujni — przestrzegał jak zwykle rozważny Tomasz.

Gunter poklepał Connelów po ramionach.

— Płyniemy za nim — powiedział z uśmiechem, pełnym zadowolenia. — Ale zachowujcie się cicho i miejcie oczy otwarte.

Spuścili łódź na wodę, wsiedli i wydostali się bez pośpiechu z szuwarów. Bardzo wolno ruszyli za Kosem.

Mijały dni i noce. Bywało tak, że widzieli jego canoe na linii horyzontu, wówczas kryli się w przybrzeżnych zaroślach. Pozostało im już tylko kilkanaście mil drogi jeziorem Erie. Postanowili przed wypłynięciem na wody Maumee River zakończyć sprawę. Znajdowali się wprawdzie na terytorium kontrolowanym przez patrole wojskowe z fortu Detroit i Miami, zasiedlonym przez pionierów, ale był to przecież nadal obszar dzikiej kniei, w której koczowali Indianie, rojący się od traperów, handlarzy. i różnych włóczęgów. Nie było co dalej zwlekać. Należało wykorzystać najbliższą okazję.

Płynęli dość jasną nocą. Na wysokim niebie migotały gwiazdy, świecił księżyc. Ostrożnie wiosłując uważnie obserwowali przed<sup>SOD</sup>ą spokojne, połyskujące wody jeziora i czysty, wolny od trzciny brzeg.

— Patrzenie! — szepnął w pewnej chwili Jerry i dotknął ramienia Guntera.

Spojrzeni na łódź. Daleko na wybrzeżu płonęło niewielkiej ognisko.

— Czyżby to Kos? — z niedowierzaniem rzucił Gunter. — Sprawdźmy!

Skierowali łódź ku brzegowi. Zastanawiali się, czy tu wysiał dać, czy szukać dogodniejszej przystani. Doszli w końcu do wniosku, że muszą zniszczyć łódź Kosa, a więc najpierw znalazł miejsce, w którym ścigany zawinął do brzegu. Po paru mij nutach natrafili na dość łagodną zatoczkę, gdzie wylądowali! Czółno starannie ukryli w nadbrzeżnych krzakach, a sami rozdzielili między siebie zadania. Gunter miał podkraść się do obozowiska Kosa, a Connelowie odnaleźć jego canoe. Ustalili że sygnałem wzywającym do powrotu będzie dwukrotny krzyk sowy.

Rozeszli się w różnych kierunkach: Gunter ze strzelbą gotową do strzału szerokim łukiem podążył w stronę ogniska, Tomasa na północ, zaś Jerry na południe.

Szukanie łodzi było pracą niełatwą. Wprawdzie księżyc! i gwiazdy rozlewały jasną poświatę, ale w zaroślach zalegała ciemność. Przy tym nie wolno było robić hałasu, bo nocą każdy odgłos słysząc daleko, zwłaszcza nad wodą.

Ledwie trzej trampi wsiąkli w mrok, z krzaków okalających zatoczkę wyłoniła się smukła sylwetka Kosa.

— Dranie! — szepnęli. — Wywiodę was w pole. Koniec waszego pościgu. Zginiecie od własnej broni.

Zaczął przeszukiwać zarośla. Odnalazł czółno i wyciągnął je na brzeg. Nożem powycinał otwory w dnie. Wraz z łopatkami wiosł i całym bagażem zepchnął łódź na wodę. Chwilę stał patrząc, jak napelnia się wodą i zaczyna tonąć, po czym ruszył wybrzeżem na południe, czujnie nasłuchując. Gdy docierał do wysokich trzcini i zbitych łożyn, dobiegły go niepokojące odgłosy. W mroku zamajaczyło coś na tle zarośli. Ukrył się więc w cieniu. Kilkanaście metrów od niego przemknęła ludzka postać. Przeczekał chwilę i pełen niepokoju zbliżał się do miejsca! gdzie zostawił swoją łódź.

Wtem w ciszę nocną wdarł się dwukrotny złowróżbny krzyk sowy. Odbity od spokojnej toni jeziora popłynął w ciemną dal

Gdy Connelowie dobiegli do zatoki, Gunter ukryty w cieniu zarośli już na nich czekał. Był wściekły.

. Zadrwił z nas! Gdy podchodziłem do ogniska, a wy szukaliście jego łodzi, on zatopił naszą. Wróciłem za późno — chrypiał. — Pewnie teraz już gdzieś żeglują po jeziorze. Aby go!... \_\_ zmęł w ustach przekleństwo.

— Spokojnie, Johann, spokojnie, nie martw się. — Jerry aż trzepnął Guntera w plecy z uciechy. — Bardzo mi przykro, ale Kos dziś nigdzie nie pożegluję, bo zniszczyłem jego łódź.

Na chwilę wśród trampów zaległa cisza.

• Nie wierzycie? — zaczętnie spytał młody Connel i ciągnął dalej: — Znalazłem ją. Stała na wodzie uwiązana do trzcini. Na dnie leżała myśliwska torba. Widać chciał zaraz odpłynąć, skoro łodzi nie ukrył i sakwę podróżną w niej zostawił. Czyż nie widzicie, że mam jego torbę przewieszoną przez ramię?

- Damned! On mówi prawdę! — zawołał z ulgą Gunter.
- Uchodźmy stąd! Kos tu może wrócić, gdy spostrzeże brak swego canoe — powiedział Tomasz.
- Słusznie. Do świtu przeczekamy w lesie, a potem zobaczymy. Nie wszystko stracone — rzekł rozchmurzony już całkiem Gunter. — Jutro zakończymy pościg.
- A może list jest w torbie? — rzekł z nadzieją Tomasz. — Nie trzeba byłoby ścigać Kosa dalej.
- Możliwe. Rankiem sprawdzimy. Po ciemku i tak nie przeszukamy sakwy.
- Słusznie, Jerry — zgodził się Gunter. — A teraz koniec gadania. Dwóch czuwa, jeden śpi.
- Kładź się, ojczu, pierwszy — szepnęli Jerry. — Za dwie godziny cię obudzę.

Zaledwie zaczęło świtać, już byli na nogach. Na skraju lasu przetrząsali traperską torbę Kosa, ale prócz różnych drobiazgów, zapasów pemikanu, prochu i ołowiu nie znaleźli nic. Koperty z przesyłką nie było.

Ostrożnie, z rusznicami gotowymi do strzału, ruszyli w stronę trzcini, gdzie Jerry znalazł i zatopił łódź Kosa. Tu przecież ^usieli rozpoznać ślady i stąd pójść za ściganym. Przypuszczali, że Kos, zorientowawszy się w sytuacji, skorzystał z widnej nocy; i poszedł piechotą, aby jak najspieszej oddalić się od

swych prześladowców. Rzeczywiście z łatwością odnaleźli odcisnięte na miękkim gruncie ślady jego stóp

Szli początkowo w stronę boru, a potem jego skrajem. Wyglądało na to, że Kos nie mógł zacierać śladów albo celowo je zostawiał. Podążali więc szybko, choć ostrożnie i czujnie. Wiedzieli, że mają przed sobą groźnego przeciwnika. Koło południa trop nagle znikł. Długo myszkowali, zanim ustalili dalszy kierunek marszu. Domyślili się, że Kos zaczął zacierać za sobą ślady,

Weszli na malowniczą polanę, tonącą w promieniach zachodzącego słońca. Trzej trampi nie dostrzegli jednak uroków tego leśnego zakątka. Wpatrzeni w ziemię pilnie lustrowali trawiastą przestrzeń.

— Jest! — wykrzyknął nagle Gunter.

Odcisnięta w miękkim mchu stopa skierowana była w stronę polany. I tu trop znowu urwał się.

- W każdym razie nie mógł przefrunąć nad trawami — zauważył zdenerwowany nową trudnością Jerry.
- Może obszedł polanę albo ruszył w innym kierunku -1 próbował domyślać się Tomasz.



Chwilę naradzali się, a potem podjęli decyzję. Jerry został na miejscu, aby dokładnie zbadać tropy w pobliżu miejsca, gdzie stali, a Tomasz i Johann mieli spenetrować okolicę polany. Liczyli, że natrafia gdzieś na ślady. Ale na próżno. Wrócili więc do Jerry'ego. Młody Connel, zadowolony, z błyskiem w oczach, zawołał:

- W tamtym krzaku leszczyny wyciął dwa grube kije.
- Wyciął kije? — zdziwił się Tomasz.
- Pokaż to miejsce! — rzucił Johann.

Rzeczywiście, świeże, jeszcze nie zasklepione białe miejscy po wycięciu grubych gałęzi świadczyły, że musiało to stać się stosunkowo niedawno. Głęboko w krzaku leszczyny leżały świe-| że liście i liczne gałązki.

— Po co mu były dwie grube, długie tyczki? — medytował Gunter. Zawrócił nad skraj polany, ukląkł i badał ziemię. — Wierń! — zerwał się nagle. Oczy płonęły mu podnieceniem, a szerokie, obwisłe brwi nastroszyły się jak u dzikiego kota, — Zrobił z tyczek szczudła. Chytra sztuka! Ale Johanna Guntera jeszcze nikt nie wywiódł w pole. Ha, ha, ha!... Zobaczcie! — Wskazał palcem. — Tu znać ślady szczudła.

Connelowie pochylili się nad ziemią. Obok pnia sosny wyciśnięty był okrągły, głęboki dołek po dość grubym kiju.

— Jerry, zostaniesz tutaj i będziesz nas osłaniał.

Jerry stanął obok sosny. Oparł strzelbę o uschnięty kikut gałęzi. Gunter i Tomasz weszli na polanę. Podążali ostrożnie, oddaleni od siebie o kilka kroków. Zatrzymali się w pobliżu olbrzymiego pnia dębu, który powalony starością leżał w trawie. Suche gałęzie, splątane z chwastami mogły stanowić świetną kryjówkę dla zwierząt, a zwłaszcza dla węży. Tomasz i Johann uważnie obserwowali koronę dębu. Wreszcie Gunter wskoczył na pień i zawołał donośnie:

— Hej, Kos! Wylaź z nory! Widzę cię! Ukrywasz się jak śmierzący tchórz...

Za plecami starego Connela i Guntera wyrosła nagle sylwetka Ryszarda Kosa.

— Tu jestem! — zawołał. — Rzućcie broń!

Dwaj trąpi zastęgli zaskoczeni. Tego się nie spodziewali. Niezdecydowani stali nieruchomo.

— Rzućcie broń, bo będę strzelał! — powtórzył z naciskiem Kos. — I ręce do góry!

Stary Connel upuścił strzelbę i podniósł w górę ramiona. Gunter jednak bardzo powoli podnosił ręce, ale broni nie rzucił na ziemię.

— Gunter, rzuć broń! — krzyknął Kos.

Wtem ze skraju polany padł strzał. Ryszard uczył w prawym ramieniu ból, w oczach zawirowały mu sine płyty. Na chwilę stracił przewagę nad przeciwnikami i to wystarczyło Gunterowi, aby błyskawicznie odwrócić się i strzelić w pierś Kosa. Ryszard ostatnim wysiłkiem woli wystrzelił. Runął w bujne trawy i stracił przytomność.

Gunter podbiegł do Kosa. Widząc dużą plamę krwi na jego piersi, opuścił swoją strzelbę i otarł rękawem pot z czoła. Podniósł sztucer Ryszarda i dopiero teraz zbliżył się do starego Connela, który leżał na ziemi jęcząc.

Przez polanę biegł ku nim Jerry. Dopadł ojca i klęknął przy nim. Gunter bez pośpiechu poszedł, za jego przykładem. Rozpięli bluzę starego. Wyglądało na to, że kula trafiła prawe płuco. Taki postrzał w puszcy był niebezpieczny. Tomasz ciężko oddychał i broczył krwią.

Z rozkazu Rady Starszych dwaj wojownicy szli do naczelnego wodza

Szawanezów po ostateczną decyzję. Było późne popołudnie. Słońce już od dawna znajdowało na zachodniej stronie nieboskłonu, ale jeszcze tu i ówdzie pęki promieni przedzierały się przez wysokie korony drzew i rozświetlały leśny cień. Dwaj wojownicy podążali w milczeniu. Szli gęsiego, jeden za drugim, łowiąc odgłosy kniei i bystrymi oczyma badając zarośla. Wtem zatrzymali się gwałtownie i bezszelestnie ukryli za krzakiem leszczyny. Ciszę puszcy przerwał ostry huk wystrzału. Musiał paść bardzo blisko. W parę sekund później rozległy się dwa następne. I znów wrócił spokój. Szawanezi nadal czujnie nasłuchiwali, ale gdy nic niepokojącego nie usłyszeli, ostrożnie wychynęli z krzaków.

Trzeba sprawdzić, kto strzelał — powiedział Took-suh.

Z nałożonymi na cięciwy łuków strzałami przemykali pomiędzy drzewami. Wybierali przejścia osłonięte i dogodne do ukrycia się. Nie uszli daleko. Podążający przodem Took-suh zatrzymał się nagle dając towarzyszowi znak ręką. Przypadli obaj za rozłożystym krzakiem

tarniny na skraju kwietnej polany. Uważnie patrzyli na dwóch białych, którzy w pobliżu powalonego dębu pletli coś z giętkich prętów wyciętych w zaroślach. Po chwili obserwacji zrozumieli cel pracy białych.

— Plotą nosze — szepnął Najle-umoc.

Took-suh potwierdził skinieniem głowy.

Z ukrycia przyglądali się krzątaniu białych. Widzieli, jak złożyli rannego na noszach i opuścili polanę. Oczekali znowu, aż tamci oddalą się znacznie, i wtedy podeszli ku powalonemu olbrzymowi. Zatrzymali się obok uschłego pnia i oczyma badali zmiętą trawę i kwiaty.

— Tam! — wskazał ręką Took-suh.

Oczy Najle-umoca pobiegły we wskazanym kierunku i zatrzymały się na człowieku. Z rozrzuconymi rękoma leżał wśród wysokich traw, twarzą do góry, a zboczona krwią, rozpięta łosiowa bluza odsłaniała nagą pierś. Podeszli powoli, bacznie obserwując leżącego.

Nie żyje — powiedział Najle-umoc. Took-suh klęknął przy leżącym. Zaczął obmacywać zakrwawiony bok.

• W torbie Kosa są bandaże — powiedział Gunter. — Opatrz ojca, a ja przeszukam ubranie tego łotra.

• Co z nim?

• Nie żyje. Dostał od ciebie i ode mnie.

— A co z ojcem? — w pytaniu Jerry'ego zabrzmiał niepokój

Gunter uciekł oczyma w bok.

— Powinien żyć — odparł. — Zrobimy nosze i zanieśmy go do wioski. Zwlekać nie można.

Potrzebny jest lekarz.

Jerry zaczął opatrywać ranę ojca, a Johann ukląkł przy Kosie. Przeszukał kieszenie, zabierając wszystkie drobiazgi, łącznie z pieniędzmi i myśliwskim nożem. W wewnętrznej kieszeni łosiowej bluzy znalazł list. Pośpiesznie schował zdobycz i wrócił do Jerry'ego. Pomógł mu zakładać opatrunek. Następnie wycięli w zaroślach dwa drażki. Z prętów trzmieliny<sup>3</sup> upletli nosze. Ułożyli jęczącego Connela i ruszyli z nadzieją, że jeszcze przed nocą dotrą do małego strumyka zwanego przez Indian Wąską Strugą. Tam mieszkał w pionierskiej chacie z dwoma synami traper Watter. Spodziewali się znaleźć u niego pomoc dla ciężko rannego towarzysza. Gdy opuszczali polanę, słońce już opadało ku wierzchołkom drzew. Do zachodu pozostało ze trzy godziny. Johann Gunter był zadowolony. Szedł przodem i uśmiechał się do swoich myśli, niezbyt zważając na pojękiwania rannego Tomasza

## W WIOSCE SZAWANEZÓW

Took-suh i Najle-umoc śpieszyli do naczelnego wodza Szawanezów. Szli przez gęsty bór, wybierając najdogodniejsze przejścia. Nieśli niepokojące wieści. Parę dni temu do ich wioski przybył liczny oddział Długich Noży. Dowódca oświadczył z groźbą, że puszcza od Detroit aż po Maumee River jest własnością białych i zamieszkujące ją plemiona muszą opuścić te tereny. Dla wielu plemiennych rodów Pottawatomich i Szawanezów był to poważny problem. Biali backwoodsmeni coraz gęściej zasiedlali puszcze, wypierając Indian na zachód. A tam przecie mieszkaly inne plemiona czerwonoskórych. Robiło się ciasno. Wybuchaly waśnie i spory, często kończące się bratobójczą wojną. Opuścić krainę ojców i ruszyć na tułaczkę było czymś okrutnym i niesprawiedliwym, a jednocześnie niezrozumiałym.

— Dostał kulę w prawy bok — stwierdził. A gdy chcąc lepiej przyjrzeć się ranie, próbował szerzej odchylić poły kurtki nagle dostrzegł piękny wampum. — Uff! — zawołali zaskoczeni — Wampum Szawanezów.

Najle-umoc pochylał się i dotknął ręką biało-zielonego pasa wyhaftowanego koralikami wytoczonymi z perłowej macicy muszelek. Powiedział z powagą:

• Wampum pokoju i przyjaźni, braterstwa i pomocy. Nie możemy zostawić tego białego człowieka.

• Nie możemy — przyznał mu rację Took-suh. — Musimy go pogrzebać, a wampum zanieśmy naczelnemu wodzowi Szawanezów.

• Ugh! — zakończył Najle-umoc.

Wtem dosłyszeli słabiutki jęk. Spojrzeli sobie wymowie w oczy. Took-suh przywarł uchem do piersi białego.

— On żyje! — szepnął.

Bez słów czerwonoskórzy przystąpili do działania. Jeden szyb ko plół nosze, a drugi z długich płatów brzozej kory ora; z koszuli rannego przygotował opatrunki i obwiązał nimi rany. Złożyli nieprzytomnego na noszach i pośpiesznie ruszyli.

Późną nocą dwaj Indianie wkroczyli do wioski Szawanezów i zatrzymali się koło wigwamu wodza. Postawili nosze przed wejściem, a sami weszli do wnętrza chaty. W milczeniu usiedli na skórkach wapiti obok ledwie żarzącego się ogniska. Took-suh chrząknął, na posłaniu poruszyła się czujnie śpiąca postać, spod bizoniej skóry spojrzęły czarne oczy. Wojownik usiadł. Popatrzył na nocnych gości, po czym powiedział:

- Witajcie w wigwamie Tecumseha.
- Took-suh wita wodza Szawanezów.

— Najle-umoc wita wielkiego wodza.

Chwilę trwała cisza.

• Ważne musicie przynosić wieści, skoro noc nie wstrzymał waszych kroków — rzekł z powagą obudzony.

- Ugh! Prawdę mówisz, wodzu — powiedział Took-suh.
- Koło wigwamu na noszach leży ciężko ranny biały człowiek — wyjaśnił Najle-umoc. —

Znaleźliśmy go w puszczy

• I ten biały przywiódł was nocą do mojej chaty? — Oczy wodza zaiskrzyły się ognikami niezadowolenia.

On potrzebuje natychmiastowej pomocy. Posiada biało-zielony wampum naszego plemienia.

Tecumseh podniósł się ociężale i wyszedł z wigwamu, a za nim dwaj przybyli wojownicy. Wódz pochylił się nad noszami. Następnie pośpiesznie ukląkł i przyjrzał się twarzy rannego. Na skrawiony i zsunięty na bok wampum nawet nie zerknął.

Uff! — zawołał. — To Czerwone Serce! — Energicznie podniósł się i wbiegł do najbliższego wigwamu. Zbudził wojowników i wydał im pośpiesznie rozkazy. — Wnieście rannego do mego wigwamu. Będzie moim gościem. Dziwne są zrządzienia Manitou.

Ułożono nieprzytomnego Kosa na grubej warstwie miękkich skór. Tecumseh usiadł obok niego i wskazał miejsce przybyłym.

Do chaty wszedł siwy jak mleko Indianin. Towarzyszący mu młody chłopak niósł skórzaną sakwę. Starzec schylił się nad rannym.

— To jest Czerwone Serce — powiedział Tecumseh. — Zawdzięczam mu życie. Musisz go uratować.

Starzec długo badał rannego i przykładając ucho do piersi nasłuchiwał.

- Biały człowiek otrzymał dwie rany, stracił dużo krwi, ale będzie żył — rzekł na koniec z powagą.
- Uczyni wszystko, Wielki Ojczy, ten człowiek nosi białą skórę, ale bije w nim serce czerwonoskórego wojownika.

Siwa głowa znowu pochyliła się nad rannym. Starzec zaczął rozcinać nożem bluzę Kosa. Kiedy obnażył go do pasa, szepnął do swego młodego pomocnika:

— Biegnij do mego wigwamu i przynieś kociołek z wywarem. Pośpiesz się, Aoru.

Tymczasem Tecumseh usiadł obok przybyłych Szawanezów. Rzucił w ognisko garść suchych gałązek. Czysty płomień, prawie bez dymu, rozświetlił wnętrze obszernej chaty.

— Co sprowadza braci znad Źródlanego Potoku w progi mego wigwamu? — spytał.

Took-suh skrzyżował ręce na piersi i i spojrzął w twarz Tecum-seha. Zaczął mówić:

— Rada Starszych poleciła nam śpieszyć dniem i nocą, aby zawiadomić wielkiego wodza Szawanezów o decyzji Długich Noży. — Przerwał na chwilę, bo w kącie chaty rozległ się jęk rannego. Tecumseh siedział nieruchomy. Gонец mówił więc da-i lej: — Do wioski Szawanezów, rozrzuconych między rzekami! Maumee i Detroit, przybyli biali wojownicy i polecieli opuścić wszystkim rodowi ziemię ojców. Zagrozili śmiercią opornym. Nim minie trzy razy po dziesięć słońce i księżyców, Szawanezi muszą odejść z odwiecznych łowisk dziadów... Taki termin wyznaczyli biali...

Tecumseh patrzył w płomienie ogniska.

- W sąsiedztwie Szawanezów mieszkają Pottawatomi. Oni także mają opuścić wioski? — spytał sucho.
- Tak, oni także.
- Co postanowiła Rada Starszych?
- Nie było jedności w Radzie — podjął Najle-umoc. — Młodzi chcą walczyć, zwyciężyć lub zginąć na ziemi ojców, a starzy odejść lub pertraktować z białymi. Wszyscy jednak zgodnie i pragną wysłuchać rady Pумы Gotowej do Skoku.

Zapadła cisza. Tecumseh opuścił głowę, grubą zmarszczka przecięła mu czoło. Blask rudych płomieni ogniska oświecał jego skupioną, nieruchomą twarz. Na ścianach wigwamu chybotyły długie, dziwaczne cienie. W kącie poruszał się siwy znachor i młody Aoru, pochyleni nad ciężko rannym białym człowiekiem. Cichutko w ognisku strzelały palące się gałęzie.

— Pożywcie się, bracia — powiedział Tecumseh. — W kociołku jest świeże mięso karibu i niech sen w moim wigwamie wam sprzyja. O świcie poniesiecie moje postanowienie braciom znad Źródlanego Potoku. Pójdziecie także do plemion Pottawatomich i Seneków. — Podniósł się energicznie, podszedł do ściany chaty i zdjął wiszący tomahawk<sup>4</sup>. Zatknął go za pas. Bez bluzy, jedynie w legginach, wyszedł z namiotu.

Księżycowa, jasna noc w uspiętej wiosce Szawanezów była wypełniona ciszą. Nawet psy przestały szczekać. Jedynie gdzieś w zaroślach czuwały ukryte straże. Z głębi puszczy płynęły nocne szmery. Skacząca Puma obszedł wieś i wydeptaną ludzkimi stopami ścieżką zagłębił się w bór. Nad pluskającym strumykiem usiadł na zwałonym pniu jodły, ujął w dłonie strapioną myślami głowę i zastępnął w głębokiej zadumie.

Blady świt przedzierał się przez korony leśnych olbrzymów, gdy wódz ocknął się z rozmyślań. Wolnym krokiem, z podniesioną głową wszedł pomiędzy wigwamy. We wsi zaczynał się poranny ruch. Mijając chaty przyjaznym skinieniem głowy witał krzątających się już ludzi. Minął Plac Rady i wszedł do wigwamu ustrojonego dziwnymi malowidłami i pękami barwnych piór. Po chwili w wnętrzu odezwał się głuchy głos bębna. Dudnił twardo, majestatycznie, wbił się taranem w ciszę poranku, drażył przestrzeń puszczy. Nagle zgasł, jakby stłumiony tajemniczą siłą.

Tecumseh opuścił wigwam i podążył do swego namiotu. Bez słowa usiadł obok rannego. Milczał.

Czerwone Serce odzyskał przytomność — powiedział starzec — ale zły duch płacze jeszcze jego myśli i rozpala ciało. Chory wymaga stałej opieki. Będzie jednak żył.

— To dobrze, Wielki Ojciec — ucieszył się wódz. — Wybierzemy squaw, która będzie przy nim czuwała.

Znowu zaległo milczenie.

Do wigwamu zaczęli wchodzić wojownicy. Siadali wokół ogniska. Nikt o nic nie pytał. Jak nakazywał obyczaj, cierpliwie czekali.

— Aoru, dorzuc drzewa do ognia! — szepnął starzec.

Chłopiec szybko wykonał polecenie. Wysoki płomień strzelił w górę. Szaman podniósł się i usiadł obok przybyłych wojowników. Z posłania powstał dwaj gońcy i zajęli miejsce w kręgu siedzących. Było ich razem dwudziestu czterech. Tecumseh narzucił na siebie barwnie haftowaną opończę i usiadł krzyżując nogi. Złożył ręce na kolanach.

— Bracia — powiedział — od bitwy Pod Zaporą z Pni plemiona Szawanezów nie przeszkadzają białym osiedlać się na ziemi naszych ojców i dziadów. Coraz więcej backwoodsmenów buduje drewniane wigwamy w puszczy nad Maumee i Wabash River, nad jeziorem Erie i nad Ohio. Wszędzie przyjmujemy ich życzliwie, choć oszukują nas i krzywdzą. Puszcze są rozległe, starczy miejsca dla białych i czerwonych. Ale Długie Noże nienawidzą dzieci Manitou. Chcą mieć wszystko dla siebie, chcą nas zniszczyć, jak ogień niszczy drzewo... Oto przybyli do nas bracia znad Źródlanego Potoku i przynieśli smutne wieści. Biali wojownicy pod groźbą śmierci kazali wszystkim plemionom Szawanezów i Pottawatomich opuścić ziemię pomiędzy Detroit i Maumee River. Czy wiecie, co to znaczy? — rzucił pytanie i powiódł wzrokiem po twarzach siedzących. — Tam wyrosną osiedla białych, runą wycięte lasy, nie będzie miejsca dla czerwonoskórych braci. A gdy Szawanezi nie wykonają polecenia białych, popłynię

krw dzieci, kobiet, starców... Dlatego wezwałem was bracia, głosem świętego bębna. Musicie do wszystkich wiosek Szawanezów zanieść te smutne wieści. Powiecie wodzom, że Tecumseh ich wzywa do Ogniska Rady.

Głowy wojowników pochylały się na znak zrozumienia.

— Po drodze, wstąpicie do wiosek Pottawatomich i Seneków, powiecie tam, że Tecumseh pragnie posłuchać mądrych rad zaprzyjaźnionych wodzów.

! Wojownicy milczeli. Siwy starzec majestatycznie podniósł się, wyciągnął dłonie nad płomieniami ogniska, zamknął oczę i tak trwał przez chwilę w bezruchu. Po czym skrzyżował ręce na piersi i powiedział:

— Bracia, plemiona Szawanezów mieszkały daleko na wschodzie, osiedla ich sięgały od źródeł Ohio po wybrzeże Wielkiej Wody. Biali zepchnęli nas w puszcze nad Wabash i Mameę River. Pamiętam tamte lata, gdy musieliśmy uchodzić zostawiając groby przodków. Długim Nożom znowu za mało ziemi. Widzę w płomieniach ogniska krew. Biegnijcie do wiosek Szawanezów i naszych pobratymców, Pottawatomich, Wyandotów i Seneków, niech przybywają. Manitou oświecili Ognisko Rady i powie, co wypada nam czynić.

Starzec usiadł. Tecumseh podniósłszy rękę powiedział:

— W drogę! Niech Mikamwes omija wasze ścieżki.

Wojownicy w milczeniu pojedynczo opuszczali wigwam.

Tecumseh siedział zamyślony.

— Trawi cię troska o plemiona Szawanezów — odezwał się starzec i kościstą, pomarszczoną dłoń położył na ramieniu wodza. — Rozchmurz czoło, przyszedł zły czas, musimy go przyjąć z pokorą i dumą wojownika.

Tecumseh milczał.

• Biali są mocni jak dęby w puszczy, stępią się nasze topory, nim zdołamy ściąć twarde pnie — ciągnął dalej starzec.

• Nawet tępym toporem można zwalić największego olbrzyma — odezwał się na to Tecumseh.

• Masz rację, synu. Ciężka to jednak praca.

• Ciężka, ale konieczna — słowa Skaczącej Pумы zabrzmiały nieustępliwie, stanowczo.

Starzec podniósł się i położył dłonie na głowie Tecumseha.

— Niech Manitou kieruje twoimi krokami, mój synu — szepnął. Chwilę tak trwali nieruchomo, po czym starzec zwrócił się do chłopca: — Pójdź, Aoru, i przywołaj swoją siostrę. Ona zaopiekuje się Czerwonym Sercem. Nam już czas.

Chłopiec wyszedł z wigwamu, a za nim siwy znachor. Tecumseh zamknął powieki. Zmarszczka przecięła jego wysokie czoło.

Do wigwamu weszła siostra Aoru — Promień Słońca i zajęła miejsce obok Ryszarda. Długim piórem orla umoczone w wodzie zwilżyła usta rannego. Kos ciężko oddychał, zaczerwienionymi, półprzytomnymi oczyma wodził po sklepieniu wigwamu, poruszał popękkanymi od gorączki wargami, z których wybiegały czasami niezrozumiałe słowa.

Tecumseh ocknął się z zadumy, rzucił przelotne spojrzenie na dziewczynę i wyszedł z wigwamu. Przeciął Plac Rady i podążył w stronę puszczy. Przez dwa dni nie wracał do wsi. W leśnej samotni rozważał sytuację i układał plany obrony plemiennych rodów.

Tymczasem do wigwamu Tecumseha zaglądał Wielki Ojciec, przemywał, okładał ziołami rany Ryszarda Kosa i poił go tylko sobie znanymi ziołami. Promień Słońca czuwała przy posłaniu chorego, który z wolna wracał do sił. Wprawdzie jeszcze majaczył w gorączce, ale sen miał już spokojniejszy, a oczy nabierały normalnego blasku.

Zapadał wieczór. Tecumseh siedział przed wigwamem i patrzył, jak gromada dzieci baraszkuje po placu, gdy zbliżyli się wódz Seneków i jego córka. Wyszedł im naprzeciw.

• Witam Czarną Strzałę, walecznego wodza Seneków, i jego urodziwą córkę, Ranną Zorzę — powiedział. — Wieś Szawanezów jest waszym domem.

• Witamy mężnego Tecumseha — odpowiedział Seneka kładąc prawą dłoń na sercu. — Przyjaźń naszego plemienia jest wieczna.

• Wejdźcie do mego wigwamu.

- Wejdziemy do wigwamu Tecumseha.

Po ceremonii powitania weszli do wodzowskiej chaty i usiedli na skórkach. Szawanez wskazał gestem zachęty na stojące garnki.

Oto sok klonowy, mięso i placki kukurydziane, pożywcze się.

— Wsie nasze sąsiadują ze sobą, więc droga nasza była krótka, ale pożyjemy się — odpowiedział wódz Seneków i sięgnął po jedzenie.

Dziewczyna siedziała milcząco. Ukradkiem spoglądała w kątek chaty, gdzie na bizonich skórkach leżał Ryszard Kos, a przy nim krzątała się Promień Słońca. Kiedy wojownicy zaspokoiли głód i pragnienie, wówczas dopiero Zorza Ranna zaczęła jeść. Wódz Seneków przerwał milczenie.

- Gонец Tecumseha przyniósł Czarnej Strzale zaproszenie do wsi Szawanezów. Przybyłem i to nie sam, ale z córką.

- Wódz Seneków musi mieć ważny powód, bo squaw nie zabiera się na wojenne posiedzenia Rady Starszych.

- W wigwamie Skaczącej Pумы jest Czerwone Serce, któremu córka moja, Zorza Ranna, zawdzięcza życie, wolność i kobiecy honor. Chciała mu podziękować — wyjaśnił Czarna Strzała.

- Mój biały brat jest ciężko ranny. Nie odzyskał jeszcze przytomności — odparł na to Tecumseh ze smutkiem.

Zorza Ranna słysząc te słowa przerwała jedzenie. Otworzyła usta, chciała o coś zapytać, ale ostre spojrzenie ojca powstrzymało ją. Opuściła głowę, a na jej policzki wypłynął ciemny rumieniec.

-t- Czerwone Serce będzie żył — powiedział Tecumseh, widząc niepokój dziewczyny. — Nastąpiła już znaczna poprawa.

- Gонец Szawanezów przywiózł do wioski Seneków wieści o Czerwonym Sercu. Dziwny to biały człowiek — mówił dalej Czarna Strzała.

- Ugh! Skórę ma białą, ale uczucia i myśli czerwonoskórego wojownika — rzekł Szawanez. — Zawdzięczam mu życie i... nie tylko życie.

Czarna Strzała opowiedział Tecumsehowi przygodę Zorzy Rannej i dwóch Seneków w Detroit. Wódz Szawanezów słuchał uważnie.

— Czerwone Serce zasługuje na przyjaźń naszych plemion, dlatego nie dziwię się Zorzy Rannej, że przysłała go odwiedzić — rzekł Tecumseh, gdy Czarna Strzała skończył. Dziewczyna rzuciła Pumiem wdzięczne spojrzenie i szybko opuściła splecioną

twarz. A Tecumseh dodał: — Niech więc zostanie w wigwamie Tecumseha, by na zmianę z Promieniem Słońca czuwać przy rannym. Czarna Strzała patrzył na córkę. Choć starała się ukryć uczucia, łatwo odczytał jej myśli.

Ocalił ci życie, zostań przy nim, aż wyzdrowieje — powiedział do niej.

— Dziękuję, ojcze — szepnęła.

Pamiętaj jednak, że mimo wszystko jest biały — upomniał ją. Skinął ręką, pozwalając jej w ten sposób oddalić się.

Zorza Ranna odeszła i usiadła obok leżącego na puszystym posłaniu Ryszarda Kosa. Uśmiechnęła się do Słonecznego Promienia. Obie zaczęły coś szeptać. Wodzowie siedzieli jakiś czas milcząco. Potem długo rozmawiali o sprawach międzyplemiennych.

Znowu minęło parę dni. Do wioski Szawanezów ściągali przez ten czas wodzowie i szamani różnych indiańskich plemion i rodów. Tecumseh witał wszystkich serdecznie. Czekali jeszcze na wodza Pottawatomich.

A tymczasem otoczony troskliwą opieką indiańskiego szamana i dziewcząt Ryszard wracał do zdrowia. Było piękne południe. Zorza Ranna odsłoniła szeroko wejście do wigwamu. Świeże powietrze owiało chorego. Wtedy otworzył oczy. Były przytomne, choć otoczone sinymi obwódkami. Patrzył długo w sklepienie wigwamu, później przeniósł wzrok na siedzącą dziewczynę. Milczał. W jego żenicach czaiło się zakłopotanie. Na czoło wystąpiły krople potu.

Zorza Ranna uśmiechnęła się przyjaźnie i wzorzystą chustą otarła jego zroszone czoło. Ryszard długo przyglądał się jej czarnym oczom, jedwabistym, opadającym na ramiona włosom i subtelnej twarzy, aż dziewczyna zmieszła się.

- Gdzie jestem? — spytał cicho.

- W wigwamie Tecumseha — odpowiedziała.

Kos znowu oczyma wodził po ścianach. Ręką dotknął bandaży, potem wziął w swoją dłoń rękę Indianki.

— Ciebie skądś -znam... Jak się nazywasz?...

Dziewczyna pochyliła się nad Ryszardem.

— Nazywam się Zorza Ranna. Ocaliłeś mi życie w Detroit. Pamiętasz?

Ryszard mocniej uścisnął rękę dziewczyny:

- Już wiem!... Wszystko sobie przypominam... Tylko gdzie jestem?...
- W wigwamie Tecumseha. Zaraz go przywołam.

Zorza Ranna wybiegła z chaty, a Ryszard opierając się na łokciach z trudem usiadł. Czuł ból w piersiach. Z wysiłkiem wyłuskiwał z pamięci ostatnie wydarzenia.

Tecumseh wszedł do wigwamu i usiadł obok Kosa. Podparł go swym ramieniem.

— Manitou przywiódł cię do wioski Szawanezów. Byłeś śmiertelnie ranny. Ale teraz Tecumseh jest już spokojny. Czerwone Serce znowu wkrótce wyruszy na leśne szlaki.

Ryszard patrzył na Skaczącą Pumę. Nie umiał jeszcze powiązać ze sobą wszystkich wydarzeń, spytał więc:

- W jaki sposób znalazłem się w wiosce Szawanezów?
- Znaleźli cię moi wojownicy, Took-suh i Najle-umoc. Ciężko ranny i nieprzytomny leżałeś na polanie.

Czoło Kosa zrosiło się potem. Przypomniawszy sobie otoczoną; puszcza kwiecistą łąkę, gdzie obok powalonego pnia drzewa! dopadli go biali prześladowcy. Osłabiony wysiłkiem osunął się na posłanie.

— Biały brat się zmęczył — zauważył Tecumseh. — Przywołam Wielkiego Ojca i Zorzę Ranną. Wieczorem, a może jutro dłużej porozmawiamy.

Uścisnął rękę Kosa i wyszedł. Po chwili w wigwamie zjawił się szaman Szawanezów — Wielki Ojciec i promieniejąca radością Zorza Ranna.

Po kilku dniach Ryszard wychodził już przed wigwami i wygrzewał się w słońcu. Na dłuższe spacerowanie nie miał jeszcze siły, ale czuł się coraz lepiej. Zorza Ranna prawie go nie opuszczała.;! Kos stwierdził, że przyzwyczał się do jej obecności, że z przy-: jemnością patrzy na nią, kiedy krząta się po wigwamie, gotowa spełnić każde życzenie chorego. Coś zaczynało dziać się w jego sercu, choć odpędzał wszelkie myśli o tej czerwonoskórej dziewczynie.

Tecumseh zajęty był przygotowaniem do posiedzenia Rady Starszych. Wieczorami wiodł długie rozmowy z Kosem. Obaj.; wymieniali poglądy na temat kolonizacji terenów nad Ohio, i Wabash River i Maumee River oraz możliwości wybuchu wojny! pomiędzy Anglią i Unią.

Było właśnie wczesne popołudnie, gdy w głębi wioski odej zwał się głuchy, monotony głos bębna, zapowiadający jutrzejsze posiedzenie Rady Starszych. Bęben dudnił i dudnił, jego głos podchwytowała głusza leśna i niosła od drzewa do drzewa w daleką głąb kniei. Tecumseh siedział na wzorzystej derce w wigwamie i milcząc snuł plany obrony plemienia przed ekspansją białych. Ryszard wrócił z krótkiego spaceru i zmęczony usiadł na stosie miętko wyprawionych skór. Nie przeszkadzała wodzowi. W jego umyśle kłębiły się własne kłopoty. Wraciał do zdrowia. Jeszcze kilkanaście dni i będzie całkowicie sprawny. Co wówczas? Dokąd iść?... Banda Johanna Guntera pozbawiła go listu z Detroit do naczelnika fortu Wayne. Musiała to być ważna przesyłka, skoro bandyci ją zabrali. W jakim celu to uczynili?... W tej sytuacji co wybrać?... Odszukać Guntera oraz jego współników i odebrać przesyłkę? A czy będzie to możliwe?.,! No a jeśli wróci do Vincennes i złoży Harrisonowi raport z przebiegu wypadków, czy mu generał uwierzy? Przy odrobinie złej woli może uznać wszystko za wymysł fantazji i oskarżyć go jako kuriera armii o zdradę... Zwłaszcza że narastające nieporozumienia pomiędzy Anglią a Stanami zapowiadają nieuniknioną wojnę...

Ryszard Kos i Tecumseh, pogrążeni w rozmyśleniach, nie zwrócili uwagi na hałaśliwe okrzyki przed wigwamem. Głuszy! je zresztą rytmiczny, przejmujący głos bębna. Dopiero gd! w wejściu ukazała się wyniosła postać mężczyzny, spojrzeli na przybysza. Był wysoki. Ubrany w stary, wypłowiały mundur francuskiej marynarki handlowej, wyglądał jak podejrzany włóczęga albo rozbitek uratowany na bezkresnych przestrzeniach oceanu. Stanął na środku chaty i z szerokim uśmiechem spoglądał na Tecumseha, udając, że nie dostrzega siedzącego Kosa. Ryszard zdziwił się. Przybysz mimo ubioru był czystej krwi Indianinem. Miał wysokie czoło, orli nos, wystające kości po^ liczkowe. Jego pociągła twarz i oprawa oczu były prawie identyczne, ludzaco podobne do... Skaczącej Pумы.

Kos zaczął obserwować ich obu. Przez chwilę mierzyli się oczyma, po czym wódz Szawanezów podniósł się i stanął naprzeciw przybysza, a twarz jego pojaśniała radością..

- Elskwatawa, bracie mój! — zawołał.
- Tecumseh!

padli sobie w ramiona, długo ściskali się bez słowa, nie krył swych uczuć, jakby zapominając o obecności świadka.

Siadaj! — przemówił wreszcie Tecumseh, a w jego głosie zabrzmiało radosne uniesienie. — Tyle minęło zim! Tyle zim!... Wszyscy myśleli, żeś zginął.

Żyję, Tecumsehu, żyję!... Znudziła mi się włóczęga i praca białych, wróciłem więc do rodzinnego wigwamu.

Siadaj, jesteś znużony podróżą. Zaraz squaw przygotowuje posiłek.

Nie wołaj squaw. Potrzebna mi chata, przywiozłem juczne

konie.

Wigwam zaraz dla ciebie się znajdzie. Tymczasem usiądź.

Przez dziesięć zim nie było żadnej wieści o tobie.

Elskwatawa usiadł. Tecumseh zwrócił się do Ryszarda:

— Siądź z nami, Czerwone Serce. To mój rodzony brat, jesteśmy bliźniakami — wyjaśnił, choć Kos już i tak wszystkiego się domyślił.

Kos podszedł i spoczął na skórze karibu. Wódz wyciągnął fajkę i z niebywałym pietyzmem nabijał nią pokruszone drobniutko liście wirginii. Potem węgielkiem wydobył z dogasającego ogniska, tłącego się na środku chaty, zapalił tytoń. Wydmuchał dym w cztery strony świata, w niebo i w ziemię i z powagą i dostojeństwem zwrócił się do Elskwatawy:

— Serce Tecumseha napeniło się radością. Niech braterska miłość znów kwitnie między nami. — Na chwilę umilkł, a potem ciągnął dalej: — Obok nas siedzi biały człowiek. Chcę, bracie, aby związała was przyjaźń na zawsze. Szawanezi wiele mu zawdzięczają, a Tecumseh nawet życie...

Podał fajkę Elskwatawie, który dopełniwszy ceremoniału palenia, powiedział:

— Elskwatawa raduje się, że znów jest wśród Szawanezów, obok Tecumseha. Wiele minęło wiosen i zim od chwili, gdy opuścił rodzinną wioskę. Dzisiaj wrócił i zostanie już wśród swoich na zawsze. — Uśmiechnął się do Kosa. — Biały brat. będzie moim bratem, skoro taka jest wola Skaczącej Pumy:

Oddał fajkę Ryszardowi, który wydmuchawszy święty dym odezwał się w języku Szawanezów:

Elskwatawa jest bliźniaczym bratem Tecumseha, jest więc także moim bratem. Zawsze może na mnie liczyć, jeśli kroki jego będą wiodły po ścieżkach prawdy.

Tecumseh oczyścił kalumet z resztek tytoniu i popiołu, poczym schował go do skórzanego woreczka. Podniósł oczy ni brata i patrzył na jego ogorzałą, zniszczoną twarz, na czoło poorane zmarszczkami. Spoczywające na kolanach ręce były spracowane, skóra popękana.

— Ciężkie musiałeś przeżywać dni — powiedział.

Elskwatawa uśmiechnął się gorzko.

• Włóczyłem się po kamiennych miastach białych — odparł — Poznałem dobrze Anglików i Francuzów, ich tajemnice. Służyłem im. Ja, syn wodza, służyłem im jak pies — kończył już podniesionym głosem.

- W jakich miastach byłeś? — przerwał mu Kos, chcąc go w ten sposób uspokoić.
- Co robiłeś u białych? — dorzucił wódz.

Elskwatawa roześmiał się szeroko. Przyciągnął ku sobie spot ściany niedźwiedzią skórę i rozłożył się na niej wygodnie Tecumseh zdziwiony zachowaniem brata, patrzył niezadowolony

• Gdzie byłem? Wszędzie! — wykrzykiwał Elskwatawa. — W Nowym Jorku, Halifaksie, Filadelfii, Quebec, Nowym Orleanie i jeszcze dalej... — Znów hałasliwie się roześmiał. — Służyłem białym. W iernie służyłem. Byłem przewodnikiem w puszczech Kanady, chłopcem okrętowym, pilotem, nawet sternikiem na wielkich skrzydlatych łodziach, tragarzem... Nauczyłem się wielu rzeczy...

- Musiałeś poznać języki białych.
- Dobrze mówisz, bracie. Nauczyłem się francuskiego i angielskiego. Ale najważniejsze, że wiem teraz, jak ich języki potrafią być kłamiwe i obłudne. — Z szyderczym uśmiechem sięgnął do kieszeni marynarskiego munduru i wydobył flaszkę; Wyjął korek i przytknął butelkę do ust. Osty zapach



alkoholu napełnił wigwam.

• Przestań! — zawołał ostro Tecumseh. — Zabroniłem wojownikom Szawanezów pić ognistą wodę!

• Ty zabroniłeś? Hi, hi, hi — zarechotał na całe gardło Elskwatawa. — Nie jestem przecież twoim wojownikiem, lecz bratem.

Oczy Tecumseha zwięzły się z oburzenia. Szybkim ruchem wyrwał butelkę z rąk Elskwatawy i z całej mocy cisnął ją w kąt. Zadzwońiło rozbite szkło. Elskwatawa usiadł, policzki spłonęły mu purpurą, zacisnął pięści i wycedził:

Tak przyjmujesz brata? Chcesz obrazić Elskwatawę?

— Nie. Chcę, aby nikt w wiosce Szawanezów nie pił ognistej wody. Nie pozwolę na to nikomu.

Nawet mnie?

Nawet tobie, bracie Elskwatawa.

Kos położył rękę na ramieniu gościa. Powiedział przyjaźnie:

Woda ognista przynosi zgubę wszystkim, białym i czerwonym. Piją tylko głupcy, a ty, bracie, skoro poznałeś świat i wiele mądrości, powinieneś o tym wiedzieć — Tecumseh ma kłopoty z backwoodsmenami, jutro zbiera się Rada Starszych.

Tyś poznał świat białych, twoje rady mogą mieć wielkie znaczenie dla okolicznych plemion. Ale cóż im poradzisz, gdy dziś zmącisz swój umysł tą trucizną?

Elskwatawa opuścił oczy.

— Masz rację — powiedział niby szczerze. — Nauczyli mnie biali pić i dzisiaj trudno mi zwalczyć pokusę.

Tecumseh wyciągnął rękę do brata.

— Jesteś Szawanezem, musisz zwyciężyć swoją słabość.

W drzwiach wigwamu pojawiła się nagle Zorza Ranna, ale widząc obcego, zawahała się i nie weszła do środka. Ryszard powstał.

— Zostańcie sami — powiedział. — Macie sobie tyle do powiedzenia.

Tecumseh przyzwalająco skinął głową. Kos wyszedł z chaty i spojrzał na zalaną słońcem wieś. Podeszedł do stojącej w pobliżu dziewczyny. Bęben dalej głucho dudnił, to przygaszał, to znowu monotonnym, ostrym rytmem niepokoił serca.

## ZWIĄZEK OPORU

Świt zabielił smugę horyzontu, a później różowy krąg słońca wypływać począł ponad puszcze. Wstawał pogodny dzień. Gdzieś<sup>ni</sup>gdzie tylko strzępy bielutkich chmur żeglowały po wysokim sklepieniu błękitnego nieba. Wokół wigwamu krzątały się ludzie, dymyły ogniska, kobiety z tykwami szły do strumienia po wodę. Bęben szamana milczał już od wieczora. Cisza poranku rozpościerała się nad wioską. Ptactwo zbudzone ciepłymi promieniami słońca nawoływało się ze wszystkich stron.

Ryszard Kos ubrany w indiański strój, pięknie wyhaftowanej rękoma Zorzy Rannej, wyszedł przed chatę Tecumseha. Wygiął dał jak Szawanez. Jedyne barwa skóry zdradzała rasę. Odetchnął czystym, wonnym powietrzem. Przeciągnął się. Ścieżka wydepta! na przez łąkę zaprowadziła go nad rzeczkę. Czysta woda pokazywała żółty piasek dna, zachęcała do kąpieli. Wyszukaj odpowiednie miejsce i zrzucił z siebie ubranie. Po chwili zanurzył się w wodzie.

Gdy orzeźwiony i wesół wracał do wioski, natknął się Zorzę Ranną. Szła z olbrzymią tykwą po wodę. Uśmiechnęła sil radośnie.

• Jesteś już całkiem zdrowy — zawołała. Ale zaraz posmutniała. — Wkrótce porzucisz wioskę Szawanezów i...

• I co?

Spuściła oczy, a na jej policzki wypłynął rumieniec. Milczała.?

• Masz rację. Będę musiał pożegnać gościnnych Szawanezów! ale i ty pośpieszysz zapewne do wigwamów Seneków.

• Wrócisz do Detroit?... Tam masz swój dom?...

• Nie. Mój dom jest wszędzie tam, gdzie zaniosą mnie nogi, gdzie zaprowadzą leśne szlaki.

Podniosła duże, czarne źrenice i badawczo spojrzała w twarz Kosa.

— A gdzie mieszka twoja squaw?

Ryszard roześmiał się, ubawiony dociekliwością dziewczyny! Zrozumiał powód jej ciekawości.

Powiedział poważnie:

- Nie mam squaw. Jestem wolny jak wiatr, co gnie czuby drzew. Nikt na mnie nie czeka.
- A ojciec, matka?
- Nie żyją, a mogły ich są daleko stąd, za Wielką wodą! Patrzyła na niego niemal z uwielbieniem.
- Pojedziesz za Wielką wodę?
- Chciałbym tam wrócić — rzekł Ryszard. Poprawił długiej kosmyk kruczych włosów dziewczyny, opadających jej na czoło — Ale nim tam wyruszę, najpierw odwiedzę wigwamy Seneków!
- Po co?... — zdziwiła się.
- Aby zobaczyć najpiękniejszy kwiat puszczy, córkę Czarnej Strzały, ciebie, Zorzo Ranna.

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej i czmychnęła w stronę rzeki. Patrzył za nią, aż znikła w zieleni krzewów. Wtedy odwrócił się z wolna i wszedł pomiędzy chaty wioski.

Koło południa znowu zadudnił miarowym rytmem bęben szamana. Dzisiaj dudnienie jego było inne, spokojne, kołyszące. Nagle tempo uderzeń wzrosło gwałtownie i zgasło jak gdyby stłumione potężną siłą.

Gdy Ryszard wchodził do chaty, Tecumseh nakładał akurat odświętny strój wodza. Zarzucił na ramiona wzorzystą opończę. Piękne legginy obcisły jego nogi, a w kruczych włosach tkwiły pęki orlich piór.

Przez uchyloną zasłonę w wejściu wigwamu widoczny był Plac Rady. Ściągała nań starszyzna plemion i rodów zamieszkujących wielkie przestrzenie pomiędzy jeziorem Erie a Maumee River. Wodzowie i szamani przychodzili na plac i siadali tworząc koło. Byli już wszyscy. W milczeniu czekali na Tecumseha.

• Chodźmy, oczekują nas najświetlejsi mężowie Szawanezów i zaprzyjaźnionych plemion — powiedział Tecumseh do Ryszarda.

- Jestem biały, wodzu, mogą mi nie ufać. Zostanę lepiej w wigwamie.

Tecumseh pokręcił głową.

— Nie! — rzekł stanowczo. — Jesteś mi potrzebny.

Wyszli obaj z wigwamu, zbliżyli się do Placu Rady i usiedli

w kręgu czekających. Oczy Tecumseha przebiegały po twarzach wodzów i szamanów. Obok Seneki, Czarnej Strzały, siedział wódz Pottawatomich Skrzydlaty Cień; nieco dalej sędziwy naczelnik Wyandotów — Skórzana Warg, wsławiony w licznych bojach z białymi; dąrej z dumnie podniesioną głową młody wódz Żuraw; stary naczelnik Miamisów<sup>s</sup> — Mały Żółw, oraz wodzowie i szamani Szawanezów: dobry Strzelec — syn rodzonej siostry Tecumseha; słynący mądrością szaman znad Scioto Ri-ver — Biały Włos; nieustraszony Kamienny Tomahawk; sławny tropiciel śladów Bystre Oko i niedościgły biegacz znad Bobrowego Strumienia — Lotny Płomień, wreszcie dobrotliwy i łagodny Przyjaciół Zwierząt... Tecumseh znał tych ludzi, cenił ich mądrość i życiowe doświadczenie. Było ich ponad pięćdziesięciu. Skupione, kamienne twarze i nic nie mówiące oczy. Ręce złożone na kolanach. Dostojnie panująca cisza.

Ryszard dyskretnie obserwował oblicza starszyny. Pełne zadumania stwierdził, że nie było wśród siedzących Elskwatawy — brata Tecumseha. Ponadto wokół Rady Starszych nie zgromadzili się wojownicy, kobiety i dzieci, jak to bywa w zwyczaju czerwonoskórych.

Tecumseh wyjął ze skórzanego woreczka kalumet i wolno z dostojnością napełniał go tytoniem. Oczy wszystkich patrzyły na tę rytualną czynność. A kiedy płomyk rozżarzył tytoni wódz Szawanezów powstał, zaciągnął się dymem ze świętej fajki i wydmuchał go uroczysto we wszystkie strony świata, w nieba i ziemię. Następnie powiódł oczyma po zgromadzonych i poi wiedział:

— Bracia, zwołałem was, bo na ziemię ojców i dziadów naszych nadciąga zagłada. Musimy radzić, musimy znaleźć ratunek dla naszych dzieci i kobiet, starców i wojowników, zapewnia prochom naszych przodków, spoczywającym w tej ziemi, ciszę i spokój. Biała zaraza jak groźna nawałnica zalewa nasz kraj! Tak jak słońce wiosną topi śnieg, tak czerwone plemiona muszą siłą oręza stopić potęgę białych ludzi i zniszczyć ich moc. Bracia, nadchodzi czas wielkiej próby! Zapalcie kalumet, aby! święty dym oświecił wasze umysły, a Manitou podsunął mądrą radę.

Wódz usiadł i podał fajkę sąsiadowi. Ten nie wstając wydmuchał dym i kalumet powędrował dalej. Starszyzna milczała, tylko oczy wszystkich wędrowały za fajką. Długo to trwało. Wreszcie kalumet trafił

do Kosa, a on przekazał ją z kolei Tecumsehowi. Wódz oczyścił fajkę, włożył ją do woreczka! który zawiesił na szyi. Wstał. Wyciągnął ręce ku słonecznej tarł czy na niebie i zaczął mówić:

— Bracia, Wielki Manitou stworzył słońce dla wszystkich ludzi. Ciepło jego promieni ogrzewa wioski czerwonoskórych plemion i kamienne miasta bladych twarzy. Manitou pragnął aby wszyscy ludzie ogrzewali się jego ciepłem, bo są dziećmi, tej samej ziemi. Ale Kanaha w swej złości zaszczerpił w sercach białych chciwość i nienawiść, dlatego bladym twarzom wciąż wszystkiego mało. Od wybrzeży Wielkiej Wody idą z zachodzącym słońcem, tratując po drodze wszystko. Giną całe plemiona czerwonych dzieci, padają zwierzęta i ptaki w puszczy| wycięte lasy odsłaniają nagie oblicze gleby, na której wyrastają wielkie miasta białych. Bracia, biali pragną wypędzić plemiona Szawanezów, Wyandotów, Seneków, Miamisów, Odżibwejów, Pottawatomich i wszystkie inne rody zamieszkujące tereny od jeziora Erie po Ohio, od Muskingum aż po Wabash River. A później, gdy po nas zostaną tylko zbezczeszczone kości zmarłych, zniszczą inne plemiona czerwonej rasy — Saków, Winnepagów, Ottawów, Czipewejów, Osedzów, a nawet Pawnisów, Da-kotów, Lisów, Czarne Stopy, Komanczów i wszystkich, wszystkich! — Wódz umilkł, ale jego słowa jeszcze dzwoniły w uszach słuchaczy. Twarz miał rozjaśnioną wewnętrznym podnieceniem. Szeroko rozwarte źrenice płonęły niespokojnym blaskiem. Gdy zaczął znowu mówić, głos jego dźwięczał metalicznie: — Bracia! nie wolno opuścić nam ziemi nad jeziorem Erie, nad Wabash, Muskingum i Ohio. To nasz kraj. Tu leżą prochy naszych dziadów, tu płynie nasze życie. Musimy bladym twarzom zagrozić drogę. Inaczej zginiemy! — Znowu przerwał i powiódł oczyma po kamiennych, zasłuchanych postaciach wodzów i szamanów. — Połączmy wszystkie ramiona czerwonoskórych braci. To. nic, że Szawanezi mówią innym językiem niż Senekowie czy Dakoci. Jesteśmy jednym narodem i cała ziemia jest nasza. Zaniechajmy międzyplemiennych waśni, a zjednoczeni zwyciężymy białych. — Przerwał. Odetchnął głęboko i prawą ręką wskazując na krąg siedzących dorzucił: — Mówcie! Tecumseh słucha waszych rad!

Wódz Szawanezów usiadł.

Pierwszy podniósł się Skrzydlaty Cięż i powoli cedząc każde słowo zaczął mówić:

— Z ust Tecumseha padły słowa prawdy. Gicze Manitou odwrócił od nas swoją twarz, bo zapominamy o zwyczajach naszych ojców. Nakładamy na siebie stroje białych, pijemy wodę ognistą, która niesie zło, gniew, głupotę i choroby. Na wzór białych pogardzać zaczynamy Nabash-cisa<sup>2</sup> i bez opieki pozostawiamy cienie zmarłych ojców i dziadów... Zginiemy wszyscy, jeśli nie wrócimy do obyczajów naszej rasy.

Wódz Pottawatomich skończył. Za nim podnosili się inni i mówili o krzywdzie i zbrodniach popełnianych przez białych, ° beżmiernym cierpieniu plemion, o wypieraniu czerwonoskórych z ich ziemi, o napadach żołnierzy i traperów na Indian polujących lub wędrujących w puszczy, o krwawych najazdach na wioski... Jedni żądali natychmiastowej walki, inni twierdzili, że, przyniesie ona nowe ofiary i ostateczną klęskę plemion.

Kiedy na Placu Rady zalegała cisza, a nikt z wodzów nie zabierał już głosu, Tecumseh wstał. Jego wysoka sylwetka zarysowała się w słońcu. Bogaty strój przyciągał oczy misternie haftowanymi wzorami, długie rzemieńne frędzle przetykane zwierzęcym włosiem chwiały się na obrzeżach opończy, gdy podniósł rękę i złożył ją na sercu. Z dłonią na piersi stał z podniesioną głową, z jego oczu biła nieustępliwość. Zaczął z pasją:

— Bracia! Na ostateczny bój z bladymi twarzami za wcześnie. Podjęcie walki teraz może przynieść tylko klęskę. Mądre są wasze rady. Musimy zjednoczyć nasze siły w jedną wielką federację. Zgromadzić broń i czekać na odpowiednią porę.

Między Unią a Agolaszima narastają nieporozumienia graniczne i handlowe, które rozstrzygnąć może tylko wojna. Gdy blade twarze zaczną walkę między sobą — ruszymy. Wówczas zwycięstwo będzie po naszej stronie.

Tecumseh mówił długo i gorąco. Jego piękna twarz i myślące oczy świeciły dumą, pewnością siebie i wiarą w zwycięstwo czerwonoskórych. Po nim zabrał głos Skórzana Wargę — sędziwy wódz Wyandotów, który od najmłodszych lat swego życia walczył w obronie leśnej ojczyzny.

— Bracia, biali są jak liście w puszczy, które jesienią niszczy mróz, ale wiosną wyrastają znowu. Nie zwyciężymy bladych twarzy. Wielki Pontiac — waleczny wódz Ottawów zjednoczył wiele plemion i podjął świętą wojnę. Wyandoci walczyli u boku

Ottawów pod rozkazami Pontiaci. Było to czterdzieści dwie zimy temu. Skórzana Warga liczył wówczas dwadzieścia pięć wiosen w niejednym boju brał udział, cieszył się z niejednego zwycięstwa. Ale w końcu pod Detroit przyszła klęska. — Stary wódz

umilkł. Jego twarz, poradłona wiekiem i trudami życia, była smutna. — Bracia — podjął znowu — zrozumcie, że Miczimalsa i Agolaszima są jak podwójne ostrza, które biali nazywają nożycami. Te dwa ostrza nie stępują się nawzajem, ale przetną to, co ugrzęźnie między nimi. Unia i Anglia to dwa ostrza nożyc, mogą toczyć z sobą wojnę, ale gdy my zaczniemy upominać się o nasze prawa do życia, wówczas ostrza te zwrócą

się przeciw nam. Powtórzy się klęska Pontiaci.

Plac Rady zaległa pełna napięcia cisza. Widać było, że wśród

Rady Starszych następuje rozłam, że część popiera dalekosiężne plany Tecumseha, a część uważa je za niewykonalne i wiodące Ho całkowitej zguby czerwonych plemion. Wtedy Ryszard Kos podniósł rękę do góry na znak, że chce mówić, i energicznie wstał. Oczy Indian zwróciły się w jego stronę.

Bracia — zaczął donośnym głosem — jestem wśród was, gdy na Placu Rady szlachetni wodzowie Szawanezów i ich pobratymcy: Wyandoci, Pottawatomi, Senekowie i Miamisowie, rozstrzygają losy czerwonoskórych ludów. Jestem biały, ale sercem i duszą łączę się z wami, bo chciałbym, aby nad tym pięknym krajem jezior i rzek, lasów i ukwieconych łąk, pełnych zwierzyny, świeciło zawsze słońce ciszy i szczęścia. Jedni z was pragną natychmiastowej walki, inni uważają, iż walka byłaby nadaremna. Posłuchajcie słów mądrego Tecumseha! Zjednoczcie wszystkie plemiona w jedną wielką federację, przygotujcie się i w odpowiednim momencie uderzcie. Zwycięzycie! Obronicie swój kraj przed dalszymi podbojami białych. Popatrzcie! Wokół wyrastają osady backwoodsmanów. Za parę lat nie będzie tutaj miejsca dla indiańskich plemion...

Długo jeszcze mówił, uzasadniał i przekonywał, a kiedy usiadł, podniósł się młody wódz szawaneski — Dobry Strzelec, syn rodzonej siostry Tecumseha, i podniesionym głosem, z młodzieńczą zapalczywością zawołał:

— Bracia, dość słuchania niedorzecznych słów. Biały człowiek, noszący imię Czerwonego Serca, opętał Tecumseha. Obaj zmącili umysły wielu spośród Rady Starszych. O, bracia! Któż zdoła zwyciężyć blade twarze zamknięte w kamiennych wigwamach? Czym synowie Manitou mają pokonać ogniste strzelby i ryczące armaty białych? Wojennym tomahawkim, łukiem czy może wieloma strzelbami? Bracia, nie dajmy się zwabić na niebezpieczne ścieżki, gdzie czyha zagłada...

Dobry Strzelec powiódł dumnym, wyzywającym spojrzeniem po wodzach i szamanach. Gdy siadał, tu i tam rozległy się szepty i głosy aprobaty.

Tecumseh zacisnął pięści. Wbił rozszerzone źrenice w twarz Dobrego Strzelca i miał właśnie zabrać głos, gdy rozległ się głuchy, rytmiczny stuk bębna. Było już około południa. Cienie wigwamów i niedalekich drzew były pękate i krótkie. Bęben dudnił, jego huk to przygasał, to wzrastał się. Nagle umilkł.

Wtedy z wnętrza wigwamów wysypali się wojownicy, kobiety i starcy, dzieci. Otoczyli siedzący krąg Rady Starszych.

Zadudnił znowu bęben, ale tym razem łagodnie, majestatycznie, miękko. Tłum rozstał się, przepuszczając z szacunkiem odświętnie ubranego szamana. Za nim podążał chłopiec. Ryszard rozpoznał go z łatwością — był to Aoru. Weszli obaj w krąg! siedzących, zatrzymali się na środku placu. Chłopiec pochylał się pośpiesznie nad stertą drewna przygotowanego na ognisko i skrzesał ogień. Płomyki poczęły lizać suche szczapy drzewa. Aoru stał obok i czuwał nad ogniem.

Szaman tymczasem powoli, majestatycznie przechodził obok siedzących członków Rady Starszych. W otworach maski, jaką miał na twarzy, błyskały czernią gałki oczne. Olbrzymi, drapieżnie zakończony nos, wypukłe policzki pomalowane w czerwone; i czarne paski, wykrzywione siwe wargi i dziwacznie zadarty] podbródek nadawały tej masce niesamowity wygląd. Na głowie; szamana sterczały bizonie rogi. Na nogach miał skórzane legginy, spod opończy, haftowanej w setki jakichś znaków, widać, było wzorzystą koszulę z wizerunkiem siedzącego niedźwiedzia. Na piersi chwiała się naszyjnik z kłów dzikich zwierząt i brzęczały muszelki nanizane na rzemieńne sznurki. W rękę trzymał, długą, misternie rzeźbioną laskę, zakończoną głową sowy.

Obszedł krąg siedzących, zatrzymał się przed Dobrym Strzelcem i spod maski wycedził jedno słowo:

— Zdrajca!

Szawanez zerwał się gwałtownie, ale szaman, odwrócony już do niego tyłem, odchodził wolno,

dostojnie. Młody wódz widząc surowe spojrzenie współtowarzyszy usiadł.

Głos bębna przeszedł w taneczny rytm. Krok szamana stał się posuwisty, kołyszący, ciało podrygiwało, wyginało się w takt? bębna. Dudnienie nabierało tempa i taniec szamana wokół ogniska stawał się coraz szybszy. Ludzie milczeli. Huk wibrował, w powietrzu, wpadał w puszcze i tam, pochwycony przez echo biegł od drzewa do drzewa w daleką głąb kniei.

Nagle huczenie bębna przycichło, w jego rytm wplótł się monotonny, przejmujący śpiew szamana.

Daj nam siłę, Manitou, daj siłę!  
Nie odwracaj swej twarzy! Nabash-cisa,  
potrzeba nam światła mądrości.  
Niech Kuku-kuru-too<sup>3</sup> rozlewa noc śmierci  
dla Miczi-malsa,  
dla Agolaszima,  
dla zdrajców.  
Oświeć myśli nasze, Nabash-čisa,  
i wskaż wielkiego sagamore<sup>4</sup>.  
O, Gicze Manitou, tinghaw susima!

Śpiew zgasł i umilkł bęben w świętej chacie czarodzieja. Zrobiło się cicho. Siedzące postacie członków Rady Starszych wyglądały jak wykute w skale. Poza kręgiem Rady stał milczący tłum wojowników, kobiet i dzieci. Wszyscy z napiętą uwagą obserwowali szamana. A on pochylił swą twarz okrytą maską nad dymem ogniska i wypowiadał jakieś zaklęcia, których nikt nie rozumiał. Potem nagle wyprostował się i niespodziewanie zdjął maskę.

Tłum zafalował. Przed nimi stał drugi Tecumseh! Twarz identyczna, to samo spojrzenie, wysokie czoło, orli nos...

Ryszard Kos zrozumiał intencje Skaczącej Pumy. Nie wszyscy bowiem wiedzieli o powrocie bliźniaka — Elskwatawy. Wódz - postanowił wykorzystać zdobytą przez brata wiedzę o białych dla własnych, patriotycznych celów.

Szaman wyciągnął totemową<sup>6</sup> laskę i zatoczył nią krąg.

— Wielki Manitou wiódł moje kroki ścieżkami białych — zaczął uroczyście. — Poznałem ich języki i tajemnicze moce. Wiem, czego się lękają, wiem, jak można ich łatwo zwyciężyć. Kiedyś pod koronami Trzech Wiązów, niedaleko Niagary, gdy odpoczywałem, przemówił do mnie ta-wah<sup>7</sup> płynący nisko nad ziemią. Wiecie, bracia, co mi powiedział? — Szaman pytająco rozejrzał się dookoła. Widział zaciekawione twarze. — Przez usta ta-wah przemówił Gicze Manitou — podjął znowu. — Wyjawił mi, że pod totemem sowy żyje wielki Szawanez, który uwolni czerwonych braci od najazdu białych twarzy, że zbliża się dzień walki i zwycięstwa. Ale żądał jedności plemion i powrotu do starych obyczajów. Kto nie usłucha głosu Manitou — jest zdrajcą, a zdrajca musi zginąć. — Umilkł na moment i popatrzył znacząco w stronę Dobrego Strzelca. — Bracia, Tecumseh<sup>8</sup> wypełnia wolę Gicze Manitou! Usłuchajcie go! Mówi wam o tym Elskwatawa, szaman wszystkich czerwonych plemion. Popatrzcie na moją twarz i na twarz Tecumseha! Stało się to za sprawą

Nabash-cisa, bo taka była wola Manitou. — Oczy siedzących! prześliznęły się po twarzy szamana i zwróciły na Pumę Gotową! do Skoku. Wodzowie i szamani z powagą pochylili głowy na znak potwierdzenia dostrzeżonego podobieństwa. A szaman ciągnął dalej: — "Bracia! Przed laty Manitou wybrał na wybawcę S czerwonoskórych bohatera Pontiac. Wspominaliście jego imię i czyny. Wiecie, dlaczego poniósł klęskę pod Detroit? Wiecie, dlaczego tak się stało? — głos szamana był donośny, surowy. — Córka Odźbwejów porzuciła Gicze Manitou, przyjęła obyczaje białych i Gładwynowi, naczelnikowi Detroit zdradziła plany czerwonoskórych mężów. Dlatego Pontiac przegrał, a był o krok od całkowitego zwycięstwa. Hańba zdrajczyni! Hańba zdrajcom! — Szaman zrobił krok w stronę Dobrego Strzelca, a potem na moment zatrzymał swoje oczy na siwej głowie Skórzanej Wargi. Podniósł w górę ramiona i mocnym głosem zawołał ku słońcu: — O, Gicze Manitou! O, Gicze Kanaha, który uczyniłeś ze mnie szamana, a Tecumsehowi każesz wyprowadzić czerwone plemiona z okrutnej niewoli białych twarzy, otwórz oczy i uszy wodzów, szamanów i wojowników, kobiet i starców, niech uwierzą w twoją wolę wypowiedaną ustami Elskwatawy...

Szaman zastygł jak posąg z wzniesionymi w niebo ramionami, duża skrzydlata rzeźba sowy na totemowej lasce wskazywała oślepiającą tarczę słońca. Trwało to ułamek chwili. Zawarczał znowu bęben. Jego głuchy, uporczywy, ostry warkot wdarł się w ciszę wioski.

Elskwatawa opuścił ręce i przykrył twarz obrzędową maską. Tanecznym krokiem obiegł ognisko i na

jeden moment pochylił się z totemową łaską nad złotymi językami ognia. Szybko od-o skoczył i wbił łaskę w ziemię. Sam runął na kolana i zgiął się w pokornym ukłonie.

W rozwartym ku górze dziobie sowy rozpościerającej swe; skrzydła do lotu rozległ się świszający syk. Oczy wszystkich i zwróciły się na czarodziejską łaskę szamana. Wtem z wnętrza' wyrzeźbionego ptaka strzeliły w górę snopy kolorowych iskier — czerwonych, zielonych, niebieskich, złotych — i kaskadą barwnego deszczu poczęły wolno opadać na Plac Rady.

Zdumienie i strach rozwarły źrenice czerwonoskórych. Runęli wszyscy twarzami do ziemi. Nawet świątły Tecumseh nisko pochylił czoło. Ryszard postąpił podobnie. Słysząc było jedynie warkot bębna i przyśpieszone oddechy Indian. Nagle dudnienie milkło. W ciszy rozległ się spokojny głos szamana:

Podnieście, bracia, swe oblicza. Elskwatawa oddaje głos Tecumsehowi, wybrańcowi Manitou.

Podnosili się z wolna, jeszcze przestraszeni niezwykłym zjawiskiem, i siadali na dawnych miejscach. Wojownicy, starcy, kobiety i dzieci poszli w ich ślady. Wszyscy z głębokim podziwem patrzyli na Elskwatawę, który przed chwilą pokazał im swą nadprzyrodzoną potęgę. Byli pewni, że to Manitou dał im widomy znak swej łaski. Nikt bowiem z mieszkańców wioski nie znał sztucznych ogni, które Elskwatawa przywiózł z odległych miast białych ludzi.

Ryszard był zaskoczony przebiegłością Tecumseha. Czymże miał przekonać luźno związane ze sobą rody i plemiona puszczy?

Tymczasem Elskwatawa, wsparty na lasce, majestatycznie podszedł do Skaczącej Pumy. Usiadł po jego prawej stronie. Tecumseh podniósł do góry pęk czerwonych strzał obwiązanych czarnym wampumem wojny, do których przytwierdzony był tomahawk, i z powagą wypowiadał słowa:

— Bracia, oto godło Tajnego Związku Oporu. Kto podejmie ten znak, jest z nami, kto odrzuci — jest przeciw czerwonym braciom. Hugh! — i sam postąpił na środek placu. Zsunąwszy z lewego ramienia opończę obnażył rękę. — Bracia! — zawołał raz jeszcze. — Jako pierwszy wypełniam wolę Manitou. Przyjmuję godło Związku Oporu i przysięgam na prochy dziadów, że nie opuszczę ziemi ojców. — Błysnął nóż w dłoni Tecumseha, z naciętej na przegubie ręki spłynęła krew. Jej krople spadły na ziemię. Wódz Szawanezów zbliżył się do Ryszarda i położył u jego stóp pęk czerwonych strzał z uwiązanym tomahawkiem. W milczeniu usiadł na swoim miejscu obok Elskwatawy.

Kos wstał.

— Jestem z wami, czerwoni bracia — oświadczył, podniósłszy Znak Oporu. — I pozostanę z wami do końca. Wasza sprawiedliwa walka jest moją walką. Niech przyniesie zwycięstwo czerwonoskórym synom tej ziemi. — I on obnażył lewe ramię i naciął przegub ręki, a kiedy kilka kropel krwi wsiąkło w ziemię, Podszedł do siedzących i złożył godło Związku Oporu u stóp czarnej Strzały — wodza Seneków.

Znowu powtórzyła się ceremonia. I tak po kolei do Związku Oporu przystępowali wodzowie i szamani Szawanezów, a z przykładem Czarnej Strzały poszedł sędziwy wódz Wyandotów — Skórzana Warg, młody wódz Żuraw, naczelnik Pottawatomich Skrzydlaty Cień i ponury wódz Miamisów Ostry Nóż.

Kiedy Szawanez, Lotny Płomień, znakomity biegacz z rodu Wikminców znad Scioto River, położył Znak Oporu u stóp Dobrego Strzelca, ten nie poruszył się z miejsca. Zgorszona spojrzenia członków Rady Starszych zmusiły go do powstania!

— Dobry Strzelec nie lęka się walki, ale nie przystąpi do Związku Oporu. Taka jest moja woła. Hugh! — powiedział zdławionym głosem.

Zaległa cisza. Młody wódz nie dotykając pęku czerwonych strzał wyszedł z kręgu Rady Starszych. Spytał Tecumseha:

— Czy sagamore Szawanezów uważa Dobrego Strzelca za zdrajcę?

Przez szeregi skupionych wokół Rady Starszych wojowników przebiegł szmer zaskoczenia.

Elskwatawa pochylił się do ucha Pumy Gotowej do Skoku i szepnął:

— Nie pობłażaj! On może przynieść zagładę. Ukarz go śmiercią.

Tecumseh surowo spojrział na młodego wodza. Nozdrza zadrgały mu gniewem.

— Kujoty nocą nie podchodzą do obozowych ogni, bo trzyma je na uwięzi lęk. Jesteś stepowym kujotem — synu mej rodzonej siostry. Idź precz z ziemi naszych ojców i dziadów! Może nad daleką Missouri, w kraju Osagów lub Kiowa, znajdziesz przyjazne tipi. Ale gdy choć jedno słowo zdrady wypłynie z twoich warg, zginiesz! Hugh!

Grobowa cisza zaległa płac. Dobry Strzelec otworzył usta chciał coś powiedzieć, zobaczywszy jednak wbite w siebie czarne, przenikliwe źrenice Tecumseha, w milczeniu opuścił Radę Starszych. Wszedł w

tłum wojowników. Pytał, kto chce z nim opuścić wioskę. Nikt mu nie odpowiadał. Ruszył więc do swego wigwamu.

A na Placu Rady wstał z kręgu siedzących smukły Przyjaciela Zwierząt i podjął godło Związku Oporu. Za jego przykładem poszli inni.

Kiedy ostatni wódz złożył krwią usświęcone zaślubiny z ziemią ojców i Związkiem Oporu, wstał Tecumseh. Widać było, że jest przekonany o słuszności planów, choć zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej znaleźli się czerwonoskórzy.

Bracia — powiedział z mocą — oto rozpoczynamy trudne dzieło odnowy. Podejmujemy wielki czyn, który przyniesie szczęście czerwonym plemionom. Stolicą naszego Związku Oporu czynię źródła Tippecanoe. Tam powstanie Niezdobyte Miasto Wielkiego Ducha...

Jeszcze długo radzili nad organizacją wolnościowego ruchu, zobowiązali się wrócić do indiańskich obyczajów oraz pod żadnym pozorem nie sprzedawać białym ziemi ani nic od nich nie kupować — z wyjątkiem strzelb, ołowiu, prochu, siekier i noży. Słońce przetoczyło się już dawno przez szczyt nieba, gdy mieszkańcy wsi Szawanezów zasiedli do uczy. Była to uroczysta biesiada, bowiem rozpoczynała nowy rozdział dziejów czerwonoskórych plemion nad Wabash River.

## INTRYGI TRAMPÓW

W dwa dni później Ryszard Kos wyruszył do Vincennes, aby złożyć rezygnację z dalszej służby leśnego kuriera armii amerykańskiej. Chciał tę sprawę załatwić formalnie. Lubił jasne sytuacje. Mógł wprawdzie nie pojawić się więcej w Vincennes i wieść życie wolnego trapera, bo angaż zawarty z nim przed dwoma laty wygasł. Ryszard jednak wołał osobiście złożyć gubernatorowi Harrisonowi meldunek o ostatnich zajściach. Ograbiony na leśnej polanie z powierzonej w Detroit listowej przesyłki, obawiał się, że może być posądzony o dezercję lub zdradę.

Z Kosem wyruszyło pięciu Szawanezów, którzy mieli dokonać zakupu broni. Wieźli ze sobą spore ilości świetnie wygarbowanych skórek dzikich zwierząt oraz pokaźną sumę pieniędzy. Ryszard był zdumiony, gdy Tecumseh ze skrytki w swoim wigwamie wydobyl plik amerykańskich i angielskich banknotów.

— To zdobycz spod Zapory z Pni — wyjaśnił wódz. — Tecumseh w czasie bitewnego zamieszania zdobył tę paczkę papierów, które biali nazywają pieniędzmi. Dzisiaj zamienimy je na broń, a Czerwone Serce pomoże Szawanezom przy załatwianiu handlowych transakcji.

Taki był cel podróży do Vincennes.

Gdy Ryszard opuszczał wraz z pięcioma wojownikami wieś; gońcy Tecumseha i JSlskwatawy ponieśli do okolicznych plemion znaki Związku Oporu, a sam wódz z całym plemieniem pociągnął do źródeł Tippecanoe.

Na rączych koniach, obładowanych- pękami skórek, podróźni zanurzyli się w prawieczny bór. Ledwie minęli kilkanaście pni leśnych olbrzymów, spoza krzewów wybiegła dziewczyna. Ryszard zatrzymał konia. Był mile zaskoczony. To Zorza Ranna wyciągała do niego rękę z pięknie haftowanym wampumem.

— To dla ciebie, Czerwone Serce — szepnęła, a twarz jej spłonęła rumieńcem. — Niech ten wampum chroni cię od nieszczęścia, a pamięć twoja niech będzie przy mnie.

Ryszard uśmiechnął się ciepło.

— Dziękuję.

Wziął pięknie wyhaftowany biało-zielony wampum z symbolami plemienia Seneków i zawiesił go na szyi.

- Z Vincennes przywożę ci sznur błyszczących koralii. Dobrze?
- Mey-oo!<sup>1</sup> — szepnęła uradowana i spuściła oczy, a po chwili dodała nieśmiało: — Kiedy wrócisz?

- Może za dziesięć dni, może szybciej... Będziesz w wiosce Seneków?

Skinęła głową. Ryszard patrzył na jej delikatną twarz, okoloną czarnymi splotami starannie uczesanych włosów. Wyciągnął rękę. Uścisnął serdecznie jej delikatną, drobną dłoń.

- Wróć. Czekaj na mnie, Zorzo.

- Mey-oo — szepnęła radośnie.
- Bywaj! — Kos dotknął piętami boków konia i pognął za Szawanezami, którzy już dawno zniknęli wśród drzew.

- Bywaj! — słyszał za sobą miękki głos. Czuł na sobie spojrzenie czarnych oczu dziewczyny.

Po chwili dopędził Indian. Przyśpieszyli kroku. Konie były wypoczęte, szły rażno. Po południu dotarli do Maumee River i przeprawili się na jej lewy brzeg. Pod wieczór rozbili obóz. Noc minęła im spokojnie.

Ledwie zaświtało, byli już na nogach. Ruszyli przez puszcze. Fort Vincennes rozłożył się nad Wabash River. Rzeka jednak

toczyła swe wody najpierw na zachód, a później olbrzymim ługiem skręcała na południe ku Ohio, nie podążali więc wzdłuż niej, ale przecinali knieję, skracając w ten sposób drogę prawie o połowę.

Piątego dnia podróży, gdy słońce już dawno zaszło, zatrzymali się nad White River, prawym dopływem East Fork. Wieczór roziskrzył gwiazdami niebo. Zebrali opał, rozpalili ognisko. W pobliżu spętane konie skubały soczystą trawę. Zasiedli do posiłku. Cicho rozmawiali. Jutro mieli być już w Vincennes.

Nagle mustangi zaczęły niespokojnie parskać. Kos i Szawanezi wymienili porozumiewawcze, ukradkowe spojrzenia. Rozmawiali cicho czujnie nasłuchując. Co zaniepokoiło konie: wilk podchodzący pod obozowisko, czarny niedźwiedź czy człowiek?

Jeden z Szawanezów, Ciężki Mokasyn, podniósł się, wziął skórzany worek.

— Przyniosę wody z rzeki — powiedział głośno.

Zachowywali się tak, jakby nie zwrócili uwagi na odejście

towarzysza, ale byli gotowi w każdej sekundzie odskoczyć od ogniska w cień i przywrzeć do ziemi.

Ciężki Mokasyn zszedł nad wodę i zginął w mroku nocy. Konie uspokoiły się. Obóz rozłożono w wygodnym, bezpiecznym miejscu. Od zachodu osłaniała go rzeka, od strony lasu łąka. Jednak w blasku ogniska siedzący byli dobrze widoczni. Wystarczyło wspiąć się na jedno z drzew okalających polanę lub pod-czołgać się wśród wysokich traw, a każda kula czy strzała mogła dosięgnąć obozujących.

Długo nie wracał Ciężki Mokasyn. Penetrował teren wokół obozu, a zachowywał się tak cicho, że siedzący przy ognisku nie słyszeli żadnych odgłosów jego bytności. Wrócił wreszcie z workiem pełnym wody.

- Ciężki Mokasyn nie znalazł nic — szepnął. — Kanaha<sup>2</sup> okrył mrokiem wszystko.

- Sądysz, że to wilk? — spytał Kos.

- Nie, to nie muhikons<sup>3</sup>.

- Ludzie?

- Nie wiadomo, co zaniepokoiło konie — wtrącił się do dyskusji Niedźwiedzi Pazur. — Uważam jednak, iż trzeba na wszelki wypadek przygasić ogień.

- O świcie sprawdzimy przyczyny niepokoju mustangów 9 dodał Długi Wąż. — Dzień pokaże naszym oczom ślady.

- Ale nocą wiele może się zdarzyć — zabrał głos Ryszard. — Musimy wzmoczyć czujność, przecież wieziemy duży majątek Proponuję dwóch strażników: przy koniach i przy śpiących.

- Ugh! — zgodzili się Indianie.

Ustalili kolejność nocnych wart i sprawdzwszy jeszcze rai konie, owinięci we wzorzyste indiańskie derki pokładli się spać z bronią u boku.

Czas upływał spokojnie. Nic podejrzanego się nie działo! Ostatnią wartę przed świtem mieli pełnić Ryszard i Ostry Nóż Obudzeni, podnieśli się obaj. Kos przeciągnął się rozespany, chwycił strzelbę i usiadł w pobliżu koni. Ostry Nóż także zająć wyznaczone stanowisko.

Ugwieżdżone niebo stopniowo bladło. Nad rzeką zaczęła podnosić się mleczna mgła. Woda w korycie bulgotała. W poświacie księżycy czasami nad obozem przemknął z krzykiem puszczyk — zwiastun nieszczęścia.

Ryszard wszedł na niewielki pagórek porośnięty bujną i soczystą trawą. Usiadł. Wtedy właśnie usłyszał szmer. Konie zaparskały. Kos nastawił uszu. Niczego nie mógł dostrzec, bo noc i mgła zakrywały wokół wszystko. Nawet sylwetki koni ginęły w oparach mgły.

Szelest powtórzył się. Upłynęło jeszcze kilka chwil i na pagórku, gdzie czuwał Kos, ukazała się rozmazana we mgle ludzka sylwetka. Przez ułamek sekundy patrzyli zaskoczeni, a potem niemal równocześnie skoczyli ku sobie. Chwycili się za ramiona; przewrócili na ziemię, i potoczyli po pochyłości. Wtem napastnik wyrwał się z uścisku Kosa, błyskawicznie poderwał się i znikł w gęstej



mgle. Ryszard pobiegł za nim. Słyszał pośpieszny tupot nóg uciekającego i szelest trawy. Potem wszystko ucichło.

Kos zawrócił. Dalszy pościg był niebezpieczny. Szedł czujnie, wbijając wzrok w mleczny opar. Nagle znów wyrosła przed nim jak duch, postać ludzka. Ryszard sięgnął do pasa po nóż i cofnął się o krok.

— Psss! — usłyszał szept. — Co się stało, biały bracie?

To Ostry Nóż, zaniepokojony odgłosami szamotaniny i pościgiem, zjawił się przed Kosem. Ryszard w paru słowach powiedział, co zaszło.

— Zbadam pagórek — powiedział Indianin — a Czerwone Serce niech zbudzi śpiących. Mgła sprzyja napadowi.

W parę chwil potem wszyscy byli na nogach. Zorientowani w sytuacji, sprawdzili broń i postanowili zwijać obóz.

Wrócił Ostry Nóż. Skupili się wszyscy wokół niego, zaciekawieni, czy odnalazł jakieś ślady.

— Pod obóz podchodził biały człowiek — relacjonował Indianin. — Widziałem odcisnięty ślad twardego mokasy. Znalazłem też traperski nóż. Musiał go zgubić, gdy szamotał się z Czerwonym Sercem. — Podał zdobycz Kosowi.

Ryszard uważnie przyglądał się ostrzu. Było długie, przypominało raczej sztylet niż zwykły myśliwski nóż. Drewniany trzonek świetnie pasował do ręki. Widniały na nim niezdarnie wycięte inicjały: JC.

Nagle Kos doznał olśnienia. Ta twarz zamazana mgłą, która pojawiła się przed nim na pagórku, była mu jakby znana. A może się mylił?

— Nad czym biały brat myśli? — spytał Niedźwiedzi Pazur.

Ryszard wskazał na wycięte inicjały.

— Zastanawiam się, czy to nie był jeden z tych, którzy chcieli ograbić z futer Wysokiego Orła i Ostrego Krzemienia, a potem ciężko mnie zranili na leśnej polanie i okradli z tajnej przesyłki. A jeśli moje przypuszczenie jest słuszne, to możemy być pewni, że Connel nie był tu sam.

Zaległo milczenie.

• To ważne odkrycie — przerwał je Niedźwiedzi Pazur. — Mgła nie pozwalała dokładnie zbadać lasu. To oni wywołali wieczorem niepokój koni. Pod osłoną mgły chcieli podejść pod obóz. Mają jakieś złe zamiary wobec nas. Uważam, że trzeba natychmiast ruszyć w drogę.

• Ugh!

• Ale musimy mieć się na baczności — rzucił Kos. — Zostawimy tylną straż.

Pod osłoną mlecznych oparów opuścili obóz, zachowując całkowitą ciszę. Mrok rozplywał się w rannym świetle. Mgła z wolna rzedła i stawała się mniej dokuczliwa. Kos schował znaleziony nóż do podróźnej torby. Ciągle wracał myślą do Connelów i Guntera. Chętnie zostałby w lesie, aby spotkać się z tymi łotrami. Nie wierzył w odzyskanie listowej przesyłki, ale miał nadzieję odebrania swojej własności — strzelby, traperskiego ekwipunku i wielu pamiątkowych drobiazgów. Nie mógł jednak zająć się prywatnymi sprawami. Miał poważne zobowiązania wobec Indian. Uratowali go od niechybnej śmierci. Chciał im pomóc pozałatwiać handlowe transakcje. Mogli wprawdzie sami kupić parę strzelb, ale większej ilości broni nie wolno było czerwonoskórym sprzedawać. Zaprzątnięty własnymi myślami, nie spostrzegł Długiego Węża, który nagle zjawił się przy nim. Dopiero gdy Szawanez trącił Kosa, ten otrząsnął się z rozmyślań.

• Biały brat myśli o swoich wrogach? — zapytał Indianin.

• Zgadłeś, Długi Wężu.

• Wróciłem z tylnej straży. Zastąpił mnie Rogaty Łoś. Ryszard wyczuł coś intrygującego w głosie Indianina.

— Długi Nóż ma nowe wiadomości o człowieku z obozowiska nad White River?

Szawanez przytaknął. Jechali obok siebie. Podążali przetartym przez puszcze szlakiem, wiodącym z Louisville do Vincennes. Konie szły dość szybko. Pogodny dzień sypał promieniami słońca. Po rannej mgle nie pozostało ani śladu.

• Idzie naszymi śladami dwóch ludzi — powiedział Wąż.

• Widziałeś ich?

• Widziałem i podsłuchałem.

• Mów! — ponaglił go Kos.

• Jeden jest młody, drugi starszy. Używają imion: Jerry i Johann,

- To oni! — zawołał Kos.
  - Idą za nami od dawna. W rozmowie nie zdradzili swych planów.
- Dziękuję ci, Długi Wężu. To dla mnie bardzo ważne.

Nie zatrzymali się na południowy posiłek. Nie zsiadając z koni wydobyli z juków placki z kukurydzianej mąki i nimi zaspokoili głód. Słońce zapadło już poza drzewa puszczy, gdy dotarli pod Vincennes. Tutaj, na uboczu, w odpowiednim miejscu, Indianie rozbili obóz, a Ryszard Kos i Niedźwiedzi Pazur wyruszyli do fortu.

Przed zapadnięciem zmierzchu znaleźli się w domu Kazimierza Maty — przyjaciela Kosa, Polaka, który urodził się już na ziemi amerykańskiej, ale jego przodek, Jan Mata, wraz z czterema innymi Polakami przybył na tę ziemię na pokładzie żaglowca „Mary and Margaret” w dniu 1 października 1608 roku z pierwszymi kolonistami angielskimi, o czym zawsze Kazimierz z dumą wszystkim opowiadał.

Kazimierza zastali w domu. Przyjął Ryszarda z wylewną radością. Uściskom nie było końca. Szawanez stał i patrzył z odrobiną zgorszenia na ten wybuch czułości białych mężów. Potem zasiedli do kolacji. Żona Kazimierza, młoda kobieta o dźwięcznym imieniu Jenny, obficie zastawiła stół. Potoczyła się rozmowa, początkowo w języku angielskim, później po polsku. Niedźwiedzi Pazur siedział i milczał.

Kiedy nagadali się obaj do syta, Ryszard przeszedł do interesów.

— Mam ważną sprawę do załatwienia. Potrzebuję sto strzelb, tyle samo siekier i dobrych noży myśliwskich — powiedział po angielsku, aby Szawanez rozumiał. — Poza tym chciałbym kupić większą ilość prochu i ołowiu.

Kazimierz o nic nie pytał. Od wielu lat zajmował się handlem. Dobrze wiedział, że kupca powinien interesować tylko zysk. Zresztą, obaj byli tak zaprzyjaźnieni, że Mata propozycje handlowe przyjął bez zastrzeżeń, choć obecność Indianina wskazywała bez wątpienia, dla kogo przeznaczona będzie broń.

- Czym płacisz?
- Pieniędzmi i futrami.
- Dobrze. Kiedy chcesz zabrać towar?
- Choćby jutro.
- Masz szczęście, bo parę dni temu dostałem duży transport nowiutkich sztucerów. Rano załatwię sprawę w faktorii<sup>4</sup>.

Omówili jeszcze cenę oraz dalsze dostawy broni i poszli spać. Rankiem Mata z Niedźwiedzim Pazurem udali się do składów faktorii, zaś Kos do gubernatora Indiany — generała Harrisona.

Po długim wyczekiwaniu został zaproszony do gabinetu. Wszedł, i jak zwykle służbiście zameldował swoje przybycie. Gubernator spoczywał w głębokim, skórą obitym fotelu. Obok z nogą założoną na nogę siedział major Dawis, z którym Kos kiedyś szukał nad Sandusky River ukrytych przez żołnierzy pieniędzy. Harrison długo milczał, jedynie oczy jego, pełne surowego wyrazu, uważnie patrzyły w twarz Ryszarda.

Generał William Henry Harrison był mężczyzną **młodym** Liczył dopiero trzydzieści dwa lata. Wysoki, szczupły, **ale** świetnie zbudowany, o ogorzalej twarzy, słynął z odwagi i szlachetności. Milcząc zachęcającym gestem wskazał Kosowi krzesło.

— Siadajcie! Ciekaw jestem, co nam powiecie. Sądziłszy, że nikt was już więcej w Vincennes nie zobaczy.

Ryszard Kos wyczuł w jego głosie wyraźną niechęć. Usiadł na krześle i spojrzał w stalowe oczy Harrisona. Wtedy zahuczał basowy głos majora:

- Broni przy sobie nie macie, sir?
- Jeżeli mój nóż myśliwski u pasa uważacie za niebezpieczną broń, mogę go złożyć w wasze ręce, majorze Dawis.

Słowa Kosa zadzwoniły szorstko. Zrozumiał, że w czasie **gd**y ciężko ranny leżał w wigwamie Szawanezów, tu musiały zajść niekorzystne dla niego zmiany. Dotychczas bowiem Harrison darzył go nieklamana sympatią i zaufaniem.

Major Dawis, niski, opasły, czterdziestokilkuletni mężczyzna o rozlatanych oczach z ironicznym uśmiechem odpowiedział:

- Nóż w rękę leśnego trampa bywa niebezpieczny.
- Nie jestem leśnym włóczęgą — rzekł twardo Kos. — **Ale** jeżeli takie życzenie, proszę! — Wstał, podszedł do stołu gubernatora i położył nóż na czarnym blacie. — Panie generale — zwrócił się wyraźnie tylko do Harrisona — przybyłem do Vincennes po długiej chorobie, aby wyjaśnić pewne przykre wypadki. Nie spodziewałem się jednak, że zostanie potraktowana w ten sposób.

Generał nie spuszczał oczu z Kosa. Powiedział oschle:

— No to słucham, siadajcie i mówcie. A wy, Dawis, nie wtrącajcie się.

Kos opowiedział całą historię swojej znajomości z Connelami i Gunterem. Mówił dokładnie, ale krótko i rzeczowo. Gdy skończył, Harrison otworzył szufladę i wyjął kopertę.

— Spójrzcie, czy to ten list zabrali wam trzech trampy na leśnej polanie?

Ryszard pochylił się nad kopertą.

- Tak, to ta sama przesyłka.
- Znacie jej zawartość?
- Skądże mogę znać? — zachnął się urażony.

Harrison otworzył kopertę i podsunął mu drobniutkim pismem zapisaną kartkę.

- Ta przesyłka przeznaczona była dla władz kolonii angielskich. A jej treść świadczy o szpiegostwie. Czyżby nasz szanowny sir Kos służył Unii i Anglii jednocześnie?

- A może tylko czerwonoskórym? — dorzucił złośliwie Dawis.

Kos oblał się purpurą. Zerwał się z krzesła.

— Nie jestem szpiegiem! A czerwonoskórych darzę sympatią, to prawda, majorze Dawis. Gdyby nie oni, dawno leżałbym w ziemi.

- Nie interesuje was, jaką drogą ta przesyłka trafiła do Vincennes? — spytał gubernator.
- Ani trochę. Wnioski są proste: trampy.
- Słusznie. Był tu Johann Gunter i Jerry Connel. Wasza opowieść częściowo pokrywa się z ich relacją. Tylko że oni strzelali do was w obronie własnej. Zabiliście przecież starego Tomasza Connela.

- Za cóż miałbym go zabijać?
- Odkrył waszą podwójną grę.
- To kłamstwo!
- A jednak Tomasz Connel nie żyje. Czym wytłumaczycie jego śmierć?

Kos jak przez mgłę ujrzał kwiecistą polanę z powalonym pniem leśnego olbrzyma. Przypomnił sobie twarze napastników. Tak, padając strzelił. Ale czy trafił?... W kogo mierzył?... Nie, nie mógł sobie przypomnieć.

- Pamiętam, że trafiony ich kulą strzeliłem. Nie wiem jednak do kogo. Może ten właśnie pocisk trafił biednego Tomasza...

- Wy nie posiadacie świadków, a trampy posiadają, i dlatego trudno wam uwierzyć.
- Ciekawe, kim są ci świadkowie.
- To traper znad Wąskiej Strugi, Otto Watter.

— Pewnie taki sam łotr jak Gunter i Connelowie.

Harrison zastukał palcami po blacie stołu. Siedział zamyślony.

— Zamknąć tego ptaszka, panie gubernatorze! — rzucił Dawis.

Oczy Ryszarda Kosa zwężyły się, a szczęki zwarły się mocno, aż na policzkach nabrzmiały mięśnie. Powiedział do majora sucho:

— Strzeż się, by kroki moje nie zaczęły dążyć twoim tropem. Kto wie, co wówczas znajdę... — Zwrócił się do Harrisona: — Panie generale, uknute przez trampów intrygi nie mogą być podstawą do oczerniania mojej osoby. Kto zaręczy, że do ukradzionej koperty nie włożono kompromitujących mnie materiałów. Dlaczego moje słowa, kuriera armii Unii, poddawane są w wątpliwość, a leśnych włóczęgów — nie? Proszę...

Harrison podniósł rękę. Kos umilkł.

— Sprawa jest zbyt skomplikowana — powiedział generał łagodniej. — Z Detroit przyniesiono mi parę dni temu meldunek podpisany przez Harry'ego Diksona. Podstępnie wypuściliście groźnych więźniów.

Ryszard z uśmiechem przerwał:

- Panie gubernatorze, w czasie pobytu mojego w Detroit uciekło z lochów trzech Indian z plemienia

Seneków. I tyle. Wątpię, czy to byli groźni więźniowie. A Dikson pewnie posiada takich samych świadków przeciwko mnie, jak Gunter i Connel.

- Być może. Ale ostatnio mam kłopoty z wami, sir Kos] Dotychczas służyliście nienagannie. Coś nasza współpraca zaczyna się psuć.

- Panie generale, za dwa tygodnie wygasa moja umowa o pracę. Ponieważ po ostatnich ranach czuję się nie najlepiej proszę o zwolnienie mnie ze służby z dniem dzisiejszym.

- A gdybym nie wyraził zgody?

- Odejdę sam. Straciłem zaufanie pana oraz licznych oficerów Unii. W takiej sytuacji nie mogę pełnić dalej żadnych obowiązków.

- Pójdziecie do Anglików, hę? — zadrwił Dawis.

Kos milczał. Jedynie przez twarz przemknął mu lekceważący cień. Do majora odwrócił się bokiem.

- Co będziecie robili? — spytał generał.

- Zostanę wolnym strzelcem. Faktorie potrzebują futer.

— Zamknąć go, panie gubernatorze! — podsuwał Dawis.

Harrison milczał. Wstał po chwili i podszedł do Kosa.

— Zarzuty o szpiegostwo są poważne, ale brak mi pełnych dowodów. Gunter i Connel to obieżyświaty, trudno im ufać. Was znam z uczciwości. Przyjmuję waszą rezygnację ze służby.

To będzie najlepsze wyjście. — Uśmiechnął się ciepło. — Żegnam was, sir Kos.

- Dziękuję. — Ryszard podszedł do stołu i zabrał swój myśliwski nóż. Skłonił się gubernatorowi, nie spojrzawszy nawet na tłustą twarz majora Dawisa.

- Wstąpcie do rachuby i zabierzcie swój ostatni żołd — zawołał Harrison za odchodzącym.

Kos wybiegł z rezydencji gubernatora. Był zdenerwowany, nie wstępując nigdzie wpadł do domu Kazimierza Maty. Leżał na posłaniu i pogrążył się w rozmyślaniach. Zaczął wiązać fakty i spostrzeżenia. Sprawa stała się prosta. Podczas walki na leśnej polanie kula musiała dosięgnąć starego Connela. Zginął od razu albo zmarł od rany. Jerry Connel i Johann Gunter w jakiś sposób dowiedzieli się, że Kosa uratowali Indianie. Uknuli więc intrygę. Ponadto bojąc się o własną skórę, poczęli go tropić, aby ostatecznie pozbyć się niebezpiecznego przeciwnika.

Rozważając zaistniałą sytuację usnął. Obudził go Mata, który wrócił do domu po załatwieniu sprawy kupna broni. Było już południe. Indianie zakupiony towar, opakowany tak, aby nie zwracał uwagi, przetransportowali do obozu pod Vincennes. Czekali na Kosa.

Ryszard opowiedział swoje perypetie Kazimierzowi Macie, zjadł w gościnnym domu obiad, omówił dalsze dostawy broni dla Szawanezów oraz udał się po zaległy żołd. Pobrawszy pieniądze kupił sobie porządny sztucer, pistolet i szereg traperskich drobiazgów. Wpadł jeszcze do domu Maty i serdecznie pożegnawszy przyjaciół, opuścił Vincennes.

Szawanezi byli gotowi do drogi. Konie obładowane cennym towarem nie mogły służyć jako wierzchowce. Zapowiadała się dłuższa droga. Nie zwlekając więc ruszyli. Dla bezpieczeństwa Ciężki Mokasyn poprowadził oddział innym szlakiem. Szli do źródeł Tippecanoe, gdzie Tecumseh w tym czasie wznosił Miasto Wielkiego Ducha. Pochód otwierali dwaj zwiadowcy, a z tyłu ubezpieczał go Rogaty Łoś.

Ryszard uzgodnił z Niedźwiedzim Pazurem, że będzie krążył wokół podążającej kawalkady. Na wypadek niebezpieczeństwa znakiem ostrzegawczym miał być trzykrotny krzyk orła. Indianie opuścili puszczański szlak, używany przez białych, i zanurzyli się w knieję. Szli na północny wschód. Po lewej stronie mieli

wody Wabash River, a zewsząd dziewiczy bór pełen zwierzyny.

Ryszard Kos szedł przez pewien czas śladami Szawanezów a potem ukrył się w zaroślach. Wygodnie usiadł na miękkim runie leśnym, na kolanie położył sztucer i oparty o pień sekwoi wsłuchiwał się w tajemnicze życie boru. W bujnych koronaci] drzew radośnie odzywała się kukułka, poważnie ostukiwał drzewa dzięcioł. Dzwoniły jak struny skrzypiec niezliczone owady, basem skrzeczała gdzieś żaba. W długich wąsach traw cieniutko brzęczały koniki polne... Wysoko, wśród liści leśnych olbrzymów, wiatr niósł tajemnicze poszumy. Ta przedziwna muzyka przyrody koła nerwy, osiadała absolutnym spokojem w sercu Ryszarda i zdawało się, że przytępiła jego czujność. W istocie było inaczej.. Kos przymknął powieki i wsłuchany w przedziwny chorał kniei wyławiał z tysięcy głosów każdy najlżejsza niepokój ptaków, chwycił szmery idące spośród drzew i krzewów i odgadywał ich przyczynę. Czekał. Chciał

przekonać się, czy Jerry Connel i Johann Gunter będą szli jego tropem. Łudził się nadzieją, że może dowiedziawszy się w Vincennes, iż zrezygnował ze służby w armii Stanów Zjednoczonych, dadzą mu spokój. Była to nikła nadzieja. Domyślał się, że trampom chodzi o zemstę.

Zamyślony siedział wśród zarośli. Czasami otwierał oczy i patrzył na uroczą sekwoję, najokazalsze drzewo amerykańskich borów, opuszczające nisko swoje konary nad ścieżką, którą niedawno przeszła kawalkada Szawanezów. Gromady wielobarwnych ptaków obsiadały jej gałęzie i przekrzykiwały się nawzajem.

Wtem lekki trzask, jak gdyby ktoś przełamał suchą gałąź, dotarł do uszu Kosa. Później delikatny szmer stąpań ludzkich nóg począł mącić ciszę. Ryszard mocniej ścisnął w dłoniach sztucer. Szelest narastał, aż wreszcie wśród zieleni ukazały się dwie sylwetki ludzkie. Szli ze strzelbami gotowymi do strzału, z oczyma wbitymi w świeży trop pozostawiony przez Szawanezów. To byli oni: Johann i Jerry. Minęli kryjówkę Kosa, nie zauważywszy go.

Ryszard odczekał jeszcze długą chwilę, a potem niezwykle ostrożnie ruszył śladami trampów. Zapadł wieczór. W kniei zrobiło się zupełnie ciemno. Trampi zboczyli ze ścieżki, którą podążali Szawanezi, i w małej leśnej rozpadlinie rozbili obóz.

Nie rozpalali jednak ognia. Kos ukryty wśród zarośli śledził ich każdy ruch. Długo siedząc rozmawiali ze sobą, ale obaj byli zbyt daleko, aby Ryszard mógł dosłyszeć ich słowa. Było już około północy, gdy Jerry ułożył się do snu, a Gunter oparł się o pień jodły i czuwał. Kos wciśnięty pod krzak tarniny i kępę paproci usadowił się wygodnie. Sztucer trzymał pod ręką, a obok, na oczyszczonej z chwastów ziemi, położył pistolet. Mijał czas. Chłód nocy zaczął przenikać ciało, Kos czuł drętwienie nóg. Pyzaty księżyc sączył poprzez gałęzie drzew nikłe, ledwie dostrzegalne światło. W głębi puszczy buszowały nocne zwierzęta. Ryszard zdecydował się na działanie. Ostrożnie wyczołgał się z zarośli. Rozprostował zdrętwiałe członki, przeczekał chwilę i zachowując jak najdalej idącą ostrożność zaczął posuwać się ku jodle, pod którą stał Gunter. Tramp widać drzemał oparty o pień drzewa, bo kolbę strzelby oparł na ziemi, a ręką trzymał lufę. Głowę miał opuszczoną na piersi. Ryszard skradał się powoli, krok za krokiem. Trwało to długo, bardzo długo, nim znalazł się za jodłą. Jeszcze trzy kroki, jeszcze jeden... Oby nie trzasła pod stopą gałąź, oby nie zaszeleściły zeschnięte liście...

Johann Gunter rzeczywiście spał. Pewnie czuł się w leśnej rozpadlinie bezpiecznie, a może po prostu był zmęczony. Tak czy inaczej Ryszardowi sprzyjało szczęście. Nie namyślając, się wiele, ujął swój sztucer za lufę, ostrożnie podniósł do" góry i rąbnął drewnianą kolbą Guntera w głowę. Tramp chrząknął i z łomotem osunął się na ziemię. Kos chwycił z ziemi jego strzelbę i przywarł do pnia jodły. Cisza. Jerry Connel spał dalej, skulony pod bujnym krzakiem. Upadek Guntera nie zbudził go. Ryszard odpiął od pasa zwój rzemienia i związał ręce i nogi ogłuszonego Johanna, zabrał mu myśliwski nóż. Potem ostrożnie zbliżył się do śpiącego i trącił go butem.

— Wstawaj! — zawołał szorstko.

Jerry zerwał się. Chciał porwać strzelbę, ale Kos przydeptał ją nogą.

- Zostaw broń! Ręce do góry! Connel wstał z podniesionymi rękoma.

- Co to znaczy?... Co wy?... — głos mu drżał ze strachu.

— Milcz! — rzucił Kos. — Odwróć się! A teraz daj ręce do tyłu, tylko bez kawałów, bo strzelam.

Jerry był oszołomiony, nie rozumiał, co zaszło. Kos bez trudu związał mu rzemiennym sznurkiem przeguby dłoni i podprowadził do drzewa. Przywiązał go do pnia. Sprawdził więzy. Uśmiechnął się szeroko.

— Witam, Jerry! Witam! — zawołał. — Zaraz porozmawiamy.

Odwrócił się i podszedł pod jodłę, gdzie leżał Gunter. Tramp nie odzyskał jeszcze przytomności. Dlatego Kos bez kłopotu podniósł go, oparł o pień i opasał sznurem. Solidnie zaciągnął więzy, sprawdził, czy nie ma w kieszeni broni, i dopiero wtedy odszedł. Odciął nożem kilka płatów kory i parę zwisających gałęzi, zbierał nieco suchych patyków i na dnie rozpadliny, w pobliżu Jerry'ego, rozpalił ognisko. Obok złożył broń trampów oraz swoją traperską sakwę. Wyjął z niej pożywienie i począł się posilać. Żłote płomyki ognia rozpędzały mrok, oświetlały przywiązaną postać Connela i rozsuwały ostry zapach dymu.

— Czego chodzicie moim tropem, Jerry? — rzucił Ryszard.

Connel milczał.

- Nie wystarczy wam tamtej tragedii na polanie? Czego jeszcze chcecie?
- Zabiłeś mego ojca! — rzucił przez zaciśnięte zęby jeniec.
- Działalem w obronie własnej. To przecież wy strzelaliście do mnie. Zastanów się, Jerry. Nie lubię niepotrzebnego rozlewu krwi. Sam wiesz najlepiej, jak było.

Connel nie odzywał się. Kos wrzucił w ognisko kilka szyszek i **gałązek. Ogień przygasł**, a po chwili znów rozjaśnił leśne uroczysko.

• Zwrócisz mi, Jerry, wszystko, co zabraliście mi wówczas na polanie. Miałem parę drobiazgów, które dla was są bez wartości, a dla mnie stanowią cenną pamiątkę.

- Co z nami zrobisz?
- Co zrobię?... Oddacie mi skradzione przedmioty i... puszcze was wolno. Uważam, że rachunki nasze będą wyrównane.

Znów rozmowa urwała się. Kos zakończył posiłek, sprawdził więzy jeńców, dorzucił gałęzi do ogniska i usiadł z dala od płomieni, w cieniu urwistego zbocza rozpadliny. Sam nie wiedząc kiedy, z ręką na zamku sztucera zdrzemnął się.

Skoro tylko świt rozproszył mroki puszczy, Kos przysypał ziemią żar ogniska i zdeptał podeszwami butów. Przeszukał kieszenie Jerry'ego i Johanna, ale nie znalazł nic ze zrabowanych mu przedmiotów. Po zastanowieniu się podjął ostateczną decyzję. Rozładował obie strzelby jeńców, proch z pociskami umieścił w sakwie Guntera i powiesił ją na gałęzi drzewa. Następnie rozciął rzemienie na rękach Johanna, ale nie odwiązał go od jodły. Przeciwnie, pozaciągał więzy tak, aby nie mógł dosięgnąć ich rękoma. Ułamał długą gałąź i zwrócił się do Guntera.

— Odchodzę stąd z Jerrym. — Wskazał na wiszącą na drzewie sakwę — Widzisz, tam wisi twoja traperska torba. Nie wziąłem z niej nic, bo nie jestem złodziejem. Zapamiętaj to sobie. Tę gałąź daję ci, abyś miał czym odpędzić zwierzęta, gdyby...

Żrenice Johanna Guntera rozszerzył strach, twarz pokryła trupia bledność. Siłąc się na spokój zawołał, a głos mu drżał dławionym łękiem:

- Daruj!... Nie zostawiaj!... Rozszarpia mnie wilki... Gałąź mnie nie obroni...
- W dzień nic ci nie grozi. Będziesz krzykiem odpędzał wilki i niedźwiedzie. A w nocy...

Kos parsknął śmiechem w przerażoną twarz łotra. Podszedł do Connela i rozciął rzemienie przytwierdzające go do drzewa, ale nie uwolnił mu związanych w przegubach rąk.

— Bądź posłuszny, bo i ciebie zostawię na pastwę dzikich zwierząt — powiedział surowo do Jerry'ego. Zawiesił mu na szyi dwie rozładowane strzelby i sakwę. Wskazał przed siebie. — Maszeruj! — rozkazał.

Gdy opuszczali uroczysko, Johann Gunter początkowo kłął, później prosił o litość, a gdy Kos znikł w gąszczu, zaczął wrzeszczeć, aż echo niesło się daleko.

Ryszard wyprowadził Connela na szlak i popędzając jeńca ruszył śladami Szawanezów. Nie rozmawiał z Jerrym. Ciągłe tylko ponaglał go do pośpiechu. Było już południe, gdy zatrzymał się na odpoczynek. Connel leżał na trawę, ciężko oddychał, włosy miał mokre od potu, oczy zaczerwienione.

— Dojdziemy do porozumienia? — rzucił spokojnie Ryszard.

Jerry milczał.

— No cóż, nie chcesz, to nie: Wstawaj! Pójdziemy dalej. Wieczorem uwięzę cię do drzewa. — Ryszard trącił ręką Connela. — Wstawaj, szkoda czasu!

- Czego chcesz? — odezwał się wreszcie młody Connel
- Dwóch rzeczy: zwrotu skradzionych mi przedmiotów i gwarancji, że więcej się nie spotkamy.

Rozumiesz?

Jerry spuścił głowę.

• Twoje rzeczy są nad Wąską Strugą, w chacie Otto Watteraj Oddam ci to wszystko, tylko wskaż miejsce, gdzie je przywieźć. Albo sam przyjdź do Watterów.

- Obiecujesz?
- Tak.
- Dobrze. Przyjdę nad Wąską Strugę. Ale jeśli nie dotrzymasz zobowiązania, pamiętaj, nie daruję.

- Ja dotrzymam słowa, ale za Guntera nie ręczę.
- Dlaczego?
- Jeśli uwolnił się z więzów spod jodły, będzie cię tropił, bo znalazł w twojej torbie rysunek.
- Rysunek?
- Tak. Na tym rysunku jest plan drogi prowadzącej po skarb. Tak on twierdzi.
- Rozumiem. Niech więc pójdzie tą drogą i weźmie sobie ten skarb.
- Ty tylko zdołasz odczytać ten plan. My nie potrafimy.
- Aha, to dlatego tropiliście mnie?
- Tak.
- Plan ten możecie sobie zachować. Nie ma już skarbu nad Sandusky. Powiedz to Gunterowi. A teraz idź. — Ryszard rozciął nożem rzemienie na rękach Connela. — Jesteś wolny. Obie strzelby zabierz, są puste. Przed wieczorem znajdziesz Guntera. Uwolnij go i pamiętaj: nie jestem mściwy.

Connel stał i rozcierał zdrętwiałe mięśnie. Milczał, chód w oczach jego paliły się płomyki radości z tak szczęśliwie zakończonej sprawy.

— Idź, tylko śpiesz się, byś przed nocą wrócił do tego łotra, bo jutro możesz znaleźć po nim same kości. Powiedz Gunterowi, żeby rysunek pokazał majorowi Dawisowi w Vincennes, on mu wyjaśni, co to był za skarb i gdzie się obecnie znajduje.

— Dawis? — Tak.

- To jego kuzyn — dodał Jerry.

- Kuzyn?

— Yes.

W umyśle Kosa poczęła kiełkować nagle jakaś daleka, niezupełnie jeszcze jasna myśl.

— Wynoś się, Jerfy. A do chaty Watterów przyjdę, gdy spadnie śnieg. Pamiętaj!

Ryszard ruszył przed siebie. Obejrzał się. Zauważył, jak Jerry Connel dzwignął rozładowane strzelby i zawrócił do miejsca, gdzie został jego towarzysz.

Wieczorem Kos rozłożył się obozem nad brzegiem Wabash. Przy nikłym płomieniu ogniska siedział samotny. Myśl jego ciągle wracała nad rzekę Sandusky, gdzie przed trzema laty prowadził czteroosobowy oddział żołnierzy z Dawisem, wówczas kapitanem, na czele. Poszukiwali tam właśnie ukrytego skarbu. Tak, skarbu. Niegdyś żołnierze wiozący znaczną sumę pieniędzy zostali zaatakowani przez Tuskarorów. Po zaciętej bitwie biali ulegli przewadze liczebnej Indian. Kilkuosobowa grupa żołnierzy wyrwała się z indiańskich kleszczy i podążyła w kierunku fortu Sandusky. Ale Indianie deptali im po piętach i codziennie ktoś z oddziału ginął. Widząc więc, że skrzynki nie dowiozą, ukryli ją nad rzeką Sandusky, w wykrocie pod wielowiekowym dębem, a młody porucznik Bucky Smith nakreślił na pergaminie szkic sytuacyjny. Smitha znaleziono w pobliżu fortu Sandusky, bez skałpu, ze strzałą w piersi. W kieszeni miał rysunek. Cztery razy kapitan Dawis organizował poszukiwawcze wyprawy — bez skutku. Aż zaproponowano przewodnictwo Ryszardowi Kosowi, który kierując się planem oraz śladami tragedii żołnierzy, odnalazł wykrot pod dębem, a w nim skrzynkę z pieniędzmi. Dawis pożegnał wówczas Kosa i wrócił do fortu Sandusky, ale sam.

Czy odnalezione pieniądze trafiły do skarbu Unii? Co stało się z trzema żołnierzami towarzyszącymi Dawisowi? Ryszard nie umiał na te pytania odpowiedzieć. Nigdy nie interesował się tą sprawą. Wykonał zlecone mu zadanie, rozwiązał zagadkę planu i nad Sandusky River odnalazł skarb. Szkic na pamiątkę włożył do swej traperskiej torby. Od tej pory minęły trzy lata. Aż teraz nagle odżyły tamte wypadki. Gunter znalazł w zrabowanej sakwie plan. Uznał, że jest on aktualny. Jako kuzyn Dawisa może słyszał coś o historii skarbu? Może Dawis ukrywał fakt odnalezienia skrzynki z pieniędzmi? Stąd mogła się rodzić jego niechęć do Kosa. Czy czas rozstrzygnie te niejasności?

Ryszard machnął ręką i wyciągnął suchary. Chrupiąc je patrzył na ciemną rzekę, płynącą leniwie w poświacie księżyca.

O świtaniu ruszył śladami Indian. Dopędził ich pod wieczór. Razem bez większych przygód szczęśliwie dotarli do Tippecanoe.

U źródeł Tippecanoe River rozrosło się Miasto Wielkiego Ducha. Na wolnej stepowej przestrzeni, okolonej z zachodu bagnistą doliną rzeki, a z pozostałych stron prawieczną puszcza, wsparte na drewnianych palach, wzmocnione skórzanymi wiązadłami, wyplecione z prętów i kory drzew wyrastały wigwamy Seneków, Kapotów, Sampiczów, Tuskarorów, Siwaszów, Mohaw-ków, Lenapów, Oneidów, Miamisów, Pottawatomich, Wyando-tów i ciągle napływających wojowników plemion wschodu, północy i południa. Wśród tych starannie wyplecionych chat w różnych miejscach indiańskiego miasta zakwitały barwne stożki skórzanych tipi Tetonów, Pawnisów, Osagów, Omahów i innych koczowniczych szczepów dalekiej prerii.

Gońcy Tecumseha codziennie rozbiegali się, niosąc czerwonoskórnym plemionom wampuny wojny i znaki Związku Oporu. Sam wódz także wyruszał do okolicznych plemion i wygłaszał płomienne mowy. Głosił wiek walki i ostatecznego zwycięstwa nad białymi. A mówił tak porywająco, z taką mocą i wiarą, że najbardziej nieufni wodzowie pozbywali się wątpliwości i przystępowali do wojennej federacji<sup>1</sup>.

Codziennie nad Tippecanoe, na zboczu uroczego pagórka górującego nad zabudowaniami Wielkiego Miasta, Elskwatawa odprawiał uroczyste ceremonie szamańskie, w których uczestniczyli wszyscy mieszkańcy stolicy Związku Oporu. Niezwykłą sławę Wielkiego Proroka ugruntował Elskwatawie przypadek. Oto wędrując pewnego razu do plemienia Ottawów nad jezioro Huron wstąpił do fortu Detroit w celu zakupu prochu i ołowiu. Usłyszał wtedy rozmowę białych na temat zbliżającego się zaćmienia słońca. Biali rozmawiali swobodnie, nie krępując się obecnością dzikiego Szawaneza. Elskwatawa doskonale władał językiem angielskim, a dziesięć lat spędzonych wśród białych wykorzystał na poznanie wielu ich tajemnic. Zapamiętał datę

mającego nastąpić zaćmienia słońca i postanowił natychmiast wrócić do Tippecanoe. Na określony dzień zapowiedział wielkie uroczystości szamańskie. Przygotował je z dużą starannością. Od świtu dudniły bębny, a Elskwatawa zanosił modły do Manitou. W wygłoszonej mowie oświadczył wielotysięcznym tłumom Indian, że za chwilę stanie się cud. Umrze słońce i na nowo się odrodzi. Czerwonoskórzy w podnieceniu czekali na spełnienie przepowiedni szamana. A kiedy rzeczywiście słońce zostało przesłonięte ciemną tarczą, lęk ogarnął wojowników. Gdy złociste promienie słońca znów zalały Miasto Wielkiego Ducha, entuzjazm ogarnął czerwonoskórnych. Wtedy Elskwatawa wskazując na swego bliźniaczego brata, Tecumseha, zawołał donośnym głosem:

— Słońce umarło i zmartwychwstało. Tak samo dzieci Manitou umarły, ale zjednoczone plemiona pod wodzą wielkiego Tecumseha zwyciężą białych, by odrodzić się i żyć.

Od tego dnia imiona braci bliźniaków były na ustach wszystkich Indian, a sława o nadprzyrodzonych mocach szamana biegła od grzmiących wód Niagary aż po dalekie prerie zachodu, od Krainy Wielkich Jezior aż pod zielone magnolie<sup>2</sup> Florydy.

Setki pielgrzymów przybywały do Wielkiego Miasta, nazywanego także Grodem Proroka, by uczestniczyć w świętych obrządkach. Wyzwoleńczy ruch zataczał coraz szersze kręgi. Rosła militarna siła indiańskiej federacji.

Ryszard Kos mieszkał pod jednym dachem z Tecumsehem. Razem wiedli długie rozmowy i układali plany. W naradach tych uczestniczył Elskwatawa. Gońcy wielkiego wodza zjednoczonych plemion biegli z rozkazami do wszystkich szczepów. Wojownicy dostarczali do wspólnych magazynów futra dzikich zwierząt, a specjalne grupy Indian w fortach, miastach i faktoriach wymieniały futerka na broń lub pieniądze.

Pewnego dnia zwiadowcy Szawanezów donieśli Tecumsehowi, że generał armii Stanów Zjednoczonych — Zebulon Pike<sup>3</sup> wyruszył z Detroit ze specjalną misją do dalekich plemion Odźib-wejów i Dakotów. Po krótkiej naradzie Skacząca Puma, Elskwatawa i Czerwone Serce doszli do wniosku, że wyprawa ta ma na celu zniechęcenie tych licznie wielkich plemion prerii do szawaneskiego Związku Oporu oraz nastawienie ich wrogo do Anglików gospodarujących na terenie Kanady.

Tecumseh podjął szybką decyzję. Postanowił natychmiast udać się za Missouri, gdzie rozciągały się rozległe tereny Dakotów, i do Minnesoty, gdzie wśród uroczych jezior mieszkali Odźibwejowie.



— Pojedziesz ze mną — powiedział do Ryszarda — a Elskwatawa pozostanie w Mieście Wielkiego Ducha.

Kos aprobująco skinął głową. Omówili wyprawę. Tecumseh powierzył swemu bratu obowiązki naczelnika i bez żadnej eskorty, we dwóch przygotowali się do drogi. Był wczesny świt, gdy na rączych koniach opuszczali Tippecanoe. Ryszard cieszył się ogromnie, bo nie lubił gnuśnieć w obozie. Stałe coś go pędziło z miejsca na miejsce. Od powrotu z Vmcennes minęły dwa tygodnie. Bezczynny pobyt w Mieście Wielkiego Ducha stawał się dla niego nieznośny. Dlatego teraz zadowolony jechał za Tecumsehem, wsłuchany w poranny śpiew ptaków. Drogę mieli przed sobą daleką. Ile na tym długim szlaku czekało przygód?... Ile niespodzianek z przyrodą i spotkań z ludźmi?...

Świeży wiatr niósł zapach ziół. Na źdźbłach perlila się rosa. Wypoczęte konie rwały naprzód.

Tecumseh i Kos plan mieli prosty: dopędzić generała Zebulona Pike'a nad Missisipi. Generał wyruszył sześć dni wcześniej, ale miał ze sobą oddział żołnierzy, wioził towary na handel i prezenty, a to utrudniało poruszanie się kawalkady. Ponadto prowadzili go biali przewodnicy, którzy nie znali tej ziemi tak dokładnie jak wódz Szawanezów. Tecumseh skracał drogę, przecinał puszcze, strumienie i rzeki i zbliżał się w szybkim tempie do Ojca Wód — Missisipi.

Mijały spokojne dni i noce. Nic szczególnego się nie działo. Czasami upolowali coś i upiekli w płomieniach obozowego ogniska, czasami nocowali w wigwamie jakiegoś plemienia, gdzie Skaczącą Pumę i Czerwone Serce witano z głęboką czcią i szczerą przyjaźnią.

Któregoś dnia, gdy słońce wskazywało południe, Tecumseh i Kos zatrzymali się na skraju puszczy. Przed nimi rozciągała się daleka trawiasta przestrzeń, początkowo porośnięta tu i ówdzie kępami krzewów i samotnych drzew, a dalej pusta i równa jak stół. Stali, bacznie lustrując teren.

— Jedziemy! — powiedział Tecumseh. — Przed nami Rock River. Musimy dotrzeć doń, nim zapadnie noc. Koniom przyda się woda, nam także.

Tecumseh jechał pierwszy. Bujne trawy sięgały mustangom po brzuchy. Pozostawiali poza sobą długą ścieżkę zgniecionej trawy. Minęli kępę olbrzymich klonów, gąszcz zbitych krzaków i wjechali na pusty aż po horyzont step.

Kłusowali jeszcze ze dwie mile, gdy Szawanez nagle podniósł rękę. Ryszard pobiegł oczyma za ruchem jego dłoni i ujrzał wąski szlak zdeptanej trawy. Ktoś musiał tędy przejeżdżać. Tecumseh zatrzymał konia i pochylił się z siodła, uważnie patrząc na pozostawione ślady.

— Jeden jeździec — powiedział do Ryszarda i zeskoczył z mustanga. Pochylony przeszedł kawalek, badając rękoma grunt. Kos tymczasem siedział na koniu i bacznie obserwował okolicę. Bezkresna preria była pusta. Niebo nad nią błękitne, bezchmurne.

Tecumseh wyprostował się, wrócił do swego konia i zwinnie wskoczył na jego grzbiet.

— Czerwonoskóry jeździec — powiedział spokojnie. — Musiał przejeżdżać tędy wczoraj, złamania traw jeszcze świeże. Ruszamy!

- Jego śladem?
- Tak. On zmierza także ku Rock River, może go dopędzimy.
- Słusznie. Warto wiedzieć, co to za wojownik i dokąd podąża.
- Ugh!

Spięli konie i pognali cwałem. Pozostawiony trop biegł prerią początkowo ku zachodowi, a potem skręcił ku północy. Słońce ostatni rąbek purpurowej tarczy chowało za daleką smugę horyzontu, gdy do uszu jeźdźców dobiegł szum wartko płynącej rzeki. Konie przyśpieszyły kroku. Zmierzch już zapadł na dobre, kiedy rozbili obóz nad wodami Rock River.

Ugwieżdżone niebo wisiało wysoko nad rozległym stepem. Denerwującą ciszę mącił jedynie plusk płynącej wody. Napojone konie pasły się spokojnie tuż koło ogniska. Wódz Szawanezów i Ryszard Kos spożywali wieczorny posiłek.

— Ciekawy jestem, kogo generał Pike odwiedzi najpierw Dakotów czy Odżibwejów? — przerwał milczenie Kos.

Tecumseh dorzucił garść chrustu do ogniska. Powiedział:

— Odżibwejowie toczą od wielu lat wojny z Dakotami i zawsze przegrywają. Jeżeli Pike chce

zjednać dla Unii oba plemiona, radzę je ze sobą pogodzić.

\_\_\_ Słusznie, wówczas powinien złożyć wizytę najpierw Dakotom, aby nie urazić dumy zwycięzców.

Trafnie rozumuje mój biały brat. Ale generał Pike nie lubi trudzić sobie głowy zbytnim myśleniem. Droga do plemion Dakotów prowadzi przez łąwieckie tereny Odżibwejów, więc wiadomo, kogo odwiedzi najpierw.

\_\_\_ Popęlni poważny błąd.

Jego błędy będą naszym zwycięstwem — powiedział Szawanez i uśmiech przemknął mu przez twarz.

Długo jeszcze gwarzyli przy złotych płomieniach ogniska. Od rzeki ciągnął wilgotny chłód. Na ciemnogramatowym niebie iskrzyły się gwiazdy. Gdzieś w głębi prerii odzywało się dalekie poszczekiwanie kujota.

Tecumseh owinał się opończą i legł na derce.

— Czuwaj, biały bracie! Po północy ja obejmę straż — powiedział.

Słońca jeszcze nie było widać na wschodzie, a już Tecumseh i Kos zwijali obozowisko. Wygasili dokładnie ogień i wskoczyli na konie. Szawanez prowadził brzegiem Rock River. Ujechali chyba milę.

— Spójrz! — rzucił Indianin. — Tu jest bród, tędy przekroczył rzekę samotny jeździec, którego śladami jedziemy.

Rzeczywiście, brzegi były tutaj łagodne, a pod warstwą wody połyskiwało piaszczyste dno. Na skraju łącznej murawy i miękkiego piasku schodzącego w rzeczne koryto widniały wyraźnie odcisnięte kopyta nie podkutego konia.

Przejechali Rock River i znaleźli się na prawym brzegu. Przed nimi biegł w głąb prerii ślad indiańskiego jeźdźcy. Koło południa znaleźli wygaszone ognisko. Tu musiał spędzać noc nieznanego jeźdźcy. Jechali dalej, nie zatrzymywali się nawet na Południowy posiłek. Nad wieczorem zauważyli, że samotny trop zlał się z szerokim pasem stratowanej prerii.

— To biali — powiedział Kos. — Indianie nie zostawiają tyłu śladów.

Tecumseh zeskoczył z konia. Kos poszedł za jego przykładem, długo badali napotkane ślady.

— Nie ulega wątpliwości, to oddział generała Zebulona Pike'a.

• Czerwone Serce ma rację — przyznał Tecumseh. — Przejechało tędy piętnastu jeźdźców i cztery juczne konie.

• Tropem białych podążał samotny Indianin — dorzucił Kos.

• Tak. Ciekawe tylko, czy przypadkowo trafił na ten trop, czy starał się dopędzić Długie Noże.

• Raczej to drugie, zwłaszcza że samotny wojownik podążał ze wschodu.

• Podobnie jak my.

• Właśnie.

• Generał Pike przejeżdżał tędy nie później niż dwa dni temu.

• A samotny Indianin wczoraj.

• Ruszajmy! Czas wyjaśni wszystko.

Wskoczyli na siodła. Załomotały kopyta o trawiasty grunt stepu. Pędzili wyciągniętym galopem. Pod wieczór dojechali do zbitej ściany leśnej i postanowili na skraju, pod rozłożystym modrzewiem, rozłożyć obóz. Kos zajął się gromadzeniem opału na ognisko, a Tecumseh badał okolicę.

Wczesnym rankiem rozpoczęli znów podróż. Trop prowadził w głąb puszczy. Jechali teraz ostrożniej, czujnie nasłuchując i uważnie badając oczyma zarośla. Amerykanie pozostawiali za sobą łatwo dostrzegalne ślady: połamane gałęzie, odciski podkutych koni, nawet odpadki jedzenia. Takim tropem łatwo było podążać. U schyłku dnia Tecumseh zatrzymał swego mustanga i podniósł ostrzegawczo rękę. Zamarli obaj w bezruchu. Wyteżyli słuch. Cisza.

— Koń zarżał — szepnął Szawanez.

Nasłuchiwali dalej. Nagle do ich uszu dobiegł daleki szmer, jakby rytmiczny bieg konia lub losia. Stali jeszcze chwilę. Odgłosy narastały, stawały się coraz bardziej wyraźne. Łatwo już można było odróżnić stuk kopyt o miękkie poszycie lasu.

- Jeździec — powiedział Tecumseh.
- Zmierz w naszą stronę. Spiesz się! — dodał Kos.
- Może biali wytropili podążającego za nimi Indianina i usiłują go schwytać?
- Możliwe.
- Ukryjmy się!

Zjechali z leśnej ścieżki. Uwiązawszy do sosny konie sami z bronią gotową do strzału zaszyli się w zieleń. Widoczność mieli doskonałą. Wąska i kręta ścieżka wytyczona przez kawalkadę białych podróżnych leżała przed ich oczyma. Stuk kopyt końskich nie budził już wątpliwości. Był wyraźny. Jeździec-spieszył się, bo trzaskały łamane gałęzie i szeleściły potrącane liście krzewów.

Na zakręcie ścieżki pojawił się nagle na małym stepowym mustangu czerwonoskóry wojownik. Przed nim, przerzucony przez siodło, ze związanymi rękoma i nogami, zwisał człowiek. Błękitna bluza i spodnie wyjaśniała wszystko — był to żołnierz Unii.

Indiański wojownik przemknął obok ukrytych w zaroślach i zginął wśród zieleni lasu. Tecumseh i Kos nie poruszyli się, nasłuchiwali dalej. Ale cisza panowała dookoła. Jedyne w oddali gasł tętent samotnego jeźdźca.

- Nikt go nie ściga? Dziwne — powiedział Szawanez.
- Pewnie nie dostrzegli porwania.

Jeszcze przez chwilę siedzieli w ukryciu, po czym Tecumseh podniósł się i ruszył ku mustangowi. Powiedział:

- To był wojownik Wyandotów. Szedł śladami Długich Noży, aby porwać bladą twarz.
- Porwany to porucznik, zauważyłem jego dystynkcje.
- Tecumseh również.

Odwiązali konie i wskoczyli na siodła. Leśną ścieżką pogonili Wyandotę.

• Musimy poznać przyczynę tego porwania — rzekł Tecumseh.  
 • Masz rację, wodzu. Wyandoci przystąpili do Związku Oporu. Nie trzeba przed czasem niepokoić Amerykanów.

Przenocowali w lesie nie rozpalając ogniska. Skoro świt byli znów na koniach. Dopadli skraju puszczy i tu dopiero zbadali teren. Wojownik Wyandotów zostawił po sobie wyraźne ślady.

- Jechał całą noc — powiedział Tecumseh. — Stąd podążył brzegiem lasu na wschód.
- Chciał jak najdalej odjechać od białych, dlatego nie zacierał śladów.
- Śpieszmy!

Konie rwały galopem. Las rzucał kojący cień, słońce nie dokuczało, tylko wiatr szumiał w uszach i wdierał się w płuca odurzającym zapachem ziół i żywicy.

Koło południa szlak ich wędrówki przeciął strumień. Wypływał z lasu i wił się kręto przez wilgotną, bujną łąkę. Trop Wyandoty urywał się tutaj nagle. Zbadali dokładnie oba brzegi rzeczki. Nic. Doszli zgodnie do jednego wniosku, że Indianin dla zatarcia śladów ruszył dalej strumieniem. Rzeczka była płytka. Woda mogła sięgać koniom powyżej kolan, w niektórych miejscach sączyła się po samym dnie.

W którą stronę pojechał Wyandota? Z prądem czy pod prąd? — zastanawiali się obaj.

— Podążył w górę strumienia — powiedział Tecumseh — Tam jest las, łatwiej się ukryć w razie niebezpieczeństwa.

Jadąc korytem rzeki uważnie obserwowali jej brzegi. Po paru milach takiej wędrówki Kos zauważył na błotnistym zboczu grudy zeszcanej, jak gdyby cudem wysuszonej ziemi.

— Spójrz, wodzu!

Szawanez zatrzymał konia, spojrzał we wskazanym przez Kosa kierunku.

— To ręka ludzka bryłami suchej ziemi zakryła pozostawione ślady — powiedział.

Podjechał do brzegu i zręcznie zeskoczył z konia. Zanurzył się w zieleń krzewów. Kos czekał. Po chwili wódz Szawanezów pojawił się nad strumieniem. — Tędy wyszedł z rzeki i podążył w głąb lasu. — Skinął na Ryszarda ręką.

Kos wy dostał się na brzeg. Starannie pozacierali ślady kopyt końskich i czujnie zagłębiali się w puszcę. Szawanez odczytywał bez trudu nikle ślady Wyandoty. Później zeskoczyli z siodła, bowiem puszcza tak była tutaj gęsta, że musieli prowadzić konie za uzdy. Z niebывałym

trudem przedzierali się przez dziki gąszcz zieleni. Wreszcie knieja przerzedziła się, ustępując miejsca strzelistym modrzewiom, świerkom i sosnom. Ziemię wyścielały miękkie dywany ciemnozielonych mchów, gdzieniegdzie poprzerastane kępami dorodnych paproci. Zachodzące słońce lśniącoymi włócznieściami promieni przebijało się przez korony drzew.

Łagodnym zboczem zeszedli w głęboką dolinę, gdzie po wygładzonych kamieniach płynął z szumem potok. Zatrzymali się nad jego brzegiem. Tecumseh podniósł głowę. Nozdrza drgnęły mu niespokojnie.

Dym! — rzekł do Kosa. — Czujesz? Ktoś rozpałił ogień.

Ryszard węszył, ale nie potrafił spośród zapachu drzew wyłowić dymu. Nie odpowiedział nic. Stali jeszcze chwilę uważnie nasłuchując. Potem Tecumseh odezwał się przyciszonym głosem.

— Idziemy. To pewnie Wyandota rozłożył się na nocne obozowisko.

Szli bardzo ostrożnie w górę potoku. Teraz i Kos poczuł ostry zapach dymu. W lesie poczynał zapadać zmierzch.

Chwycili do rąk strzelby i przyspieszyli kroku. Wśród drzew zamigotał płomyk ognia. Jeszcze kawałek drogi i prawie weszli na obozowisko. Zatrzymali się za pniami dwóch modrzewi. Cisza. Nad brzegiem potoku płonęło ognisko. Przywiązany do pnia sosny stał człowiek w uniformie porucznika armii Unii. Wyandoty nie było. Pewnie usłyszał kroki nadchodzących i skrył się.

Tecumseh ostrożnie wyszedł spoza modrzewia i zawołał:

— Wojownik Wyandotów jest bezpieczny. Wódz Szawanezów, Tecumseh, niesie mu przyjaźń i zbroję dłoń w potrzebie.

W zapadającym zmierzchu po przeciwnej stronie obozu, z kępy paproci rosnących nad potokiem, podniosła się postać ludzka.

— Poznaję wielkiego Tecumseha. Witaj, wodzu, w obozie Czarnego Sępa.

Wojownik wyszedł z opuszczoną bronią. Lewą rękę złożył na piersi w geście serdecznego powitania.

Szawanez i Kos podprowadzili konie bliżej ogniska. Oczy Wyandoty uważnie patrzyły w twarz Ryszarda.

— Uff! Czarny Sęp wita Czerwone Serce. Widać oblicze Wielkiego Manitou jest łaskawe dla pohańbionego wojownika Wyandotów. — Nim Kos zdołał odpowiedzieć, czerwonoskóry ciągnął dalej: — Biały brat był świadkiem mej hańby, dziś będzie świadkiem mojej zemsty. Czarny Sęp odzyska prawo noszenia piór wojownika. Hugh!

Zapadło chwilowe milczenie. Tecumseh zdjął z konia derkę i podrózną torbę. Kos tymczasem zastanawiał się nad słowami Wyandoty. Zaczynał sobie przypominać jakąś przykrą historię z Czarnym Sępem. Ale gdzie to było?...

— Siadajcie — zaprosił ich Wyandota. — Jesteście moimi gośćmi. Konie uwiążę sam.

Po chwili spoczywali obok ogniska, nad którym Czarny Sęp zawiesił upolowanego z łuku stepowego królika. Zapach świeżej pieczeni zaostrzał apetyt. Siedzieli i prowadzili luźną rozmowę. Nikt jednak nie pytał Wyandoty o jeńca.

Kiedy pieczeń była gotowa, podzielili ją na cztery równe części. Gdy zaspokoił głód, Czarny Sęp podszedł do więźnia, rozwiązał mu ręce i podał kawał mięsa. Sam Wrócił do ogniska i usiadł. Kos podrzucił na dogasające węgle parę gałązek. Strzeliły w górę płomienie, zatrzeszczały pękające w ogniu drewnianki. Chybotliwa poświata zalała pnie drzew i brzeg pluszczącego potoku.

— Czarny Sęp uprowadził Długim Nożom młodego wojownika Unii — powiedział poważnie wódz Szawanezów. — Generał Pike idzie z pokojowym poselstwem do Odzibwejów i Dakotów, nie godzi się wojownikowi podstępnie porywać ludzi. Topór wojny jeszcze drzemie w ziemi. Co ci uczynił biały jeńiec?

Wyandota milczał chwilę, potem podniósł dumnie głowę i pełnym nienawiści głosem odpowiedział:

- Czarny Sęp przybył do fortu Miami po proch i ołów. Wówczas rudy kujot sprzedał zamiast prochu piach, a ten biały skunks okrył hańbą wojownika Wyandotów. Czerwone Serce był świadkiem zajścia.

- To prawda — potwierdził Kos.
- Poprzysiągłem zemstę dowódcy Długich Noży — ciągnął dalej Wyandota. — Od tej pory krążyłem jak wilk wokół fortu Miami i chodziłem tropem białego skunksa, ale on zawsze był otoczony Długimi Nożami. Aż teraz Manitou oddał go w ręce Czarnego Sępa.

Zapadło milczenie. Oczy Szawaneza spoczęły na obliczu Kosa. Ryszard obserwując pełgające płomyki ogniska zaczął opowiadanie. Mówił o handlarzu Willim Gayerze, który oszukał Sępa sprzedając mu beczułkę piachu zamiast prochu, o tym, jak doszło do awantury, gdy Wyandota poprosił o zwrot futer leśnych zwierząt, za które czynił zakupy, oraz o wtrąceniu się młodego porucznika i unurzaniu Czarnego Sępa w płynnej smole i pierzu. Gdy skończył, znów zapadła cisza. Porucznik przywiązany do sosny stał spokojnie. Rozmowa toczyła się w dialekcie Szawane zów. Czy rozumiał, o co chodzi? Czy zdawał sobie sprawę z tego że waży się jego los?

Krzyk puszczyka rozdarł nagle ciszę nocy. Echo powtórzyło w głębi kniei trwożliwe wołanie. Zawtórowały mu dalekie głosy mieszkańców puszczy.

— W jaki sposób Czarny Sęp pochwyił bladą twarz? — spytał Tecumseh.

Wyandota położył dłonie na kolanach i patrząc w oczy wodza Szawanezów zaczął:

Za Rock River dopędziłem Miczi-malsa, szedłem ich tropem i czekałem na odpowiednią chwilę. Zdarzyła się ona w lesie. Biały skunks podążał z tyłu oddziału. Noga jego konia wpadła pomiędzy sterzące na leśnej ścieżce korzenie dębu.

Biały zeskoczył więc z siodła i usiłował pomóc koniowi. Trwało to dość długo. Oddział znikł w puszczy. Wówczas Czarny Sęp powalił swego wroga i przywiózł go tutaj.

- A koń oficera? — rzucił Kos.
- Pozostał na ścieżce.
- Może nie odczytają śladów — rzekł Ryszard.
- Jeśli nawet potrafią wyczytać z ziemi, co stało się z oficerem, nie odnajdą nas. Rzeka zmyła ślady. Długo musieliby szukać. Zresztą jutro odjedziemy z tego miejsca.

- Masz rację, Tecumsehu — potwierdził Kos.
- Co chcesz uczynić z jeńcem? — spytał Szawanez Wyandotę.
- O świecie zginie w mękach.

Zmarszczka przecięła czoło Skaczącej Pумы. Powiedział z rozwagą:

- Zasłużył na surową karę. Jutro Tecumseh rozstrzygnie, co stanie się z bladą twarzą.
- To mój jeńiec — zachnął się Sęp.

Tecumseh skrzyżował ręce na piersi i spokojnym, stanowczym głosem powiedział:

— Taka jest wola Tecumseha, naczelnego wodza Związku Oporu. Hugh!

Czarny Sęp pochylił w milczeniu głowę. Nie śmiał sprzeciwić się woli wielkiego sagamore.

Kos wstał od ogniska i szerokim kręgiem obszedł obozowisko, wsłuchując się w odgłosy kniei. Nie odkrył nic niepokojącego. Wrócił więc do obozu. Stał obok jeńca. Przypomniał sobie rozległy plac w forcie Miami i postać oficera znęcającego się nad niewinnym czerwonoskórym.

— Jesteście traperem, już kiedyś poznałem was, prawda? — rzucił jeńiec. Głos mu drżał oburzeniem i lękiem, gdy mówił dalej: — Dlaczego mnie porwano? To jakieś nieporozumienie. Proszę mnie uwolnić!

Kos milczał.

— Czemu pan nie odpowiada? Co to wszystko znaczy? Dlaczego jestem więziony?

- Wyandota nie mówił tego panu?
- Nie. Przez całą drogę do tego miejsca nie odezwał się ani jednym słowem. Proszę mnie uwolnić.

- Nie mogę rozwiązać was, poruczniku, ale udzielię wam informacji, o którą pytacie. Ten wojownik Wyandotów to Czarny Sęp, z którego zrobiliście w Miami pośmiewisko. Pamiętaj pan smołę i pierze?

, Oficer poruszył się, zaskoczony wiadomością. Niepokój ścisnął mu krtań, a pierś nerwowo poczęła falować. Załamującym się głosem spytał:

- Co ze mną zrobicie?
- Jutro rozstrzygnie to Tecumseh, wódz zjednoczonych plemion — powiedział Kos i

odszedł.

Ustalili kolejność nocnych straży i pokładli się na spoczynek. Skoro tylko pierwszy poranny brzask rozproszył mroki puszczy, Tecumseh poderwał obóz na nogi. Przygotowali śniadanie. Wtedy Szawanez zwrócił się do więźnia:

— Tecumseh pragnie poznać twe imię.

— Jestem porucznikiem pod rozkazami generała Zebulona Pike'a. Nazywam się Dan Holden.

• Poruczniku Holden — powiedział Szawanez — jesteś teraz pod rozkazami wodza Szawanezów.

• Generał Pike nie daruje wam zniewagi munduru. Generał...

• Tecumseh, wódz Związku Oporu, także nie daruje zniewagi czerwonoskórych wojowników — szorstko przerwał jeńcowi Szawanez. Po chwili łagodniej dodał — Każę zdjąć ci więzy, biała skóro, jeśli dasz słowo, że nie uciekniesz.

Holden skwapliwie zawołał:

— Oczywiście, nie ucieknę, obiecuję.

Tecumseh skinął na Wyandotę. Przecięte rzemienie opadły pod rudy pień sosny.

Porucznik odetchnął pełną piersią. Tecumseh wskazał mu miejsce obok ogniska.

• Siadaj! — rozkazał i sam spoczął pierwszy. Holden oszołomiony tak nagłą zmianą w stosunku do jego osoby usiadł także.

• Wódz Szawanezów postąpił słusznie — powiedział porucznik. — Dziękuję- za wolność.

Tecumseh położył strzelbę obok siebie i nie patrząc na Holdena odparł chłodno:

— Nie darowałem ci wolności. Wciąż jesteś jeńcem Czarnego Sępa. Gdybyś usiłował uciec, zginiesz od mojej kuli. — Ręka Szawaneza spoczęła na zamku leżącej strzelby. Zwrócił się do Kosa i Wyandoty: — Usiądźcie, czas spożyć poranny posiłek, przed nami daleka droga.

W milczeniu jedli soczystą pieczeń i popijali przyrządzony przez Kosa orzeźwiający napój z ziół. Kiedy byli już syci, Tecumseh zwrócił się do porucznika:

• Do kraju Dakotów wiodą liczne ścieżki, łatwo je zmylić.

• Prowadzą nas wysmienici traperzy, znają drogę do Odźbwejów i Dakotów.

• Może ich znam — wtrącił Kos.

• To Johann Gunter i Jerry Connel.

• Johann i Jerry, powiadacie? — zawołał zaskoczony Kos.

• Znacie ich?

• Doskonale. Któż jeszcze, prócz wojska, podąża z wami?

• Kupiec z fortu Miami, Willi Gayer. Wiezie z sobą towary.

• Rudy kuj ot! — wykrzyknął Czarny Sęp.

• Odźbwejowie będą radzi Długim Nozom. Zwiodą ich podarki i słodkie słowa — powiedział Szawanez. — Dopiero później poznają obłudę i fałsz białych.

Oczy Tecumseha spojrzały zimno w młodą twarz Holdena, potem przeniosły się na Czarnego Sępa, który siedział niby spokojnie, ale zaciśnięte usta świadczyły, iż rozsadza go nienawiść do porucznika, tym bardziej że nie jest pewien, co ostatecznie postanowi wódz Szawanezów w sprawie jeńca. Widząc to Tecumseh rzekł:

— Kto zadaje cierpienie innym, będzie sam cierpiał. Kto hańbi innego człowieka, sam musi być pohańbiony. — Na chwilę umilkł, a potem zwrócił się do Holdena: — Unurzałeś Czarnego Sępa w smołę i pierzu, choć nic złego nie uczynił. Zhańbiłeś wojownika Wyandotow, który przybył do wigwamu białych ze słowami pokoju i przyjaźni. Czy tak?

Porucznik Dan Holden gwałtownie zbladł, nerwowo zacisnął palce. Siłąc się na spokój powiedział:

• Sęp spoliczkował Gayera, możecie go spytać...

• Rudy kuj ot zasłużył na policzek. Nie będziemy o nic pytać. Siedzi tu świadek zajścia — Szawanez wskazał na Kosa, jemu wierzę.

Na czoło Holdena wystąpiły krople potu, a źrenice rozszerzył strach.

• Do czego, wodzu, zmierzasz? — rzucił niespokojnie.

- Zhańbiłeś Czarnego Sępa, tylko śmierć może zmyć twoją winę. — Tecumseh położył strzelbę na kolanach. — Ale wódz Szawanezów jest sprawiedliwy. Będziesz walczył o życie.

Po twarzy Holdena płynęły strużki potu. Palce rąk wbił w kolana.

— Wybieraj: noże albo tomahawki.

Porucznik spojrzął na muskularną postać Wyandoty. Zrozumiał że niewiele ma szans. Powiedział prosząco:

— Strzelby, wybieram strzelby.

Tecumseh ważył coś w myśli, po chwili rzekł:

— Dobrze, niech będą strzelby. Po jednym naboju.

Czarny Sęp wstał i podał wodzowi swój sztucer. Tecumseh zbadał broń i zwrócił ją Wyandocie.

— Będziesz strzelał ze sztucera Czerwonego Serca — powiedział do Holdena.

Nad potokiem wyznaczono gałęziami stanowiska strzelców. Sęp i Holden stanęli naprzeciw siebie. Tecumseh ze strzelbą gotową do strzału czuwał nad przebiegiem pojedynku.

Cisza panowała nad leśnym potokiem. Nie podsycane ognisko pokryło się już siwą warstwą popiołu. W wysokich koronach drzew ptactwo rozpoczynało poranny koncert.

Czarny Sęp i Dan Holden oparli strzelby kolbami o ziemię. Z głębokim skupieniem obserwowali swoje twarze.

— Uwaga! — zawołał Kos. — Zaczynajcie!

Wyandota nie poruszył się. Z ust jego wybiegł spokojny głos:

— Strzelaj pierwszy, biały skunksie!

Holden poderwał sztucer do góry i złożył się do strzału.

— Spokojnie celuj, bo chybisz — drwił Czarny Sęp. — Umiesz walczyć smołą, ale nie bronią wojownika.

Padł strzał. Zadudnił w kniei. Gromady ptactwa poderwały się z łopotem skrzydeł i znikły w zieleni. Zamarły śpiewy i pogwizdywania. Jedynie woda niezmiennie szumiała na kamiennym dnie.

Czarny Sęp stał. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Chybiłeś, biały łotrze! — zawołał. — Na mnie teraz kolej. Zginiesz, psie!

podniósł sztucer. Wtem Holden błyskawicznie skoczył w bok pochylony pomknął pomiędzy drzewa. Błękitny jego mundur białł wśród pni. Czarny Sęp cisnął strzelbę na ziemię, dobył z za pasa nóż i pobiegł za uciekinierem.

Tecumseh oparł swój sztucer o pień drzewa i podniósł porzuconą broń Sępa.

Zwijamy obóz — powiedział do Kosa. — Straciliśmy zbyt dużo czasu.

Spakowali podróżne torby, przygotowali do drogi konie, zasypali popiół ogniska. Kos sprawdzał popręgi u swego, mustanga, gdy zaszeleściły pobliskie krzewy.

Sęp wraca — powiedział Szawanez.

Rzeczywiście spośród drzew wyloniła się wysoka sylwetka Wyandoty. Szedł sprężystym krokiem, w jego kruczych włosach tkwił pęk orlich i sępich piór. Bez słowa podszedł do swego konia. Lekko wskoczył na grzbiet. Wtedy Ryszard zauważył u jego pasa świeży skalp. Zrozumiał.

W milczeniu skierowali się w dół potoku. Dopiero gdy znaleźli się na skraju puszczy, Tecumseh rzekł:

- Czarny Sęp jest mężnym wojownikiem. — Wyandota z zadowoleniem pochylił głowę. — Powierzam ci misję. Najkrótszą drogą dotrzesz do naczelnego wodza Dakotów i zawieziesz mu moje pozdrowienie. Zapowiesz wizytę Tecumseha. Nic więcej.
- Rozumiem.
- A my do Odźbwejów!

Podnieśli ręce na pożegnanie. Czarny Sęp udał się na zachód, a Kos i Tecumseh skręcili nieco bardziej na północ.

## W KRAJU ODŻIBWEJÓW I DAKOTÓW

Dwaj jeźdźcy zatrzymali zmęczone konie na wzniesieniu gorującym nad rozległą prerią. Osłoniętymi ręką oczyma badali step. Żółte, spalone słońcem trawy ciągnęły się przed nimi aż po daleki horyzont. Popołudniowe słońce prażyło niesamowicie. Niebo

niczym olbrzymi błękitny klosz nakrywało lekko pofalowanymi pagórkami trawiastą przestrzeń. Ani jednej chmurki. Dokoła pustka bez drzew i krzewów.

— Spójrz, Czerwone Serce! — powiedział Tecumseh wskazując północną smugę widnokregu.

Długo Ryszard Kos patrzył we wskazanym kierunku, aż wreszcie i on dostrzegł jakby obłoczek wiążący ziemię z błękitem nieba.

- Obłok albo dym — powiedział popękanymi wargami.
- Dym! Na pewno dym!
- Czyżbyśmy byli w pobliżu siedziby Odżibwejów?
- Tak sądzę.
- Jeżeli to wieś, to musi być tam także woda.
- Słusznie. Indianin nie rozbija tipi na bezwodnym terenie. Pewnie płynie tamtędy rzeka.
- Ruszajmy!
- Ruszajmy, może dotrzemy przed nocą do tipi gościnnych Odżibwejów.

Zjechali ze wzgóрка. Konie wlokły się wolno. Od wielu dni pozbawione były wody. Sucha roślinność prairii w takich warunkach nie mogła im służyć za pokarm. Nie chciały skubać wysuszonych do cna traw.

Jeźdźcy, zmęczeni gorącem i dusznością, również nie mieli czym ugasić pragnienia. Suche, popękane wargi nie zachęcały do rozmowy. Jechali milcząco.

Zapadał wieczór. Rozległy widnokrug na zachodzie płonął wszystkimi odcieniami czerwieni, aż wreszcie zgasł. Krótko srebrzył się jeszcze daleki pas nieba, a noc gęstniała z każdą chwilą intensywniej.

Jeźdźcy wjechali na łagodne, szeroko rozpostarte wzgórze. Zatrzymali mustangi.

• Nie dojedziemy do tipi Odżibwejów, musimy tu zanoć — powiedział Tecumseh i zeskoczył z konia.

- Możemy jechać nocą.
- Możemy, ale jaką mamy gwarancję, że nie ominiemy wioski?
- Ogniska...
- Ogni przed nami nie widać, a smutki dymu zmieszały się z czernią nocy — rzucił wódz Szawanezów.

— Zresztą będzie lepiej, jeśli zawitamy do Odżibwejów rankiem. A może dostrzeżony dym nie pochodził z obozowiska Odżibwejów?

Ryszard zeskoczył z siodła.

— Masz rację, wodzu.

Uzbierali dużą stertę zeschniętych traw i badyli. Skrzęsali ogień. w małym zagłębieniu terenu zatańczyły ruchliwe płomienie. Rozłożyli derki i wygodnie wyciągnęli się w pobliżu ogniska, podróżni nie sięgnęli po króliczą pieczeń, którą wieźli w torbach. Trawiące ich od paru dni pragnienie sprawiło, że nie byli zdolni do przełknięcia ani jednego kęsa suchego pokarmu.

— Spij, biały bracie, zbudzę cię po północy — rzekł Tecumseh.

— Dobrze — powiedział Kos. Podłożył ręce pod głowę i zamknął powieki. Ale sen nie przychodził.

Niesamowita cisza załanej nocą prairii jakimś dziwnym ciężarem leżała na jego piersi. Gniotła, niepokoiła, spędzała z oczu sen. Gdzieś daleko zabrzmiało przeciągłe, jęklive wołanie kujota. Podobne było do szpanatycznego płaczu przerażonego dziecka. I znowu cisza, koszmarna, nie zmacona nawet powiewem wiatru cisza rozległej prairii. Kos przewrócił się na bok. Usiłował zasnąć. Wiedział, że nic mu nie grozi. Grzechotnik nie podpełźnie do obozowiska, kujoty nie zaatakują śpiącego, bo płonący ogień napawa ich przerażeniem. Od innych niespodzianek uchroni czuwający Tecumseh i parskanie czujnych mustangów. A mimo to jakieś trudne do określenia

uczucie opanowało serce Ryszarda. Nie była to pierwsza noc spędzona przez niego na prairii. Zawsze jednak, ilekroć przyszło mu spać na stepie, nie mógł przyzwycząić się do tej niesamowitej, idealnej wprost ciszy. Brakło mu plusku płynącej rzeki, szumu wysokich drzew puszczy, gwaru ludzkich osiedli... Toteż prawie nie zmrzył oka.

Korzystając z porannego chłodu ruszyli lekkim klusem. Ujechali z dziesięć mil, gdy obaj dostrzegli wyraźne smugi dymu. Sączyły się w niebo równiutko niby siwe sznurki łączące wysoki błękit z ziemią. Konie przyśpieszyły biegu, ich nozdrza poruszały się niespokojnie.

— Czują wodę — powiedział Szawanez.

Jechali rozległym stepem, równym jak stół. Pofalowana łagodnymi pagórkami preria pozostała poza nimi. Przed ich oczyma aż po daleki horyzont rozciągała się pusta i płaska przestrzeń. Konie rwały wyciągniętym galopem. Kopyta biły głośno o wyschniętą i popękaną ziemię.



Smugi dymu, jakby uczepione nieba, stawały się coraz lepiej widoczne, ale nigdzie ani śladu indiańskich chat, tylko Wciąż ta sama brunatnożółta roślinność prerii.

Mustangi szły naprzód. Słońce ociążało pięło się ku szczytowi nieba. Znowu skwar począł dokuczać jeźdźcom. Nagle Tecumseh zdarł cugle konia. Ryszard poszedł w jego ślady. Stali obok siebie, zaskoczeni widokiem. Przed nimi teren urywał się gwałtownie, odkrywając rozległą dolinę o soczystej roślinności. W środku obszernej niecki srebrzyła się w słońcu woda jeziora a nad jego brzegami stały wzorzyste i barwne stożki skórzanych tipi. Na zielonej łące pasło się stado mustangów, a przy nich baraszkowała gromada dzieci. Wśród namiotów kręcili się ludzie.

• Odżibwejowie — powiedział Kos, a uśmiech zadowolenia okraszył jego opaloną na brąz twarz.

• Już nas dostrzegli, spójrz! — rzucił Szawanez, kierując wzrok na zbocze doliny.

Rzeczywiście, o kilkaset metrów od nich z bujnych traw podniósł się rosły Indianin i rękoma sygnalizował coś mieszkańcom wioski. Potem znowu znikł w zieleni.

— Jedziemy! — zawołał Tecumseh.

Zjechali po dość stromym zboczu, potem przecięli łąkę i skierowali konie w stronę wsi. Nikt nie wychodził ich witać. Nie wzbudzili żadnego zainteresowania, choć wiedziano już o ich pojawieniu się.

Odżibwejowie nie mieli powodów do okazywania niepokoju. Krąg wartowników czuwających wokół doliny dostrzegłby niebezpieczeństwo. Dwóch samotnych jeźdźców, jawnie zbliżających się do wioski, nie mogło zagrozić parutysięcznej siedzibie odżibwejskich wojowników.

Tecumseh i Kos minęli stado pasących się koni. Niektóre z nich miały na sobie uprząż, jakiej używają do siodłania biali-Dwaj przyjaciele spojrzeli na siebie, odgadli, do kogo muszą te konie należeć. Wjechali pomiędzy tipi i zeskoczyli z mustangów. Poszli wprost pod namiot wodza. Zdawało się, że nikt ich we wsi nie dostrzega. Jedynie czasami tu i ówdzie podniosła się skórzana zasłona przy wejściu do tipi, skąd patrzyły na przybyszów ciekawe oczy kobiet. Mijali właśnie okazały namiot, gdy z jego wnętrza doleciała ich uszu angielszczyzna. Kos zwolnił kroku. W tipi ktoś mówił:

Ten przekłety Anglik może pokrzyżować nasze plany.

\_\_\_ Licho go tutaj przyniosło.

\_\_\_ Nie denerwujcie się, generale. To niegroźny przeciwnik... \_\_\_ dudnił bas jakiegoś mężczyzny.

Ryszard spojrział w oczy Tecumseha, powiedział:

\_\_\_ Słyszałeś, wodzu?

Tecumseh słyszał. Oprócz naszych wrogów do wioski Odżibwejów przybył wojownik Agolaszima.

Prawdopodobnie.

To nasz sojusznik...

Przecięli obszerny plac i znaleźli się przed tipi naczelnika. Nim zdążyli dojść do wejścia, rozchyliły się misternie haftowane skóry i wyszedł im naprzeciw wysoki, masywnie zbudowany Indianin.

• Witajcie w wiosce Odżibwejów — powiedział gościnnie. — Wody i jadał wam tutaj nie zbraknie.

• Witamy przyjaciół Odżibwejów — odparł Tecumseh i położył prawą dłoń na sercu. Kos uczynił podobnie.

• Jeżeli chcecie zatrzymać się dłużej — mówił Odżibwej wskazując ręką — zajmijcie tamto tipi.

Nasze squaw przyniosą wam zaraz posiłek, a końmi zajmą się młodzi wojownicy.

• Dziękujemy gościnnym Odżibwejom — podjął Szawanez — ale nim skryje nas cień tipi, a woda zwilży spragnione gardła, musimy widzieć się z mądrym i wielkim wodzem Odżibwejów.

Wojownik jakby wahał się. Po chwili powiedział:

• Jestem Drapieżny Wilk. Wielki mój ojciec przyjmie was jutro. Dzisiaj musi wysłuchać posłów białych twarzy.

• Drapieżny Wilk powie swemu Ojcu, Snet-tis-hane, którego mądrość znana jest nawet w puszczech nad daleką Niobrara, że wódz Szawanezów, Tecumseh, i jego brat, Czerwone Serce, przybyli do Odżibwejów z tajnym poselstwem. Nim Snet-tis-hane wysłucha Agolaszima i Długie Noże, najpierw niech otworzy uszy na słowa Skaczącej Pomy.

Wojownik pochylił ze zrozumieniem głowę.

— Uczynię wszystko, o co prosi Tecumseh — powiedział. — Zajmijcie wskazane tipi. Ojciec mój da wam znak, gdy jego chatę opuści Agolaszima.

Drapieżny Wilk oddalił się i znikł w tipi Snet-tis-hane, a Kos z Szawanezem podszedli pod przeznaczony dla gości namiot. Zdjęli z koni podróżne torby, uprząż i puścili je wolno, sami zaś weszli do wnętrza. Zobaczywszy napełnione wodą tykwy, rzucili byle gdzie swe bagaże i pili łączywie chłodny płyn. Czuli jak wilgotny strumień zwilża ich języki i podniebienia, jak płynnie przełykiem, napełniając ciała uczuciem rozkoszy.

Zaspokoiли wreszcie pragnienie, uporządkowali swe rzeczy i sami legli na miękko wygarbowanych bizonich skórkach. I właśnie wtedy weszły dwie młode, wysmukłe i gibkie jak trzcina dziewczyny. Z uśmiechem postawiły przed nimi miski pełne parującego mięsa i pośpiesznie wyszły. Bizonia polędwica była wysmienita. Przyrządzona z jakimiś ziołami rozsiewała smakowitą woń. Jedli więc z prawdziwą przyjemnością, popijając zimną i czystą jak kryształ wodą.

Około dwóch godzin odpoczywali. Nikt nie zakłócał im spokoju. Ryszard miał więc czas przyjrzeć się niezwykle ładnemu panującemu w tipi oraz pięknym haftom, pokrywającym wewnętrzne ściany skórzanej chaty. — Nic dziwnego — pomyślał, że Odżibwejowie słyną z mądrości i szlachetności wśród licznych plemion czerwonoskórych.

Zasłona tipi uchyliła się i u wejścia stanął Drapieżny Wilk. i Powiedział przyjaźnie:

— Snet-tis-hane oczekuje wielkiego wodza Szawanezów i jego przyjaciela, Czerwone Serce. Pójdźcie ze mną!

Weszli obaj do obszernego tipi. Na środku skwierczał knot lampki, rozpraszającej półmrok wnętrza. Ze stosu misternie haftowanych i malowanych derek podniosła się wysoka sylwetka i wodza. W kącie namiotu dwie squaw z zaciekawieniem patrzyły na przybyszów. Chwilę trwała cisza i wzajemne badanie się wzrokiem.

- Wódz Odżibwejów — odezwał się Snet-tis-hane — wita ci w swym tipi walecznych Szawanezów znad Wielkich Jezior. Sława Tecumseha dotarła do ognisk mego plemienia. Chętnie otworzę uszy na słowa tak wielkich mężów — powiedział spokojnie. Stał naprzeciw gości smukły, wysoki. Twarz pokryta siecią zmarszczek świadczyła o jego sędziwym wieku, a myślące oczy o życiowej mądrości i prawości.

- Tecumseh, naczelnik licznych plemion zrzeszonych w Związek - ku Oporu, wita wielkiego wodza Odżibwejów, słynącego z mądrości i niesłychanej odwagi, i przynosi mu serdeczne pozdrowienia od proroka czerwonoskórych plemion, Elskwatawy z Niezdobytego Miasta Wielkiego Ducha — odwzajemnił się serdecznymi słowami Tecumseh.

— Czerwone Serce cieszy się, że może poznać jednego z najwspanialszych wodzów czerwonoskórej rasy, wielkiego Snet-tis-hane — powiedział Ryszard Kos. — Jeżeli tak wielcy naczelnicy, jak wódz Odżibwejów i Tecumseh, połączą swe siły w jedno, któż zdoła się oprzeć ich potędze?

Czarne źrenice Odżibweja bacznie patrzyły w twarz Ryszarda. Dobierając słów wódz odpowiedział:

— Rozległa jest kraina Odżibwejów i liczne plemiona mego ludu, nikt nie zagrozi naszym tipi. A z Dakotami Snet-tis-hane poradzi sobie sam. Siadajcie! Jeśli jesteście głodni, posilcie się, jeśli jesteście spragnieni, ugaście pragnienie. — Wskazał na przygotowany posiłek i usiadł na wzorzystej macie, krzyżując nogi.

Goście poszli za jego przykładem. Choć byli najedzeni do syta, sięgnęli po napój i pieczeń, jak kazał odwieczny zwyczaj. Później sędziwy Snet-tis-hane zdjął z szyi bogato zdobiony kalumet i napełniwszy go tytoniem, zapalił. Dwie kobiety bez słowa opuściły namiot. Fajka trafiła następnie w ręce Tecumseha i Ryszarda.

Milczeli długo. Wreszcie Odżibwej podjął rozmowę.

- Wielki Tecumseh wędruje od plemienia do plemienia i usiłuje związać w jedną całość wszystkich wojowników. Snet-tis-hane domyśla się celu jego wizyty. Ale Odżibwejowie nie muszą obawiać się Agolaszima ani Mila-hanska<sup>1</sup>, Jedni i drudzy nie zrobili nic złego Odżibwejom, przeciwnie, dostarczają nam swoją znakomitą broń i różne przedmioty za skóry upolowanych zwierząt. A Tecumseh przygotowuje wojnę z Mila-hanska, bo między Szawanezami i białymi doszło do nieporozumień.

- To też prawda.
- Odżibwejowie nie mogą mieszać się w sprawy Szawanezów, dość mają kłopotów z tymi przekłętymi Nadowessiwagami<sup>2</sup>.
- Nie masz racji, wielki Snet-tis-hane — powiedział Kos. — Do wioski waszej przybył generał

Zebulon Pike, który zaproponował wam udział w wojnie przeciwko kanadyjskiej Kompanii Zachodnio-Północnej i obiecał swoją pomoc. W ten sposób Miła-hanska pragną odwrócić waszą uwagę od istotnych spraw czerwonoskórych plemion. Miła-hanska obawiają się, że połączone siły czerwonoskórych wojowników i Agolaszima zniszczą nowo powstałe na ziemi indiańskich plemion ich zaborcze państwo.

— W wiosce Odżibwejów jest także młody Agolaszima — podjął dalej Tecumseh — który podarkami i słowami namawia walecznych Odżibwejów, by wystąpili przeciwko Miła-hanska! Czy Tecumseh się myli?

Snet-tis-hane milczał, zaskoczony trafnością wypowiedzi gości. Wolno rzucił pytanie:

— Skąd moi bracia znają problemy, o których poufnie mówiono w moim tipi?

Szawanez uśmiechnął się szeroko, położył dłoń na ramieniu Kosa i rzekł:

— Tecumseh, wódz Szawanezów i naczelnik Związku Oporu, jako sagamore, często rozmawia z Nabash-cisa, stąd zna wiele tajemnic ludzkich. Niech to zaświadczy sprawiedliwy i prawdomówny Czerwone Serce.

Kos skinął głową i spytał:

- Czy wielki Snet-tis-hane wie, dokąd wódz Miła-hanska uda się z gościnnego tipi Odżibwejów?
- Nie.
- Niech więc zapyta go o to, a przekona się, że podąży on do kraju Nadowessiwagów, aby ich nastawić przeciwko waszym plemionom.

Snet-tis-hane poruszył się niespokojnie. Lewa dłoń leżąca na jego kolanie drgnęła, a w oczach zapalił się dziwny blask.

• Gdy Odżibwejowie rozpoczną wojnę z Kanadą, Dakoci zburzą spokojne wioski Odżibwejów — zaczął Tecumseh — a Miła-hanska, zabezpieczeni w ten sposób bratobójczą walką na zachodzie i północy, wyruszą przeciwko konfederacji Związku Oporu.

- Snet-tis-hane zaczyna rozumieć okrutny podstęp białych ludzi.

Ściszyli głos i długo jeszcze wspólnie się naradzali. Wreszcie Odżibwej klasnął w dłonie. W wejściu pojawił się syn wodza.

— Drapieżny Wilk zawiadomi poselstwo białych, że Rada Starszych zbierze się jutro rano. Snet-tis-hane zmienił swoją decyzję, dzisiaj posiedzenia nie będzie. Hugh!

później rozmawiali o różnych sprawach. Wódz Odżibwejów interesował się Związkiem Oporu, prorokiem Elskwatawą i stosunkami panującymi pomiędzy Unią a plemionami wschodu i południa. Uważnie słuchał opowiadań Tecumseha i Czerwonego Serca. Szawanez i Kos dowiedzieli się, że Anglik, który przybył jako poseł kanadyjskiej Kompanii Północno-Zachodniej, nazywa się James Brenton. Było już późne popołudnie, gdy opuścili tipi Snet-tis-hane i udali się do swego namiotu.

Wieczorem Kos wyszukał ustronne miejsce nad jeziorem. W przybrzeżnych wiklinach zostawił ubranie i skoczył do wody. Od dawna już czuł potrzebę kąpieli. Przejechał przecież olbrzymią przestrzeń bezwodnej prerii. Z przyjemnością zmywał teraz z siebie zastarzały brud i zmęczenie. Wreszcie podpłynął do nadbrzeżnych zarośli i zwinnie wyskoczył na brzeg. Odnalazł pozostawione ubranie i począł ubierać się, gdy zaszeleściły pręty wikliny i do jego uszu dobiegła przyciszona rozmowa, prowadzona po angielsku. Pewnie byli to ludzie generała Zebulona Pike'a, którzy przyszli tu, by — podobnie jak Kos — wykąpać się w jeziorze. Ryszard wolał, być nie zauważony, dlatego szybko naciągnął bluzę i zapinając po drodze guziki skrył się w krzakach.

Rozmawiający zatrzymali się nagle, Ryszard przysiadł za kępą zieleni i zastygł nieruchomo. Głos jednego z mówiących wydał mu się znajomy. Wyteżył więc z zaciekawieniem słuch.

- Tutaj jesteśmy sami, możemy rozmawiać swobodnie.
- Słusznie, nie ma wokół nikogo — odezwał się ten drugi. — Zresztą, Odżibwejowie nie znają naszego języka. Musimy być ostrożni jedynie wobec żołnierzy Unii.

Usiedli na murawie. Ryszard rozchylił zarośla i zobaczył znajomą, ozdobioną rudą brodą i takimiz włosami twarz Willego Gayera, a obok niego kogoś w mundurze kanadyjskiego oficera. Łatwo odgadł, że musi to być James Brenton, wysłannik Kompanii Północno-Zachodniej. Zaciekawiony zaczął śledzić tok ich rozmowy.

— Przywiozłem interesujące was materiały i dokumenty — mówił Gayer. — Tu są dane o stanie załóg i uzbrojeniu fortów Unii, a tu trzy meldunki przechwycone od kurierów armii Stanów. Mogą was zainteresować. — Podał Brentonowi dwa pakietki dokumentów.

- Dziękuję, pięknie się spisujesz, Willi — powiedział Anglia i rozglądając się wokół, szybko schował pakiety do wewnętrznej kieszeni munduru.
- A ty pięknie za robotę zapłać — odparł Gayer, a ruda jego broda w promieniach zachodzącego słońca poruszyła się jak płomień. — Za byle co nie będę narażał życia.
- Dostaniesz zapłatę według umowy. — Brenton odpiął guzik kieszeni bluzy, wyjął woreczek i podał go rudemu.

Gayer rozwiązał sznurek i uważnie zajrzał do wnętrza. Szeroki uśmiech zadowolenia wykrzywił mu upstrzoną piegami twarz, a oczy zamigotały namiętnym blaskiem.

— Złoto! — szepnął. Zawiązał pośpiesznie woreczek i schował na piersi szerokiego fraka okrywającego jego postać.

Brenton uśmiechnął się z lekką drwiną.

— A co dzieje się u Szawanezów? — zapytał. — Opowiedz mi dokładnie.

Willi Gayer opowiadał o rosnącej sile indiańskiej konfederacji oraz o niepokojach osadników i żołnierzy fortów.

- Podobno Tecumseh ma białego doradcę. Czy to prawda?
- Tak. To dawny kurier armii Unii i traper. Indianie nazywają go Czerwonym Sercem.
- Mieszka w wigwamie Tecumseha. — Podobno.
- Jak się nazywa?
- Ryszard Kos, z pochodzenia Polak. Spytaj Johanna Guntera, on więcej ci o nim opowie, lepiej go zna.
- A po co generał Pike przybył do Odżibwejów?
- Nie wiesz, James? — zarechotał rudy. — Chcą napuścić plemiona Odżibwejów i Dakotów na Kanadę. Upieką przy tym trzy sprawy: zdobędą sojuszników, których rękoma i przy małych własnych stratach zaleją wam sadła za skórę; pokrzyżują plany Tecumseha, który chce plemiona Minnesoty i prerii włączyć do swojej konfederacji, co byłoby zbyt groźne dla Unii; po trzecie, w czasie walk zdziesiątkują się szeregi czerwonoskórych, z którymi przecież Unia wcześniej czy później musi się rozprawić. Im będzie ich mniej, tym lepiej. Rozumiesz, poruczniku?

Ryszard nie słuchał dłużej. Ostrożnie wycofał się z kryjówki i podążył ze zdobytymi wiadomościami prosto do tipi, gdzie rozmyślał Tecumseh. W zaciszu namiotu przeanalizowali obaj sytuację.

Rankiem zbudził ich łoskot bębna zwołującego starszyznę i wojowników na Plac Rady. Ubrali się i spożyli przyniesione przez dziewczęta śniadanie. Plac wypełnił się odświętnie ubranymi Odżibwejami. Wyszli i oni. Usiedli w kręgu starszyzny. Czekali. Widzieli na sobie ciekawe oczy starszych i młodych wojowników. Niewiele bowiem wiedziało, kim są i po co tu przybyli. Wreszcie w towarzystwie sędziwych wodzów odżibwej-skich nadszedł Snet-tis-hane, a wraz z nim generał Zebulon Pike, oficerowie, żołnierze, Johann Gunter i Jerry Connel, a za nimi rudy handlarz Willi Gayer i Anglik James Brenton. Usiedli w kręgu, jak nakazywał obyczaj. Poza siedzącymi w pewnej odległości stanęły kobiety i dzieci.

Nad placem zaległa cisza. Oczy Snet-tis-hane przebiegły po twarzach siedzących, zatrzymały się na ułamek sekundy na obliczu Tecumseha i Kosa, prześliznęły się po sylwetkach białych. Wódz podniósł się. W promieniach słońca wyglądał okazale. Bogato zdobiony strój i wielki pióropuszczyk opadający sznurkami białego puchu na ramiona i plecy dodawał mu powagi i dostojeństwa. Poradłona zmarszczkami twarz wyglądała jak wyrzeźbiona dłutem artysty. Podniósł rękę. Rozległ się jego metaliczny głos:

— Wodzowie i wojownicy Odżibwejów, siedzą przed wami posłowie dwóch białych plemion: Milahanska, których kraj rozciąga się na wschodzie od wybrzeży Wielkiej Wody aż po jezioro Erie i puszcze walecznych Szawanezów i Wyandotów, oraz Agolaszima, zamieszkałych w Kanadzie, z którymi często prowadzicie wymienny handel. Posłowie przywieźli nam obfite dary i chcą, abyśmy wysłuchali ich życzeń. Otwórzcie uszy swoje i słuchajcie! Niech Wielki Duch oświeci wasze myśli, abyśmy wybrali to, co będzie lepsze dla Odżibwejów.

Snet-tis-hane usiadł i ujął podany mu przez szamana kalumet. Wydmuchał dym zgodnie z obyczajem i podał fajkę generałowi Pike'owi. Kalumet krążył. Krąg siedzących wojowników milczał i ze skupioną uwagą obserwował spełnianie uświęconego tradycją zwyczaju czerwonoskórych. Palenie dobiegło końca. Wówczas wstał generał Pike i długo mówił o przyjaźni, jaką żywią jego rodacy do Odżibwejów, obiecywał dostarczyć tyle strzelb i kul, ile tylko będzie potrzeba wojownikom, aby mogli skutecznie, nie walczyć przeciw wspólnemu wrogowi — Kompanii północno-Zachodniej. Obiecywał kobietom błyszczące paciorki metalowe grzebienie, garnki oraz narzędzia wielkiej wartości siekiery i młotki, igły i noże, ciepłe koce i delikatne tkaniny.

Mówił, a słowa jego, wypowiedane łamanym dialektem Odżibwejów, pomieszanym z innymi językami indiańskimi, tłumaczył Johann Gunter. Wodzowie i wojownicy słuchali uważnie, choć wiele słów było dla nich niezrozumiałych.

Kiedy Zebulon Pike skończył, podniósł się Anglik, James Brenton, i zaczął, próbując posługiwać się językiem Odżibwejów:

— Bracia, znacie "mnie od dawna. Byłem niemal w każdej wiosce Odżibwejów rozsianych wśród wodnych rozlewisk Minnesoty. Wszędzie ja i moi bracia z kanadyjskiego kraju przyniosili wam dobre słowo przyjaźni, obfite dary i pokój. Nie chcemy waszej ziemi, pragniemy wspólnie z Odżibwejami żyć i prowadzić handel. Długie Noże przemocą wdarli się do krainy Delawarów Mohikanów, Tuskarorów i Oneidów, wypędzili ich z ziemi ojców i zbudowali tam swoje państwo. Dzisiaj chcą skłócić Odżibwejów z Kanadą, aby zabrać waszą i naszą ziemię. Nie słuchajcie ich Długie Noże mają języki podwójne jak węże. Zostańcie wierni Kanadzie. Razem pokonamy chytrych wojowników Unii.

Generał Pike, zdenerwowany wystąpieniem Brentona, znów zabrał głos, później ponownie mówił Anglik. Kiedy omal nie doszło do ostrej kłótni pomiędzy białymi, Snet-tis-hane uciszył ich i pozwolił wypowiadać się wodzom i wojownikom.

Wstawali jeden po drugim i mówili długo a kwieście. Jedni opowiadali się za przymierzem z Unią, skuszeni obietnicami otrzymania broni palnej, inni uważali, że trzeba dbać o dobre stosunki z sąsiednią Kanadą, dlatego byli przeciwni sojuszowi z Długimi Nożami, jeszcze inni stali na stanowisku nie wiązania się w ogóle z białymi — ani z Kanadą, ani z Unią. Któryś z młodych wodzów zwrócił uwagę zgromadzonych, że gdyby Unia dostarczyła strzelb, prochu i kul, Odżibwejowie nie musieliby lękać się Dakotów, którzy od wieków sprawiali im kłopoty swoimi napadami na wioski i stada koni. Głos ten był tak trafny, dotknął najżywoźniejszego problemu plemienia, bo obowiązującej zemsty rodowej, że szala zaczęła przechylać się na stronę przedstawiciela Stanów Zjednoczonych.

Jakiedy zaczęło wydawać się, że zdecydowana większość wodzów i wojowników opowie się za sojuszem z Unią, rękę podniósł Tecumseh. Snet-tis-hane wstał i spokojnym głosem zaczął mówić:

— Bracia, nim ostatecznie rozstrzygniemy, po czyjej stronie opowiedzą się Odżibwejowie, posłuchajmy mądrych słów ludzi, którzy znają Milla-hanska z osobistych doświadczeń. W kręgu siedzących znajduje się wielki i sławny sagamore Szawanezów, Tecumseh, i jego biały brat, Czerwone Serce. Posłuchajmy, z czym przybyli do wioski naszego plemienia.

Snet-tis-hane usiadł, a podniósł się wódz Szawanezów. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Tecumseha. Plac Rady zaległa głęboka cisza. Każdy uważnie i z szacunkiem patrzył na wysoką postać słynnego wodza, o którym opowiadano zadziwiające historie w indiańskich tipi i przy obozowych ogniskach. Jedynie wśród białych rozległy się głosy zaskoczenia, a nawet przekleństwa.

— Wielcy mężowie walecznych i mądrych Odżibwejów, oto stoi przed wami Tecumseh, naczelnik zjednoczonych w Związku Oporu plemion czerwonej rasy — donośny głos Szawaneza zadudnił nad placem. — Przybyłem do was, bo Nabash-cisa powiedział mi o poselstwie Milla-hanska. Pozostawiłem więc swój lud nad Tippecanoe i oto jestem wśród was. — Na chwilę przerwał i patrzył w oczy siedzących wojowników. — Nie wiercie bladym twarzom! — ciągnął dalej. — Oni są jak głodne wilki zimą. Wtedy nie będą gryzły, gdy powali je celny strzał muszkietu lub ostrze strzały.

Biali poczęli coś szeptać między sobą. Kos dostrzegł skierowany na siebie nienawistny wzrok Johanna Guntera i generała Pike'a.

Tecumseh tymczasem mówił dalej:

— Bracia, plemiona Szawanezów były liczne jak liście na drzewach puszczy, gdy zza Wielkiej Wody przyплыnęli na skrzydlatych canoe biali ludzie. Gdy było ich mało, słodyczą i dobrocią zjednywali serca mego ludu, dlatego przyjęliśmy ich jak braci. Kiedy się rozmnożyli, zaczęli mordować i grabić. Nie oszczędzali nikogo: kobiet, dzieci, starców... Płoneły wioski. Lud mój musiał zostawić ziemię swych ojców, drzemiące w niej prochy dziadów i uchodzić w puszcze nad Wabash River. Ale i tam przyszli Mila-hanska, niosąc ze sobą łuny pożarów i śmierć.

Cisza zapanowała na Placu Rady. Wszyscy uważnie słuchali Tecumseha. Gunter szeptem tłumaczył generałowi mowę Szawaneza.

— Bracia, naród mój walczył bez wytchnienia, ale biały<sup>^</sup> ciągle przybywało, a szeregi Szawanezów topniały. Obecnie w puszczech nad Wabash River, gdzie żyją plemiona Wyandotów, Seneków, Miamisów i Pottawatomich, znów osiedlają się biali. Żołnierze Mila-hanska kazali plemionom czerwonoskórych wynieść się precz z tej krainy. Pytam was, bracia Odżibwejowie: dokąd pójdziemy? Biali zajmą nasz kraj, zbudują drewniane wigwamy i będą dalej posuwać się na południe, zachód i północ. Dotrą do siedzib Odżibwejów i zniszczą was tak, jak w pień wycięli szlachetnych Mohikanów i Lenapów nad rzeką Mushi-gum, choć Indianie ci przyjęli wiarę w Boga białych ludzi i zawarli wieczystą przyjaźń z Mila-hanska.

Szawanez znowu przerwał, oczyma badał, jakie wrażenie wywołują jego słowa na słuchaczach. Wszyscy z kamiennymi twarzami siedzieli wpatrzeni w Tecumseha, jedynie generał Pike okazywał swoje niezadowolenie.

—, Bracia! — zawołał z mocą Tecumseh. — Biali na półwyspie Michigan odkryli metal, który nazywają srebrem, przyjadą więc do siedzib Odżibwejów i zrobią z was niewolników, każą wam kopać i szukać go w ziemi. Kto odmówi pracy, zginie. Dlatego mówię wam: tylko zjednoczenie wszystkich dzieci Manitou w jeden związek może ocalić czerwonoskórych. Wtedy stworzymy potęgę, która potrafi oprzeć się najazdowi białych twarzy.<sup>1</sup> W ten sposób uratujemy naszą ziemię przed chciwymi Mila-hanska, a nasze dzieci i żony przed hańbą i śmiercią. O, bracia? Odżibwejowie! Tecumseh nie chce wojny ani z Mila-hanska, ani z Agolaszima. Szawanezi i skonfederowane plemiona pragną żyć<sup>^</sup> w zgodzie z białymi, prowadzić handel i przy jednym ognisku palić fajkę przyjaźni i braterstwa. Ziemia jest wielka, starczy miejsca i dla nas, i dla nich. Biali zabrali, przemocą olbrzymie połacie puszczy i stepów, jezior i rzek, niech zatrzymają to wszystko dla siebie. Ale niech nie wyciągają drapieżnych rąk po nowe ziemie, gdzie żyje spokojny czerwony lud. Bracia! Tylko jedna wielka konfederacja wszystkich indiańskich plemion powstrzyma pochód białych zaborców. — Tecumseh umilkł. Chwilę stał nieruchomo, później podniósł do góry pęk czarnych strzał wraz tomahawkami obwiązanych czerwonym wampumem, wyszedł z kręgu siedzących i położył znak Związku Oporu u stóp wodza Odżibwejów. — Przyjmijcie to godło przymierza, bracia Odżibwejowie — powiedział. Wrócił na swoje miejsce i usiadł.

Nikt się nie poruszył. Snet-tis-hane jak posąg, z rękoma na kolanach, siedział obok generała Zebulona Pike'a, który nagle zawołał:

— To podłe!... Ten czerwony pies Szawanezów szczeka... To...

Milcz! — rozkazał twardo wódz Odżibwejów i ręką skinął w stronę Kosa. Ryszard wstał.

— Bracia, jestem biały, ale nie należę do plemienia Mila-hanska ani Agolaszima. Mój kraj nazywa się Polska. Sercem jestem po stronie szlachetnych synów czerwonoskórych plemion. Dlatego wybrałem swoje miejsce u boku Tecumseha, bo on głosi prawdę, a Mila-hanska pragną was oszukać. Spytajcie obecnego tu wodza białych, generała Pike'a, czy z gościnnej wioski Odżibwejów nie podąży do waszych wrogów Dakotów, aby ich podburzyć przeciwko wam? Odżibwejowie i Dakoci będą toczyć z sobą wojnę, a Mila-hanska nad Wabash River rozpoczną krwawy pochód, niszcząc ogniem i żelazem wioski Szawanezów i Wyandotów, Seneków i Pottawatomich... Zastanówcie się, bracia Odżibwejowie, co powiedział wam Czerwone Serce.

Snet-tis-hane podniesionym głosem rzucił pytanie białym:

— To prawda, że z wioski Odżibwejów ruszycie do osiedli Dakotów? Mówcie!

Wśród białych powstało zakłopotanie, poczęli szeptać między sobą, wreszcie wstał Zebulon Pike.

— Waleczni Odżibwejowie — zaczął — rzeczywiście Biały Ojciec w Waszyngtonie polecił nam

odwiedzić Dakotów w ich kraju, ale nie chcemy, aby między waszymi plemionami toczyła się wojna...

Snet-tis-hane podniósł się energicznie i ręką przerwał wywody generała. Powiedział oczyma -po zebranych.

— Bracia, kto opowiada się za sojuszem z białymi?

Cisza. Nie poruszyła się ani jedna postać. Wódz Odżibwejów Podjął spoczywające u jego stóp godło Związku Oporu i podniósł wysoko w górę. Powiedział:

— Snet-tis-hane przyjmuje ten znak braterskiego związku czerwonych plemion. Kto z wodzów jest innego zdania, może znaku nie podjąć.

Wódz Odżibwejów podał godło siedzącemu obok szamanowi plemienia, ten przyjął je, podniósł do góry i przekazał swemu sąsiadowi. Znak szawaneskiej konfederacji przechodził z rąk; do rąk, obiegił siedzących czerwonoskórych, ominął białych i spoczął znowu u stóp Snet-tis-hane. Wódz powstał, wznosił ręce ku górze i zakończył posiedzenie.

Indianie rozchodzili się do swoich tipi, biali wściekle spoglądali na Tecumseha i Kosa. W dwie godziny później generał Zebulon Pike ruszył na zachód, do siedzib Dakotów. We wsi pozostali Kanadyjczyk, James Brenton, oraz serdecznie podejmowani Tecumseh i Ryszard Kos.

Wieczorem Snet-tis-hane w towarzystwie starszyny omówił z Tecumsehem wszystkie sprawy dotyczące Związku Oporu. Następnie Szawanez zobowiązał się ruszyć śladami wysłanników Unii i pokrzyżować ich plany podburzenia Dakotów przeciw Odżibwejom i Kanadzie.

Na drugi dzień o świcie do tipi, gdzie Tecumseh i Kos spożywali śniadanie, wszedł James Brenton.

• Przepraszam, że zakłócam poranny posiłek, ale za chwilę opuszczam wioskę, a bardzo chciałbym z wami zamienić parę zdań — powiedział siłąc się na uprzejmość.

• Siadajcie, sir — odrzekł Ryszard i zapraszając wskazał na stos bizonich skór.

Brenton usiadł. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Z pomocą przyszedł mu wódz Szawanezow.

— Biały brat przekaze swoim wodzom, że mogą liczyć na Tecumseha, gdy rozpocznie się wojna Kanady z Unią.

Brenton, zaskoczony tak jasnym postawieniem sprawy przez Szawaneza, odpowiedział szczerze:

• Dziękuję! Chciałem właśnie wiedzieć po czyjej stronie opowie się wielki wódz Związku Oporu.

• Biały brat również powie kanadyjskim przyjaciółom, że armia Szawanezow musi być traktowana równorzędnie z armią angielską.

• Dobrze.

• Potrzebujemy broni — ciągnął Tecumseh. — Płacimy skórami dzikich zwierząt i pieniędzmi. Kiedy moglibyście rozpocząć dostawy?

Brenton chwilę zastanawiał się, po czym rzekł:

• Po powrocie przedstawię Kompanii Północno-Zachodniej słowa wielkiego Tecumseha, a skóry na broń możecie wymieniać nawet już. Nic nie stoi na przeszkodzie w tej sprawie.

• Wysłannicy Tecumseha zgłoszą się ze skórkami w kanadyjskich faktoriach — powiedział Szawanez i po chwili dodał: — Kiedy przewidujecie zbrojne wystąpienie przeciw Unii?

• Nie wiem. Sądzę jednak, że wojna szybko nie wybuchnie. Stany Zjednoczone są za słabe, aby nam zagrozić, a w interesie Anglii jest utrzymanie pokoju.

Tecumseh roześmiał się z drwiną. Spojrzał w oczy Brentona i rzucił mu w twarz:

— Biały brat ma przytępiony wzrok albo ukrywa przed Tecumsehem prawdę. Wojna między Unią a Anglią wisi jak tomahawk na nitce. Najłżejszy wiatr może ją urwać.

Brenton patrzył na Szawaneza z uczuciem uznania dla bystrości jego umysłu i z niekłamanym szacunkiem.

• Może wódz Szawanezów ma rację — powiedział.

• Na pewno ma rację — rzucił Ryszard.

• Brenton uśmiechnął się gadkowo i wstał.

— Dziękuję za cenne informacje, wodzu. Muszę śpieszyć, bo droga przede mną daleka. —

Wyciągnął rękę do Tecumseha. Uścisnęli sobie dłonie bez słowa, ale z przyjaznym wyrazem twarzy.

Gdy Brenton zęgnął się z Ryszardem, ten rzekł niespodziewanie.

— Zmieńcie sobie, sir, współpracowników. Willi Gayer i Johann Gunter nie zawsze dostarczają wam prawdziwych informacji.

James Brenton podniósł na Kosa pełne zdumienia oczy.

— Te pakiety, które otrzymaliście w wiosce Odżibwejów, nie są warte funta klaków.

Oblicze porucznika Brentona pokryło się krwistym rumieńcem.

- Skąd wiecie?... — szepnął.
- To nasza sprawa, sir. Chcemy wam dać do zrozumienia, że Kompania Północno-Zachodnia może mieć w Związku Oporu wartościowego sojusznika. Pamiętajcie, że Tecumseh to nie tylko waleczny wódz, ale i bystry polityk.

— Wam też nic nie brakuje — powiedział Anglik. — Zapewniam was, że skrupulatnie przekażę wszystko moim zwierzchnikom. Żegnajcie!

Brenton opuścił tipi, a Szawanez i Ryszard spędzili jeszcze cały dzień u gościnnych Odżibwejów. Wczesnym świtem wyruszyli ku dalekim siedzibom Dakotów. Dziesięciu wojowników z młodym wodzem, Czarnym Mustangiem, odprowadziło ich aż do Missouri River.

Po ośmiu dniach wędrówki stanęli nad bystro płynącą rzeką.

— Oto Min-ni-szoz — powiedział Czarny Mustang. — Za rzeką zaczyna się kraj Dakotów. Tutaj rozchodzą się nasze drogi.

Przyjaźnie pożegnali się. Odżibwejowie zawrócili, a Tecumseh i Kos przepłynęli rzeką na grzbietach koni. Rzeczywiście Missouri to Mętna Rzeka. Żółte jej wody płynęły-wartko, niosąc z sobą całe dywany zielska, a nawet pnie powalonych drzew.. Dzikie wiry i urwiste brzegi dodawały grozy i stwarzały dodatkowe niebezpieczeństwo.

Jechali parę dni rozległą prerią, później natknęli się na Tenton River — prawy dopływ Missouri. Ruszyli w górę rzeki i koło południa dotarli do wielkiego obozowiska Dakotów. Szczęście im sprzyjało, bo do wioski ściągnęli ze wszystkich stron co przedniejsi wodzowie licznych plemion wielkiego narodu. Sprawił to Czarny Sęp, który jako wysłannik Tecumseha potrafił zainteresować Dakotów wizytą wielkiego Szawaneza. Naczelnik, Mitahaza, zwołał wodzów wszystkich plemion da-i kockich, rozsianych na olbrzymiej prerii.

Tecumseha i Kosa przyjęto w wiosce z szacunkiem, choć z dużą rezerwą. Młody wódz, Mitahaza, zaprosił gości do swego tipi i po obfitym poczęstunku i wypaleniu kalumetu powiedział wprost:

— Mój wielki brat, Tecumseh, przybył z zamiarem wciągnięcia Dakotów do konfederacji przygotowującej wojnę z Mila-hanska. Słyszeliśmy o wspaniałych prorocत्वach Tecumseha i Elskwatawy i chętnie przystąpilibyśmy do Związku Oporu, ale Długie Noże nic złego nam nie wyrządzili. Przez parę dni gościliśmy ich posłów, którzy przywieźli naszym wojownikom i naszym squaw dary wielkiej wartości. Obiecali też dostarczyć broni. Dakoci zawarli z nimi przymierze. Niech moi bracia, wódz Szawanezów i Czerwone Serce, będą gośćmi Dakotów, ale niech nie mówią o sojuszu przeciwko białym.

- Generał Zebulon Pike i jego wojownicy są jeszcze w wiosce Dakotów? — rzucił Kos.
- Odjechali dzisiaj o świcie do kraju Szoszonów.
- Czemu tak śpieszyli się?
- Biały wódz mówił, że jego naczelnik, wielki Biały Ojciec, polecił mu odwiedzić Dakotów, Szoszonów i Czarne Stopy, więc śpieszył się, bo jesień już niedaleka, a po jesieni przychodzi zima. Nie czas wówczas na podróże.

Tecumseh pochylił się w stronę Dakoty i z drwiną powiedział:

— Czy generał białych, Zebulon Pike, mówił Mitahazie, że wcześniej odwiedził waszych wrogów, Chachatonuanów, i im także obiecywał broń?

Mitahaza spojrział niedowierzająco na Szawaneza. Kos podchwycił:

- I podburzał Odżibwejów przeciwko Dakotom...
- Jeśli mój brat, wielki wódz Dakotów, żąda świadków, Tecumseh takiego świadka posiada — dorzucił Szawanez.

- Kto jest tym świadkiem?
- Czarny Sęp.
- Przecież on był tutaj, w wiosce Dakotów. Skąd może wiedzieć, gdzie byli przedtem biali?
- Niech mój brat posłucha — powiedział spokojnie Tecumseh. — Jechaliśmy we trzech: ja, Czerwone Serce i Czarny Sęp, do krainy Dakotów. Podążaliśmy śladami białych posłów, a gdy oni skręcili ku ziemiom Odżibwejów, wówczas Tecumseh zdecydował się na zmianę planu podróży. Czarny Sęp powiódł do Dakotów wiadomość o wizycie wodza Szawanezów, a my dwaj pojechaliśmy za białymi. W obozie Chachatonuanów Mila-hanska usiłowali skłonić Snet-tis-hane, aby zawarł z nimi układ wojenny przeciw Dakotom. Ponieważ Tecumseh pokrzyżował ich zamiary i Odżibwejowie zrezygnowali z



sojuszu, Mila-hanska wyruszyli tutaj, aby was zachęcić do wojny z Odźbwejami.

Mitahaza uważnie słuchał.

- A wiesz, wodzu, o co chodzi Długim Nożom? — rzucił pytanie Kos.
- Mitahaza słucha, mówcie.
- Mila-hanska obawiają się konfederacji czerwonych ple-mion, które przygotowują świętą wojnę przeciwko białym podjął Tecumseh — dlatego chcą skłócić walecznych Dakotów z Odźbwejami, aby nie przyłączyli się do Związku Oporu, bo wówczas klęska białych byłaby przesądzona.

Zapadła na chwilę cisza.

- Mitahaza zrozumiał — zawołał wódz Dakotów i klasnął w dłonie. Do namiotu wszedł wojownik. — Weźmiesz dziesięciu wojowników i ruszysz śladami Mila-hanska — powiedział Mitahaza — i wodzowi białych zawieszysz czarną strzałę wojny, znak zerwania zawartego sojuszu. Rozumiesz?

- Bystry Orzeł zrozumiał.

- Spiesz się! — A zwracając się do Szawanezów Mitahaza dodał: — Jestem po stronie Tecumseha.

Nazajutrz wodzowie Dakotów z Siedmiu Ognisk Wielkiej Rady, wysłuchawszy Tecumseha, przyjęli godło Związku Oporu, a w trzy dni później Tecumseh, Kos i Czarny Sęp w asyście czterystu dakockich wojowników ruszyli ku Tippecanoe.

## WYROK

Zima niosła pierwsze powiewy mroźnego wiatru. Drzewa puszczy stały nagie, odarte z liści. Jedynie wysmukłe, niebosiężne świerki, jodły i przysadziste sosny zachowały wieczną zieleni swych szpilek. W nocy mróz ścinał bagniste rozlewiska Tippecanoe, zamykał błyszczącą taflą lodu powierzchnie strumyków, i rzek, a drzewa pokrywał grubą warstwą puszystego szronu.

Zaczynał sypać śnieg, gdy Tecumseh, Kos, Czarny Sęp i czterystu barwnie ubranych w skórzane okrycia i ustrojonych w pióropusze Dakotów dotarło do Miasta Wielkiego Ducha. Wracającego wodza Szawanezów powitano z wielką radością, a przybycie nowych sojuszników z entuzjazmem.

Tippecanoe rozrastało się coraz bardziej, obejmując swym obszarem rozległe łąki i skraj odwiecznej puszczy. Tecumseh po krótkim, odpoczynku zlustrował całe miasto, następnie wezwał Elskwatawę. W wigwamie płonęło ognisko, rozlewające przyjemne ciepło. Na grubym stosie niedźwiedziej skór usiedli dwaj bracia bliźniacy i Ryszard Kos. Sięgnęli po gorący napój przyrządzony z klonowego syropu. Sączyli słodkawy, orzeźwiający płyn i toczyli rozmowę.

Elskwatawa informował dokładnie Tecumseha o wszystkim, co wydarzyło się podczas jego nieobecności: zakupiono dwieście nowych strzelb, pięćdziesiąt beczek prochu, tysiąc sztabek ołowiu na kule, trzysta żelaznych tomahawków, pięćset noży... Do Tippecanoe dotarły i rozłożyły się obozem nowe oddziały sojuszników: Czipewejowie znad Łąki Superior i Menomonisowie z nad Fox River, Czirokezi z Georgii, Natchezi mieszkający nad dolnym biegiem Mississippi, Peoriowie z Kaskaskii, WinnibaJ gowie znad jeziora Michigan, nawet kanadyjscy Assiniboinowie, Odźbwejowie znad jeziora Winnepeg i wiele, wiele innych plemion.

Tecumseh słuchał uważnie i liczył. Kiedy Elskwatawa skończył, powiedział:

- Wszystkie plemiona wschodu, północy i większość plemiona zachodu jest z nami To już wielka siła. Drzyjcie, najeźdźcy!

- Gdy minie zima, a Manitou zazieleni ziemię, można zacząć świętą wojnę — rzucił Elskwatawa.

- Nie! sprzeciwił się Kos. — Jeszcze za wcześnie! Po pierwsze, za mało posiadamy broni palnej, którą koniecznie trzeba gromadzić, po drugie, nie pozyskałiśmy jeszcze dla Związku Oporu licznie wielkich plemion południa: Seminolów, Kriksów, Czikasawów, Cotawbów...

- Jest jeszcze trzeci powód — rzucił Tecumseh.

- Jaki? — w głosie Elskwatawy zabrzmiała ledwie dostrzegalna nuta zawiści.

- Świętą wojnę czerwonych ludów możemy wzniecić wówczas, gdy Agolaszima i Miczi-malsa

rozpoczną walkę między sobą — powiedział Tecumseh.

- Kiedy to nastąpi?
- Czekajmy. Wojna między Anglią a Stanami Zjednoczonymi wisi na włosku. Wybuchnie za rok, najpóźniej dwa.

• Masz rację, Tecumsehu — potwierdził Kos. — Trzeba czekać, a gdy biali będą walczyć, my wówczas uderzymy. W mojej ojczyźnie jest takie przysłowie, które mówi, że gdzie dwóch się bije, trzeci korzysta. My będziemy tymi trzecimi, którzy zwycięstwo zgarną dla siebie.

— Mądre przysłowie — przyznał Tecumseh, a po chwili dodał: — Zima jest dobrą porą dla myśliwych. Musimy rozplanować tereny łowieckie dla naszych wojowników, aby jak najwięcej zdobyć skór, które wiosną wymienimy na broń. Pozostały czas poświęcimy na wojskowe ćwiczenia. Czerwone Serce pomoże nam poznać taktykę walki białych.

— Chętnie to zrobię.

Długo jeszcze radzili, potem Tecumseh wyciągnął mapę narysowaną na wygarbowanej do białości skórze karibu i wyznaczyli rejony myśliwskie dla poszczególnych grup łowieckich. Kiedy Tecumseh zakreślił patykiem umoczone w ochrze ostatni rejon łowów, obejmujący okolice Wabash River i Wąskiej Strugi, wówczas Elskwatawa zawołał:

- Zostawmy ten rejon, tam są backwopodsmeni...
- Tam mieszka tylko jeden traper z rodziną, z naciskiem odpowiedział wódz.
- To Otto Watter. Razem z żoną i dwoma synami zbudował chatę nad Wąską Strugą — dodał Kos.

— Chętnie do nich się wybiorę. Mam powody, aby odwiedzić nie tyle Watterow, co ich przyjaciół: Guntera i Connela.

W ognisku syczały palące się drewnienka. Smuga dymu unosiła się w górę i wydostawała się na zewnątrz otworem w dachu wigwamu. Tecumseh bacznie patrzył w twarz brata. Cedząc słowa, rzekł:

- Elskwatawa, wielki szaman Szawanezów, ukrywa coś przed Tecumsehem.
- Pewnie nad Wąską Strugę przybyli nowi osadnicy. Czy tak? — spytał Kos.

Elskwatawa podniósł głowę i hardo wbił oczy w twarz brata.

— Wojnę trzeba zacząć wiosną — powiedział. — Jeżeli tego nie zrobimy, wiele plemion wyłamie się z konfederacji, a biali będą zasiedlać kraj czerwonoskórych.

— Mów, co zaszło nad Wąską Strugą! — zawołał Tecumseh.

Elskwatawa skrzyżował ręce na piersi.

— Posłuchajcie! — zaczął. — Tę wiadomość zostawiłem na koniec. — Sięgnął po miskę i siorbnął obfity łyk klonowego napoju. — Gdy Tecumseh i Czerwone Serce wędrowali do kraju Odźbwejów i Dakotów, powstały w obozie niepokoje. Wojownicy wokół Tippecanoe częściowo wybili zwierzynę, częściowo uszła ona w dalsze rejony puszczy, spłoszona gwarem wielkiego wojennego obozu. Tippecanoe to kraj Wyandotów i Miami, sów, których wioski leżą w pobliżu Miasta Wielkiego Ducha, w ich wigwamach zagościł głód. Nie umiałem temu zaradzić — I przyznał Elskwatawa i znowu popił z głębokiej miski. — Mia-misowie zwrócili się więc do starego Miczikinikwy, a Wyandoci do Skórzanej Wargi o radę. Ten ostatni podsunął im myśl sprzedania ziemi leżącej w rozwidleniu Wabash River i Wąskiej Strugi.

Oczy Tecumseha zaiskrzyły się niespokojnym blaskiem; a dłonie zwarły się w pięści.

— Biali z Vincennes kupili tę ziemię i zaraz przybyło tu dużo

backwoodsmanów. Zbudowali już dla swoich rodzin drewniane wigwamy.

Tecumseh zerwał się, gniew wykrzywił mu twarz, oczy ciskały błyskawice. Ryknął wzburzony:

— Zdrada! Zdrada! Kto ważył się złamać mój rozkaz? Mów!

Elskwatawa milczał, a wódz Szawanezów nerwowym krokiem chodził po chacie.

— Usiądź, wodzu — rzucił spokojnie Kos. — Musimy rozważyć tę sprawę.

Szawanez zatrzymał się przed Elskwatawą, położył dłoń na jego ramieniu i spytał surowo:

• Dlaczego nie powstrzymałeś ich od tego czynu? Przecież wiedziałeś, że zabroniłem sprzedawania ziemi!

- Nie wiedziałem, zrobili to bez wiedzy swego szamana.
- Podli! Muszą ponieść karę!

Wódz usiadł, jego oblicze płonęło, oczy iskrzyły się wściekłością.

— Wymień wszystkich, którzy złamali rozkaz Tecumseha.

Elskwatawa zaczął podawać nazwiska i opisywać rozmiary przewinienia każdego

z wymienionych. Było ich dwunastu, sami Wyandoci i Miamisowie. A na czele tej listy sędziwy, wstawiony zwycięskimi bojami z białymi — Miczikinikwa oraz Skórzana Wargi.

Zapadła cisza. Tecumseh objął głowę dłońmi, opierając łokcie o kolana, i długo milczał. Potem powiedział:

— Wyślemy poselstwo do Vincennes z prośbą o unieważnienie kupna ziemi i natychmiastowe opuszczenie terenu zajętego przez osadników.

A jeśli gubernator Harrison kupionej ziemi nie odda? — rzucił Kos.

— Wówczas zniszczymy osadę.

— Za wcześniej.

— A co ze zdrajcami? — spytał Elskwatawa.

• Jutro wydam wyrok. Muszą zginąć.

• To za surowa kara — sprzeciwił się Ryszard. — Musisz zważyć, wodzu, że nie wszyscy jednakowo zawiniли. Prócz tego skazanie na śmierć Małego Żółwia i Skórzanej Wargi, sędziwych zwycięzców amerykańskiej armii, może wywołać niezadowolenie wśród Indian.

• Czerwone Serce ma dużo racji, ale ich czynu nie mogę potraktować łagodnie. Nikomu z Indian nie wolno sprzedawać białym ziemi, bo jest ona wspólną własnością wszystkich czerwonoskórych plemion. Kto łamie ten zakaz, ten popełnia niewybaczalną zradę.

• Nie podejmuj, wodzu, zbyt pochopnych decyzji — zabrał głos Ryszard. — Zbadaj dokładnie sprawę, wysłuchaj obwinionych i świadków, a potem, kiedy gniew serca ucichnie, wydasz sprawiedliwy wyrok.

Puma Gotowa do Skoku z głową w dłoniach siedział pochylony, jak . gdyby olbrzymi ciężar dźwigał na barkach. Dopiero po długim namyśle podniósł się ze skór i sucho powiedział:

• Masz rację, mój przyjacielu. Uczynię, jak radzisz. A teraz... — przerwał nagle, bo koło wigwamu zachrząściły na śniegu ludzkie kroki. W głębi miasta rozległo się żalobne zawodzenie squaw. Do wnętrza wodzowskiej chaty weszło dwóch wojowników.

• Wielki wodzu, Tecumsehu, przynieśliśmy zwłoki trojga wyandotów, w tym dziecka. Wszyscy bez skalpów.

Słowa meldunku zabrzmiały złowieszczo. Były jak ostry bicz uderzający w bolesne miejsce i pogłębiający cierpienie. Tecumseh stał nieruchomo, jedynie twarz mu poszarzała, a wargi zacisnęły się kurczowo. Wyszedł przed wigwam, za nim Elskwatawa i Kos. Milczeli. Przed chatą leżały zmasakrowane zwłoki wojownika, kobiety i małej, może dziesięcioletniej dziewczynki.

• Kto to uczynił? — spytał sachem.

• Backwoodsmeni.

• Gdzie? — pytanie w ustach Pumi zabrzmiało jak groźny syk.

• Nad Wąską Strugą.

• Biali oskalpowali Wyandotów?

• Tak.

• Skąd macie te wiadomości? — spytał Kos.

• Skrzydlaty Ptak był świadkiem zajścia — powiedział jeden z wojowników.

— Opowiedzcie dokładnie — rozkazał naczelnik Szawanezów.

Usiedli przy ognisku. Wojownik zaczął:

— Szedłem tropem wapiti, którego zraniła moja strzała. W pobliżu Wąskiej Strugi usłyszałem nagle trzy grzmoty muszkiety. Sądziłem, że ktoś dobił jelenia, którego ścigałem. Przyśpieszyłem kroku. Gdy zbliżyłem się do zamarznętej rzeczki, zobaczyłem zza drzew blade twarze. Pochyleni nad zwłokami zdzierali skalpy.

Ryszard opuścił głowę.

• W Pittsburgu podobno znowu płacą za skalp dorosłego Indianina sto czterdzieści pięć dolarów, a za skalp dziecka sto trzydzieści cztery — powiedział Elskwatawa. — Donieśli mi o tej decyzji białych posłańcy z plemienia Onandogów.

• Białe psy! — syknął Tecumseh.

• Odgrzebali zbrodnicze zarządzenia Williama Penna z roku tysiąc siedemset czternastego — dodał Kos. — Ten fakt świadczy, że Unia zaczyna się bać Związku Oporu. Chcą za wszelką cenę sprowokować nas do wojny. Obawiają się, że zbrojne powstanie Indian w czasie konfliktu z Anglią może zakończył się

klęską dla Amerykanów.

- Czerwone Serce mówi mądre słowa, ale Tecumsehowi przyszła pewna myśl... — przerwał wódz i zwrócił się do dwóch wojowników. — Idźcie, niech szamani spełnią obowiązek pogrzebania zmarłych, a squaw niech opłaczą ich śmierć. — Wojownicy opuścili wigwam, a Tecumseh zwrócił się do Elskwataw i Kosa: — Wyślemy jeszcze dzisiaj poselską delegację do gubernatora Harrisona z dwoma żdaniami: unieważnienia kupna ziemi nad Wabash River oraz wydania w ręce Szawanezów morderców Wyandotów. Jeżeli gubernator z Vincennes nie zechce wykonać naszych próśb, zniszczymy osadę nad Wąską Strugą.

— A zdrajcy? Nie ukarzesz ich za sprzedanie ziemi? — głos Elskwatawy był podjudzający.

— Tecumseh zbada całą sprawę. Jeżeli biali zgodzą się opuścić zakupioną ziemię, wódz Szawanezów podaruje winę, jeśli nad Wąską Strugą będzie musiała przemówić broń, zdrajcy zginą. Hugh!

Długo jeszcze rozważali, jak postąpić. Później Kos napisał w imieniu Tecumseha obszerną notę do gubernatora w Vincennes, generała Williama Henry'ego Harrisona, w której domagał się w trybie natychmiastowym unieważnienia transakcji kupna ziemi nad Wabash River i opuszczenia jej przez backwoodsmenów, a także wydania morderców, dziecka, kobiety i wojownika sądowi Tecumseha. W zakończeniu wódz Indian zapewniał gubernatora, że czerwonoskórzy chcą żyć z białymi w przyjaźni i pokoju, ale domagają się sprawiedliwości. Jeżeli Unia żądań nie spełni, Związek Oporu sam sięgnie po sprawiedliwość. Tecumseh pod pismem odcisnął znak swego totemu i dziesięciu wodzów ruszyło do Vincennes z poselstwem.

Na drugi dzień Puma Gotowa do Skoku zajął się zbadaniem przyczyn sprzedania ziemi, przesłuchiwał, rozmawiał, zastanawiał się — i czekał. Któregoś dnia wysłał zwiadowców nad Wąską Strugę. Wrócili i złożyli dokładne relacje. W rozwidleniu rzek wyrosło czternaście drewnianych chat, zbudowanych masywnie, z otworami strzelniczymi, przystosowanych do obrony. W sumie mieszkało tam około czterdziestu ludzi, w tym kobiety i dzieci.

Śnieg zasypał grubą warstwą polany leśne i wolne połacie ziemi, wdarł się w głębiny kniei. Mróz skuł wody. Indianie na śnieżnych raketach<sup>4</sup> poruszali się sprawnie, w wyznaczonych rejonach zastawiali sidła na drobną zwierzynę i tropili grubego zwierza.

Wreszcie wróciła delegacja z Vincennes. W wigwamie Tecumseha zasiedli wszyscy w milczeniu. Ponure twarze wodzów nie wróżyły nic dobrego. Skacząca Puma z zaciśniętymi wargami oczekiwał przywiezionej odpowiedzi. Jeden z doświadczonych wodzów, noszący imię Cztery Niedźwiedzie, dowódca poselskiej delegacji, zaczął:

Unok-okweri złożył mówiące pismo na ręce gubernatora w Vincennes. Biali długo czytali, radzili i brzydko urągali Czerwonemu Sercu, bo odgadli, że to pisała jego ręka. Później oświadczyli nam, abyśmy poszli precz z miasta białych ludzi i więcej tutaj nie wracali. — Unok-okweri umilkł, po chwili ciągnął dalej: — Jeden z młodszych wodzów białych twarzy, którego nazywano Dawisem, domagał się uwięzienia naszej delegacji, ale gubernator nie usłuchał jego rady, lecz polecił przekazać Tecumsehowi, że biali ziemi nad Wabash River nie oddadzą a morderców szukać nie będą, bo nie mają dowodów, czy zbrodnia była naprawdę popełniona.

Tecumseh gestem ręki podziękował delegacji za wykonanie rozkazu, odprawił Elskwatawę i Kosa, a sam leży na puszystych niedźwiedzych skórkach. Głowę objął rękoma i wpatrzony w sufit chaty intensywnie układał plany dalszego działania.

Wstał mroźny ranek. Śnieg leżał grubą warstwą. Niebo zaciągnięte ciężkimi zwałami chmur nie przepuszczało słonecznych promieni. Ponury i zimny dzień wisiał nad Miastem Wielkiego Ducha, gdy Tecumseh wezwał do siebie wodzów i przedniejszych wojowników. Wszyscy wiedzieli, że za chwilę zapadną niezwykle decyzje, dlatego siedząc wokół ogniska z niepokojem oczekiwali wielkiego naczelnika Związku Oporu.

Tecumseh był spokojny, choć z łatwością można było dostrzec malującą się na jego twarzy troskę o losy swego narodu.

— Bracia, wezwałem was tutaj — zaczął sagamore — aby powierzyć wam ważkie dla przyszłości Związku Oporu zadania.

Zebrani pochylili ze zrozumieniem głowy.

- Wielki szaman czerwonoskórych plemion, mój brat, Elskwatawa mimo zimy wyruszy w daleką podróż do kraju Seminolów, Kriksów i Szoktawów, poniesie tam wampumy i znaki Związku Oporu. Trzeba się śpieszyć. Towarzyszyć mu będzie oddział wojowników świetnie

uzbrojonych w strzelby. Musicie zachowywać się tak, aby zdobyć sympatię plemion dla naszej świętej sprawy.

- Kiedy mamy wyruszyć? — rzucił Elskwatawa.
- Jak najszybciej, nawet już jutro.

Tecumseh ustalił imienny skład trzydziestoosobowego oddziału, który miał towarzyszyć szamanowi. Następnie powiódł zatroskanym wzrokiem po twarzach siedzących wodzów i poinformował zebranych o wyniku poselstwa do gubernatora Harrisoria.

— Widzicie, bracia — kończył — jeden zły krok, a ile przynosi zła i cierpień? Sprzedaż ziemi nie może ująć zdrajcom bezkarnie. — Zrobił długą pauzę i surowym głosem zagrział: — Za zdradę, zgodnie z wolą Manitou, skazuję na karę śmierci Skórzaną Wargę, starego wodza Wyandotów, oraz jego wojowników, którzy złamali złożoną przysięgę: Czerwoną Strzałę, Czujnego Bobra, Pełzającego Węża, Białe Skrzydło, Wielkiego Wilka... — wyliczał ponuro.

Wodzowie pochyliли w zakłopotaniu głowy. Milczeli, nie usiłowali nawet oponować. Rozumieli, że stała się rzecz niewybaczalna, że Tecumseh musiał tak postąpić. Ukradkiem spoglądali na rodzzonego brata Skórzanej Wargi, słuchającego wyroku.

Tecumseh ściszył głos i patrząc wprost w oczy Nocnego Wilka powiedział:

— Jesteś rodzonym bratem Skórzanej Wargi, musisz zmyć krwią hańbę, którą on rzucił na twój wigwam. Wykonasz, Nocny Wilku, wyrok Towarzyszyć ci będzie młody wódz Wyandotów — Żuraw.

Cisza napełniła chatę wodza, jedynie huczały płomienie ogniska i strzelały palące się sękatę drewnianka. Nocny Wilk siedział nieruchomy, zastygły jak posąg. Z trudem wykrztusił:

— Nocny Wilk wykona wyrok Tecumseha...

Wódz Szawanezów podał mu starannie wycięty prostokąt brzozy kory, na której widniał rysunek tomahawka — symbol śmierci.

Skacząca Puma dalej wyznaczał wodzów i wojowników do wykonania dalszych wyroków. Kiedy skończył, rozkazał:

— Poniesiecie śmierć zdrajcom jutro o świcie. A później każdy z was zda sprawę z wykonania wyroku.

Pochyliły się głowy na znak posłuszeństwa, a wódz mówił dalej:

— Miczikinikwę, wodza Miamisów, skazuję z woli Gicze Manitou na wygnanie. Rysunek złamanego tomahawka poniesie mu Lekka Stopa. Niech sędziwy starzec zamieszka samotnie z dala od osiedli czerwonoskórych i białych wojowników. W puszczy między Maumee River a fortem Wayne stoi opuszczona chata, tam Miczikinikwa dożyje reszty swych dni. Taka jest wola Manitou, objawiona przez usta Tecumseha.

Ryszard czytał w obliczach siedzących wodzów strach pomieszany z szacunkiem dla surowego naczelnika zjednoczonych Plemion.

Tecumseh mówił:

— Bracia, całą zimę musimy wykorzystać na gromadzenie skór upolowanych zwierząt i na szkolenie wojowników. Czerwone Serce będzie uczył was wojennej sztuki białych ludzi. Słuchajcie go, jest jednym z wodzów naszej konfederacji. Możecie mu zaufać jak mnie.

Oczy zebranych patrzyły przyjaźnie na Ryszarda.

— Nim słońce stopi śniegi i ruszą wody rzek — mówił Tecumseh — nad Wabash River nie będzie osiedla backwoodsmenów. Pomścimy śmierć rodziny Wyandotów...

- Kiedy to będzie? — zapytał Elskwatawa.
- Kiedy?... Nie chcemy czekać! — podchwycili inni.
- Niedługo, bracia. Bądźcie cierpliwi — rzucił Skacząca Puma i dodał rozkazująco: — Naradę skończyłem! Rozejdźcie się wykonać moje rozkazy!

Po chwili wigwam opustoszał. Jeszcze Elskwatawa zasięgał rady swego brata i Kosa przed podróżą na daleką Florydę! potem i on poszedł przygotowywać się do drogi. Tecumseh zamyślony siedział w kręgu pulsującego ciepłem ogniska. Ryszard zostawił go w wigwamie, a sam wyszedł. Postanowił rozpocząć szkolenie wojowników.

Po południu następnego dnia wodzowie i wojownicy składali Tecumsehowi meldunki o wykonanych

wyrokach. Przyjmował je z ponurą, kamienną twarzą, choć jakiś ból drażył mu serce. Żałował tej krwi, którą sam kazał przelać. Czuł jednak, że tak trzeba, że tylko twardą i surową wolą zmusi liczne, zwaśnione i nie rozumiejące groźnej sytuacji politycznej plemiona do posłuszeństwa.

Gdy Nocny Wilk i Żuraw zameldowali mu o śmierci Skórzanej Wargi, Tecumseh spuścił oczy i cicho spytał:

- Powiedz, jak umierał wódz Wyandotów.
- Mój brat, Skórzana Warga — zaczął Nocny Wilk — przyjął posłańców śmierci bez słowa lęku.

Przybrał odświętne szaty i ukląkł nad wykopaną mogiłą. Cios tomahawka przyjął cicho, nawet nie jęknąwszy.

- To był wielki wojownik — powiedział z żalem Skacząca Puma. — Szkoda, że tak musiało się stać...

I znowu minął zimowy dzień. Północny wiatr gwałcił nagie konary drzew, osypywał z nich śnieżne okiście, niebem żeglowały ciężkie, ołowiane chmury.

Elskwatawa był już daleko. Ryszard podzielił wojowników i wodzów na kompanie i na wzór europejskich armii ćwiczył taktykę walki. Poświęcał tej pracy dużo czasu. Któregoś dnia Tecumseh towarzyszył mu przez cały okres ćwiczeń. Wieczorem wracali do swego wigwamu. Wódz położył prawą dłoń na lewym ramieniu Ryszarda, tak szli przez warowny obóz Tippecanoe.

• Jesteś prawdziwie moim bratem — powiedział serdecznie do Kosa. — Bliższym nawet niż Elskwatawa. Dlaczego tak postępujesz?

• Los mojego narodu podobny jest do waszego losu, dlatego współczuję i pragnę pomóc czerwonym braciom.

- Dziwny jesteś...

Minęli kilka barwnych tipi i zbliżyli się do wodzowskiej chaty. Weszli do wnętrza.

• Elskwatawa zmienił się w stosunku do mnie rzucił Szawanez. — Dlatego wysłałem go do Seminolów.

- Nie odgadłeś przyczyn tej zmiany?  
Nie.

— Elskwatawa jest zazdrosny o sławę, którą ty się cieszysz.

- Ja zdobyłem uznanie plemion jako naczelnik, on jako wielki prorok.
- Ale Elskwatawa nie lubi dzielić sławy. On chciałby być naczelnikiem i szamanem w jednej osobie.
- Masz rację, bracie.
- Musisz jednak, wodzu, uważać. Elskwatawa potrafi intrygować.
- Sądzisz, że wystąpiłby przeciwko Tecumsehowi?
- Nie wiem. Aby zagarnąć władzę naczelnika, może uczynić zgubne dla konfederacji posunięcia.

Elskwatawa jest zawistny, zazdrosny o sławę i posiada chwiejny charakter. Uważaj na niego, mój bracie.

Tecumseh skinął głową.

— Czerwone Serce posiada bystre oczy, które umieją czytać w sercach ludzi. Takiego samego zdania o Elskwatawie jest Tecumseh.

Szawanez sięgnął po kolację. Obaj spożywali świetną pieczeń wapiti i popijali jakąś polewką przyrządzoną przez squaw. Gdy zaspokoili głód, Tecumseh powiedział:

- Wyśpijmy się, bracie. Sen wzmacnia siły człowieka. Jutro wyprawimy się nad Wąską Strugę.
- Z wojownikami? Nie za wcześnie?
- Sami: ty i ja.
- Świetnie. Odbiorę swoje przedmioty zrabowane mi prze? Connela i Guntera na tamtej tragicznej polanie...

Wsunęli się pod puszyste niedźwiedzie skóry i po chwili oczy ich skleił spokojny sen. Skoro świt nad warownym obozem Tippecanoe zabielił niebo, zerwali się z posłania, naprędce zjedli śniadanie, sięgnęli po broń i przypiąwszy rakiety do nóg, ruszyli w stronę Wąskiej Strugi. Szli na przełaj przez puszcę. Puma Gotowa do Skoku prowadził wyśmienicie. Przecinali zamarznięte, te i zasypane śniegiem strumyki, leśne uroczyska, pokryte grubą i miękką warstwą śnieżnego puchu, rozległe polany, wąziutkimi ścieżkami wydeptanymi stopami zwierząt przedzierali się przez zbity gąszcz kniei. Lekkie, szerokie rakiety w tym zimowym marszu spisywały się doskonale. Umożliwiały szybkie pokonywanie dużych odległości i bezpieczne przechodzenie ukrytych pod śniegiem rozpadlin. Nie pozwalały zapadać się nogom w zaspę, dzięki swojej budowie utrzymywały ciężar człowieka na powierzchni. Dawno minęli Eel River, przecięli zamarznięte koryto rzeki Saint Joseph i zagłębili się w dziką puszcę, ciągnącą się aż do

Wabash River. Zimowy dzień dobiegał końca, gdy Tecumseh zatrzymał się. Kos stanął obok niego. Zobaczyli wyraźnie odcisnięte na świeżym śniegu ślady rakiet.

- Przeszło tędy trzech ludzi — stwierdził Ryszard.
- Czerwone Serce zgadł. Było ich trzech.
- Mogli to być wojownicy Seneków lub Szawanezów, mieli w tym rejonie polować.

— Nie sędzę — rzekł Tecumseh. — To pewnie biali. Takiej ślady pozostawiają niezbyt starannie zrobione rakiety. Białym często się spieszy i byle jak je wykańczają.

- Może to backwoodsmeni znad Wąskiej Strugi?
- Możliwe...

Nagle gdzieś niezbyt daleko zadudnił huk muszketu. Tecumseh i Kos spojrzeli sobie w oczy. Wytężyli słuch. Echo wystrzału gasło w dalekich ostępach.

— Polują albo...

Skacząca Puma nie dokończył, tylko ruszył przetartym szlakiem, pozostawionym przez nieznaną ludzi. Ryszard pobiegł za nim. Pod rakietami chrzęścił śnieg. Trop wił się wśród pni odwiecznych drzew, omijał oszronione pręty nagich krzewów i prowadził na południowy wschód. Znowu zabrzmiały gdzieś zupełnie blisko dwa wystrzały, a po chwili trzeci. Zaraz też dobiegły ich ludzkie, niewyraźne jeszcze okrzyki. Przyśpieszyli- Kos czuł, jak koszula robi mu się wilgotna od potu. Na brwiach jego osiadł biały szron i niby delikatny puch pobielił futrzany kołnierz łosiowej kurtki.

Tecumseh nagle zwolnił i dwoma skokami dopadł zwartej grupy strzelistych świerków. Zatrzymał się ze strzelbą gotową do strzału. Ryszard zajął stanowisko za innym drzewem i stał czujny, gotowy na wszystko.

Skryci za wiekowymi świerkami, rosnącymi na skraju olbrzymiego jaru, obserwowali otaczającą przestrzeń. Tuż przed nimi opadała w dół stroma skarpa, porośnięta tu i ówdzie kępami widłaku i rozłożystych tui. Dołem ciągnął się szeroki parów. Na jego dnie, wciśnięty za zwałony, przysypany śniegiem pień drzewa, leżał Indianin ze strzelbą gotową do strzału. Z dwóch stron podchodzili doń dwaj biali. Kos łatwo rozpoznał tych ludzi.

- To przewodnicy generała Zebulona Pike'a — szepnął Tecumsehowi.
- I wrogowie Czerwonego Serca — uzupełnił Szawanez.
- Pokrzyżujemy im plany.

Gunter przebiegł chyłkiem otwartą przestrzeń i przywarł do pnia samotnego dębu. Był ostrożny jak zwykle. Miał zresztą powody. Ukryty Indianin z tej strony miał niezłe pole obstrzału. Natomiast z drugiej strony osłaniał go powalony pień i wysoka zaspą śniegu. Nie mógł więc widzieć podchodzącego Connela.

- Bierzemy ich żywych — szepnął Kos.
- Oczywiście. Nie czas na rozlewanie krwi, chyba że...

Szawanez umilkł, bo w tym momencie śnieżna kula, ciśnięta ręką Guntera, zatoczyła łuk w powietrzu i spadając zaszeleściła w prętach krzaków. Indianin czujnie zwrócił lufę strzelby w stronę kołyszącego się krzewu, lecz nie wystrzelił. Pewnie zorientował się w podstępnie przeciwnika. Wtedy Gunter kalecząc język Szawanezów zawołał:

— Jesteś otoczony, czerwona skóro, poddaj się!

Indianin milczał.

— Słyszysz? — zachrypiał szorstki głos trampa. — Jeżeli nie usłuchasz, zginiesz!

Wojownik nie odpowiadał. Wtedy Gunter znowu krzyknął.

- Hej, Jerry, rąbnij czerwonego diabła. Ja go przypilnuję z tej strony.
- Uważaj! Zaczynam! — odkrzyknął Connel. I w tym momencie huknął strzał. Kula wzbija fontannę śniegu tuż koło kryjówki czerwonoskórego.

- Zaczynamy i my! — szepnął Kos. — Ja biorę Guntera, a ty tamtego.
- Ugh!

Obu trampów widać było z góry jak na dłoni. Kos podniósł sztucer i wymierzył. Johann wychylił się zza pnia i celował w stronę kryjówki Indianina. Nie zdążył jednak wystrzelić! Jakby grzmot rozdarł powietrze. Strzelba wypadła z rąk Guntera, zmieciona celnym pociskiem Kosa.

— Hej, Gunter! — Ryszard wyszedł z ukrycia i stanął na brzegu jaru. — Podnieś ręce do góry! Jeden krok albo ruch, a powali cię kula Tecumseha. I ty, Jerry, uczyn to samo. Szybko!

Dwaj trampi ociągając się wykonali polecenie. Wówczas odezwał się Szawanez:

— Mój czerwony brat jest bezpieczny.

Spod pnia podniosła się wysoka postać. Indianin gestem ręki podziękował wybawicielom i bez słowa podbiegł do stojącego pod drzewem Guntera. Od pasa odwiązywał zwój rzemieni.

— Dobrze odgaduje mój brat wolę Tecumseha — zawołał do niego wódz Szawanezów.

Po chwili Gunter i Connel leżeli skępowani w śniegu, a Tecumseh i Kos schodzili po stromym zboczach w głąb parowu. Nadciągał wieczór. Wyszukali więc zaciszne miejsce w jarze, osłoniętej z jednej strony zboczem parowu, z drugiej gęstymi krzewami. Tam przenieśli jeńców i ułożyli ich na grubej warstwie świerkowych gałęzi, naciętych w tym celu. Następnie zgromadzili dużą stertę opału. Nie była to prosta sprawa. Musieli nożami obcinać niższe gałązki drzew, a zwłaszcza krzewów. Większość bowiem leśnych olbrzymów gładkimi pniami strzelała w górę, a gałęzie zaczynały się zbyt wysoko, by ich można było dosięgnąć. Dlatego solidnie napracowali się, bo i zapadający mrok zmuszał do pośpiechu.

Zmęczeni przeżyciami dnia siedzieli przy ciepłym ognisku, otuleni, z podniesionymi kołnierzymi kurtek, z nasuniętymi na uszy i czoło futrzanymi czapkami. O jeńcach, choć na to nie zasługiwali, nie zapomnieli. Okryli ich przed mrozem i ułożyli w zasięgu ciepła bijącego od ognia.

Kiedy sięgnęli po placki i pemikan, aby zaspokoić głód, odezwał się Wysoki Orzeł:

— Mój biały brat znowu pośpieszył wojownikowi Szawanezów z niespodziewaną pomocą.

Kos podniósł oczy na Indianina.

- Twoja twarz jest mi znana, ale nie umiem sobie przypomnieć, kiedy nasze ścieżki się zeszyły.
- To było wiosną. A wrogami Wysokiego Orła i Ostrego Krzemienia byli ci sami ludzie. —

Indianin wskazał jeńców.

• Wiem! — Ryszard położył dłoń na kolanie siedzącego Orła. — To było nad Wabash River. Zostałeś wtedy ranny. A później ofiarowałeś mi wampum braterstwa i przyjaźni.

• Ten wampum znaleźli na piersi ciężko rannego Czerwonego Serca nasi wojownicy — dodał Tecumseh — i to uratowało mu życie.

- Ugh! — szepnął Wysoki Orzeł. — Któż zranił białego brata?

Ryszard wskazał związane postacie trampów.

— Oni — rzucił sucho.

• Psy! Czas z nimi skończyć!...

• Nadejdzie godzina zemsty — powiedział wódz Szawanezów — a skalpy białych kujotów ozdobią nasze pasy. Ale jeszcze nie teraz...

- Puścimy ich wolno? — oburzył się Wysoki Orzeł.

• Zobaczymy. Najpierw trzeba nam dotrzeć do backwoodsmenów nad Wąską Strugą.

Gwarzyli długo przy ognisku. Później na zmianę czuwali. Przedrzemali noc, a o świcie zjedli znowu suche kukurydziane placki posypane pemikanem. Poczęstowali też jeńców i rozwiązawszy im nogi, szykowali się do wymarszu.

- Wysoki Orzeł podąży z nami? — spytał Tecumseh.

• Jeżeli wielki wódz pozwoli.

• Czego Wysoki Orzeł szukał wczoraj w parowie?

• Szukałem tropów karibu, wapiti lub innych zwierząt, gdy blade twarze usiłowały zaskoczyć mnie z zasadzki.

- Wojownik Szawanezów będzie nam potrzebny nad Wąską Strugą — rzucił Skacząca Puma.

Ruszyli. Tecumseh szedł przodem, za nim podążali jeńcy, zaś Ryszard Kos i Wysoki Orzeł zamykali pochód. Znowu przedzierali się przez zaśnieżoną knieję. Jeszcze jedną noc spędzili przy ognisku i około południa stanęli nad Wąską Strugą. W potężnym wykrocie pod niebosiężnym dębem rozbili obozowisko. Odbyli krótką naradę. Postanowili pozostawić Connela pod strażą Wysokiego Orła, zaś Tecumseh i Kos wraz z Johannem Gunterem mieli udać się do osady backwoodsmenów.

Wzdłuż rzeki rozsiadły się długim szeregiem drewniane zabudowania osadników. Budynki były masywne. Małe okna zamykano od wewnątrz okiennicami. U dołu i pod wiązaniami dachu znajdowały się strzelnicze otwory.

Oczy Tecumseha uważnie lustrowały osadę i jej otoczenie! Jego oblicze na pozór było spokojne, ale oczy patrzyły gniewnie.



Obeszli z dala osiedle. Na samym skraju kniei, w miejscu gdzie wzdłuż rzeczki rozpoczynał się długi pas przybrzeżnych łąk, obecnie pokrytych białym kożuchem śniegu, stała stara chata Watterów. Z komina piął się w niebo długi warkocz dymu: znak, że ktoś z mieszkańców jest w domu. Weszli na podwórze! Odpinali rakiety z nóg. W sąsiednich zabudowaniach gwałtownie poczęła ujadać pies. Ktoś wybiegł ze strzelbą w rękę i rozejrzał się uważnie. Pewnie rozpoznał Guntera, bo pozdrowił go ręką i znikł w chacie. Kos otworzył ciężkie drzwi. Znaleźli się w mrocznej sieni. Mieli ująć drewnianą klamkę, gdy ktoś z drugiej strony pchnął ostrożnie drzwi. Wyjrzała spoza nich wąsata twarz starszego mężczyzny.

— A, to ty, Johann — powiedział. — Kogo prowadzisz

Był to stary Otto Watter, mieszkający tu z dwoma synami od paru już lat. Gunter nie odpowiedział na jego pytanie, wszedł do wnętrza izby i podniósł związane ręce.

— Widzisz? — rzucił wściekle.

Watter przeniósł zdumiony wzrok na Kosa i Tecumseha.

— Co to znaczy? — zawołał. — Kim jesteście?...

Wódz Szawanezów stanął pomiędzy Watterem a wiszącymi na ścianie strzelbami.

- Widzę, że jesteście sami, sir — powiedział Ryszard. — Gdzie synowie?
- Ale... Powiedźcie, co to znaczy...
- Powiemy, Otto, powiemy. Tylko pomału. Można usiąść? Trzy dni jesteśmy w drodze, a teraz zima, ciężko wędrować.

Watter z zakłopotaniem wskazał drewniane ławy. Ukradkiem spoglądał na strzelby zawieszane na ścianie.

— Siadaj, Gunter! — rozkazał Ryszard. — I ty, Watter, także. Przyjemniej będzie rozmawiać. Nie jesteśmy zbójami, broń wam niepotrzebna.

Traper milczał. Siadł na skraju ławy.

— Przyszedłem, Gunter, po swoje przedmioty, które zrabowałeś mi na polanie, gdy nieprzytomny leżałem dwukrotnie trafiony waszymi bandyckimi kulami — mówił dalej Kos.

Gunter milczał.

• Plan drogi do rzekomych skarbów możesz zatrzymać w prezencie. Major Dawis powie ci, co zrobił ze znalezionymi pieniędzmi. To wasz kuzyn, czy tak?

- Rozwiąż — szepnął Johann przez zęby.
- Jeśli nie będziesz robił głupstw, pewnie unikniesz naszego gniewu. Jednak dopóki nie dogadamy się, musisz być związany.

• Otto, oddaj mu torbę — szepnął Johann z dwuznacznym błyskiem w oczach.

Stary Watter podniósł się z ławy, ale surowy głos Tecumseha powstrzymał go.

— Niech błada twarz siedzi, Czerwone Serce sam weźmie swoją własność.

Traper usiadł.

- Gdzie torba? — rzucił Kos.
- W komorze — szepnął Otto.

— Durniu! — krzyknął Gunter. — Gdzie go wysyłasz?

Tramp zerwał się gwałtownie, ale lufa strzelby Szawaneza

ostudziła jego energię. Usiadł z powrotem z wykrzywioną wściekle twarzą.

— Nie bójcie się — powiedział Ryszard. — Z komory wezmę tylko moją torbę. Nic więcej.

Kos wszedł do małego magazynku, pełnego skór upolowanych zwierząt, zapasów żywności i różnych przedmiotów codziennego użytku. Rozglądał się szukając swej własności. Jego torba wisiała na drewnianym kołku. Zdjął ją i zajrzał do środka. Wyglądało na to, że nic z niej nie było zabrane. Przerzucił torbę przez ramię i miał już opuścić komorę, gdy wzrok jego padł na pęk dziwnych przedmiotów. Leżały w kącie magazynku, byle jak przykryte derką. Pochylił się. Były to ludzkie skalpy. Wahał się chwilę, potem włożył je do torby.

— Swoją własność znalazłem — powiedział wchodząc do izby.

— Brakuje tylko paru drobiazgów bez większego znaczenia. Pamiątki z mojej ojczyzny są wszystkie, o nie mi chodziło. W zasadzie bylibyśmy kwita, gdyby... — Zrobił długą przerwę i uważnie patrzył na Guntera. Potem przeniósł wzrok na właściciela chaty. — Słuchaj, Otto — zwrócił się do niego — utrzymywałeś dobre stosunki z Indianami, prawda?

Watter skinął głową.

— Od kiedy więc polujesz na skalpy czerwonoskórych? — głos Kosa brzmiał surowo, groźnie.

Tecumseh poruszył się niespokojnie i wbił czarne źrenice w twarz trapera. Watter opuścił głowę, szepnął:

- To nie ja, to oni. Mówiłem, że z tego wynikną kłopoty...
- Oni?... To znaczy kto?... — odezwał się gwałtownie Szawanez.

Watter nie poruszył się. Oblicze Guntera powleкло się trupią bielą. Kos wyjął z torby trzy związane razem skalpy.

— Gniazdo białych morderców nad Wąską Strugą i Wabash River musi zginąć — rzekł Tecumseh, odbierając je z rąk Ryszarda. — Daję wam dwa razy po dziesięć dni czasu. Jeśli w tym okresie nie opuścicie bezprawnie zajętej ziemi, skalpy backwoodsmenów ozdobią pasy Szawanezów. A zemsta będzie krwawa. Hugh! — Wódz zwrócił się do Kosa: — Bracie mój, zwiąż tych kujotów.

Ryszard skrepował ręce i nogi Wattera. To samo uczynił z Gunterem. Następnie przywiązał obu do ławy, na której siedzieli.

— Odchodzimy! — rzekł Tecumseh, z trudem hamując gniew.

— Ale jeśli nie usłuchacie i dalej tutaj będziecie mieszkać, krew wasza wsiąknie w ziemię i spłynie w wody Wąskiej Strugi. Pamiętajcie! Taki jest wyrok Tecumseha.

Ruszyli ku drzwiom. Szawanez nagle odwrócił się do Guntera i plunął mu w twarz.

— Kuj ot polujący na ludzkie skalpy — zasyczał.

A Kos dodał od siebie:

— Wynoś się stąd, Gunter, i to daleko. Przebiera się miarka twoich zbrodni.

Zatrzasnęli drzwi. Na podwórzu przypięli rakiety i pośpieszyli do wykrotu pod dębem. Tam rozwiązali Connela. Tecumseh stanął przed nim i potrząsnął znalezionymi skalpami.

— Polujesz na skalpy moich braci. Wynoś się precz z nad Wabash River, póki topór wojny drzemie jeszcze w ziemi...

Odwrócił się i pobiegł w głąb boru. Wysoki Orzeł i Kos pognali za nim.

## BITWA NAD WĄSKĄ STRUGĄ

Dawno minęło dwa razy po dziesięć dni od pobytu Tecumseha w osadzie nad Wąską Strugą, a wódz Szawanezów nie podejmował wojennych kroków, mimo że biali osadnicy nie opuścili zajętego terenu. Rozstawione wokół osady indiańskie czaty informowały Skaczącą Pumę o wszystkich poczynaniach backwoodsmenów. Początkowo przygotowali się do obrony przed atakiem Indian, wykazywali niezwykłą czujność, która wszakże z upływem dni stopniowo słabła. Ten i ów spośród osadników zaczynał wątpić w jakiegokolwiek wystąpienia zbrojne czerwonoskórych.

- Nie odważą się — mówili backwoodsmeni. — Pamiętają przecież krwawą klęskę pod Zaporą z Pni.
- Nasze wojska w okolicznych fortach czuwają nad bezpieczeństwem osad.
- Ziemię w widłach Wabash River i Wąskiej Strugi kupiliśmy od Wyandotów i Miamisów, nie mogą czerwoni mieć do nas pretensji.

Tak komentowali biali groźbę zniszczenia ich osady przez Szawanezów. Uspokojeni, coraz odważniej zapuszczali się w głąb

kniei. Na wiele mil dokoła las był cichy, bezludny, zdawało stół bezpieczny. Indianie bowiem unikali spotkań z osadnikami i zacierali starannie ślady swego pobytu.

W Tippecanoe dni upływały na ćwiczeniach wojowników, zimowych łowach i konsolidowaniu wielojęzycznej armii złożonej z wojowników przeróżnych plemion. Tecumseh jeszcze raz wysłał delegację do Vincennes z prośbą o opuszczenie przez osadników bezprawnie zajętej nad rzeką Wabash ziemi oraz wydanie Szawanezom morderców wyandockiej rodziny, ale posłowie wrócili i tym razem z niczym.

Zima dobiegła końca. Wiosenne słońce stopiło już śniegi i w Wezbrane rzeki i leśne strumyki szumiały wzburzonymi wodami. Z rozmięklej gleby wychyliły się pierwsze kielki roślin. Na gałęziach drzew

zaczynały zielenieć drobniotkie, delikatne listki. Wiatr niósł świeżą, zdrową woń obudzonej z zimowego letargu przyrody.

Tecumseh z Kosem i paru wodzami obliczali rezultaty zimowych łowów, zastanawiali się, ile będą mogli uzyskać dolarów lub broni za zgromadzone skórki, gdy do magazynu wpadli trzej! wojownicy. Musieli odbyć w pośpiechu daleką drogę, bo byli zmęczeni, unurzani w błocie.

— Wielki sagamore! — zawołał jeden z nich. — Blade twarze nad Illinois River wycięli całą wieś Peoriów.

Oblicze Szawaneza stężało w kamienną maskę. Gwałtownie odwrócił się do przybyłych.

- Za co?... Dlaczego to uczynili?...
- Ktoś pokradł backwoodsmenom łaciate bizona, które chodują w swoich zagrodach.
- Kradzieży dokonali Indianie?
- Nie.
- A kto? — spytał Tecumseh, opanowując wewnętrzne wzburzenie.
- Przez kraj Peoriów przejeżdżali biali handlarze. Zawitali do wioski Peoriów, wymienili towary i odjeżdżając zostawili w prezencie skórę łaciatego bizona. Później przyjechali backwoodsmeni. Znaleźli skórę i oskarżyli Peoriów o kradzież i zabicie zwierzęcia.

- Rozumiem. Potem przybyli wymierzyć sprawiedliwość białych ludzi.
- Tecumseh słusznie powiedział. Zaatakowali wieś nocą niewiele osób ocalało...
- Peoriowie stawili opór?
- Wojownicy walczyli.
- Ilu zginęło białych?
- Nie wiemy. Zabrali rannych i ciała poległych. Ale nie mogło ich wielu zginąć. Spadli na koniach na uśpioną wieś.

Zapadła cisza. Tecumseh nerwowo przyglądał dłonią kruczę włosy. Zaciśnięte usta lekko drgały.

- Ilu zginęło Peoriów? — spytał cicho.
- Sześć razy po dziesięć.

Szawanez nagle podniósł dumnie głowę. Ogarnął wzrokiem twarze stojących obok wodzów.

Powiedział:

- Tecumseh podjął decyzję, ale nim ją obwieści, niech przemówią moi bracia.
- Wojna!
- Zemsta!

— Wojna! — zapalczywie mówili wodzowie.

Ryszard pokręcił głową.

- Zapalczywość, a nie rozważa mówi przez usta wodzów — powiedział spokojnie. — Wojny jeszcze zaczynać nie można, ale za gwałt trzeba zapłacić gwałtem. A później załagodzić sprawę.
- Mądrość mieszka w duszy Czerwonego Serca. Na wojnę za wcześnie. Ale biali backwoodsmeni rozrali naszą krew, my rozlejemy ich. Biegnijcie do szamanów. Niech uderzą w bębny.

Za chwilę głuche warczenie bębnow zgasiło ludzki gwar Wielkiego Miasta. Wojownicy zatrzymywali się zaskoczeni, wybiegali z wigwamów i z tipi. Rozumieli mowę dudniących kotłów. Śpieszyli na Plac Rady, gdzie miał się rozpocząć taniec wojenny.

Tecumseh tymczasem z wodzami skonfederowanych plemion w swoim wigwamie układał strategiczny plan uderzenia na dwie osady — nad rzeką Illinois i nad Wąską Strugą.

Do wieczora dudniły bębny szamanów, a na placu wojownicy z umalowanymi twarzami tańczyli wojenny taniec zwycięstwa. O świcie dwa oddziały, świetnie uzbrojone w broń palną, wyruszyły przeciwko backwoodsmenom. Dwustu wojowników poprowadził nad Illinois River młody wódz Peoriów — Szybkonogi Mustang. Na wspólnej naradzie otrzymał on szczegółowe instrukcje: miał zaatakować miasteczko białych rozłożone w pobliżu źródeł Illinois, podpalić budynki osady i po wstępnej wymianie strzałów wycofać się. Tecumseh kilka razy podkreślał że zabrania znęcać się nad kobietami i dziećmi. Atak na osadę Illinois miał mieć tylko charakter odwetowy i ostrzegawczy.

Natomiast zasadniczą operację o poważniejszych rozmiarach postanowiono przeprowadzić nad Wąską Strugą. Stu pięćdziesięciu wojowników pod dowództwem Tecumseha i Czerwonego Serca szło dwiema drogami nad Wabash River. Jeden oddział prowadził wódz Szawanezów, a drugi Ryszard Kos. Mieli w określonym czasie zwartym pierścieniem zamknąć wioskę pionierów.

Ryszard szedł na czele świetnie wyszkolonych wojowników. Strojem nie różnił się od swych indiańskich towarzyszy. Ubrany w pięknie haftowany łosiowy strój, zdobiony na szwach barwnymi frędzlami, w mokasynach i z trzema orlimi piórami zatkniętymi za otok futrzanej czapki, wyglądał jak Indianin. Jedyne cera i rysy twarzy zdradzały jego przynależność do białej rasy!

Wiosenne roztopy utrudniały marsz. Ziemia w puszczy poczyniała pokrywać się świeżymi wosami roślin. Pękały lepkiej pąki na drzewach. Puszcza odurzała zapachem zieleni, a wiatr niósł łagodne, wilgotne podmuchy i szumił w pokrywających się seledynem gałęziach.

Któregoś dnia dotarli nad Wąską Strugę. Słońce właśnie kończyło swą dzienną wędrówkę. Oba oddziały szybko nawiązały kontakt i nim zapadła noc, pierścieniem otoczyły osadę. Zgromadzono mnóstwo chrustu, ale ognisk nie rozniecono. Zachowując całkowitą ciszę wojownicy czuwali na zajętych stanowiskach.

Noc była jasna. Z wysokiego nieba, utkanego złotem gwiazd, opadała srebrna poświata. Przedzierając się przez słabo jeszcze ulistwione konary drzew, chyboła potwornymi, tajemniczymi cieniami i niepokoiła oczy wartowników.

Bystre oko Tecumseha dostrzegło, że gwiazdy zaczynają tracić swą świetlistą intensywność. Za chwilę mrok nocy stężeje, aby na wschodzie ustąpić miejsca blaskom świtu. Ręka wodza podniosła się dając znak. Stojący obok Skaczącej Pумы młody wojownik Wyandotów przyłożył dłoń do warg. Ciszę nocy rozdarł trzykrotny krzyk puszczyka.

Na drugim końcu osady Ryszard Kos trącił Wysokiego Orła.

— Słyszysz? — szepnął. — Znak Tecumseha.

Długimi skokami zbliżyli się ku zabudowaniom osady. Kryli się<sup>za</sup> pniami drzew i przysadzistymi krzakami. Później chyłkiem przebiegli wilgotną murawę łąki i przywarli za płotem pierwszego domu. Tu rozdzielili się. Musieli unieszkodliwić strażników. Gdzieś w głębi wioski odezwało się głucho szczekanie psa i nagle umilkło. Ryszard przesadził płot i przywarł do ziemi. W poświacie gwiazd zobaczył rosnącego mężczyznę ze strzelbą gotową do strzału, który stał na środku obszernego podwórza i uważnie nasłuchiwał. Musiał pewnie dojrzeć cień ludzki na parkanie albo zaniepokoił go szmer wywołany przechodzeniem przez wysokie ogrodzenie. Po chwili ostrożnie ruszył w kierunku przyczajonego pod płotem Ryszarda. Chmura przepłynęła nad uśpioną osadą i odsłoniła sierp księżyca. Mleczny blask oświetlił podwórze. Wartownik zatrzymał się niepewnie, patrząc bacznie wokoło. Wtedy właśnie rozległ się cieniutki gwizd i długa strzała wbiła się głęboko w jego krtań. Osadnik chwycił się za gardło, zatoczył i charcząc runął na plac obłany księżycowym światłem. Ryszard poderwał się spod parkanu i pobiegł dalej. Minał jakąś szopę i zatrzymał się pod domem pioniera. Dostrzegł po przeciwległej stronie przemykającą sylwetkę Wysokiego Orła. Porozumieli się ruchem rąk i posuwali się dalej. Gdzieś znowu zaszczekał niespokojnie pies, ale zaraz krótko zaskowyczał i umilkł.

Ryszard był już w środku osady. Zatrzymał się w cieniu okapu, gdy spoza ściany budynku wyrosła przed nim ludzka postać. Zaskoczony wartownik z wahaniem zapytał.

— Kto wy, sir?...

Zamiast odpowiedzi otrzymał potężny cios kolbą. Nim wróciła mu przytomność, leżał związany z zakneblowanymi ustami. Ryszard odciągnął go daleko od budynku i pozostawił na podwórzu. Pobiegł dalej. Po chwili spotkał wojowników Tecumseha, którzy z drugiej strony oczyszczali teren z nocnych straży. Osada nad Wąską Strugą spała spokojnie. Wartownicy zginęli lub unieszkodliwieni spoczywali w pętach. Psy nie szczekały, podzieliły los wartowników.

- W samym sercu wsi zakrzyczał puszczyk. Odpowiedziały mu ciche wołania wokół osady. Wielka, postrzępiona płachta chmur przesłoniła księżyc. Czerwonoskórzy z wiązkami chrustu oblanego obficie smołą dopadli domów i rozłożyli je pod zabudowaniami. W mroku nocy wyglądali jak niesamowite zjawy. W całkowitej ciszy wykonali powierzone im zadania, przebiegli z powrotem łąkę i znikli wśród drzew puszczy.

Niebo poczęło szarzeć. Jeszcze chwila i na wschodzie ukazał się różowy pas zorzy. Wtedy ciszę puszczy, przerywaną tylko pluskiem płynącej rzeki, rozdarł krzyk orła. Jedni z wojowników mocniej ścisnęli w dłoniach strzelby, inni przygotowywali łuki i ogniste strzały. Wszyscy wiedzieli, że trzecie orle wołanie oznacza atak.

Stary osadnik, Louis Sawoy, podniósł głowę zdumiony krzykiem orła.

— Cóż ten ptak tu robi? — myślał — Musi być niemal w samej osadzie.

Louis cierpiał na bezsenność, budził się zwykle bardzo wcześnie i lubił wychodzić o świcie na świeże powietrze. Zaintrygowany wołaniem orła, narzucił na siebie niedźwiedzi kozuch i wzięwszy strzelbę do ręki wyszedł z chaty. Ogarnął wzrokiem jaśniejące na wschodzie niebo. Wciągnął aromatyczną woń budzącego się dnia i z zadowoleniem szepnął:

— Piękny ranek.

Wzrok Sawoya padł nagle na leżący w głębi podwórza przedmiot. Przetarł oczy.

— Do licha! — sapnął. — Chyba się mylę... — Ruszył szybko. Pochylił się nad związaną i zakneblowaną postać. — A to co?... — zdumiał się.

Pośpiesznie począł rozplątywać sznury. Nie wziął z sobą noża. Opornie mu to szło. Wreszcie uwolnił leżącego z knebla. Wartownik chwycił łapczywie powietrze.

— Alamujcie, Louis! — powiedział z wysiłkiem.

Na skraju lasu zakrzyczał znów orzeł. Stary pionier podniósł się. W ułamku sekundy zrozumiał nadciągające niebezpieczeństwo.

— Wstawaj! — zawołał do leżącego jeszcze wartownika. — To mogą być Indianie...

Chwycił strzelbę. Grom wystrzału zadudnił nad osadą. W tym momencie długie wołanie orła wdarło się po raz trzeci w świt.

Stary Louis podbiegł na skraj domu i w kierunku orlego wołania wypalił ze strzelby. Z budynku wybiegło z bronią w ręku

paru na poły ubranych mężczyzn. I wtedy właśnie, rozpętało się piekło. Wojenny wrzask czerwonoskórych rozdarł ciszę poranka. Zagrzehotała palba wystrzałów. Grad kul uderzył w ściany domów. Stary Louis trafiony w pierś rozkrzyżował ramiona i padł. Szklistymi oczyma patrzył w zaróżowione wschodem niebo.

W budynkach osadników zawrzało. Pobudzone dzieci płakały, kobiety zawodziły. W otworach strzelniczych w ścianach domów błysnęły lufy sztucerów. Zaczęła się bezładna strzelanina. Początkowo Indianie odpowiadali strzałami, a potem otaczający pierścień czerwonoskórych umilkł. Osadnicy także strzelali coraz rzadziej, aż złowroga cisza rozpostarła skrzydła nad samotnym osiedlem białych.

Tecumseh przyłożył bizoni róg do warg, by wzmocnić donośność swego głosu.

— Hej, blade twarze! — zawołał po angielsku. — Jesteście otoczeni. Poddajcie się! Darujemy wam życie i wolność, jeżeli odejdziecie na zawsze z ziemi naszych ojców.

Przez dłuższy czas biali milczeli, a potem zadudniły ich strzelby. Kule z gwizdem uderzały w pnie, obcinały gałęzie, nie czyniąc wśród oblegających szkody.

Wódz Szawanezów dał znak. Między drzewami zamigotały złote iskry. Potem śmignęły płonące strzały. Wbijają się w ściany, padają na dachy zabudowań, grzęzły w wiązankach smołą przesyconego chrustu. Języki ognia strzeliły nagle tu i tam, liznęły bierwiona domów. Dym począł kłębić się nad osadą. Płomienie ogarniały wieś. Indiańskie strzelby grzmiały salwa za salwą. Kule tłukły w budynki, gwizdem drążyły powietrze.

Na dachach domów pojawili się osadnicy, kubłami wody usiłowali gasić płonące ściany. Ale celne pociski indiańskich strzelb nie pozwalały śmiałkom na wykonywanie tej czynności. Kto tylko z białych usiłował podejść na skraj dachu, walił się ugodzony kulą niezawodnego strzelca.

Dzień się zaczął na dobre. Backwoodsmenom niósł on zniszczenie i śmierć, czerwonoskórym wojownikom zemstę i zwycięstwo. Ciężkie, czarne tumany dymu waliły prosto w niebo, wiatr rwał je w strzępy, rozwieszał na wysokich gałęziach drzew i niósł ponad puszcza gdzieś w dal. Z sykiem pękały belki. Pożar rozprzestrzeniał się bardzo szybko.

Obrona białych słabła. Milkły strzelby. Przerażeni osadnicy wybiegali z płonących domów, przypadali do ziemi, czołgając się szukali schronienia przed pociskami i ogniem. Również Indianie zaczęli oszczędzać kule. W końcu strzelanina wygasła. Buchały tylko coraz zuchwalej płomienie, trzeszczały walące się budyń-, ki.

— Hej, blade twarze! — zadudnił głos Tecumseha. — Mówi do was wódz Szawanezów, Puma Gotowa do Skoku. Poddajcie się! Czerwoni wojownicy nie chcą rozlewu krwi. Jeżeli opuścicie ziemię nad Wąską Strugą, darujemy wam życie i wolność.

Jeśli nie przyjmiecie warunków, zginiecie wszyscy!

Na razie nikt nie odpowiadał. Ludzie w popłochu wyskakiwali z domów. Kobiety niosły na rękach wystraszone dzieci i kryły się w zagłębieniach i nierównościach terenu. Płacz mieszał się z trzaskiem pękających bierwion. Zaniepokojone ptactwo krążyło nad osadą.

Strzelby Indian dalej milczały.

Po dłuższej chwili spośród płonących zabudowań wyszło; trzech osadników. W podniesionych dłoniach nieśli białe chustki i powiewali nimi na znak rezygnacji z walki. Szli w stronę puszczy pełni lęku.

Tecumseh gestem ręki wskazał im kierunek. Po chwili znaleźli się w kręgu wojowników. Zmęczeni, osmoleni, prawie zaczadziali od dymu, wyglądali na całkowicie załamanych.

Tecumseh stanął przed nimi. Spojrzał surowo w ich twarze.

— Nie usłuchaliście rady wodza Szawanezów — powiedział — nie opuściliście ziemi czerwonoskórych, mimo że zima dawno już odeszła. Musiała przemówić broń Związku Oporu.

Biali milczeli.

— Daruję wam życie. Tecumseh nie jest mordercą. To tylko blade twarze zabijają dzieci i kobiety, a potem sprzedają ich skalpy za dolary w faktoriach białych ludzi. — Wódz zwrócił oczy na płonącą osadę. Podniósł rękę. — Spójrzcie! Wigwamy backwoodsmenów zniszczy ogień. A wy podpiszecie dokument, że nigdy tutaj nie wróćcie. Wówczas darujemy wam życie.

Jeden z osadników skinął głową i powiedział:

- Dobrze, rezygnujemy z ziemi nad Wąską Strugą i Wabash River.
- I wydacie morderców wyandockiej rodziny, łowców skalpów, Jerry'ego Connela i Johanna Guntera — stawiał dalsze warunki Tecumseh.
- Wydamy tych trampów, sami mamy ich dosyć.
- Dobrze. Złożycie ponadto wszystką broń, jaką posiadacie: strzelby, proch, kule, noże, siekiery, pistolety. Będziecie podchodzić po kolei, po dwie, trzy osoby, i składać broń na tym pagórku. — Wódz wskazał małe wzniesienie w pobliżu swego stanowiska. — A potem przyjdziecie tutaj.

Na obliczach osadników malował się głęboki niepokój.

- Dlaczego milczycie?
- Kto nam zagwarantuje życie i wolność? — spytał jeden z nich.
- Tecumseh.
- Nie macie nic do wyboru — wmieszał się Kos. — Zwarty pierścień wojowników otacza wieś. Wszyscy są świetnie uzbrojeni. Jeśli podejmiecie dalszą walkę, zginą wszyscy mężczyźni, padną także dzieci i kobiety.

Usmolona twarz osadnika zwróciła się w stronę mówiącego. Patrzył uważnie.

- Jesteś biały... — zdziwił się.
- Tak.
- I trzymasz z czerwonymi?...
- To Kos, Czerwone Serce — wyjaśnił drugi osadnik.
- Zgadliście. Jestem Ryszard Kos, Czerwone Serce, i trzymam z Indianami, bo oni walczą w obronie swej ojczyzny. — Po chwili dodał: — Tecumsehowi możecie zaufać.

Backwoodsmeni odeszli. Uplłynęło około godziny, nim zaczęli podchodzić ku pagórkowi i składać broń. Wojownicy wzięli mężczyzn, a kobiety i dzieci odprowadzali w głąb puszczy, gdzie rozpalono ognisko i rozstawiono strażę.

Wszyscy backwoodsmeni opuścili już płonącą osadę, ale brakło wśród nich dwóch ludzi — Guntera i Connela. Pozostali w płonącej wiosce, jak twierdzili osadnicy.

Twarc Tecumseha ściemniała. Oczy zaiskrzyły się. Zaciśnął wargi.

— Pozwól, wielki wodzu, że znajdę tych białych kujotów - zwrócił się z prośbą Wysoki Orzeł.

Skacząca Puma skinął milcząco głową.

— Pójdę z tobą, Orle — rzucił Kos.

Weszli pomiędzy płonące zabudowania. Zaczęli przeszukiwać podwórza. Wokoło pustka. Jedyne fajerwerki iskier zmieszane z dymem strzelały w górę z zapadających się stropów i walących się ścian. Morze ognia szalało.

W pobliżu zabudowań Wattera stała nie tknięta płomieniami szopa. Obeszli ją i ostrożnie podchodzili doń z dwóch stron. Jeśli trampi wcześniej nie wymknęli się z pierścienia oblegających, to mogli tu znaleźć, przynajmniej na pewien czas, bezpieczne schronienie. Stojący obok szopy pniak z porzuconą siekierą i stertą narąbanych polan kazały domyślać się, że składano w niej drzewo na opał. Podeszli do wejścia. Kos gwałtownie pchnął drzwi i odskoczył. Cisza. Ostrożnie zajrzał do środka. Wysoki Orzeł ze strzelbą gotową do strzału stał z boku. We wnętrzu nie poruszył się nikt. Ułożone w sagi leżały smolne

szczapy.

— Podpalimy, Orle, to drewno. Przynies płonąca żagiew!

Ryszard mówił głośno, aby wypłoszyć w ten sposób ukrywających się. Stał w drzwiach. Sterty narabanych drewna sięgały dachu, wypełniały całą przestrzeń komórki. Między porządnie ułożonymi sagami drzewa mogło ukrywać się paru ludzi. Podjęcie próby przeszukania szopy było niebezpieczne. Dlatego cofnął się, a Wysoki Orzeł podbiegł do płonącej chaty i przyniósł ognistą głownię. Cisnął ją do wnętrza i zatrzasnął drzwi. Po chwili smolne szczapy zapłonęły. Kłęby dymu poczęły oplatać szopę, a tu i ówdzie zachybotały płomienie.

Ryszard i Wysoki Orzeł przyczajeni po obu stronach wejścia do szopy czekali. Wtem zaskrzypiał dach. W tumanach dymu ukazały się na nim dwie sylwetki ludzkie. To byli trampi. Gunter zeskokczył na tyły szopy, a Connel parę metrów za plecami Wysokiego Orła. Indianin wypalił, ale strzał był niecelny. Connel popędził w kierunku płonącej wsi. Nie było czasu na ponowne ładowanie strzelby. Wysoki Orzeł błyskawicznie podjął spod pniaka porzuconą siekiere. Zamachnął się i cisnął nią. Ostrze błysnęło w krwawych refleksach pożaru, zafurkotał w powietrzu trzonek. Jerry Connel wyrzucił rękę do przodu i runął twarzą do ziemi.

Wysoki Orzeł podszedł do leżącego. Biały łowca skalpów, tramp wyzuty z ludzkiej godności, Jerry Connel, spoczywał w kałuży krwi. Ostrze topora głęboko rozorało mu kark. Głowa przestępcy ledwo trzymała się korpusu. Indianin pochylił się i lewą ręką chwycił bujne włosy trampa. W prawej dłoni błysnęła nóż.

Tymczasem Ryszard pośpieszył za Gunterem. Nim zdążył okrążyć płonąca szopę, sprytny tramp był już nad brzegiem Wąskiej Strugi. Kos podniósł sztucer. Nie zdołał jednak pociągnąć za spust. Johann Gunter skoczył w wezbrane fale. Kos dopadł brzegu. Spojrzał w górę i w dół rzeki. Pieniące się wody szumiały, huczały wiosenną obfitością, niosły ciemny muł, zeschnięte liście, połamane gałęzie... Nigdzie śladu człowieka.

Ryszard wahał się chwilę, nie wiedział, gdzie lepiej iść — z prądem czy pod prąd rzeki. Gunter musiał przecież popłynąć w jedną lub w drugą stronę. Innego wyjścia nie miał. Łatwiej i szybciej uciekać z prądem. Kierując się tym wnioskiem Kos pośpieszył w dół rzeki. Biegł, uważnie obserwując nurt. Zrezygnowany zatrzymał się. Ogarnął wzrokiem rzekę i seledynową łąkę, rozciągającą się szerokim łukiem pomiędzy Wąską Strugą a dziewiczą knieją.

— Aby cię pokreśliło!... — zaklął.

Ile Sił w nogach, pochylony do ziemi, Johann Gunter biegł w stronę lasu. Od pierwszych drzew dzieliła go już niewielka przestrzeń. Ryszard znów złożył się do strzału. Ale tramp padł w tym momencie na ziemię, jak gdyby wiedziony przecuciem. Kos czekał cierpliwie, aż Gunter się podniesie. Chytry włóczęga postanowił jednak odcinek łąki przebyć po indiańsku — czołgając się. Ryszard po chwili zrozumiał taktykę przeciwnika. Wściekły opuścił strzelbę. Dalsza pogoń za trampem była bezcelowa. Trzeba by przepłynąć rzekę i przejść łąkę. W tym czasie Gunter będzie daleko. Można go jedynie ścigać idąc jego tropem. A może Johann nie zdoła przejść indiańskiego pierścienia otaczającego płonąca osadę?

Ryszard zawrócił. Gdy znalazł się w obozie Tecumseha, zrozumiał, że Gunter i tym razem umknął sprawiedliwości. Na obszernej polanie odpoczywali wszyscy wojownicy. Wódz Sz-\*anezów pościagał posterunki. Przed trampem leżały więc wolne leśne szlaki.

Skacząca Puma wysłuchał relacji Kosa z pościgu za Gunterem, zachnął ręką i powiedział:

— Niech ucieka. Nie będziemy go tropić. Ten biały kujot sam kiedyś wpadnie w nasze ręce.

Wieś osadników przestała istnieć. Pod wieczór dymiły jeszcze zgłiszcza. Indianie spędzili w puszczy noc, a o świcie ruszyli do Tippecanoe. Prowadzili z sobą jeńców: powiązanych sznurami backwoodsmenów i swobodnie idące kobiety i dzieci. W walce nad Wąską Strugą nie poległ ani jeden Indianin. Natomiast zginęło ośmiu osadników, a pięciu zostało rannych.

Do Miasta Wielkiego Ducha wrócił również Szybkonogi Mustang. Nad Illinois River, zgodnie z instrukcją naczelnego wodza Związku Oporu, czerwonoskórzy zaatakowali osadę białych, po krótkiej walce podpalili kilka domów, a następnie wycofali się. Według złożonego meldunku młodego wodza Peoriów zginęło trzech wojowników, po stronie białych poległo około piętnastu mężczyzn.

Triumf był całkowity. Zwycięstwa te lotem strzały obiegły plemiona puszczy i zwiększyły sławę wielkiego sachema — Pumy, Gotowej do Skoku.

## W VINCENNES

Johann Gunter w obawie przed pościgiem brnął co sił po rozmiękłych bagnach, przecinał dzikie uroczyska, przepływał, wezbrane rzeki, przechodził leśne strumienie. Zgliszczą osady nad Wąską Strugą pozostały daleko poza nim. Pogubił rachubę czasu. Nie wiedział, ile dni i nocy spędził na samotnej wędrówce w kniei. Wyczerpany do ostateczności, dotarł wreszcie do Vincennes.

Chwiejąc się na nogach pechnął drzwi domu majora Dawisa, bez słowa dopadł wygodnego fotela i zwałił się nań jak kłoda.; Z jego mokrego ubrania i z wysokich butów ściekało na podłogę lepkie błoto. Głowę zwiesił na piersi, przymknął powieki i ciężko oddychał. Wychudła, szermiała twarz, nie golona broda] i dawno nie czesane włosy, wyglądające spod futrzanej czapki, sprawiały, że przedstawiał obraz nędzarza budzącego litość. Na zadawane przez domowników pytania nie odpowiadał. Dopiera gdy nieco odsapnął i zjadł gorący posiłek, powiedział do żona Dawisa:

— Daj mi, Jenny, suchą odzież, a później przywołaj męża. Stała się rzecz straszna!

- Co się stało?...
- Później, później wszystko opowiem. Teraz zrób, o co prosiłem. I pozwól mi się gdzieś umyć.

Gdy wykapał się i nałożył świeżą bieliznę i ubranie, poczuł nagle rozkoszne ciepło. Łagodna senność poczęła ogarniać jego głowę, a ręce i nogi stały się dziwnie leniwe. Spojrzał na wygodne łóżko, zaślane wełnianym kocem. Uśmiechnął się po raz pierwszy chyba od paru tygodni i wyciągnął się na posłaniu. Gdy major Dawis zawiadomiony przez żonę o przybyciu gościa wszedł do pokoju, Johann spał twardym snem niezwykle znużonego człowieka.

Dopiero na drugi dzień Gunter wstał wypoczęty. Czuł się wyśmienicie. Powitał swego krewniaka majora, a widząc skierowane na siebie pytające spojrzenie, powiedział nadając swemu głosowi tragiczne brzmienie:

- Ledwie uszedłem z życiem... Gdyby nie moja odwaga, wilki rozciągnęłyby moje szczątki, a skalp wisiałby u pasa jakiegoś czerwonego diabła...
- Co się stało? — zawołał Dawis. — Mówże wreszcie.
- Powiem wszystko, ale w gabinecie gubernatora. To poważna sprawa. Nim jednak obaj trafimy do Harrisona, mam do ciebie osobisty interes.
- Mów! Jestem niezmiernie ciekawy.
- Powiem, ale to czysto męskie problemy. Musimy pozostać sami...

Dawis skinął głową na żonę i służącą. Obie wyszły z pokoju. Gunter usiadł wygodnie przy stole i zabębnił palcami o drewniany blat. Uważnie wpatrywał się w lisie oczy swego kuzyna Dawisa. Milczał.

— Patrzysz jak sroka w kość — zachnął się major. — *O co chodzi?*... Jaką masz męską sprawę do mnie?...

Gunter w milczeniu wyciągnął kawałek papieru, starannie owinięty w zwierzęcy pęcherz. — *Wiesz, co to jest?* — spytał.

- Skądże mogę wiedzieć? Zachowujesz się dziwnie, Johann.
- Tak sądzisz? — w głosie Guntera zabrzmiała groźba. — Spójrz!

Gunter rozłożył papier na stole i podsunął go pod oczy Dawisowi. Ten chwilę uważnie patrzył na odręczny szkic planu i nagle twarz jego pokryła się rumieńcem.

- Skąd to masz? — nie wytrzymał Dawis.
- Nieważne skąd.
- Zabrałeś Kosowi?
- Być może.
- O co ci chodzi?
- Podobno byłeś nad Sandusky River i odnalazłeś skarb

cedził wolno Johann.

- Kto ci to powiedział, Kos?
- Zgadłeś.
- Kłamał.
- Czyżby?... Podobno pożegnał cię wraz z trzema żołnierzami pod wykrotem starego dębu. Ty wróciłeś szczęśliwie, a gdzie są oni?



- Ich o to pytaj.
- Nie oszukasz mnie, kuzynku. Żołnierze nic mi nie powiedzą, bo nie ma ich wśród żywych. A ty o tym wiesz najlepiej.

- Damned! — zaklął major. — Czego chcesz?
- Połowę tego, co znalazłeś.
- Ależ to niemożliwe. Ja...
- Jak chcesz. Przedstawię ten plan gubernatorowi Harrisonowi i powiem to i owo...
- Nie uczynisz tego!
- A czemuż to? Część wypadków znam ja, a część Kos. Gdy obaj przedstawimy Harrisonowi dowody...

- Z Kosem jesteś na pieńku, z nim tutaj nie przyjdiesz.
- Tak sądzisz?... Zastanów się jednak. Za chwilę będzie za późno.
- Po to przybyłeś do Vincennes?
- Nie tylko. Ale przy okazji mogę przypomnieć generałowi o historii sprzed czterech lat.
- Zawsze wiedziałem, że jesteś podłym draniem! — zawołał zdenerwowany Dawis.
- A ty aniołkiem, co dla pieniędzy likwiduje trzech żołnierzy.
- Milcz! — ryknął wściekłe major. Twarz mu posiniała a ręce leżące na stole poczęły drżeć.

— Widzisz, jestem w kłopotcie — łagodnie zaczął Johann. — straciłem wszystko nad Wąską Strugą, uratowałem ledwie życie. Nawet sztucera nie mam za, co kupić. Odpalisz mi połowę znalezionej skarbu i szta!...

Major złapał się rękoma za głowę. Jego czoło uperlił pot. Oczy wbił w blat stołu.

— Zastanów się, Dawis... Widzisz, całą jesień i zimę straciłem na węszeniu. Część powiedział mi Kos. A resztę odnalazłem sam. Wiem, co zrobiłeś z żołnierzami...

W pokoju zaległa cisza. Major wstał, oparł obie ręce na stole i pochylił się w stronę Guntera.

- Ile chcesz?
- Połowę.
- Dostaniesz, ale dziś nie mam tyle pieniędzy.
- A gdzie podziałeś?
- Wiesz przecież, że się ożeniłem, zbudowałem dom... To kosztuje.
- Weil! Dasz mi w dwóch ratach...
- Niech cię pokręci! — Dawis zaklął i bez słowa wyszedł z pokoju. Długo nie wracał. Później pojawił się, twarz miał bladą, dolną wargę nerwowo przygryzał zębami. — Masz! — Rzucił Gunterowi paczuszkę dolarowych banknotów.

- Ile?
- Sto tysięcy — sapnął z tłumioną wściekłością.
- Kiedy reszta?
- Nieprędko. Może za rok. To wszystkie moje oszczędności.
- Łżesz, kuzynku, łżesz! Ale niech będzie. Johann z zadowoleniem podrzucił paczkę pieniędzy do góry, sprytnie ją chwycił i ukrył w wewnętrznej kieszeni bluzy. — Możesz na mnie liczyć — powiedział przyjaźnie do Dawisa. — Teraz jesteśmy nie tylko kuzynami, ale także współnikami. — Roześmiał się rubasznie i wstając zza stołu klepnął majora w ramię. — No to prowadź do gubernatora — dodał niespodziewanie.

- Po co?
- Uspokój się. — Szeroki uśmiech wykrzywił twarz trampa. Przynoszę straszne wieści... Indianie wykopali topór wojenny.

- Żartujesz...

Nie żartuję. Osada w widłach Wabash River i Wąskiej Strugi już nie istnieje.

— A ludzie?...

— Chyba tylko ja uszedłem z tego piekła...

Dawis uważnie patrzył na Guntera. Wiedział, że jest to włóczęga i niebieski ptak, który dla osiągnięcia osobistych celów nie cofnie się przed niczym. Sam nie lepszy był od Johanna choć szlify oficcerskie ustabilizowały w pewnym stopniu jego życie. Czy ten tramp mówi w tej chwili prawdę, czy knuje nową podłość?

- Nie kłamiesz?

- Nie.
- Gdybyś jednak Harrisonowi próbował...
- Daj spokój — przerwał Gunter. — Za kogo mnie masz? Poratowałeś przecież swego kuzyna Johanna. Będę mógł się teraz urządzać podobnie jak ty.
- To znaczy?
- No, nie rozumiesz?... Ustatkuję się, ożenię, założę sklep. Tak, tak, zacznę handlować. Jak myślisz, czy warto osiąść w Vincennes, czy lepiej w Detroit?
- Jak chcesz.
- A ty gdzie wolałbyś mnie widzieć?
- Wszędzie, tylko nie tu! — wykrzyknął Dawis.
- Nie lubisz mnie, kuzynie? — zarechotał Johann. — To nic. Pomyślę o tym sklepie. A teraz chodźmy do gubernatora. Muszę mu złożyć meldunek o rzezi nad Wąską Strugą.

W obszernym gabinecie gubernatora Harrisona zgromadził się wojskowy sztab fortu Vincennes. Obok Guntera usiadł major Dawis, dalej słynący z waleczności kapitan Perry, pułkownik Tom Caldwell oraz Henry Crow, Szymon Gibson, Joe Mahaffy, Jean Kenton i inni oficerowie amerykańskiej armii, powszechnie znani na pograniczu Unii i indiańskiego terytorium.

Generał, rozparty wygodnie w głębokim skórzanym fotelu, oparł się łokciem o blat ciężkiego, czarno polituowanego stołu i uważnie wpatrzony w twarz Guntera słuchał jego relacji. Gunter opowiadał kwieciste o napadzie Indian na uspioną wieś, o zaciętej i bohaterskiej obronie pionierów, wreszcie o podpaleniu zabudowań i okrutnej rzezi. Ze szczegółami przedstawił swoją ucieczkę z płonącej szopy, o zmyleniu pościgu Indian i szczęśliwym ocaleniu. Oficerowie byli wstrząśnięci. Porywczy Caldwell zażądał natychmiastowego wyruszenia armii przeciw czerwonoskórym. Milczący zazwyczaj Kenton domagał się zrównania okolicznych wiosek, indiańskich z ziemią. Zrobił się gwar. Zdenerwowani oficerowie zaczęli mówić jeden przez drugiego.

— Rozumiem wasze oburzenie, panowie — odezwał się gubernator. — Ale pohamujcie nerwy. Rozważmy sprawę spokojnie.

— Panie generale — zahuczał basem Dawis — tu nie ma co rozważać. Trzeba wyciąć w pień tę czerwoną hołotę.

— Panowie, spokojnie! — w głosie gubernatora brzmiało zniecierpliwienie. — Dla mnie wiele spraw jest niejasnych. Pozwólcie, że nasz bohater, Johann Gunter, odpowie na parę pytań.

Oczy oficerów zwróciły się na generała.

- Mówicie, że Indianie wszystkich osadników wymordowali. Kobiety i dzieci także?...
- Podczas walki padła większość mieszkańców osady. Nielicznych czerwoni pojмали i powiedli w niewolę. Mają zginąć przy słupach męczarni<sup>1</sup> — informował tramp.

- Kobiety i dzieci były wzięte do niewoli?
- Oczywiście.
- Hm!... — mruknął Harrison. — Przecież Indianie nie zabijają kobiet i dzieci przy palach. Skąd wiecie, że mają w taki sposób zginąć?

• Czerwonoskórzy byli wściekli. Ktoś poluje na ich skalpy, nie szczędząc nawet dzieci i squaw. Postanowili wymordować wszystkich białych bez względu na wiek. Podśledzałem rozmowę wojowników.

— Podli!

- Barbarzyńcy!
- Krew za krew!

Harrison podniósł rękę. Oficerowie umilkli.

— Panowie, sprawa jest poważna. Jeśli to oddziały Tecumseha, może być wojna groźniejsza niż z Pontiakiem.

— To byli Szawanezi i Wyandoci — rzucił Gunter. — Dowodził nimi Tecumseh i biały odszczepieniec, Ryszard Kos, Czerwone Serce.

— Jesteście pewni?

— Najzupełniej. Obu widziałem.

Gubernator podniósł się z fotela. Ręce oparł o stół. Grube zmarszczka przecięła jego czoło.

- Wczoraj wieczorem kurier armii przyniósł mi wiadomość panowie — głos gubernatora brzmiał ostro, ale spokojnie — tę Indianie, prawdopodobnie Peoriowie, zaatakowali osadę u źródeł Illinois River. Zginęło piętnastu pionierów, spłonęło parę zabudowań. — Zrobił chwilę przerwy, a potem mówił dalej: Przypuszcza się, że był to akt zemsty za zniszczenie i wymordowanie całej wioski Peoriów przez osadników. W pobliżu Wąskiej Strugi jeden z trampów zamordował wojownika, kobietę i dziecko z plemienia Wyandotów i zdjął im skalpy. Wiecie, że Tecumseh przysłał swoich posłów z żądaniem wydania zbrodniarzy.

- I opuszczenia kupionej ziemi nad Wabash River — dodał uszczypliwie Perry.
- Tak, i opuszczenia przez osadników kupionej ziemi. Wiążąc te fakty ze sobą widzę dwie następujące możliwości: albo Tecumseh w ten sposób sam wymierzył sobie sprawiedliwość i na tych dwóch zrywach zbrojnych czerwoni poprzestaną, albo rozpoczęli powstanie.

- Niech no tylko zaczną...
- Panowie, zwycięstwo musi być przy nas. Ale nie zapominajcie, że rozkaz prezydenta Madisona brzmi wyraźnie: za wszelką cenę unikać walki z Indianami. Wiecie, że wojna Unii z Anglią wisí na włosku. W tej sytuacji nie możemy działać pochopnie, Związek Oporu Tecumseha mógłby przynieść naszej armii wiele kłopotów, gdyby Indianie połączyli się z Anglikami. — Przerwał i obrzucił wzrokiem twarze oficerów. — Dlatego działajmy rozważnie. Wzmocnić czujność w fortach. Ponadto jutro kapitan Perry z dobrze uzbrojonym oddziałem wyruszy do obozu Tecumseha po jeńców. A potem podejmiemy dalsze niezbędne kroki.

- Nie będziemy czekać!
- Ruszamy dzisiaj!
- Po co odkładać!
- Śmierć za śmierć!
- Mamy czuwać nad bezpieczeństwem osadników, a czerwoni bestialsko mordują i niszczą osiedla białych?

- Panie generale, domagamy się zbrojnego działania!

Wśród oficerów wrzało. Harrison miotany sprzecznymi uczuciami wahał się. Z jednej strony częściowo przyznawał rację tym ludziom. Pobłażać czerwonoskórym nie należało. Dalekosiężna polityka Stanów Zjednoczonych zakładała całkowite wytepienie Indian na zachód, za Missisipi. Ale w tej chwili zaczyna walkę z Tecumsehem było niebezpiecznie. Traperzy, gońcy leśni i wędrowni handlarze donosili o potęgze Związku Oporu. Generał Zebulon Pike wrócił z niczym od Odżibwejów i Dakotów, Konflikt Unii z Wielką Brytanią narastał z każdym dniem. Wybuch powstania Indian mógł przyspieszyć wojnę z Anglią. Rozkazy kancelarii prezydenta Jamesa Madisona wyraźnie mówiły o zachowaniu całkowitego spokoju. Ale prezydent był daleko, urzędował w Waszyngtonie, a tu, na rozległych terenach pogranicza rządziło prawo puszczy, bezwzględne prawo silniejszego.

- Panie generale — głos kapitana Perry'ego brzmiał spokojną nieustępliwością — uważam, że zbrojne działania musimy podjąć. Trzeba wysłać karną ekspedycję do obozu Tecumseha, odebrać jeńców oraz postawić warunek wydania wszystkich Indian, którzy zniszczyli osadę nad Wąską Strugą i uczestniczyli w napadzie na Illinois River.

- Tecumseh nie odda wojowników w nasze ręce — rzucił ktoś z oficerów.
- Oczywiście! — podchwycił Perry. — Wówczas jako odwet zniszczymy pierwszą lepszą wieś indiańską. I na tym zakończymy. Szerokich działań wojennych przeciwko konfederacji Tecumseha wszczynać jeszcze nie trzeba, ale musimy się już do decydującego uderzenia przygotowywać.

- Perry ma rację.
- Tak należy postąpić.

— Oczekujemy decyzji, generale — wołali oficerowie.

Gubernator Harrison patrzył na twarze swych doradców. Nie chciał ich zrażać do siebie. Wspólnie dzielili twardy los na puszczańskich kresach rozrastającego się państwa. Tylko wzajemne zrozumienie i siła mogły gwarantować bezpieczeństwo białych osad i miasteczek rozsianych rzadko wśród rozległych dziewiczych puszczy i stepów.

— Panowie — rzekł poważnie — z ciężkim sercem podejmuje decyzję. Przyjmuje propozycję kapitana Perry'ego. Za dwie godziny ruszamy do Tippecanoe. Dowództwo nad karną ekspedycją obejmie kapitan Perry.

Wtem na strażniczej wieżycze fortu rozległ się długi, przzerwany sygnał rogu. Oficerowie spojrzeli po

sobie. Harrison podszedł do okna, wyjrzał. Gdy odwrócił się do oficerów, w jego oczach wszyscy odczytali zaskoczenie.

— Indianie, panowie, Indianie w Vincennes — powiedział. Wygląda to na poselstwo. — Chwilę się zastanawiał. Potem rzucił: — Poruczniku Gibson, wprowadźcie do przyległego pokoju dwudziestu zbrojnych żołnierzy, a wy, Joe Mahaffy, postawcie całą załogę fortu pod broń. Nigdy nie wiadomo, z czym czerwoni przychodzą.

Wśród oficerów nastąpiło ogólne poruszenie. Przez okno patrzyli na odświętnie ubranych Indian stojących pod bramą fortu. Na schodach rozległy się kroki, do gabinetu gubernatora wszedł żołnierz i zameldował, że Tecumseh, wódz Szawanezów, prosi o posłuchanie w imię pokoju i przyjaźni.

— Powiedz im, niech przyjdą, ale bez strzelb i pistoletów.

Gdy żołnierz wyszedł, Harrison usiadł. Oficerowie zajęli swoje miejsca. Burzliwie rozmawiali na temat delegacji i ostatnich wydarzeń.

— Panie generale — zabrał głos Perry, jak zwykle spokojnie, i rozważą — proponuję aresztować Tecumseha i przybyłych Indian. Pewnie towarzysza mu wodzowie.

- Słuszna rada — poparł go Dawis. — W ten sposób skończymy z tą przeklętą konfederacją.
- Bez Tecumseha rozleci się ten zlepek plemion — dodał Henry Grow.
- Spokojnie, panowie! — Harrison ciągle studiował rozognione serca oficerów. — Zobaczymy.

Wszystko będzie zależało od sytuacji. Przecież nie wiemy, z czym przychodzą i ilu ich jest.

- Pod fortem kilkunastu...

— A w okolicznych lasach tysiące — uciał sucho gubernator.

Zaskrzypiały schody i do obszernego pomieszczenia generała

Harrisona weszło jedenastu Indian. Na ich czele stał wysoki, smukły, o myślącej i szlachetnej twarzy wódz Szawanezów — Puma Gotowa do Skoku. Za nim wodzowie okolicznych plemion. Johann Gunter po strojach rozpoznał wodzów Wyandotów, Oneidów, Pottawatomich, a nawet Tetonów, Ottawów i Odżibwejów. Wszyscy byli odświętnie ubrani, w ich kruczych włosach tkwiły wpięte ptasie pióra, zaś misternie zdobione opaski na czołach symbolizowały plemienną władzę. Przyszli bez palnej broni. Jedynie za ich pasami tkwiły noże i tomahawki.

— Wódz Szawanezów wita białego wodza Vincennes — powiedział Tecumseh i prawą dłoń położył na sercu.

W gabinecie gubernatora panowało napięte milczenie. Nienawistne oczy oficerów patrzyły złowrogo na przybyłych Indian. Szawanez powiódł wzrokiem po zaciętych twarzach białych, o moment dłużej zatrzymał go na obliczu Guntera. Mówił dalej:

- Tecumseh wita także oficerów — przerwał na ułamek sekundy. — Serce wodza Szawanezów jest smutne, bo naczelnicy Związku Oporu przynoszą przyjaźń i pokój, a widzą w twarzach białych braci nienawiść i złowrogą wróżbę wojny.

- Czego chcecie? — generał szorstko przerwał to powitanie.
- Od kiedy to wodzowie białych przyjmują i rozmawiają z gośćmi nie prosząc ich, by usiedli?

Pułkownik Tom Caldwell parsknął śmiechem.

- Nie mamy przyjemności zapraszać czerwonych do stołu. Tu nie miejsce dla was — rzucił uszczypliwie i ze złością.

- Jeżeli wódz Vincennes, gubernator Harrison, podziela takie stanowisko, wodzowie Związku Oporu odejdą — odparł zimno Tecumseh.

Harrison uważnie przyglądał się czerwonoskórym. Czuli się zupełnie pewnie. Ani odrobiny lęku na ich twarzach, ani cienia niepokoju w głębi czarnych źrenic.

— Siadajcie — powiedział chłodno. — I mówcie, z czym przybywacie. Ostatnie wydarzenia nie sprzyjają przyjaznym rozmowom.

Indianie usiedli obok siebie na krzesłach stojących pod ścianą naprzeciw stołu Harrisona. Tecumseh zdjął z szyi pięknie rzeźbioną fajkę, wydobyl z woreczka tytoń i począł nabijać cybuch. Ciszę zakłócił podniecony głos Perry'ego:

— Panie generale, trzeba skończyć z tą komedią, nikt z wami indiańskiej fajki palić nie będzie.

Tecumseh przerwał obrzędowe czynności i zwrócił się do Harrisona:

— Przybyliśmy tu z Tippecanoe z własnej woli. Niesiemy białym pokój, przyjaźń i braterstwo. Jeżeli bladym twarzom to nie odpowiada, odchodzimy. Wódz wstał, za nim inni.

- Nigdzie stąd nie wyjdziecie! — ryknął kapitan Perry i stanął w drzwiach. Z pochwy wydobył szablę. Srebrne ostrze błysnęło stalową smugą.

- Aresztować czerwonych dzikusów! — zawtórował basem major Dawis.

- Pod ścianę i w łeb! — huknął Johann Gunter.

Indianie stali nieporuszeni. Jedynie Tecumseh zaciął wargi, a przez jego czarne źrenice przebiegły błyski wściekłości. Opanował się jednak. Gdy zaczął mówić, głos jego brzmiał spokojnie i mocno:

— Kto nie umie poszanować poselstwa innego narodu i własny wigwam zamienia w dom zdrady i fałszu, nie może być uważany za człowieka, lecz za dzikusa. Kto bez zgody naczelnego wodza podejmuje jakiegokolwiek kroki, nie może przewodzić

wojownikom. Dziwne zwyczaje panują w kraju Długich Noży...

Oficerowie zawrzeli. Harrison powstał, gestem uciszył zebranych, a Tecumsehowi polecił mówić dalej.

— Wodzowie Związku Oporu przynieśli do Vincennes wampumy pokoju i przyjaźni. Jeśli blade twarze chcą mimo to uwięzić Tecumseha i jego wodzów, jesteśmy gotowi. Czekaemy na decyzję gubernatora.

Sachem Szawanezów mówił w języku angielskim, wszyscy więc rozumieli go doskonale. Harrison wyszedł zza stołu i zwrócił się do Indian:

- Niech wodzowie szawaneskiej konfederacji siadają. Na aresztowanie zawsze mamy czas. Wszyscy jesteście w naszych rękach.

- A los mieszkańców Vincennes w rękach naszych wojowników — głos Tecumseha zabrzmiał twardo.

- Co te słowa mają znaczyć? — wtrącił Perry.

- Tecumseh poznał już dawno podwójne języki białych, ich Podłość i fałsz, zdradę i podstęp, obłudę i okrucieństwo. Prawo Długich Noży jest jak trzcina na bagnie, łamie się i gnije, kołysze i szeleści według życzenia wiatru. Czy myśliwy wchodzi do legowiska szarego niedźwiedzia bez odpowiedniej obstawy?... — Uśmiech drwiny osiadł na twarzy sachema. — Jeśli słońce przetoczy się przez najwyższy szczyt nieba, a wodzowie nie wrócą Vincennes przestanie istnieć. Hugh!

- Fort jest świetnie uzbrojony, a żołnierzy dużo — rzucił ostro generał.

- Wojowników jest więcej, a broń mają nie gorszą niż Długie Noże.

- Rozpocząłeś wojnę, Tecumsehu? — cierpko spytał gubernator.

- Biali wszczynają wojnę. Indianie pragną żyć w pokoju.

- A kto zniszczył osadę nad Wąską Strugą? Kto zaatakował miasteczko w Illinois River?...

- Backwoodsmeni wycięli w pień wioskę Peoriów: dzieci, kobiety, starców... Nad Wąską Strugą zamordowano dla skalpów wojownika Wyandotow, jego squaw i dziecko. Czyżby o tych faktach oficerowie z Vincennes zapomnieli? — Tecumseh mówił głośno, niemal skandując słowa. Wyciągnął rękę i palcem wskazał na Guntera. — Oto jeden z łowców skalpów. Siedzi wśród was. Czy wymierzycie mu sprawiedliwość, czy skazecie go na śmierć? Nie! Wy go chronicie, bo takich zbrodniarzy wam trzeba, bo...

- Dość! — ryknął podniecony pułkownik Caldwell. — Generale, niech mówią, z czym przychodzą, i niech idą precz!

- Siadajcie — powiedział Harrison do Indian, hamując zdenerwowanie. — Wypalimy z Tecumsehem i jego wodzami fajką pokoju, ale wpiery przedstawić nam problemy, z którymi tu przybywacie.

Tecumseh uniósł dumnie głowę. Rozpłomienioną twarz zwrócił w stronę gubernatora. W kącikach jego warg czaił się cień szyderstwa. Dłonią dał znak wodzom, by usiedli. Sam stał na środku gabinetu, wysoki, w pięknie zdobionym stroju wodza, z fajką w ręku.

Harrison wrócił za stół i ociągając się usiadł. Wtedy dopiero Tecumseh spoczął pomiędzy naczelnikami konfederacji. Ciężąca cisza wisiała w gabinecie generała.

— Słuchamy! Co przynosicie do Vincennes? — głos gubernatora zabrzmiał jakoś dziwnie.

Wódz Szawanezów wstał. Podniósł rękę i zatoczył nią szeroki łuk.

— Biali bracia mieszkają na ziemi czerwonoskórych plemion zaczął. — Puszczą dostarcza im zwierzyny, ziemia rodzi kukurydzę i zboża. Las daje drewno na domy dla

backwoodsmenów. Indianie prowadzą handel z białymi kupcami. Dla wszystkich wystarczy miejsca. Ale białym wciąż wszystkiego mało. Zajmują ziemię naszych ojców, mordują całe wioski spokojnych plemion. Jamią wszelkie układy zawierane z Indianami. Nie ma dla nich żadnej świętości. Czemu biali tak postępują?...

Przerwał i patrzył w twarze oficerów. Dawis nie wytrzymał, krzyknął:

- Do rzeczy!... Nie chcemy słuchać kazań!...
- Biali nigdy nie lubią słuchać prawdy. Bo prawda boleśnie kłuje. Oto gromada białych jeźdźców napadła nocą wieś spokojnych Peoriów i wycięła w pień wszystkich mieszkańców, mimo że nie uczynili nic złego białym. Ten oto kujot włóczący się w puszczy nad Wabash River — ręka wodza wskazała Guntera — zamordował rodzinę Wyandotów i zdarł z ich głów skalpy, aby je sprzedać w miastach białych ludzi... — Tecumseh mówił płynnie i dobitnie. Z jego twarzy opadła kamienna maska wojownika. Na oblicze wypłynął rumieniec. Oczy iskrzyły się dumą i pewnością siebie. — Nasze prośby wnoszone do gubernatora w Vincennes i Detroit nie odniosły skutku. Cóż mieli uczynić Indianie?... Tecumseh nie mógł powstrzymać wojowników. Dlatego połała się krew. — Wódz zniżył nagle głos. — Nasi posłowie prosili wodza Vincennes, gubernatora Harrisona — tu spojrzał prosto w oczy generałowi — o wydanie w ręce sprawiedliwości białych zbrodniarzy i opuszczenie bezprawnie i podstępnie kupionej ziemi nad Wąską Strugą. Biali na nasze prośby odpowiedzieli zbrodnią. Szawanezi nie oddadzą ziemi swych przodków...

• Tecumseh bredzi głupstwa — szorstko przerwał Harrison. — Szawanezi nigdy nie mieli tu własnej ziemi. Od bardzo dawna korzystają z gościnności innych plemion. To z winy Szawanezów dochodzi do rozlewu krwi.

Krew uderzyła do twarzy Tecumseha. Zaciśnął pięści.

— Kłamstwo! — krzyknął groźnie. — To z winy Długich Noży czerwonoskórzy muszą uchodzić z ojczystej ziemi na zachód... To blade twarze oszukują nas i śmiercią płacą za dobroć.

Oficerowie porwali się z krzeseł. Błysnęły ostrza szabel. W rękach Indian zaślnęły tomahawki. Przez ułamek sekundy mierzyli się nienawistnymi oczyma.

Harrison jednak zachował zimną krew.

- Spokojnie, panowie — powiedział. Potem zwrócił się do Tecumseha — Skacząca Puma znajduje się w forcie Vincennes nie w dzikiej puszczy.
- Tecumseh pragnie słuchać prawdy, a nie kłamstwa.
- Schowajcie, panowie, szable. Nic nam nie grozi. Kapitanie Perry, otwórzcie szeroko drzwi do sąsiedniego pokoju.

Perry rozwarł podwójne, ciężkie, z dębowego drzewa wyciosane drzwi. Indianie ujrzeni żołnierzy z bagnetami na karabinach.

Harrison zwrócił się do czerwonoskórych:

— Jesteście zuchwalcami. Słuchamy was dalej, ale mówcie krócej. Nie mamy czasu.

Tecumseh wrócił do równowagi. Zatknął tomahawk za pas i usiadł. Za nim wodzowie. Chwilę panowało milczenie.

• Wodzowie Związku Oporu przynoszą białym braciom wampum pokoju i przyjaźni — powtórzył Tecumseh. Wstał, podszedł do stołu gubernatora i położył pięknie wyszywany muszelkami pas, zakończony z dwóch stron skórzanymi frędzlami. Zielony i biały kolor haftu przeplatał się gdzieniegdzie z siwą barwą.

• Przynosicie nam przyjaźń, a niedawno zniszczyliście osadę Wabash River i wymordowaliście wszystkich białych, łącznie z dziećmi i kobietami. Ocalał jedynie on... — Harrison wskazał Guntera.

• Nie przyjmujemy waszej przyjaźni — dorzucił pułkownik Caldwell.  
- Ten biały łowca skalpów tak wam powiedział? I uwierzyliście mu?! — w głosie Tecumseha zabrzmiała drwina. — Czerwoni wojownicy nie są mordercami — ciął słowami jak biczem. To Długie Noże pastwią się nad bezbronnymi, a najczęściej na padają wieś nocą, gdy wojowników otula sen.

Przerwał. Oficerowie znowu poczęli się niecierpliwić. A Tecumseh bynajmniej się nie

śpieszył. Wreszcie zaczął mówić, tym razem spokojnie:

— Wojownicy Związku Oporu mieszkańców osady nad Wąską Strugą przyprowadzili do Vincennes. Wszyscy są zdrowi i cali.

Zginęło tylko paru mężczyzn, bo nie usłuchali woli Tecumseha i podjęli walkę.

Przyprowadziliście jeńców? — zawołali zdumieni oficerowie

— Tak.

Chcecie ich zostawić w Vincennes? — z niedowierzaniem zapytał Harrison.

— Tak, jeśli biali bracia wypalą fajkę pokoju i przyjmą wampum przyjaźni.

Chwilę panowało milczenie. Oficerowie zaskoczeni nagłym obrotem sprawy spoglądali na siebie.

- To podstęp — szepnął Gunter.

- Oni coś knują... — dorzucił Gibson.

- Spójrzcie, generale, na wampum — odpowiedział Johann.

— Kolor zielony i biały rzeczywiście oznaczają przyjaźń i pokój, ale siwy...

- Co oznacza siwy? — spytał ostro Harrison.

- Ostrzeżenie — rzekł spokojnie Tecumseh.

- Grozicie?

- Nie! — Tecumseh położył rękę na piersi. — Doskonale wiecie, że zbliża się wojna Unii z Anglią. Nadciąga jak nieunikniony huragan. Wybuchnie za rok, za dwa, a może nawet wcześniej... — przerwał i powiódł oczyma po twarzach oficerów.

— Armia Tecumseha jest potężna, liczy więcej niż całe wojsko Długich Noży. Związek Oporu pójdzie z wami przeciw Agolaszima, jeśli zawrzemy wieczysty pokój. Razem rozbijemy w pył kanadyjskie oddziały Anglików.

- A jeśli nie skorzystamy z ofiarowanej przez was pomocy?

- Siwy kolor wampumu ostrzega wojowników Unii. Wówczas Tecumseh i zjednoczone plemiona staną przeciw wam po stronie Anglii.

Harrison zabębnił palcami po stole. W głębi serca począł żywić dla tego Indianina sympatię. Zaimponował mu niezwykłym charakterem i jakże bystrym umysłem polityka. Choć nie kończył żadnej uczelni, doskonale rozumiał groźną sytuację narastającą między Anglią a Stanami Zjednoczonymi... Propozycja opowiedzenia się konfederacji Indian po stronie Unii była sprawą bardzo ważną. Ten fakt mógł zaważyć na zwycięstwie Amerykanów, mógł znacznie skrócić czas działań wojennych.

- Wielki wódz Szawanezów wypowiedział interesujące słowa — rzekł gubernator dyplomatycznie.

— Przekażę wszystko Wielkiemu Białemu Ojcu, prezydentowi Jamesowi Madisonowi,

- Tecumseh ma nadzieję, że prezydent Unii doceni doniosłość ofiarowanego przymierza.

- Tak sędzę.

- Nim jednak Biały Ojciec podejmie ostateczną decyzję, wódz Szawanezów prosi o pokój na indiańskim pograniczu.

- Indianie przelali krew białych w Illinois i nad Wąską Strugą — przypomniał jeszcze raz generał.

- Biali uczynili to wcześniej. Więcej Indian straciło życie niż białych — głos Tecumseha był spokojny. — Czerwonoskórzy zawsze wybaczą białym, niechże tym razem biali zapomną czerwonym. Nam i wam potrzebny jest pokój. Po co przelewać krew?

Tecumseh znowu sięgnął po fajkę i tytoń. Z dumą i dostojeństwem począł napędnąć ją pokruszonymi liśćmi wirginii.

- Kto zapewni bezpieczeństwo białych osad? — spytał Perry.

- Jeśli nikt z białych nie będzie polował na skalpy Indian i napadał na spokojne wioski czerwonych plemion, Tecumseh gwarantuje białym braciom pokój.

- Piękne to słowa. Ale nie wszystkie plemiona podporządkowały się Skaczącej Pumie.

Uśmiech zadrgał na wargach Szawaneza. Podniósł głowę. Zakołysał się pęk piór wpięty w krucze włosy.

— Wszystkie plemiona wschodu, zachodu i północy oraz część plemion południa stoi pod rozkazami Tecumseha. Nikt nie sprzeciwi się woli Pumi — głos wodza zabrzmiał metalicznie czysto. Czuć było w nim siłę i wiarę w potęgę czerwonoskórzych

Niektórzy oficerowie opuścili wzrok. Zaczynali rozumieć narastające niebezpieczeństwo. Gubernator

Harrison miał rację! Gdyby wszyscy Indianie powstali pod jednym dowództwem, wojna byłaby ciężka i trudna. Na pewno groźniejsza niż powstanie Pontiac.

- Kiedy Tecumseh przekaze jeńców? — Harrison wstał i pod szedł do okna.
- Przybędą natychmiast po zawarciu pokoju.
- Nie było między nami wojny. — Generał oczyma ogarną zabudowania fortu, domy mieszkańców i spojrzął w stronę dalekiej kniei. Nigdzie ani śladu Indian.

— Była wojna — głos Szawaneza znowu był surowy. — *Czyżby biały brat zapomniał, co stało się z wioską Peoriów i osadą nad Wąską Strugą?*

— Pamiętam.

— Wodzowie Związku Oporu przynoszą białym braciom wampum przyjaźni i święty dym fajki pokoju.

— Yes. Jeśli jeńcy wrócą do Vincennes, niech będzie pokój.

Oficerowie milczeli. Tecumseh zapalił kalumet. Podszedł do Harrisona i podał mu fajkę. Gubernator przyjął ją, pociągnął sześciokrotnie dym, wydmuchnął w cztery strony świata, w ziemię i niebo i oddał kalumet pułkownikowi Caldwellowi. Fajka krążyła w zupełnej ciszy. Kiedy trafiła znowu do rąk Tecumseha, wódz powiedział:

— Między naszymi narodami zapanował pokój. Niech biali bracia uszanują zawarte przymierze.

Oficerowie milczeli.

• Tecumseh odchodzi. Za chwilę przybędą do Vincennes backwoodsmeni ze spalonej osady. Niech jednak nie wracają nad Wąską Strugę.

- Przecież to nasza ziemia, prawnie kupiona — zachnął się generał.
- Ale nieprawnie sprzedana — uciął Szawanez.

Perry podniósł głowę i zrobił gwałtowny ruch ręką. Chciał coś powiedzieć, ale Harrison dłonią nakazał mu milczenie. Indianie z dumą, powoli opuszczali gabinet. Ostatni wychodził Tecumseh. Zatrzymał się w drzwiach i rzucił na pożegnanie:

— Wódz Szawanezów dotrzyma słowa, nie złamie zobowiązań. Ale jeśli biali bracia pierwsi rozleją indiańską krew, staniemy naprzeciw siebie. Hugh!

Zaszeleściły miękkie mokasyny, skrzypnęły pod ciężarem ludzi drewniane schody. Gubernator usiadł głęboko w fotelu. Oparł głowę na dłoń.

— Trzeba było aresztować tę czerwoną hołotę — powiedział Dawis.

Harrison pokręcił głową.

- Dajcie spokój. Widzę, że ciągle jeszcze nic nie rozumiecie...
- Może zarządzić alarm? Czerwoni przecież mogą zaatakować Vincennes.

Generał wyjął lunetę z szuflady i stanął przy oknie.

• Alarm jest zbędny. Tecumseh szuka pokoju. Czekaj na wojnę Unii z Anglią. Wtedy czerwoni uderzą...

- Właśnie, na Unię czy na Anglików?
- To będzie od nas zależało. Dlatego nie wolno ich niepokoić,

Gubernator podniósł szkła do oczu. Uważnie przyglądał się puszczy. Minęło sporo czasu, nim z kniei wynurzył się sznur ludzkich sylwetek. — Idą osadnicy — powiedział. Po chwili dodał: — A jednak Tecumseh jest szlachetnym człowiekiem.

Oficerowie w milczeniu patrzyli z okien. Gdy osadnicy dochodzili już do zabudowań Vincennes, skraj okolicznych lasów zaroił się od wojowników. Wyszli zza drzew. Stali w złotych promieniach południowego słońca, świetnie uzbrojeni w muszkiety i sztucery, ubrani w odświętne szaty wojowników.

- Dranie. Zobaczcie, ilu ich jest — powiedział któryś z oficerów.
- A chcieliście aresztować wodzów — rzucił z ironią Harrisom

Nagle wyłoniła się z puszczy liczna gromada indiańskich jeźdźców. Ruszyli galopem w stronę fortu. Gubernator dostrzegł na czele Tecumseha, a za nim sylwetki wodzów. Na głowach barwne pióropusze, w rękach strzelby gotowe do strzału. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Odłożył szkła, krzyknął:

— Kapitanie Perry, alarm! Wojsko do strzelnic! Barykadować bramę!

Zawrzało. Oficerowie wybiegli. Dudniły na schodach nogi obute w żołnierskie, wysokie buty. W gabinecie pozostał z generałem Tom Caldwell. Za chwilę muzyka trąbki poderwała



żołnierzy. W pośpiechu zajmowali obronne stanowiska wokół palisady. Kanonierzy dopadli armat.

A tymczasem oddział indiańskich jeźdźców zbliżył się do fortu na odległość strzału z muszkietu. Powietrze rozdarł wojenny okrzyk. Załomotały o ziemię kopyta mustangów, wyciągniętych galopem przemknęli w ulewie wiosennego słońca. Wiatr rozwiewał pióropusze.

• To pewnie jakieś plemię z południa lub z zachodu — powiedział gubernator. — Nie widziałem jeszcze takich strojów i takich piór.

• To Dakoci z Missouri — wyjaśnił Caldwell i dodał — Doskonali jeźdźcy.

Gubernator skinął głową.

Indianie przemknęli w dudnieniu kopyt i niby widziadła z bajki wtopili się w niedaleki bór.

• Tecumseh pokazał nam swoją armię.

• Yes, o to mu chodziło. — Czoło gubernatora przecięła gruba zmarszczka, a w głębi oczu czało się zakłopotanie. Patrzył na mrowie wojowników kręcących się na skraju puszczy, później odszedł od okna. Powiedział do Caldwell: — Pułkowniku, w pobliżu fortu Wayne mieszka w samotnym wigwamie stary Miczikinikwa z plemienia Miamisów, a gdzieś w puszczy nad Ohio osiadł z garstką wojowników Dobry Strzelec, syn rodzonej siostry Tecumseha. Wszyscy oni nie przyjęli znaku Związku Oporu. Trzeba z tymi Indianami nawiązać kontakt. — Usiadł. Założył nogę na nogę. W rękę trzymał lunetę i bawił się jej rzemieniowym paskiem. — Za wszelką cenę musimy mieć w Tippe-canoe szpiegów. Białe nic tam nie wskóra. Jedynie Indianin może być przydatny, bo nie zwróci na siebie uwagi. O najmniejszym wydarzeniu w głównej kwaterze Tecumseha powinni przekazywać nam dokładne informacje. To sprawa życia lub śmierci. Rozumiecie?

• Oczywiście, generale.

• Zajmijcie się tą sprawą, pułkowniku, i to zaraz.

• Według rozkazu, generale!

W dwa miesiące później gubernator, stanu Indiana, generał William Henry Harrison, wezwał do swego gabinetu trzech najbardziej zaufanych oficerów: pułkownika Caldwell, majora Dawisa i kapitana Perry'ego. Usiedli wokół stołu, oczekując słów zwierzchnika.

— Panowie, nasza robota zaczyna owocować. Cichy Wąż dostarcza nam na bieżąco cennych informacji z Tippecanoe... — Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz generała. — W związku z tym ułożyłem pewien strategiczny plan działania...

Oficerowie słuchali z zaciekawieniem. — Nim jednak będziemy mogli podjąć realizację tego planu, musimy pod jakimś pozorem usunąć z Tippecanoe Ryszarda Kosa.

Długo siedzieli w gabinecie generała i naradzali się, coraz Pochylając się nad rozłożoną na stole mapą...

## POŚCIG

Elskwatawa wrócił z dalekiej podróży przynosząc pomyślne wieści. Wodzowie plemion zamieszkujących rozległe tereny Alabamy i Florydy czekali na wizytę Tecumseha. Wódz Szawanezów pozostawił więc w Tippecanoe Elskwatawę i Ryszarda Kosa, a sam wyruszył w drogę. Czas naglił. Trzeba było dołączyć do Związku Oporu ostatnie ogniwo — plemiona południa. Wtedy zbrojne powstanie Indian objęłoby równocześnie całe terytorium Stanów Zjednoczonych: od krainy Wielkich Jezior po Zatokę Meksykańską, od Missisipi aż po wybrzeża Oceanu Atlantyckiego. Odjeżdżając z Niezdobytego Miasta Wielkiego Ducha Puma Gotowa do Skoku zalecił Elskwatawie i Radzie Wodzów, aby utrzymali dyscyplinę wśród wojowników i pod żadnym pozorem nie wszczynali zatargów z białymi.

Ledwie Tecumseh odjechał, Elskwatawa począł niechętnie patrzeć na Kosa. Nigdy zresztą nie darzył go zbyt dużą sympatią. Z pewną dozą rezerwy słuchał jego rad. Był zazdrosny, że Skacząca Puma za często korzysta z przyjacielskich usług i wskazówek Kosa. Nawet na własnego brata, Tecumseha, patrzył z narastającą zawiścią, w miarę jak sława naczelnika Związku Oporu zataczała coraz szersze kręgi.

Tecumseh dostrzegł już dawno tę zawiść drążącą serce Elskwatawy. Jak mógł, łagodził sytuację i

starał się, aby jego brat zdobywał sławę największego szamana wszystkich czasów. Odjeżdżając do dalekich plemion Kriksów i Seminolów powiedział mu:

- Elskwatawo, zostawiam ci nasze wspólne dzieło. Czuwaj! aby nikt do mego powrotu nie zburzył jedności plemion. Wrogów wokoło pełno. Nie ufaj białym. Nie ufaj również i czerwono-skórym. Czerwone Serce zostanie w Tippecanoe, korzystaj z jego rad. Na niego tylko wśród białych twarzy można liczyć. Gdy wrócę od Seminolów, wspólnie podejmiemy ostatnią walkę.

- Możesz polegać na Elskwatawie — odpowiedział sucho szaman.

Żegnając Ryszarda Tecumseh ścisnął po przyjacielsku jego dłonie:

— Bracie — powiedział — musisz pozostać. Ty jeden znasz

białych i szybciej niż Elskwatawa potrafisz odgadnąć ich zamiary. Czuwaj, aby naszego wielkiego dzieła nikt nie zniszczył. Jeszcze tylko ta jedna podróż na dalekie południe i...

- Wiem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Wierzę ci.

- Tylko czy Elskwatawa... Zawsze stara się działać mi na przekór. — Ryszard ściszył głos niemal do szeptu. — Czy Elskwatawa zechce mi ufać?...

- Dlatego też musisz, bracie, pozostać w Tippecanoe. Elskwatawa ostatnio bardzo się zmienił. Jest żądny władzy. Może popełnić głupstwo.

Uścisknęli sobie dłonie i wódz Szawanezów odjechał.

Od tego momentu minęło już wiele dni. Życie w Tippecanoe toczyło się normalnym trybem. Ćwiczenia wojskowe, szamańskie modły Elskwatawy, polowania i ustawiczny handel wymienny: futerka dzikich zwierząt za broń.

Puszczą tonęła w świeżej zieleni. Bujne trawy pokryły brzegi leśnych strumyków. Nad barwnymi kielichami kwiatów unosiły się pracowite pszczoły i ciężkie, aksamitne trzmielce. Chyba-tały lekko powiewne motyle.

Ryszard udał się tego dnia daleko poza indiańskie osiedle, do miejsca, gdzie rzeka Tippecanoe rozszerza swe koryto. Rozebrał się i skoczył w chłodną wodę. Słońce prażyło. Od kniei szedł zapach kwiatów i ziół, mieszał się z wonią rozmięklej ziemi i butwiejących szczątków roślin. Kos czuł się tutaj zupełnie bezpiecznie. Ze strony ludzi nic mu nie groziło. Jedynie zwierzęta... Ale i tych w pobliżu Wielkiego Miasta, rozłożonego u źródeł Tippecanoe, dawno już w puszczy nie było. Dlatego bez obaw długo kąpał się, daleko odpływał od miejsca, gdzie pozostawił odzież i broń. Rozkoszował się wodą, słońcem i powietrzem.

Wyskoczył wreszcie na brzeg. Przebiegł w promieniach słońca kawałek wolnej przestrzeni i zatrzymał się nagle zaskoczony. Na brzegu siedział czerwonoskóry wojownik ze sztucerem gotowym do strzału. Kos zbliżył się, uważnie patrząc na siedzącego.

Indianin milczał, skinął tylko na powitanie głową. Kos z łatwością po stroju poznał Senekę. Pochylił się po ubranie i począł je na siebie wciągać. Kiedy usiadł obok czerwonoskorego, ten dopiero wówczas powiedział:

- Czarna Strzała, wódz Seneków, przysłała Węszącego Wilka ze złymi wieściami.

- Cóż to za wieści?

- Z wioski Seneków uprowadzono Zorzę Ranną. Uczynili to biali.

- Ranną Zorzę uprowadzono?... — Ryszard nie umiał ukryć zaskoczenia i niepokoju. — Jak to się stało?... Niech Węszący Wilk dokładnie mi wszystko opowie.

- Córka Czarnej Strzały wyszła z wioski z tykwą po wodę. Pochwycono ją nad strumieniem. Siady butów powiedziały, że było tam trzech białych. Poprowadzili ją w stronę Detroit. Wódz Seneków z wojownikami pośpieszył ich śladami, a Węszącego Wilka przysłał po ciebie, biały bracie, z prośbą o pomoc. Jeśli blade twarze zamkną Zorzę Ranną w jednym ze swych; miast, jedynie biały może jej pomóc.

- Rozumiem.

Ryszard zamyślił się. — Któż i w jakim celu porwał Indiankę?! Po co dziewczynę wlekli przez puszcę i dokąd?... Co chcieli z nią uczynić?... Jeśli mieli złe zamiary, pewnie dawno przestałyby żyć. A może to sprawka Diksona z Detroit?... Albo..| — Kos ręką przygładził wilgotne jeszcze po kąpieli włosy.; Albo komuś zależało, by zwabić go w zasadzkę? Ten ktoś musiał, wiedzieć, że Zorza Ranna opiekowała się nim podczas choroby, i liczy na to, że Kos pośpieszy jej z pomocą. A może Węszący Wilk kłamie? Może to zwykły podstęp? Ryszard

pierwszy *ram* widzi tego człowieka o milczącej, kamiennej niemal twarzy.

- Dziwnie wygląda mi to uprowadzenie dziewczyny — mówią; to bacznie obserwował twarz Indianina. — Coś w tym się kryje.

- Nie traćmy czasu, biały bracie — ponaglił go czerwonoskóry. — Wódz Seneków, Czarna Strzała, czeka na twoją pomoc.

- Zorzy Rannej jestem dłużny wdzięczność, bo, troskliwiej pielęgnowała mnie, gdy leżałem ciężko ranny. Dlatego gotowa jestem zrobić dla niej wszystko. Tylko jaki cel ma to porwanie dziewczyny?... — dalej zastanawiał się Kos.

- Węszący Wilk nie zna przyczyn uprowadzenia, ale wszystko się wyjaśni.

- Pewnie. Lepiej jednak znać prawdę wcześniej. Wtedy wiadomo, jak walczyć z wrogiem.

- Mądrość przemawia ustami białego brata.

Ryszard wstał.

— No, ale śpieszmy. Muszę jeszcze wpaść do Tippecanoe. Trzeba przygotować się do dalekiej wędrówki.

W obozowisku Ryszard powiadomił Elskwatawę o uprowadzeniu Rannej Zorzy i o przybyciu Węszącego Wilka. Powiedział, że wyrusza śladami białych porywaczy. Szaman nie ukrywał swego zadowolenia. Obecność Kosa w Tippecanoe ciążyła mu i krępowała go. Chciał być sam. Powiedział ze złośliwym uśmiechem:

— Szczęśliwej drogi, Czerwone Serce. Unikaj zatargów z Długimi Nożami. Jesteś wprawdzie białym, ale żołnierze i backwoodsmeni traktują cię jak Szawaneza. Nie chciałbym, abys za wcześniej wywołał gniew bladych twarzy.

Ryszard zajrzał w głąb czarnych źrenic szamana. — Czyżby ten indiański szarlatan — pomyślał — sam uknuł podstęp z porwaniem Zorzy Rannej, aby się pozbyć z Tippecanoe niewygodnego doradcy i obserwatora?

- Wiem, jak mam postępować — odparł z mocą. — Rozkaz Tecumseha jest nienaruszalny, pamiętaj o tym, Elskwatawo. Jeden szaleńczy twój krok i możesz zniweczyć los Szawanezów i twoich czerwonych pobratymców. Oni wszyscy tobie i Tecumsehowi zaufali. Nie zapominaj o tym. Postaram się szybko wrócić — dodał po chwili.

- Pod moim okiem Tippecanoe będzie bezpieczne — zjadliwie rzucił szaman. — Możesz się nie śpieszyć...

Ryszard odwrócił się i bez pożegnania odszedł. Wpadł do swego wigwamu, wziął zapas prochu i kul, nieco pożywienia i zarzuciwszy na ramię traperską sakwę, opuścił chatę. Po chwili wraz z Węszącym Wilkiem zanurzyli się w zieleń kniei. Pod wieczór dotarli do leśnego strumienia. Seneka z ukrycia wyciągnął małą indiańską łódź. Noc była jasna, gwiazdzista, postanowili więc nie tracić czasu. Wiosła migały w rękach. Posuwali się szybko. O świcie wyskoczyli na brzeg, rozniecili w pośpiechu ognisko i przygotowali ranny posiłek. Przez cały czas podróży Ryszard nie spuszczał Indianina z oka, ale tamten nie zdradził się niczym. Gdy wygasili ogień i spakowali swoje sakwy, Kos nagle położył rękę na ramieniu Seneki.

— Słuchaj, Węszący Wilku — powiedział twardo, patrząc mu w oczy. — Zaufałem ci i ruszyłem na tę wyprawę. Bo jeśli to prawda, że Ranna Zorza jest w niebezpieczeństwie, życie gotowy jestem poświęcić, by ją uwolnić. Ale pamiętaj, jeśli prowadzisz mnie ścieżkami zdrady i podstępu, nie daruję! A gdy, bym zginął, łotrów dosięgnie ręka Tecumseha.

W oczach Seneki przez chwilę zamigotał strach. Zaraz jednak stały się na powrót spokojne jak czarna, nieodgadniona toń.

— Czerwone Serce nie ufa Węszącemu Wilkowi? — mówił jakby z odrobiną żalu. — Dopędzimy wodza Seneków, wtedy biały brat przekona się, że Wilk mówił prawdę. Hugh!

Po paru dniach podróży łodzią i pieszo znaleźli się nad Maumee River. Seneka szukał śladów. Wreszcie wskazał ręką na pień dębu.

— Spójrz, mój bracie, to ślad pozostawiony przez Czarną Strzałę. — Na korze pnia widniał świeży ślad cięcia tomahawkiem. — W tym miejscu rozeszły się nasze ścieżki — mówił Indianin. — Wódz Seneków podążył śladami wrogów, a Węszący Wilk pośpieszył do Tippecanoe, do Czerwonego Serca. Czarna Strzała będzie pozostawiać ślady, abyśmy mogli szybko go dogonić — wyjaśnił.

Rzeczywiście ślady były widoczne. Węszący Wilk z łatwością odszukiwał pozostawiane w leśnych

kryjówkach przez Czarną? Strzałę canoe. Ciągłe zmierzali w kierunku Detroit. Dotarli wreszcie do wybrzeży jeziora Erie. Tutaj ślady, zamiast na północ — poczęły prowadzić na wschód. Ruszyli pieszo. Trop oddalił się od jeziora i wiódł w głąb puszczy. Mijały dni i noce a oni uparcie szli. Stale napotykali to ślady na drzewach, tj popiół wygasłych ognisk lub odciski ludzkich stóp. Po wielu tygodniach marszu dopędzili wreszcie Seneków. W miejscu,; gdzie Sandusky River wlewa swe wody do wielkiego jeziora] Erie, w głębi puszczy, Czarna Strzała rozłożył się obozem! Gdy zobaczył Kosa, wyszedł mu naprzeciw. Zamiast słów powitania objął go serdecznie. Węszący Wilk stał obok z dumnie podniesioną głową, nie mówiąc. Wpatrywał się przymrużonymi oczyma w Ryszarda. Kos uśmiechnął się do niego. Siadając przy ognisku powiedział:

- Były chwile, że wątpiłem, że podejrzewałem cię, Wilku. Wybacz. Myślałem, że ktoś chce zastawić na mnie pułapkę.
- To wróg Czerwonego Serca porwał córkę Czarnej Strzały - rzekł wódz Seneków.
- Kto?

— Biały łowca skalpów, Johann Gunter.

- Sam? — Ryszard pomimo zmęczenia długim i forsownym marszem zerwał się zdenerwowany.
- Są jeszcze z nim dwaj biali.
- Łotrzy! — Kos zacisnął pięści. — Dojść do ciebie jeszcze! \_\_\_ Usiadł z powrotem przy ognisku.
- Ranną Zorzę uwięziono w forcie Sandusky — ciągnął wódz Seneków. — Próbowaliśmy tam wejść i wytropić miejsce jej pobytu. Ale na próżno.

- Nie wpuszczono was do fortu?
- Wpuszczono. Nikt z Długich Noży nie odpowiadał jednak na nasze pytania. Drwiono z Seneków.
- Mów, wodzu, chcę wiedzieć wszystko.
- Odeszliśmy. W forcie pozostał Niedźwiedzia Łapa. On znał mowę białych. Rozłożyliśmy się tutaj obozem, a dwóch wojowników obserwowało wejście do fortu. Minęła noc, a rankiem w pobliżu bramy, w zaroślach, znaleźliśmy Niedźwiedzia Łapę bez skalpu. Zginął od pchnięcia szabli.

Wódz spuścił głowę. Milczał.

- Kiedy to się stało?
- Trzy dni temu.
- Wojownicy obserwowali wejście do fortu?
- Rozstawiłem straż. Biali porywacze nie opuścili Sandusky.

Kos zamyslił się. — Do czego Gunter zmierzał? Czy rzeczywiście chodziło o dziewczynę?... Zorza Ranna była piękna. To prawda. Wielu wojowników różnych plemion ubiegało się o jej względy. Paru traperów, wędrownych kramarzy, a nawet któryś z oficerów z fortu Wayne prosił Czarną Strzałę o rękę Indianki. Wszyscy odchodzili z niczym. Może tutaj należy szukać zagadki porwania?

Nad ogniskiem piekły się dzikie kaczki. Ryszard poczuł głód. Sięgnął po myśliwski nóż i prosto z rżną odciął kawał mięsa.

A może tu chodzi wyłącznie o mnie? — myślał dalej. — Może Gunter w ten sposób pragnie pomścić śmierć Jerry'ego? Cokolwiek się kryje za porwaniem dziewczyny, trzeba działać.

— Zostańcie. Wrócę jutro — powiedział. — Zobaczymy wówczas, co wypadnie czynić.

Czarna Strzała odprowadził go na skraj lasu. Ucisnął mu serdecznie dłoń na pożegnanie. Kos wszedł na szeroki trakt. Długie cienie drzew kładły się na drogę. Na zachodzie niebo jeszcze płonęło daleką purpurą, ale był już bliski zmierzchu. Zastukał do bramy. W okienku pokazała się twarz wartownika. Skrzypnęły zawiasy. Ryszard wszedł na dziedziniec fortu. Pozdrowił żołnierza. Znał tu niemal każdy kąt. Spędził w Sandusky przed laty szmat swego życia. Czuł się tutaj jak w domu. Przecież w roku 1735 Jan Antoni Sadowski<sup>1</sup> zbudował tu faktorię, która rozrosła się w fort. Od nazwiska Polaka nazwano rzekę i warownię. Anglicy nie potrafili wypowiedzieć poprawnie polskiego nazwiska, przeto zniekształcili je na Sandusky. Była to więc swojska miejscowość. Mieszkało tu kilku Polaków, serdecznych przyjaciół Kosa, między innymi Kazimierz Stadnicki, którego prapradziad pod koniec XVII wieku, jako arianin, musiał opuścić ojczysty kraj. Kos udał się wprost do niego. Przywitali się ciepło, wylewnie. Kiedy na stole pojawił się wieczorny posiłek, poczęli opowiadać ostatnie swoje przeżycia. Nie widzieli się z górą dwa lata. Było więc o czym mówić.

- Przypadkiem wpadłeś do Sandusky — pytał Kazimierz — czy przywiodły cię jakieś

sprawy? Słyszałem, że na dobre zadowoliłeś się u Szawanezów.

• Tak, ostatnio sporo czasu spędzam w Tippecanoe — z uśmiechem odrzekł Kos. — A do warowni Sadowskiego przypędziły; mię kłopoty.

• Co znowu? Jakie kłopoty?  
• Widzisz, od wielu tygodni idę śladami białych porwaczy. Przewodzi im leśny tramp, Johann Gunter. Może znasz tego człowieka?

• Nie. Ale kogo ci ludzie porwali?  
• Zdziwisz się pewnie. Uprawdzili Indiankę, Zorzę Ranną, córkę wodza Seneków.  
• Czekaj, coś parę dni temu słyszałem. Indianie byli w forcie u komendanta. Kazano im wynieść się do puszczy. Pewnie ich wizyta miała związek z porwaniem.

• Zgadłeś. Czarna Strzała ze swymi wojownikami przybył do fortu. Jednego z Indian zamordowano i... oskalpowano.

• Niemożliwe.  
• Możliwe. Johann Gunter jest łowcą indiańskich skalpów! Znasz chyba to okrutne zarządzenie amerykańskich władz.

• Znam. Jeszcze pół roku temu ogłoszenie w sprawie skalpów, indiańskich skalpów wisiało przybite do ściany koszar. Kiedyś sam zdarłem je. Ale powiedz, Ryszardzie, zależy ci na tej Indiance?

— Zależy mi. Bardzo mi zależy — przyznał Kos. — Ona pielęgnowała mnie, gdy leżałem ciężko ranny w wigwamie Tecumseha. A więc wdzięczność?

• Może nie tylko...  
• Rozumiem. — Stadnicki uśmiechnął się przyjaźnie. — Zostań u mnie. Wskoczę do koszar zasięgnąć języka. Może coś poradzimy.

• Będę ci zobowiązany.  
• Drobiazg.

Stadnicki długo nie wracał. Ryszard usiadł przy otwartym szeroko oknie. Patrzył na granatowy mrok. Słuchał, jak tętni nocnym życiem niedaleka puszcza, jak odzywają się psy wśród zabudowań warowni. W jego głowie kłębiły się tysięczne myśli. Z niecierpliwością czekał na przyjaciela.

Usłyszał wreszcie kroki. Skrzypnęły drzwi. Po chwili Stadnicki wszedł do pokoju. Położył ciężką dłoń na ramieniu Kosa. Chwilę milczał. Widać było, że przynosi niekorzystne wiadomości.

• Odpłynęli — powiedział bezbarwnie. — Odpłynęli barką dzisiaj przed wieczorem.  
• Odpłynęli? Dokąd? — w głosie Kosa zabrzmiał zawód.  
• Do Detroit.

Ryszard zbierał rozbiegane myśli.

• Piechotą nie dopędzimy, czółnami indiańskimi nie przetniemy jeziora Erie. Najmniejsza burza może tragicznie skończyć się dla wioślarzy. A płynąć wzdłuż wybrzeża za długo.

• Słusznie. Ale mam radę. Dlatego tak długo nie wracałem.

• Mów! mów!... — zainteresował się Ryszard.

• Jutro wyrusza z przystani barka starego Tomasza Graya, który wozi do Detroit towary. W drodze z Buffalo zatrzymał się tutaj dla wytchnienia załogi. Przy okazji doręczyli mieszkańcom Sandusky pocztę, sól, cukier i tym podobne artykuły.

• Świetnie. Kiedy Gray odjeżdża?  
• Około południa.  
• Czemu nie wcześniej? Zapłacimy.  
• Spróbuj z nim pomówić.  
• Prowadź!

Po chwili siedzieli przy łożowym kaganku. Gray zwlókł się z posłania. Wprawdzie jeszcze nie spał, ale już leżał na wygodnym, drewnianym, miękko zaścienionym łożu. Patrzył w opaloną słońcem i wiatrem twarz Kosa swymi bladeńbieskimi, jakby wypłowiałymi w ciągu długiego życia oczami. Oblicze jego pokrywała gęsta, splątana sieć zmarszczek. Nic dziwnego, po... zostawił już poza sobą osiemdziesiąt pracowitych lat. Wysłuchał prośby Kosa. Niczemu się nie dziwił. Niczego nie był ciekaw o nic nie pytał.

• Chcesz płacić, młody człowieku? — powiedział spokojnie. — Dobrze. Możemy od płynąć z przystani rankiem. Jeśli pogoda i wiatry będą sprzyjać, za tydzień zawiniemy do Detroit. Nie wcześniej. Moja barka stara, wolno porusza się na wodzie.

- Zgadzą się.
- Weill! — kiwnął głową. — Wspomniałeś, że z wami są jacyś ludzie. Ilu ich?
- Dziesięciu Seneków.
- Indianie? O, nie! Nie mogę ich zabrać. Będę miał kłopoty z załogą.
- To pokojowo usposobieni czerwonoskórzy.
- Mnie tam czerwoni nie przeszkadzają, mogliby płynąć. Ale mam takich, którzy nie cierpią Indian.
- To co mam robić?... Oni muszą dostać się ze mną do Detroit.
- Wszyscy? Weźcie tylko jednego, najwyżej dwóch.

Stary Gray nie ustępował. Zapadła więc decyzja, że z Ryszardem popłynie wódz Seneków, Czarna Strzała, i jeden z wojowników. Umówili się co do ceny, którą Kos z góry w całości uiścił. Uzgodnili godzinę odjazdu i Ryszard pożegnał sędziwego kapitana barki.

Resztę nocy przegadali w domu Stadnickiego. Nad ranem Kos dotarł do obozowiska Indian. Przedstawił Czarnej Strzale sytuację. Szybko zwinęto obóz. Dziesięciu wojowników wróciło do rodzinnej wioski, a wódz Seneków wraz z Węszącym Wilkiem pośpieszyli prosto nad jezioro, gdzie w przystani kołysała się barka starego Graya o dźwięcznej nazwie „Mary”.

Fort Sandusky leżał przy ujściu rzeki do jeziora Erie. Dokoła otoczony był masywną palisadą. Od rzeki i jeziora ostrokół zbudowany był niemal na samym brzegu, gdzie urządzono przystań dla statków żeglujących po Wielkich Jeziorach. Nawet podczas oblężenia barki i łodzie mogły swobodnie zawijać do portu. Stąd fort uważany był za jeden z ważniejszych punktów obrony terytorium Stanów Zjednoczonych.

Ryszard z Senekami weszli przez bramę w palisadzie na drewniany pomost, przy którym stała sędziwa „Mary”. Tomasz Gray z załogą już na nich czekali. Odcumowali łódź, podnieśli żagiel i ruszyli.

Barka płynęła żółwym tempem. Naładowana towarami miała głębokie zanurzenie. Jedyne maszt z nieproporcjonalnie do wielkości statku małym żaglem popychał z trudem wysłużoną łódź. Niebo było pogodne. Wiał leciutki wiatr, marszcząc w drobne fale wody olbrzymiego jeziora.

Czarna Strzała i Ryszard niecierpliwili się powolnością żeglugi. Nie mogli jednak nic zmienić. Dawno już minął tydzień podróży, a oni przepłynęli dopiero połowę drogi.

— Nie sprzyja nam aura — mówił Gray i w uśmiechu jeszcze bardziej marszczył swoją poradloną twarz. — Może powieją silniejsze wiatry, wtedy popłyniemy szybciej..

Wiatr jednak nie przybierał na sile. Barka wciąż wlokła się. Czas dłużył się niemożliwie. Ryszard siadywał na pokładzie i wpatrując się w wodę rozmyślał, snuł osobiste plany, marzył o powrocie do dalekiej, rozdartej przez zaborców ojczyzny. Przypominał sobie rodzinne miasto, dom na Podgrodziu, gdzie krzątała się matka...

Któs go wyrwał z zadumy czyjś głos. Podniósł zamyślane oczy. Obok stał wódz Seneków.

— Smutek mieszka w twarzy mojego brata — powiedział Czarna Strzała, kładąc dłoń na ramieniu Kosa — a myśli błądzą gdzieś daleko.

Ryszard uśmiechnął się lekko.

— Zgadłeś, wodzu.

Czarna Strzała usiadł. Zaczęli rozmawiać.

Wreszcie po dwóch z górą tygodniach zawinęli do Detroit. Ryszard z Senekami wyskoczyli na brzeg. Kos nie miał tutaj przyjaciół. Gubernator Hull nie wchodził w rachubę. Nic by u niego nie wskórał, nawet gdyby otrzymał pozwolenie na audiencję. Zdecydowanych wrogów Kos miał natomiast w Detroit wielu. Choćby porucznika Harry'ego Diksona... Liczył jednak na to, że na swoich przeciwników nie natknie się, a inni go nie poznają. Od ostatniego pobytu w Detroit upłynęło zbyt wiele czasu, a zjawiał się tu zupełnie niespodziewanie. Dlatego po krótkiej naradzie w przystani postanowili pośpieszyć do faktorii. Minęli szereg drewnianych budowli i znaleźli się przed sklepem. Senekowie pozostali na zewnątrz, a Kos wszedł do środka. Było południe. W sklepie sporo kupujących. Ryszard stanął przy kontuarze. Czekał. Kiedy wreszcie przysła na niego kolej, poprosił o proch i pociski do strzelby. Otrzymał towar i zapłacił. Gdy odliczano mu resztę, rzucił pytanie:

- Sir, nie widzieliście przypadkiem Johanna Guntera?
- Guntera? — Sklepiarz podniósł na Kosa oczy. — Tego traperę, który ocalał z rzezi nad Wąską

Strugą?

- Właśnie tego... Mieliliśmy się spotkać w Detroit.
- Był u mnie. Kupował parę dni temu towar.
- To świetnie. Nie wiecie, u kogo się zatrzymał?
- Siedział w Detroit dość długo. Zaglądał tutaj co wieczór, lubił sobie popić, a potem opowiadał o napadzie Szawanezów na osadę backwoodsmanów w pobliżu Maumee River. To było straszne! Znacie tę historię?

- Znam.
- Może i wy stamtąd?
- Prawie... Bądźcie łaskawi powiedziec mi, gdzie się Johanri zatrzymał.

Handlarz oparł dłoń o masywny blat kontuaru.

- Nie ma go już w Detroit. Dwa dni temu opuścił fort.
- Sam?
- Miał dwóch towarzyszy i Indiankę. Nawet niczego sobie; dziewczyna.

Ryszard nerwowo przygryzł wargę.

• A to pech! — powiedział, siłąc się na spokój. — Spóźniłem się. Nie wiecie przypadkiem, dokąd się udał?

- Chyba gdzieś w stronę Illinois.
- Dziękuję.
- Pojedziecie za nim?
- Gdybym miał pewność, że podążył do Illinois... Ale raczej zrezygnuję.

Kos zgarnął z kontuaru pieniądze, pozdrowił sklepikarza i wyszedł. Skinął głową na Indian i bez pośpiechu, aby nie zwracać na siebie uwagi, opuścili Detroit. Na skraju puszczy pod wysokim klonem odbyli kolejną naradę. Doszli do wniosku, że trzeba odszukać ślady Guntera. W ciągu ostatnich dni pogoda była wyśmienita: nie padało, nie wiały porywiste wichry. Siady powinny zachować jeszcze swoją trwałość. Podzielili się rolami i nie zwlekając rozpoczęli szczegółową penetrację. Gdy zapadł zmierzch, spotkali się znowu na skraju puszczy pod rozłożystym klonem. Ryszarda rozsadzała ciekawość. Na północ od Detroit nie odnalazł nic godnego uwagi. Po zasepionym obliczu Czarnej Strzały, który przeszukiwał południowy obszar, widać było, że także wrócił z niczym. Ale Węszący Wilk musiał przynieść pomyślnie wieści, bo jego twarz zagadkowo promieniała.

— Węszący Wilk odnalazł ślady — powiedział wojownik i podał Czarnej Strzale błyszczący koralik i kawałek rzemyka ufarbowanego na czerwono. — Te przedmioty leżały obok śladów ludzkich stóp. Któż by je bez przyczyny porzucił?

Wódz Seneków uważnie przyglądał się przedmiotom. Mimo zmroku rozpoznał koralik.

Powiedział:

- To z naszyjnika Zorzy Rannej.
- Nie mylisz się wodzu? — upewniał się Kos.
- Kupiłem Zorzy sznur takich koralik w faktorii, w forcie Wayne. Gdy córkę uprowadzono, miała naszyjnik na sobie.
- Z tego wynika, że pozostawia dla nas ślady.
- Czyniła tak od początku.
- Dokąd prowadzi trop? — rzucił Kos.
- Na zachód.
- Może rzeczywiście zdążają w stronę Illinois?
- Ale po co?

Uznali, że rankiem łatwiej im będzie odnaleźć więcej śladów, a tym samym zdobyć dokładniejsze informacje. Rzeczywiście w świetle dnia bez trudu odszukali trop. Z bronią gotową do strzału podążyli w głąb kniei. Co jakiś czas natrafiali na porzucone koraliki i kolorowe niteczki. Pozwalało to im szybko posuwać się naprzód.

Ryszarda dziwiła trochę cała ta historia. Ciągłe zastanawiał się, dokąd wloką dziewczynę, dlaczego nie zacierają tropów i stwarzają Indiance możliwość gubienia drobnych przedmiotów. Któregoś wieczoru, gdy odpoczywali przy płomieniach ogniska, podzielił się swymi spostrzeżeniami. Po długich rozważaniach doszli do wniosku, że Zorza Ranna potrafiła tak

sprytnie pozostawiać ślady swej wędrówki, że biali tego nie zauważali. W jakim celu Zorzę porwano i dokąd ją prowadzono — nadal nie umieli sobie odpowiedzieć. Przypuszczali, że musiało to jednak mieć jakiś związek z Ryszardem Kosem.

Dni pościgu dłużyły się. Lato roztaczało swe uroki. Puszcza tonęła w bujnej zieleni, pełna była ptactwa i zwierząt. Nie mieli jednak czasu na zachwycanie się pięknem kniei. Spieszyli ciągle naprzód i naprzód. Przecinali leśne strumienie, ukwiecone łąki, przedzierali się przez płataninę krzewów, rojących się od węży, przechodzili przez bagniste trzęsawiska i suche, wysokopiennie lasy...

Pewnego dnia dotarli wreszcie do zakrętu szeroko rozlanej rzeki i w cieniu nadbrzeżnych krzaków usiedli na chwilę, aby odpocząć i zbadać teren.

- To Illinois River — powiedział wódz Seneków. — Musimy dokładnie przeczesać okolicę. Ścigani mogą być w pobliżu. Wczorajsze ślady były zbyt świeże.

- Jeśli mieli canoe, odpłynęli — zauważył Kos.

- To prawda.

- Ale jeśli łodzi nie mieli, są niedaleko.

Wtem Węszący Wilk podniósł rękę. Umilkli. Wyteżyli słuch. Od rzeki szedł cichy plusk, przypominający pracę wiosła. Chwycili broń i ostrożnie rozchylając nadbrzeżne zarośla podszli do brzegu.

Środkiem wartko szumiącej rzeki płynęło obszerne czółno. Trzej mężczyźni wiosłowali co siłą. W środku siedziała kruczowłosa dziewczyna.

- Nie ma chwili do stracenia — szepnął Czarna Strzała podnosząc strzelbę.

- Gdyby nasze kule chybiły, mogą ją zabić — powstrzymał go Kos.

- Możemy zranić Zorzę — dorzucił Wilk.

Stali niezdecydowani. Czółno niesione prądem wody i siłą wiosła szybko mknęło ku zakrętowi. Za parę minut łódź zniknie! za zieloną ścianą puszczy. Co wtedy? Nim zbudują canoe lub tratwę, upłynie co najmniej dwa dni. Złoczyńcy wówczas będą daleko. Pościg znowu ciągnąć się będzie tygodnie albo miesiące.!

— Uważajcie! — powiedział wódz Seneków. — Dam znak Zorzy

Rannej. Jeśli zrozumie, strzelamy.

Czarna Strzała podniósł dłoń do warg. Ciszę upalnego dnia przerwało długie wycie wilka. Wódz wypadł z zarośli na piaszczysty brzeg. Dziewczyna w czółnie drgnęła. Odwróciła twarz w stronę wilczego wołania. Zobaczywszy postać czerwonoskórego, błyskawicznie wstała, uniosła w górę związane w przegubach ręce i skoczyła w nurt rzeki. Biali w tym czasie porzucili wiosła i chwycili broń. Nie zdołali jej użyć. Na brzegu zagrzmiały trzy wystrzały. Jeden ze ściganych runął w nurt rzeki, drugi zwałił się na dno łodzi. Ostatni z porywaczy zorientował się szybko w sytuacji, schylił się gwałtownie, a potem lufę strzelby skierował w lustro wody. Kos zrozumiał jego podły zamiar. Wymierzył w stronę bandyty. Wódz Seneków zrobił to samo.

Prawie równocześnie huknęły trzy wystrzały. Zorza Ranna zniknęła pod wodą, ale zaraz jej głowa znowu pojawiła się na powierzchni. Widać było, że płynie ostatkiem sił. Natomiast mężczyzna, najwidoczniej trafiony, osunął się na dno łodzi, a jego strzelba chlupnęła do wody.

Wódz Seneków i Ryszard Kos zostawili strzelby pod opieką Węszącego Wilka i w ubraniu skoczyli do rzeki. Czarna Strzała pierwszy dotarł do córki, chwycił ją pod ramiona i popłynął w stronę brzegu. Dziewczyna broczyła krwią, była ranna.

Ryszard tymczasem dopłynął do łodzi niesionej przez rzeczny prąd, złapał się za burtę, dźwignął się i ostrożnie wśliznął do środka. Johann Gunter z twarzą wciśniętą w dno łódki nie dawał znaku życia. Obok jęcząc i obficie krwawiąc leżał jego towarzysz. Kos podniósł wiosło i skierował canoe ku brzegowi.

Oslonięci nadbrzeżnymi zaroślami, rozbili obóz. Zorza Ranna z głębokim postrzałem prawego ramienia, z naprędcie zrobionym opatrunkiem, leżała z przymkniętymi powiekami. Nieco dalej z raną w piersi ułożono jednego ze zbrodniarzy. Był przytomny. Rozszerzonymi od gorączki źrenicami patrzył na Ryszarda Kosa i Indian. Węszący Wilk rozpałał ogień. Daleko, pod zaroślami, spoczywały zwłoki Johanna Guntera. Ryszard uważnie przeglądał jego dokumenty znalezione w kieszeni bluzy.

— Co mówią te papiery? — rzucił pytanie wódz Seneków. — Mają jakąś wartość?

— Tak, to szpiegowskie materiały. Gunter służył Anglikom i Amerykanom równocześnie. Dla Związku Oporu te komunikaty mają olbrzymie znaczenie.

Seneka spojrział pytającym wzrokiem na Kosa.



• Przepowiadana przez Tecumseha wojna pomiędzy Unią i Anglią jest już bliska — wyjaśnił dokładnie Ryszard.

• Dobrze, że zginął ten zdrajca. Niech umrze także ten pies — rzekł Czarna Strzała.  
• Jeszcze nie. Musi nam powiedzieć, po co porwali i dokąd wiedli Zorzę Ranną. Potem wódz Seneków wymierzy sprawiedliwość — powiedział Ryszard. Usiadł obok rannego. — Słyszałeś? — zapytał.

Jeniec skinął głową.

— Nie możecie mnie zabić — szepnął. — Ja., ja... broniłem dziewczyny...

— Łżesz!

• Niech sama powie... — mówił z trudem. — Ratujcie, nie pozwólcie umierać.  
• Dobrze. Zrobię, co będę mógł, jeśli na to zasługujesz.. Dokąd prowadziliście tę dziewczynę? — wypytywał dalej Kos.

• Harrison kazał iść jak najdalej, aby was odciągnąć z Tippecanoe...  
• Mówisz prawdę?  
• Yes.  
• W jakim celu?  
• Nie wiem. Cichy Wąż z plemienia Wyandotów jest szpiegiem Harrisona, on wie. Nam kazali, musiałem... — Począł ciężko oddychać.

• Jak się nazywasz?

• Mark Shelly.

Ryszard zamyślił się. Analizował sytuację. Tecumseha w obozie nie było. Harrison postanowił pozbyć się także Kosa. Mając w Tippecanoe indiańskiego szpiega, znał doskonale wszystkie sprawy warowni. Wojna z Anglią wisi na włosku. W tej sytuacji Związek Oporu pod wodzą Tecumseha mógł być groźnym przeciwnikiem. Postanowił więc podjąć kroki zaradcze. Ale jakie?... Elskwatawę łatwo omamić i kupić pochlebstwami. Może przy jego pomocy generał chce zniechęcić plemiona do konfederacji? Albo ośmieszyć wielkiego szamana, udowodnić, że nie ma on żadnej nadprzyrodzonej mocy, a wówczas plemiona stracą wiarę w proroctwa i zrezygnują z walki. A może chce skierować Związek Oporu przeciwko Anglikom, co opóźniłoby wojnę z Unią... Tak czy inaczej, trzeba jak najszybciej wracać do Tippecanoe.

— Zorza Ranna nie może tu pozostać — powiedział do Seneki. Nie mamy Seneków, musimy jutro wyruszyć... Jeniec także potrzebuje pomocy lekarza.

• Jeniec zginie — rzekł Czarna Strzała.

• Nie — szepnęła dziewczyna. — On mnie bronił podczas tej wędrówki. To dobry człowiek.

Poczęli słuchać opowiadania Zorzy Rannej. Wynikało z niej, że istotnie Mark Shelly czuwał nad bezpieczeństwem porwanej. Gunter bowiem dawno już chciał ją skrzywdzić, a następnie zamordować. Twierdził, że bez niej o wiele łatwiej będzie zrobić zasadzkę na Kosa i jego czerwonoskórych towarzyszy. Jedyne Shelly sprzeciwiał się temu, przypominając, że instrukcje Harrisona były zupełnie inne. Pewnego wieczoru doszło nawet do starcia pomiędzy nimi. W końcu Mark zagroził trampowi strzelbą. Od tej pory Gunter dał spokój Zorzy Rannej.

Czarna Strzała łaskawiej spojrzał teraz na jeńca.

Naradzali się długo, co dalej czynić. W pobliżu znajdowała się wieś Peoriów. Postanowili więc świtaniem wyruszyć tam z rannymi.

Tak też uczynili. Ułożyli rannych na dnje łodzi i popłynęli z prądem rzeki. Po dwóch dniach wędrówki dotarli do wioski, gdzie Zorza Ranna i Shelly znaleźli pomoc lekarską szamana.

Ryszard Kos postanowił nie zwlekając pośpieszyć do Tippecanoe. Wraz z wodzem Seneków obawiali się najgorszego. Gubernator Harrison nie uknuł intrygi z porwaniem Zorzy Rannej dla zabawy, ale dlatego, że obecność Kosa w Mieście Proroka była mu niewygodna. Lato dobiegało końca. Nim Ryszard dotrze znad Illinois River do Tippecanoe, będzie późna jesień, a może nawet początek zimy.

Całe popołudnie Kos przesiedział w skórzonym tipi obok Zorzy. Dziewczyna czuła się już nieźle. Patrzyli sobie w oczy, gwarzyli, snuli dalekie plany.

— Po wielkiej wojnie zamieszkać z tobą, Zorzo, zabiorę cię do kamiennego tipi — powiedział Ryszard.

- Nie zapomnisz?
  - Nie. Czerwone Serce ma jedno słowo. Chwyła go za rękę, ścisnęła czule, miękko szepnęła:
  - Kochasz?...
- Podniósł jej dłoń do ust i gorąco pocałował.
- Tak.

## ZIEMIA DRŻY

Wieś Seminolów leżała na wysokiej wyżynie, w cieniu pierzastych cyprysów. Na Placu Rady zgromadził się odświętnie ubrany tłum Indian. Bęben szamana dudnił uroczyście. Zapowiadał niezwykle wydarzenia. Z okazałej chaty, zdobnej w wodzowskie symbole, wyszedł Weatherford, naczelny wódz Seminolów. Obok niego podążał Tecumseh, który za chwilę miał opuścić gościnnych mieszkańców Florydy. Parę dni temu Seminole przyjęli godło Związku Oporu i oddali się pod rozkazy wielkiego Szawaneza.

Weatherford, syn białego kupca i Seminolki, wysłuchawszy Tecumseha, pojął sens i potrzebę konfederacji. Może liczył na zaszczyty i sławę, a może po prostu Tecumseh potrafił porwać go swoją płomienną, przekonywającą mową. Dość, że jedno z najpotężniejszych plemion południa opowiedziało się za Tecumsehem.

Wódz Szawanezów był zadowolony. Oprócz słynących z waleczności Seminolów do konfederacji przystąpili Szoktawowie i Czikasawowie. Nawet Czirokezi, którzy uchodzili za najświetlejsze plemię wśród Indian Ameryki Północnej, zgłosili swój akces do konfederacji. Szczególną tu rolę odegrał nauczyciel Czirokezów — Sekwoja<sup>1</sup>, który stanął po stronie słusznej i mądrej polityki Tecumseha. Sekwoja wprawdzie nie piastował stanowiska wodza plemienia, ale słowa jego znaczyły często więcej niż rozkazy naczelnika. To właśnie Sekwoja w roku 1808 spisał kodeks praw Czirokezów, czym zasłynął wśród czerwonoskórych plemion i znalazł uznanie białych. Sekwoja prowadził szkołę dla dzieci indiańskich, opracował alfabet czirokeski, pisał w ojczystym języku. Pracował nad własnym urządzeniem drukarskim, bo śnił o drukowaniu czirokeskich książek i gazet. Jemu Tecumseh zawdzięczał, że Czirokezi przystąpili do Związku Oporu.

Poza Związkiem pozostawało jeszcze tylko jedno spokrewnione z Seminolami, liczące kilkadziesiąt tysięcy ludzi plemię Kriksów, koczujące na rozległych terenach rozciągających się od Tennessee River na północy aż do Zatoki Meksykańskiej na południu. Do nich właśnie wybierał się Tecumseh.

Weatherford z wodzem Szawanezów weszli na Plac Rady. Tłum Indian otaczający rozległy dziedziniec skierował zaciekawione oczy na sylwetki wodzów. Gwar ludzkich głosów zgasł. Umilkł też monotony warkot rytualnego bębna. Tecumseh podniósł do góry dłoń.

— Bracia Seminole! — zawołał donośnym głosem. Twarz mu promieniała pewnością zwycięstwa. — Połączyły się nasze mężne serca w jeden organizm Związku Oporu. Niedaleki już dzień, kiedy na oczyszczonej z błędnych twarzy ziemi naszych ojców, stworzymy wielkie państwo czerwonoskórych ludów. Zagasną na zawsze plemienne waśnie. Będziemy żyć jak bracia pod niebem Wielkiego Manitou. — Przerwał na chwilę, powiódł oczyma po tłumie wojowników i począł mówić dalej: — W wielkiej konfederacji czerwonych plemion brakuje tylko walecznych Kriksów, waszych sąsiadów. Do nich Tecumseh wyrusza dzisiaj. Oni także, oświeceni mądrością Manitou, przyjmą godło Związku Oporu. Najpóźniej wiosną plemiona białych twarzy — Anglia i Unia, rozpoczną wojnę. Dam wam wtedy znak. Śpieszcie na wezwanie. Będzie to dzień walki i triumfu czerwonej rasy. Hugh!

Weatherford skinął głową na stojącego w pobliżu wojownika. Tłum Indian rozstąpił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na środek placu wprowadzono dwa mustangi. Tecumseh i wódz Seminolów wskoczyli na wzorzyste derki zastępujące siodła. Szawanez z grzbietu konia zatoczył ręką krąg, przyłożył dłoń do serca, pochylił w geście pożegnania głowę. Tłum wojowników zafalował. Dwaj jeźdźcy jechali majestatycznie. Mieszkańcy wsi odprowadzili ich aż poza wigwamy. Tecumseh jeszcze raz odwrócił się w stronę wojowników, podniósł rękę w geście przyjaźni, a potem ruszył wyciągniętym galopem. Za nim Weatherford.

Wódz Seminolów odprowadził Tecumseha do Ocmulgee River. Tu pożegnali się serdecznie. Weatherford zawrócił do swojej wioski, a Tecumseh przepłynąwszy rzekę pośpieszył na północ. Po paru dniach wędrówki, po przebyciu dwóch rzek dotarł

szczęśliwie do źródeł Ohoopée River, gdzie wznosiła się stolica Kriksów — Tukhabatchee, czyli Jaskinia Lwa.

Spodziewano się tutaj Tecumseha. Ledwie bowiem Szawanez wjechał na wzniesienie, z którego miasto Kriksów widoczne było jak na dłoni, już naprzeciw wyciągniętym galopem pędził oddział odświętnie ubranych jeźdźców. Tecumseh zatrzymał mustanga. Po chwili kilkunastu wojowników stanęło przed nim. Na czele jechał Metys o małych, chytrych oczach. Był to naczelny wódz Kriksów, który kazał się nazywać Królem Królów. Obaj wodzowie przez chwilę uważnie i ciekawie patrzyli na siebie. Potem Metys położył prawą dłoń na serce i powiedział:

- McGillivray, Król Królów, wita wielkiego Szawaneza w stolicy potężnych Kriksów. Mój wigwam jest twoim wigwamem. Niech Tecumseh czuje się jak u siebie w Tippecanoe.

- Dziękuję za gościnę — powiedział Tecumseh z dumnie wzniesioną głową. — Rad jestem poznać Jaskinię Lwa bohaterskich braci Kriksów.

Obaj wodzowie, otoczeni wojownikami, uroczyście wjeżdżali do olbrzymiego miasta, rozłożonego po obu stronach rzeki. Kobiety wyglądały ciekawie z chat, a na Placu Rady tłum wojowników w odświętnych strojach oczekiwał gościa. Gdzieś w głębi Tukhabatchee odezwał się radosnym rytmem rytualny bęben; szamana. Tecumseh przejeżdżając przez szpaler kriksańskich wojowników w milczeniu pozdrawiał ich, wznosząc do góry rękę. Przed najokazalszą chatą zatrzymali się i zsiadli z mustangów. Końmi wodzów zaopiekowali się wojownicy. McGillivray wprowadził gościa do wnętrza swego wigwamu. Z wyszukaną! gościnnością oddał mu całą chatę do dyspozycji.

Tecumseh rozgościł się w obszernej, z indiańskim przepychem urządzonej chacie. Nikt tego dnia nie zakłócał mu już odpoczynku.

Przez parę następnych dni Tecumseh uczestniczył w wojennych popisach wojowników, podziwiał ich zęczość we władaniu bronią palną, której Kriksowie posiadali dość dużo, oceniał umiejętności w rzucaniu do celu tomahawkami, strzelaniu z łuku i obserwował akrobatyczne wyczyny jeździeckie. Prócz tego poznał szamanów i wodzów plemienia: Czarnego Niedźwiedzia — sędziwego, szamana, którego każde słowo ceniono wysoko; Wielkiego Wojownika — piastującego funkcję zastępcy naczelnego wodza; Menewę — młodego naczelnika kriksańskiego szczepu z nad rzeki Tallapoos, Williama McIntosha — Metysa, wsławionego licznymi zwycięstwami, i wielu innych.

Areszcie przyszedł decydujący dzień. Rytualny bęben szamana wezwał wodzów i wojowników na nadzwyczajne posiedzenie. Na największym placu, w sercu Tukhabatchee, zasiadła Najwyższa Rada Kriksów. Po wypaleniu tradycyjnego kalumetu Tecumseh wstał. Jego wysoka i szczupła sylwetka rysowała się wyraźnie w blaskach południowego słońca. Szawanez podniósł rękę, ogarnął bystrymi oczyma twarze wodzów i mocnym, dźwięcznym głosem zaczął mówić o potrzebie stworzenia jednego, wielkiego państwa czerwonej rasy, o wspólnej walce przeciw białym najeźdźcom, o krzywdach wyrządzanych przez osadników i żołnierzy Unii... Głos Tecumseha stawał się coraz mocniejszy. Mówił z przejęciem. Na policzki wypłynął mu rumieniec, oczy płonęły blaskiem dumy, pewności siebie i wiary w zwycięstwo połączonych sił czerwonoskórych plemion.

Naczelnicy i wojownicy Kriksów uważnie słuchali wywodów Tecumseha. Kiedy Szawanez skończył, McGillivray dał dłonią znak, że pragnie wysłuchać zdania wodzów. Pierwszy poderwał się Metys, McIntosh. Jego małe, niespokojne oczy przebiegały po twarzach wodzów, a mięśnie twarzy układały się w szydery wyraz.

— Nie dajcie się, bracia, omamić błyskotliwym słowom Tecumseha. Wódz Szawanezów pragnie wciągnąć nas w wojnę z Unią, bo Szawanezi nie są w stanie sami pokonać białych wojowników. A nam, wielkiemu narodowi Kriksów, ta wojenna konfederacja jest niepotrzebna. Do naszej krainy przyjeżdżają biali kupcy, przywożą cenne towary i broń. Kriksowie nie zaznali od białych żadnej niesprawiedliwości.

William McIntosh usiadł. Zjadliwy uśmiech czał się w kącikach warg, gdy oczy Tecumseha spotkały się z jego wzrokiem.

Następnie z kręgu siedzących powstał Wielki Wojownik. Mówił Wolno:

— McIntosh jest wielkim wodzem, nieustraszoną w bitwie Wojownikiem, ale jest jeszcze młody. Na północo-wschodzie, na ziemiach czerwonoskórych plemion, naszych pobratymców, powstało państwo białych nazwane Unią. Wojownicy tego państwa

Prą na zachód i południe, wypierają z odwiecznych siedzib naszych braci. Przyjdzie czas, że dotrą i do naszych ziem, a wtenczas spotkać nas może taki sam los jak wyciętych w pień Mohikanów. W słowach Tecumseha mieszka mądrość. Rozważmy bracia, sprawę przystąpienia do konfederacji.

Menewa znad Tallapoos poprosił o głos, powstał i zaczął mówić:

— Wielki wódz Szawanezów przepowiada wojnę dwóch narodów białych twarzy — Unii z Anglią. Jeżeli przepowiednia ta spełni się, powinniśmy najpierw z Anglikami uderzyć na Unię zniszczyć ją, przepędzić białych, a potem dopiero myśleć o pokonaniu Anglików. Dla Kriksów rozrastająca się Unia jest niebezpieczna. Wspólna walka czerwonych plemion może uchronić ziemie naszych ojców od zachłanności białych. Tecumseh ma rację.

Nie czekając na udzielenie głosu McIntosh zerwał się gwałtownie.

— Menewa nie ma racji! — krzyknął porywczo. — Spójrzcie, oto przykład: moja dłoń oznacza wojenną siłę Unii, a te pasemka pajęczych włókien unoszonych przez wiatr to siła czerwonoskórych. — Wszyscy spojrzeli na podniesioną rękę McIntosha i unoszący się w powietrzu biały kłębek babiego lata. Metys chwycił pajęcze nici i roztał je w dłoni. — Zobaczcie! — zawołał z triumfem. — Nic nie pozostało z pasemek pajęczyny a dłoń moja nie doznała rany. Pragniecie, o bracia, aby los Kriksów był podobny do tych białych nitki?

Mowa McIntosha poparta plastycznym przykładem musiała wyrzeć na słuchaczach głębokie wrażenie, bo krąg wodzów i szamanów milczał. Oczy wszystkich patrzyły na Króla Królów i Tecumseha. Oczekiwali na ich wystąpienia. McGillivray nie kwapił się jednak do zabrania głosu, natomiast wódz Szawanezów powstał. Był spokojny. Powiódł dumnym wzrokiem dookoła i zwrócił się do McIntosha:

— Mój brat jest przeciwnikiem wielkich planów Tecumseha. Wódz Szawanezów szanuje odwagę cudzych myśli nawet wtedy, gdy za słowami kryje się fałsz. Ojciec McIntosha był białym kupcem, dlatego młody wódz Kriksów pragnie zniweczyć plan konfederacji czerwonoskórych narodów. — Szawanez umilkł. Podszedł do McIntosha i z za pasa wyciągnął nóż. Ramiona Metysa okrywała kunsztownie haftowana opończa, obszyta wokół długimi rzemiennymi frędzlami. Tecumseh chwycił jeden sznureczek i odciął go od obrzeża opończy. — Ten rzemyk to czerwonoskórzy, a ręce McIntosha to armie białych twarzy. rozerwij swymi rękoma ten sznureczek — powiedział do McIntosha.

Metys z kpiącą miną ochotczo zerwał się z ziemi, ujął rzemyk w dwie ręce, pociągnął mocno i dwa kawałki uniósł do góry.

• Patrzcie, rzemyk pękł — zawołał. — Prawda jest przy mnie. Triumfujące oczy zwrócił na Skaczącą Pumę.

• Bracia, ten rzemyk to wojownicy jednego plemienia — mówił dalej nie zrażony tym Tecumseh. — Walecznych Kriksów czeka zagłada, gdy kiedyś przyjdzie im walczyć w osamotnieniu z potęgą białych. A teraz patrzcie! — W rękę Pumpy błysnęło ostrze noża. Z opończy Metysa znikło kilka rzemiennych frędzli. — A teraz spleć te sznureczki razem i przerwij je. Pokaż Najwyższej Radzie siłę twych rąk — polecił.

Metys nieufnie wziął pęk rzemyków. Jego małe oczy poczęły biegać niespokojnie. Natężył mięśnie ramion i z całych sił ciągnął, ale bez skutku. Spróbował jeszcze raz. Na próżno. Wściekłość wykrzywiła mu twarz, czoło pocięły zmarszczki. Następne próby też spełzyły na niczym. Z widoczną złością i wstydem rzucił rzemyki pod nogi Szawaneza i usiadł. Zrozumiał, że poniósł klęskę.

— Wszystkie te rzemienie to zjednoczone plemiona — powiedział Tecumseh. — Nikt nie potrafi zwyciężyć skonfederowanego państwa Indian. Czy moi bracia zrozumieli przykład i słowa wodza Szawanezów?

W kręgu siedzących rozległ się szmer. Pochyliły się głowy w geście uznania dla mądrości Tecumseha. Wówczas Skacząca <sup>D</sup>uma wrócił na swoje miejsce obok McGillivraya, podniósł z ziemi kilka tomahawków obwiązanych wampumem wojny i złożył je u stóp naczelnika Kriksów, mówiąc przy tym:

— Oto znak Związku Oporu. Przyjmij go, wielki wodzu Kriksów. Spokrewnieni z wami Seminole oraz Szoktawowie, Czikaiaowowie i Czirokezi przyłączyli się do wspólnego dzieła. Wy, bracia, jesteście ostatnim ogniwem potrzebnym do zamknięcia łańcucha skonfederowanych plemion.

McGillivray nie poruszył się. Nad Placem Rady zaległa chwila oczekiwania. Siedzącym wodzom i wojownikom zdawało się, że naczelnik Kriksów nie rozumiał Tecumseha albo że pragnie zlekceważyć jego słowa. Nikt jednak nie ośmielił się przerwać ciszy. Wreszcie McGillivray podniósł godło Związku

Oporu, zatoczył nim krąg nad głową i położył u swoich stóp. Powiedział bez przekonania:

— Król Królów przyjmuje ten znak wspólnoty indiańskich narodów. Hugh!

Tecumseh spojrział mu przenikliwie w oczy. Wyczytał w nich nieufność i powątpiewanie.

— Wielki wódz Kriksów przyjął godło Związku Oporu — powiedział Skacząca Puma — ale nie wyraził woli wspólnej walki. — Postąpił kilka kroków w głąb placu, wokół którego siedziała starszyzna. Ogarnął wszystkich swymi przenikliwymi żrenicami i podniesionym, pełnym godności głosem mówił: — Nie wierzycie w moje posłannictwo, wątpicie w zwycięstwo. Wśród walecznych wodzów i wojowników Kriksów jest wielu nieufnych Metysów i murzyńskich uciekinierów z niewoli białych. Znacie więc zachłanność i podłość bladych twarzy. Niedaleki jest czas, że wielkie łowiska naszych dziadów i ojców znowu będą ojczyzną czerwonych plemion. Odchodzę z Tukhabatchee, opuszczę was za chwilę i pośpieszę na północ, dokąd wzywa mnie głos Manitou. Gdy stanę w Detroit, o bracia Kriksowie, dam wam

znak: tupnę nogą i ziemia zadrży, i zadrżą wasze wigwamy od podstaw aż po dach. Wówczas uwierzycie i przybędziecie do stolicy zjednoczonych plemion — do Tippecanoe. Hugh!

Zdumienie ogarnęło starszyznę i wojowników. Z zabobonnym lękiem patrzyli na Szawaneza. Tylko William McIntosh i paru innych Metysów uśmiechało się cynicznie. Cóż bowiem znaczyły słowa: „Tupnę nogą i ziemia zadrży...? Czyż jest to możliwe?...”

Tecumseh położył prawą dłoń na piersi i pochylił głowę w geście pożegnania. Potem z dumnie podniesionym czołem opuścił Najwyższą Radę Starszych. Gonili za nim spojrzenia i milczenie wodzów. Nim szaman, Czarny Niedźwiedź, obwieścił zakończenie obrad, Tecumseh na rączym mustangu miał ostatnie wigwamy Tukhabatchee. Śpieszył do Tippecanoe.

Dzień 16 grudnia 1811 roku wstawał pochmurny i wietrzny. Niebo zaciągnięte zwałami ciężkich chmur wisiało nad Tukhabatchee. Porywisty wiatr wiał z północy, niosąc przenikliwe zimno. Wielkie miasto Kriksów — Jaskinia Lwa, budziło się z nocnego snu wtedy właśnie poruszona podziemnym wstrząsem ziemia zadrżało. Wzniesione z drewnianych żerdzi i wyplatane trzcina wigwamy Kriksów poczęły dygotać i z trzaskiem walić się na śpiących ludzi. Gdzieś z dalekich stoków Appalachów przypląnął długi, dudniący niby potworny turkot piorunów grzmot. Woda wystąpiła z koryta Ohoopee River, zalewając niżej położone tereny Tu i ówdzie z trzaskiem pękała ziemia, odsłaniając niebezpieczne rozpadliny<sup>3</sup>. Przerażeni Kriksowie w popłochu wydobywali się ze zwalonych domostw i uciekali na pobliskie wzgórze. Okrzyki „Tecumseh w Detroit!” rozlegały się wśród płaczu dzieci i zawodzenia kobiet.

W dwa dni później, gdy wstrząsy ucichły i niebo oczyściło się z ciężkich, ołowianych chmur, a Kriksowie opanowali swój lęk, wodzowie zebrali się na pośpieszną naradę. Wszyscy jedno-myślnie oddawali się pod rozkazy wielkiego sachema — Tecum-seha. Jeszcze tego samego dnia Menewa poprowadził do Tippecanoe siedmiuset świetnie uzbrojonych wojowników.

Obszerny gabinet gubernatora Indiany wypełniony był oficerami. Obok dowódców warowni Vincennes siedzieli tu z okolicznych fortów: porucznik Joe Carter z Blue Licks, major Tom Bedinger z Kentucky, pułkownik Clay Orval z dalekiego Dear-born, młody podporucznik Dan Ferg z Sandusky, zawzięty wróg Indian porucznik Harry Dikson z Detroit, doskonały strzelec major Bill Koller z Pitt i wielu innych. Wszyscy ściągnęli tu z oddziałami wojska. Vincennes roilo się od żołnierzy. Podobna sytuacja była w Detroit. W mniejszych warowniach wzmocniono także stany liczebne załogi i zaopatrzone w odpowiednie zapasy amunicji. Mieszkańcy pogranicza przeczuwali zbliżającą się wojnę. Harrison oparł obie ręce o masywny blat stołu. Mówił: — Tak oto wygląda sytuacja. Każdego dnia należy spodziewać się ataku armii angielskiej na nasze umocnienia graniczne. Instrukcje, które otrzymałem z kancelarii prezydenta Madisona, są ścisłe: wzmocnić czujność obronną na całym pograniczu i czekać na rozkazy. Informacja, którą tu panom przedstawia jest tajna, nie muszę o tym przypominać. Prezydent odrzucił propozycję Tecumseha dotyczącą zawarcia sojuszu wojennego Unii z indiańskim Związkiem Oporu. Waszyngton uważa, że w nadciągającej wojnie amerykańsko-angielskiej Indianie wprawdzie mogłyby poważnie pomóc, ale równocześnie mogą sprawić kłopoty, gdyż Tecumseh od początku tworzenia między plemiennego przymierza myśli o indiańskim państwie skonfederowanych szczepów. W tej

sytuacji prezydent Madison sugeruje skłócenie wodzów Związku Oporu i przeciągnięcie części plemion na stronę amerykańską. Takie rozwiązanie problemu pozwoli Unii uzyskać sprzymierzeńców, którzy część ciężaru wojny przyjmą na siebie, co zmniejszy liczbę ofiar naszej armii... — Harrison przerwał na chwilę i uśmiechnął się, zagadkowo patrząc na oficerów.

— Jeżeli nie uda się skłócić czerwonoskórych wodzów i Związek Oporu nie rozpadnie się, wówczas Tecumseh przejdzie z całą konfederacją na stronę Anglii, co poważnie wzmocni militarną siłę przeciwnika powiedział pułkownik Orval.

- Pod rozkazy Skaczącej Pумы oddały się podobno wszystkie plemiona — podjął kapitan Perry. — Indianie są świetnymi żołnierzami w leśnych bojach. Konfederacja Tecumseha jest nieźle uzbrojona w broń palną. W takiej sytuacji Związek Oporu jest poważnym niebezpieczeństwem dla Unii.

- Uwagi słuszne — rzekł generał Harrison. — Dlatego też znacznie wcześniej podjęte zostały odpowiednie kroki. Dzięki naszym czerwonoskórym szpiegom, a zwłaszcza dzięki Cichemu Wężowi, doskonale wiemy, co dzieje się w głównej kwaterze Tecumseha — w Tippecanoe. Nadszedł właśnie odpowiedni czas, aby pokrzyżować plany chytrego sachema Szawanezów. — Przerwał na chwilę, by jeszcze bardziej skupić uwagę słuchaczy: — Tecumseh bawi obecnie na Florydzie, wśród Seminolów i Kriksów, których werbuje do swojej konfederacji. Jego biały doradca. Ryszard Kos, został podstępem wywabiony z Tippecanoe i pewnie teraz przebywa gdzieś w puszczech nad Illinois. W wojennej kwaterze indiańskiego Związku Oporu pozostał tylko Elskwatawał szaman okrzyczany za cudotwórcę, a w rzeczywistości pijaczyno i tępak umysłowy.

Są tam jednak wybitni wodzowie plemienni, choćby Czarny jastrząb i Keokuk — wtrącił major Dawis.

— To prawda, ale oni podporządkowani są całkowicie woli Wielkiego Proroka, Elskwatawy — ciągnął Harrison. — Nasi ludzie kierowani przez Cichego Węża zadbali już o to, aby Elskwatawie nie zbywało na alkoholu. Tippecanoe obecnie wyludniło się poważnie, gdyż puszcze nad Wabash River wytrzebione zostały całkowicie ze zwierzyny, wojownicy wyruszyli aż za Ohio, do Kraju Zielonej Trzciny, na wielkie jesienne łowy. W Tippecanoe przebywa około tysiąca wojowników. Proszę przygotować armię złożoną z tysiąca żołnierzy. To wystarczy. I parę wozów z baryłkami wódki. Jutro wyruszymy.

Harrison usiadł. Oficerowie zaczęli zadawać pytania i rozważać przedsięwzięcie. Długo jeszcze radzili...

W parę dni później, 4 listopada 1811 roku, generał Harrison na otwartej prerii, w pobliżu Niezdobytego Miasta Wielkiego Ducha, rozbił obóz ze swoją armią.

Elskwatawa przespał noc nadzwyczaj dobrze. Sen miał twardy jak rzadko kiedy. Gdy otworzył oczy, jesienne słońce wdierało się do wnętrza jego szamańskiej chaty. Było już zupełnie widno. Podniósł się z niedźwiedzich skór i wtedy wzrok jego padł na stojącą na środku wigwamu beczułkę. Przetarł z niedowierzaniem powieki. Skąd wzięła się we wnętrzu chaty? Podeszedł do niej i począł oglądać, potem poruszył ją — we wnętrzu zachlupotał płyn. Elskwatawa sięgnął po nóż i wydłubał drewniany torek. Po wigwamie rozszedł się ostry zapach alkoholu. Oczy szamana zaślniły chciwością. Sięgnął po kubek i nachyliwszy aaryłkę napełnił go wódką. Chwilę trzymał naczynie niezdecydowany. Dawno już w ustach nie miał ognistej wody. Sam zresztą, zgodnie z decyzją Tecumseha, nie pozwalał wojownikom pić. Zazywanie ognistej wody białych twarzy Skacząca Puma wymierzał surowe kary. Wszyscy wiedzieli, że ten palący płyn niesie nieszczęście. Ale Tecumseha nie było w Tippecanoe. Nie mógł siedzieć, że Elskwatawa spróbował odrobinę ognistej wody. zresztą, nie kupił jej od białych. Sama znalazła się w jego wigwamie. Może to sam Ciuat-niszu przyniósł mu tę baryłkę, gdy nocą wiał nad Tippecanoe? A może Kanaha podrzucił ją Elskwatawie jako swemu szamanowi? Wszystko jedno, skąri przywędrowała. Była własnością Elskwatawy i nie mógł zmarrm wać jej zawartości. Podniósł kubek do ust. Jeszcze się wahał. W końcu jednak przechylił naczynie. Poczul palący strumień wlewający się do żołądka. Skrzywił się, obtarł rękawem wargi. Potem napełnił następny kubek i wychylił go do dna. Zajęty pić nie zauważył, że zasłona uchyliła się i do środka ostrożnie zajrzały bystre oczy Cichego Węża.

Słońce wskazywało już południe, gdy do wigwamu Elskwatawy weszło trzech wodzów sprzymierzonych plemion. Na ich twarzach odmalowało się głębokie zdumienie, bo zobaczyli Wielkiego Proroka popijającego wodę ognistą.

— Bracie Elskwatawo — zawołał Keokuk, wódz Lisów — ognista woda białych twarzy niesie zagładę i śmierć. Co czynisz?

Mętne oczy szamana nierozumnie patrzyły na wodzów. Siedział obok beczulki i dnem pustego kubka uderzał o kolano. Błogo się uśmiechał.

— Wojsko Długich Noży rozłożyło się obozem w pobliżu Tippecanoe. Ich naczelnicy zbliżają się do naszego miasta — powiedział Czarny Jastrząb, wódz Sauków. — Podejrzanie to wygląda. Słyszysz, Elskwatawo?

Szaman wzruszył ramionami. Przymglone alkoholem oczy skierował na baryłkę i zbliżył kubek do otworu. Chciał nachylić beczulkę, aby napęlić opróżnione naczynie, ale milczący dotychczas Lotny Płomień — jeden z naczelników Szawanezów znad Bobrowego Strumienia, przewrócił baryłkę do góry dnem. Pod beczką poczęła rozrastać się cuchnąca alkoholem kałuża. Elskwatawa usiłował powstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Był kompletnie pijany.

— Weźmy, bracia, szamana i wykąpnijmy go w strumieniu rzeki Keokuk. — Musi oprzytomnieć. Biali coś knują. Ta woda ognista w wigwamie Elskwatawy to ich dzieło.

Schwycili Elskwatawę pod ręce i powlekli go nad rzekę. Tym czasem Lotny Płomień pośpieszył zebrać Radę Starszych. Po chwili dowódcy czekali w wigwamie wodza na przybycie poselstwa białych. Czas był ku temu najwyższy. Generał Harrison w otoczeniu oficerów wkroczył do indiańskiego miasta. Za nimi toczyły się dwa załadowane wozy, szczelnie okryte szarym płótnem. Poselstwo prowadził przez osadę wysoki wojownik pakotów. Przed wigwamem naczelnego wodza zatrzymał się, wskazując wejście powiedział:

— Rada Starszych oczekuje wodza Długich Noży.

Harrison wszedł do chaty, za nim oficerowie. Zatrzymali się przy wejściu, uważnie zlustrowali siedzący krąg indiańskich naczelników. Major Dawis pochylił się do ucha generała i szepnął:

— Nie ma wśród nich Elskwatawy.

Z kręgu Indian podniósł się doświadczony życiem Skrzydlaty Cień, wódz Pottawatomich, gościnnym gestem wskazał wolne miejsca na wzorzystych derkach rozesłanych na ziemi i rzekł:

— Witamy wodzów białych braci w wigwamie Rady Starszych. Wielki to zaszczyt dla naczelników Związku Oporu gościć w Mieście Wielkiego Ducha tak znakomitych wojowników. Siadajcie. Uszy nasze otwarte są na wasze słowa. Hugh!

Harrison nie poruszył się.

- Wśród Rady Starszych brakuje największego wodza i proroka czerwonoskórych Elskwatawy. Dlatego nie mogę usiąść wśród was — powiedział.
- Elskwatawa przybędzie. Złe duchy nawiedziły jego ciało, dlatego nie może być w tej chwili z nami.
- Złe duchy nawiedziły Wielkiego Proroka? — drwiąco zawołał generał. — A może przestraszył się armii Długich Noży?

Słowa Harrisona Indianie odczuli jako obrazę. Wodzowie poruszyli się dotknięci. Skrzydlaty Cień podniesionym głosem zrobił uwagę:

— Biali bracia są gośćmi, nie wypada ubliżać gospodarzom. — Po chwili łagodniej dodał: — Rada Starszych jest uprawniona do podejmowania wszystkich decyzji. Niech biali bracia usiądą. Pragniemy ich wysłuchać.

— Nie! — surowo rzucił Harrison. — Jestem gubernatorem i generałem, mogę rozmawiać tylko z Tecumsehem albo z Elskwatawą, najwyższymi dowódcami Związku Oporu. Wiem, że Tecumseha nie ma, a Elskwatawę nawiedziły złe duchy, wobec tego opuszczamy wasze miasto.

Oficerowie poczęli wychodzić. Harrison zatrzymał się w drzwiach, uśmiechnął się niespodziewanie do wodzów i powiedział:

— Jako znak naszej przyjaźni zostawiam wam dary. Wozy i ich zawartość jest własnością czerwonych wojowników.

Gromada białych pośpiesznie opuszczała osadę. A tymczasem wojownicy i wodzowie podeszli do wozów, zerwali płócienną okrycia. Na obu wozach stały skrzynie z butelkami i małe drewniane baryłki z alkoholem. Oczy czerwonoskórych pożądliwie spoglądały na to płynne bogactwo, ale nikt nie ośmielił się sięgnąć po ognistą wodę białych twarzy.

- Wylejemy to świństwo do rzeki — powiedział Bystre Oko. Tak postąpiłby wielki sachem, Tecumseh.
- Słusznie! — rzucił jeden z wojowników Dakotów.

- Do wozów i nad rzekę!

Kilku Indian skoczyło na siedzenia i chwyciło lejce.

Wtem rozstały się szeregi i chwiejnym krokiem wkroczył na plac Elskwatawa. Z ubrania spływały strugi wody. Wojownicy z szacunkiem ustąpili mu miejsca. W ciszy czekali na decyzję Wielkiego Proroka. A Elskwatawa patrzył rozszerzonymi oczyma na pękate beczki. Potem wybuchnął radosnym śmiechem.

— Czarny Jastrząb krakał mi coś o bladych twarzach, a białych tu nie ma. Za to Kanaha przysłał Elskwatawie i jego wojownikom wodę życia. Ha! ha! ha!... — Sięgnął po butelkę, wyjął z niej korek i począł pić na oczach zgromadzonych.

To wystarczyło. Za przykładem Wielkiego Proroka poszli wojownicy i liczni wodzowie. Jedynie Keokuk, Czarny Jastrząb, Lotny Płomień, Skrzydlaty Cień i paru innych rozważniejszych wodzów podjęło próbę opanowania sytuacji. Dopiero pod wieczór, przy pomocy zdyscyplinowanych Dakotów, Sauków i Lisów udało się im zniszczyć część alkoholu. Przeszukiwali wigwamy i rozbijali znalezione baryłki i flaszki. W wielu miejscach dochodziło do starć i awantur. Niektórzy wojownicy, pijani do nieprzytomności, leżeli pod chatami lub w ich wnętrzu.

Czarny Jastrząb zebrał wodzów na pośpieszną naradę. Rozważywszy sytuację doszli do wniosku, że obozowi Indian grozi ze strony białych żołnierzy niebezpieczeństwo. Elskwatawa zupełnie nieprzytomny spał w swoim wigwamie. Część wojowników również z powodu opilstwa nie była zdolna do podjęcia walki.

Wieczór zaciągnął nad Tippecanoe swoje ciemne sieci. Nad bagnami zaczęła podnosić się mgła. Do wigwamu obradujących wodzów wpadł zziębnięty wojownik Osedzów.

— Długie Noże otaczają miasto — zameldował.

Keokuk powstał.

- Pójdę wzmocnić strażę i popatrzę dokoła — rzekł i wyszedł razem z wojownikiem Osedzów.
- Ciężką będziemy mieli przeprawę — powiedział Skrzydlaty Cień. — Najlepsi wojownicy wyruszyli na łowy do Kraju Zielonej Trzciny. Elskwatawa zламаł przysięgę i leży pijany. Tecumseha i Czerwonego Serca nie ma w Tippecanoe. Do walki jest zdolnych około ośmiuset wojowników, a białych przybyło ponad tysiąc. Proponuję wykorzystać noc i mgłę i opuścić miasto. Tecumseh zabronił podejmowania walki bez jego zgody. Rankiem Długie Noże prawdopodobnie zaatakują miasto, wówczas znajdą je puste.

- Mądra jest mowa Skrzydlatego Cienia — powiedział Czarny Jastrząb. Wojowników łatwo przeprowadzić przez bagniste trzęsawisko. Ale jak zabrać zgromadzoną broń — muskiety, kule, beczki z prochem... Nie damy rady przenieść całego magazynu przez bagna, a w ręce białych nie może się dostać.

- Weźmiemy tyle, ile uniosą nasze ramiona. Resztę wysadzimy w powietrze w momencie, gdy Długie Noże wtargną do Tippecanoe.

- Albo spróbujmy nocą ukryć broń wśród szuwarów.
- Może uda się podjąć rozmowy z bladymi twarzami — zaproponował sędziwy Biały Włos. — Może odejdą. Tecumseh powinien niedługo wrócić...

- Cokolwiek uczynimy, trzeba natychmiast wysłać gońców do Tecumseha i Czerwonego Serca.

Uzgodnili jeszcze szereg spraw. Podzielili pomiędzy siebie zadania i rozeszli się, by je wykonywać. Wzmocnione strażę czuwały wokół osady. Specjalne grupy wojowników wynosiły zmagazynowaną broń w głąb rozległego bagna. Wykorzystano do tego celu również dwa wozy ofiarowane przez białych, którymi podwożono broń na skraj trzęsawiska. W trudno dostępnym miejscu wyłożono długimi drągami rozmiękłą i wilgotną ziemię i na nich składano broń. Praca była ciężka. Wiele skrzyń ołowiu i beczek z prochem wpadło w lepką maź, wielu wojowników utonęło w bagnie. Nie mogli nawet wzywać pomocy, aby nie zdradzić całego przedsięwzięcia białym, czatującym gdzieś w mrokach nocy.

Minęła już północ, gdy magazyn został opróżniony. Wodzowa zaczęli przygotowywać pierwsze grupy wojowników do przejścia przez trzęsawisko. Miasto Wielkiego Ducha od północnego zachodu szerokim łukiem sięgało swymi zabudowaniami po same mokradła. Indianie z dwóch stron rozstawili gęstą sieć straży co uniemożliwiało białym żołnierzom zamknięcie pierścienia wokół osady. Czynione przez Harrisona próby wejście na bagnisko kończyły się niepowodzeniem. Uznano więc, że tędy czerwonoskórzy nie przejdą. Tymczasem pierwsze grupy wojowników zachowując całkowitą ciszę, prowadzone przez Miamisów i Wyaridotów, którzy doskonale znali tutejsze przejścia wśród bagnistych



rozlewisk, ruszyły w głąb trzęsawiska. Wodzowie co pewien czas dawali znak odmarszu następnej grupie.

Zbliżał się świt. Niebo zaczęło jaśnieć, ale mgła nie ustępowała, zakrywając nie tylko Tippecanoe, ale nawet strzeliste drzewa kniei ciągnącej się na wschodzie i południu. Nagle rozległ się rytmiczny, monotony stuk szamańskiego bębna. Brzmiał twardo, odważnie. Wojownicy zatrzymali się na skraju bagna. Do tego momentu opuściło Tippecanoe około trzystu, a może nieco więcej czerwonoskórych. Zaskoczeni słuchali teraz w milczeniu mowy bębna. Rozumieli ten rytm. To Elskwatawa wzywał wojowników do broni. Posłuszni Wielkiemu Prorokowi zawrócili. Na pagórku, gdzie zawsze odprawiał swoje szamańskie obrzędy, Elskwatawa stał wyprostowany i pałeczkami uderzał w rytualny bęben. Niebo jaśniało, mgła rzedła. Podbiegł do niego sędziwy szaman Biały Włos.

— Bracie, zaniechaj. Walka przyniesie klęskę Związkowi Oporu. Uchodźmy przez bagno. Taka jest wola Rady Starszych — zawołał.

Elskwatawa spojrzął na siwe włosy szamana zlewające się z mleczną mgłą. Nie przerywając dudnienia szorstko krzyknął:

— Precz! — Przyśpieszył rytm. Pałeczki gwałtownie uderzyły w bęben i nagle ucichły. — Mężni wojownicy Związku Oporu — zabrzmiał donośny głos. — Nabashcisa pokazał mi przyszłość: widzę śmierć bladych twarzy, widzę zwycięstwo czerwonych^ plemion! — Pochylił się nad żarem wygasającego ogniska, położył na węgle jakieś przedmioty, które kiedyś kupił u handlarza w Quebec, i znowu zawołał uroczystym, przejmującym głosem: — Elskwatawa jest z wami, waleczni wojownicy Manitou. Długie Noże czają się we mgle poranku. Jeśli zaczną walkę, zginą, bo tak jest wola Wielkiego Ducha!

W ognisku rozległ się trzask. W przepojone mgłą powietrze z sykiem strzeliły kolorowe ognie raket, poszybowały ogniste kule, rozsypały się smugi złotych iskier... Tłum wojowników i wodzów runął w zabobnym lęku na ziemię. Elskwatawa odzyskał zachwiane zaufanie i moc wielkiego szamana. Chwycił do rąk pałeczki i uderzył w bęben. Wojownicy z pokorą podnosili się z wilgotnej murawy pagórka. Kaskada barwnych ogni zgasła w mlecznej przestrzeni. W głąb serca wdzierało się podniecające, miarowe dudnienie.

Wtem zabrzmiał srebrzysty, dźwięczny głos wojskowej trąbki, wzywającej żołnierzy do boju. Gdyby któryś z wodzów konfederacji był w tym czasie obok szamana, mógłby zauważyć, jak zadrżała jego ręce i pobladła twarz. Opanował się szybko i ze zdwojoną siłą uderzył w bęben. Dalekim echem wokół Tippecanoe rozległy się wystrzały. To armia Harrisona rozpoczęła szturm. Wojownicy zgromadzeni wokoło pagórka, na którym Elskwatawa odprawiał swe szamańskie obrzędy, chwycili broń i wyszli na przeciw napastnikom.

Przez szarą oponę chmur przeświecała czerwona zorza świtu. Mgła rzedła. Cienie nocy czaiły się jeszcze za ścianami wigwamów i w nierównościach terenu. Zaczął padać drobniutki deszcz. Dzień 5 listopada 1811 roku rozpoczął się mżawką, hukiem wystrzałów i bitewną wrzawą.

Amerykańska piechota parła ze wszystkich stron na Miasto Wielkiego Ducha. Pod osłoną mgły żołnierze weszli pomiędzy pierwsze zabudowania. Tu nagle zagroziły im drogę szeregi zbrojnych Indian. Huknęły wystrzały. W niebo uderzył wojenny krzyk czerwonoskórych. Długie szable skrzyżowały się z tomahawkami. Rozpoczął się zacięty bój. Na tyłach walczących, w głębi, indiańskiej osady, zatrzeszczały kościane grzechotki z jelenich kopyt, zagwizdały piszczałki zagrzewające wojowników do walki. Długie bojowe okrzyki rozdzierały powietrze. Jęczeli ranni i pierwsi konający.

Major Dawis ze swym pułkiem daremnie usiłował wedrzeć się do osady od północy. Każdy atak Indianie skutecznie odpierali, nie ustępując ani na krok. Na południowym odcinku nie lepiej wiodło się kapitanowi Perry'emu. Od wschodu atakował porucznik Harry Dikson. Miał przed sobą bitnych Dakotów i Paw-nisów. Po godzinnym obronnym boju Indianie przeszli do kontrataku, przełamali zwarte szeregi amerykańskiej piechoty. Żołnierze puścili się do ucieczki. Wojownicy prowadzeni przez bystrego wodza Białego Mustanga rzucili się w pościg. Na karki w popłochu uchodzących żołnierzy spadały tomahawki. Drogę swej ucieczki znaczyli licznymi ciałami poległych. W odpowiedniej odległości wódz Dakotów zatrzymał ścigających, zawrócił, i zajął obronne stanowiska na skraju miasta.

Tymczasem od zachodu, na odcinku ciągnącym się od bagiennych rozlewisk do stanowisk dowodzonych przez majora Dawisa, natarcie prowadził Tom Bedinger z pułkiem strzelców z Kentucky. Byli to zahartowani w bojach żołnierze. Z niezwykłą zawziętością parli naprzód. Krok po kroku wdzierał się, w głąb indiańskiej osady. Obroną dowodził tutaj Skrzydlaty Cień — wódz Pottawatomich. Indianie

walczyli bohatersko. Zrywali się *co* chwila do przeciwnatarcia, ginęli pod gradem kul i ciosami szabel. Żołnierze bardzo powoli, ale systematycznie wbijali się jednakże klinem w obronną linię czerwónoskórych. Skrzydlaty Cień zdawał, sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji. Wdarcie się białych do osady oznaczało klęskę. Dlatego w odpowiedniej chwili, gdy żołnierze oddali salwę z muskietów, poderwał swych wojowników do ataku. Z wojennym okrzykiem rzucili się Indianie za swym wodzem. Starli się w walce wręcz. Szczęknęła stal. Tu i tam walczący chwycili się za ramiona.

Przed Skrzydlatym Cieniem wyrósł wysoki żołnierz. W mgłę mignęła niewyraźna smuga błyszczącej szabli. Wódz instynktownie odparował cios tomahawkiem. Ostrze szabli trafiło jednak w drewniany trzonek wojennego topora, drewno pękło i stalowe ostrze siekiery odpadło. Wódz sięgnął do pasa po nóż. W tym momencie szabla cięła go w lewą stronę szyi. Zachwiał się i padł na skrawioną ziemię. Sylwetka białego zwycięzcy zwróciła się przeciw innemu wojownikowi. Wódz Pottawatomich czuł, że gwałtownie traci siły, ostatnią wolą walki podniósł do góry wydobyty zza pasa nóż i cisnął go w plecy białego żołnierza. Ostrze wbiło się po rękojeść między łopatki. Wysoka postać zatoczyła się i padła w pobliżu umierającego wodza.

Wojownicy Pottawatomich zauważyli nagle, że wśród walczących nie ma naczelnika. Opór ich osłabł. Wreszcie nie wytrzymując przewagi białych poczęli uchodzić w głąb Tippecanoe Major Bedinger triumfował. Za uciekającymi wysłał część żołnierzy, pozostałymi obsadził zdobyty teren. Pchnął gońca dc generała Harrisona z meldunkiem, że przełamał linię obrony przeciwnika i wkroczył do miasta.

Pottawatomi wycofywali się wolno, z za chat gęsto ostrzeliwując nacierających. Strzelcy z Kentucky z trudem wdzierali się do osady. Mieli sporo zabitych i rannych. Dlatego świeże posiłki powitali gromkimi okrzykami. To generał Harrison, zawiadomiony o przełamaniu obrony Indian, rzucił dwustu żołnierzy czekających w odwodzie. Bedinger stanął na ich czele i jak burza ruszyli do ataku.

Czarny Jastrząb, wódz Sauków, na koniu obiegał wokół pozycje walczących. Zauważył nagle w samym środku Wielkiego Miasta nacierających białych i wycofujących się Indian. Zawrócił. Galopem dopadł odpoczywających Dakotów i Pawnisów, których nie atakowano po zadanej wojsku porażce. Zabrawł stu wojowników, pośpiesznie dotarli nad źródła Tippecanoe, gdzie na łące pasły się konie, dosiedli mustangów i wyciągniętym galopem zdążyli na pomoc Pottawatomim.

Szerokim łukiem runęli na białych. Z grzbietów koni łatwiej było atakować żołnierzy uzbrojonych w długie ostrza szabel. Tomahawki zbierały krwawe żniwo. Amerykanie nie wytrzymali uderzenia, poczęli się wycofywać. W bitewnym tłoku i wrzawie Czarny Jastrząb dostrzegł oficerskie szlify majora Toma Bedingera, który z szablą w ręku walczył jak szatan. Wódz przebiegał się wolno przez walczących. Nie mógł jednak dotrzeć do białego dowódcy, którego osłaniali żołnierze. Wyczekał więc na odpowiedni moment i cisnął topór wojenny. Zafurkotał w powietrzu tomahawk i ostrze jego trzasnęło w głowę majora. Bedinger rozkrzyżował ramiona i padł w cizbę. Żołnierze, pozbawieni dowódcy, walczyli coraz słabiej, aż wreszcie rzucili się do ucieczki. Indianie opanowali utracony teren i zajęli obronne stanowiska wokół miasta. Ataki Amerykanów słabły, wygasła palba wystrzałów, w końcu sygnał trąbki odwołał szturm. Wojsko wycofało się na odległość strzału i zapadło na odpoczynek wokół Tippecanoe.

Był schyłek dnia. W całodziennym boju zjednoczone indiańskie plemiona wykazały wysoką sprawność bojową i niezwykłą dyscyplinę. W Tippecanoe nie było naczelnego wodza, który by ujął w swoje ręce dowództwo nad całością. Każdy plemienny wódz prowadził bój na własną rękę. Elskwatawa, zamiast zająć się obroną Miasta Wielkiego Ducha, odprawiał na pagórku szamańskie obrzędy i dudnieniem bębna dodawał wojownikom odwagi. Brakło w Tippecanoe Tecumseha, który w tym czasie wracał na rodzinną ziemię z dalekiej Florydy.

Wojownicy zbierali ciała poległych obrońców miasta, szamani opatrywali rannych, a wodzowie zwołali wojenną radę. Znowu zastanawiano się nad nocnym opuszczeniem osady przez bagna. Elskwatawa jednak sprzeciwił się tej propozycji. W końcu doszli do wniosku, że na ucieczkę będą mieli jeszcze czas. Ostatecznie armia Unii w ciągu całodziennego szturm nie zdołała zdobyć miasta. Rezygnacja z dalszej walki oznaczałaby zwycięstwo białych. Postanowiono więc bronić miasta do upadłego. Czarhy Jastrząb zaproponował, aby zgodnie z wojenną nauką Czerwonego Serca nocą zbudować wokół osady obronny rów dla indiańskich strzelców, osłonięty od przodu skarżą ziemi.

Tymczasem w obozie amerykańskiej armii generał Harrison słuchał z ponurą twarzą meldunków

oficerów o poniesionych stratach. Krople deszczu uderzały o rozpięte płótno wojskowego namiotu. Deszcz siąpił cały dzień, toteż wcześniej nadciągnął listopadowy zmierzch.

— Major Tom Bedinger nie żyje — podliczał gubernator. — Polegli także sierżant Dalzel, kapitan Burms i osiemnastu żołnierzy. Trzydziestu ośmiu nie nadaje się do walki z powodu od<sup>^</sup> niesionych ran. Jak na jeden dzień boju — straty są zbyt duże, zwłaszcza że nie osiągnęliśmy nic.

Zebrani poczęli zastanawiać się nad ostatecznym rozegraniem bitwy w następnym dniu i układać nowy plan szturm.

W Tippecanoe noc minęła na ciężkiej pracy. Nikt nie odpoczywał. Wokół miasta zbudowano rów strzelecki, przygotowano odpowiedni zapas amunicji.

Nad ranem deszcz przestał padać. Dzień jednak wstawał zasnuty chmurami. Na obu pozycjach strzelby milczały. Była to jednak cisza złowroga, niepokojąca. Na niebie zataczało szerokie kręgi stado sępów wietrzących żer.

Dopiero koło południa rozległ się bojowy sygnał wojskowej trąbki. Ze wszystkich stron równocześnie wyciągniętym galopem ruszyła amerykańska konnica. Indianie ze strzeleckiego rowu wychylili lufy muszkietów i sztucerów. Tu i tam trafieni żołnierze runęli z siodeł. Gdzieniedzie przeraźliwie rżąc tarzały się ranne konie. Ręce wojowników sięgnęły po zapasowe strzelby, znowu trzasnęły wybuchy wystrzałów. W tym czasie inni nabijali wystrzeloną broń. I po raz trzeci wypaliły indiańskie muszkiety. Przerzedzone szeregi jeźdźców parły jednak naprzód. Część wojowników chwyciła łuki. Zabrzęczały cięciwy, gwizdnęły groty strzał. Jakiś rosy kawalerzysta trafiony w gardło pochylił się do tyłu i spadł pod kopyta nadbiegającego jeźdźcy. Amerykanie dopadali już indiańskiej linii obrony. Znowu zagrzecotała salwa. Szeregi jeźdźców zachwiały się, załamały i zawróciły. Za nimi goniły kule i upierzone strzały. Powietrze rozdarł bojowy krzyk zwycięskich Indian.

Jeszcze raz tego dnia Amerykanie podjęli szturm i jeszcze raz zostali odparci. Harrison piecił się ze złości w swym namiocie. Dopiero teraz w pełni zrozumiał wielkość dzieła Tecumseha. W indiańskiej osadzie nie było wszystkich wojowników, znaczna ich liczba wyruszyła na jesienne łowy. Nie było przede wszystkim wodza — Pumpy Gotowej do Skoku. A mimo to czerwono-skorzy prowadzili skuteczną obronę miasta. Stosowali nawet taktykę regularnej armii białych. Któż bowiem widział, aby Indianie budowali strzeleckie rowy?

Również trzeci dzień nie przyniósł białym sukcesów. Wprawdzie konny oddział wdarł się od północy do osady, ale po godzinnej krwawej walce wręcz został wyparty, pozostawiając licznych zabitych i rannych.

Indianie triumfowali. Elskwatawa na pagórku odprawiał swoje modły. Wraz z dwoma młodymi szamanami tłukł na zmianę w bęben, dodając w ten sposób otuchy i odwagi walczącym wojownikom.

Noc z 7 na 8 listopada była cicha i ciepła, choć wskutek dużego zachmurzenia zupełnie ciemna. W obozie Harrisona rozstawiono strażę. Wojsko zmęczone trzydniową bitwą legło na spoczynek.

Było już daleko po północy, gdy na prerii ciągnącej się od Kankakee River odezwał się krzyk dzikiej gęsi, gdzieś niedaleko zawtórował mu drugi, trzeci i czwarty. Wartownicy wyteżyli słuch. Cisza. Jedynie denerwujący rytm bębna wwiercał się niepokojem w mózg i drażył ciszę nocy.

Stało się to nagle. Tuż przed uspiętym obozem amerykańskiej armii ciszę rozdarł długi, zwielokrotniony echem wojenny krzyk czerwonoskórych. Około dwustu wojowników runęło na obozowisko żołnierzy. Noc rozświetliły błyski wystrzałów. Trzaskały o czaszki tomahawki. Powstało potworne zamieszanie. Początkowo strach sparaliżował zaskoczonych Amerykanów, potem rozpacz i gniew pomnożyły ich siły. Pierś zwierzała się z piersią. Łomotały kolby muszkietów, dzwoniła stal, rżęzili konający, rżały przerażone konie, w niebo uderzała potężna wrzawa walczących ludzi. W bitewny zgłęb wdarły się niespodziewane dźwięki jelenich grzechotek. Indianie na ten sygnał błyskawicznie wycofali się i znikli w ciemnościach pochmurnej nocy.

Długo Amerykanie nie mogli odzyskać spokoju. Nocny atak Indian wyprowadził Harrisona z równowagi. Znowu poległo kilkunastu żołnierzy. Ubezpieczył gęstą siecią strażę obóz i wezwał oficerów na wojenną naradę.

Dzień 8 listopada minął spokojnie. Amerykanie odpoczywali przed nowym szturmem. Indianie w Niezdobytym Mieście Wielkiego Ducha także krzepili swe siły ludząc się nadzieją, że może biali po dotychczasowych niepowodzeniach zrezygnują z dalszej walki.

Pod wieczór, gdy poczynały gasnąć krwawe blaski zachodu, Harrison przegrupował żołnierzy na pozycjach okrążających indiańską osadę. Zostawił tu niewielkie liczebnie oddziały wojska, natomiast

około sześciuset jeźdźców zgromadził na południu w uroczej dolinie. Wysokie zbocze wzniesienia zasłaniało amerykańską konnicę przed bystrymi oczyma Indian.

Noc nadciągnęła pogodna, gwiazdzista. Od bagnistych rozlewisk rzeki Tippecanoe szedł chłód. Na całej długości obłętniejszej linii wybuchała co chwila strzelanina. Kulesze świstem darły powietrze, szeleściły w ścianach trzcinowych wigwamów, uderzały w ziemię, stukały w pnie rzadko tu rosnących drzew i w belki chat. Nie czyniły szkód. Indianie ze strzeleckiego rowu odpowiadali wystrzałami i wojennymi okrzykami. Potem zapadała na krótko cisza i znów huk rozdzierał mrok. Taka nękająca obie strony kanonada trwała całą noc. Jedynie konnica w dolince, zabezpieczona od kuł, odpoczywała do samego świtu.

Ranek 9 listopada budził się w podmuchach północnego wiatru. Kolorowe liście drzew opadały w tanecznym korowodzie na ziemię. Zamglone słońce wychyliło rąbek swej czerwonozłotej tarczy nad pasmo dalekich borów. Wzdłuż koryta Tippecanoe River i nad bagnami unosiły się opary.

Bez bojowego sygnału trąbki ruszyła amerykańska piechota do szturmów ze wszystkich stron jednocześnie. Zahuczały strzelby. Ludzki krzyk uderzył w niebo. Żołnierze dopadli indiańskich okopów. Zabłyły bagnety, zamigotały ostrza szabel i wojennych toporów. Tu i tam trzaskały wybuchy wystrzałów. Padali ranni... Bitewna wrzawa ogarnęła Miasto Wielkiego Ducha i pochwycona przez wiatr niosła się w głąb rozległej puszczy.

Żołnierze, liczebnie słabsi, zaczęli stopniowo wycofywać się, znacząc swój odwrót zwłokami poległych. Wtedy na południowe wzniesienie wjechała konnica. Szybko uformowała bojowy szyk. Generał William Harrison na czele jazdy podniósł do góry szablę.

— Naprzód! — krzyknął.

Wyciągniętym galopem runęli jeźdźcy na indiańskie pozycje. Dopadali już obronnej linii, gdy grad kul uderzył w ludzi i konie. Nikt nie zwracał uwagi na trafionych współtowarzyszy. Wpadli jak huragan pomiędzy szeregi czerwonoskórych. Zakotłowało się. Dźwięczała stal. Trzaskały wystrzały. Uderzały tomahawki. Indianie walczyli z niezwykłą odwagą i poświęceniem. Nawet ranni nie wypuszczali broni z rąk.

Nagle obronna linia czerwonoskórych pękła pod naporem przeważających na tym odcinku sił białych. Konnica wpadła w głąb Miasta Wielkiego Ducha.

Czarny Jastrząb i Keokuk z gromadą wojowników na mustangach zagrodzili jej drogę. Rozpoczął się krwawy, bezlitosny bój. Ogarnął on przestrzeń całego miasta. Obronna linia Indian wyznaczona strzeleckim rowem przestała istnieć. Piechota weszła na teren Tippecanoe. Bój stawał się coraz bardziej chaotyczny. Czarny Jastrząb, wódz Sauków, chwycił muszkiet za lufę i bił kolbą jak maczugą. Wyglądał strasznie. Szeroko rozwarte, czujne jego oczy łowiły każdy ruch przeciwnika. Osmolona dymem wystrzałów twarz wyrażała upór i okrucieństwo. Kolba z furkotem przecinała powietrze. Głuche stuknięcie i amerykański żołnierz walił się z konia jak bezwładna kukła.

Nie słychać wystrzałów. Wszędzie toczy się zacięty bój wręcz. Połyskują w porannym słońcu tomahawki, długie żołnierskie szable i krótkie myśliwskie noże Indian. W kłębowisku walczących trudno czasami odróżnić czerwonoskórych od białych. Tu i tam spleceni śmiertelnym uściskiem taczają się po ziemi walczący. W niebo bije olbrzymi bitewny zgiełk.

Gromady Indian krok za krokiem spychane są w stronę bagna. Generał Harrison na gniadym koniu uwija się w najgorętszej ciżbie walczących. Mimo to panuje nad sytuacją, kieruje bitwą. Krew obficie zlewa ziemię. Gęsto padają bohaterscy wojownicy Pawnisów z prerii Nebraski, Czirokezów z południowego biegu Missisipi, Osedzów z północy, Miamisów i Wyandotów z okolicznych puszczy, Dakotów zza Missouri, Sauków i Lisów, Siwaszów i Sampiczów, Szawanezów i Delawarów...

Indianie walczą już na skraju bagna. Czarny Jastrząb usiłuje w bitewnym zgiełku wydawać rozkazy. Rozumie, że tylko zorganizowana ucieczka przez bagienne rozlewiska może ocalić część ludzi. Ale przeprawa przez mokradła pod ostrzałem równałaby się samobójstwu. Wiemy jego towarzyszy i przyjaciela, wódz Lisów — Keokuk, zorientował się, o co chodzi Jastrzębowi. Obaj więc z trudem uformowali dość liczny oddział wojowników, który szerokim łukiem zagroził dojście do bagien w miejscu, gdzie rozpoczynały się znane czerwonoskórym przejścia. Czas był najwyższy, by podjąć tę decyzję. Amerykanie poczęli zacieśniać pierścień wokół cofających się Indian.

Pierwsze niewielkie grupy wojowników wkroczyły na bagna. Skacząc z kępy na kępę oddalali się, aż znikli w wysokich trzcinach i szuwarach. Znowu ruszyła następna grupa. Jakiś wojownik źle wymierzył skok i wpadł w gęstą, bagienną maź. Wolno tonął, wciągany w głąb przepastnego błota. Na ratunek nie

było czasu. Na skraju mokradel toczył się krwawy bój osłaniający przeprawę. Miasto Wielkiego Ducha było stracone. Bitwa dobiegała końca. W tej chwili uratowanie choćby części armii Tecumseha miało dla konfederacji duże znaczenie. Dlatego bystry i niezwykle rozumny Czarny Jastrząb pozostawił Keokukowi organizowanie przeprawy przez bagna, a sam kierował walką. Ostatnim wysiłkiem bronili bagiennego przyczółka. Mdląły wojownikom ręce. Cios spadał za ciosem, padali żołnierze. Rażeni szablami i bagnietami ginęli czerwonoskórzy.

Dochodziło południe. Z północy dął chłodny wiatr. Harrison na koniu zbliżył się w bitewnym tłumie do Czarnego Jastrzębia. Wódz Sauków poznał gubernatora. Kiedyś wraz z Tecumsehem i wodzami złożył mu wizytę w Vincennes. Zakrwawiona szabla generała podniosła się do ciosu. Jastrząb błyskawicznie przywarł do szyi mustanga. Stalowe ostrze mignęło tuż nad Saukiem. Wówczas wódz wyprostował się i ciał tomahawkiem, mierząc w głowę Harrisona. Generał odchylił się na bok. Cios nieco chybił i ostrze trzasnęło w prawe ramię gubernatora. Harrison osunął się na kark konia, szabla wypadła mu z dłoni.

Wódz Sauków odwrócił się nagle, odparowując tomahawkiem uderzenie szabli. To major Dawis pośpieszył na ratunek gubernatorowi. Ostrze znowu zabłysło w słońcu. Czarny Jastrząb zorientował się, że jest sam. Obrona zasłaniająca przeprawę została rozbita. Z paru stron zbliżali się ku niemu żołnierze. Jednym ruchem lewej ręki wyszarpnął zza pasa nóż i cisnął go w Dawisa. Stalowa klinga wbiła się po rękojęść w lewą pierś majora. Podniesiona do góry ręka z szablą wymierzona do ciosu zwiotczała, opadła w dół. Major pochylił się wolno do przodu i bezwładnie runął z siodła.

Wódz Sauków spiął konia, trzasnął tomahawkiem nadbiegającego żołnierza i znalazł się tuż przed bagnistą topielą. Zatknął tomahawk za pas i chwycił strzelbę. Zeskoczył z mustanga prosto na kępę bagienną roślinności. Pod jego ciężarem ugięła się i poczęła powoli zanurzać się w błoto. Jastrząb poderwał więc błyskawicznie ciało do drugiego skoku. Następną była mocniejsza. Znowu skok i znowu. Widział wojowników, podobnie jak on szukających ratunku na zdrażliwych mokradłach. Na, brzegu w rozpaczliwej walce ginęli, ostatni Indianie. Za uciekającymi huknęły wystrzały. Kule ciężkie z gwizdem powietrze i szeleściły w bagiennych szuwarach. Tu i tam trafiony Indianin walił się w błotniste rozlewisko.

Czarny Jastrząb dopadł skraju wysokich trzcin. Na dość mocnej i sporej kępie kucnął na chwilę. Załadował strzelbę i rozchylił szuwały. Wycelował. Huknął strzał. Jakiś oficer mierzący do uchodzącego wojownika rozkrzyżował ramiona i padł twarzą na ziemię. Po chwili następny błysk wystrzału. Znowu trafiony kulą Sauka Amerykanin wypuścił z rąk sztucer, chwycił się za brzuch i usiadł. Gdzieś w bagiennych szuwarach poczęły odzywać się pojedyncze wystrzały. To czerwonoskórzy wojownicy za przykładem Czarnego Jastrzębia usiłowali ułatwić swym współtowarzyszom ucieczkę.

Trąbka wezwała żołnierzy. Strzelanina nagle zgasła. Dziwnie szumiał w uszach ostry wiatr, dziwnie szeleściły trzciny i huczała niedaleka puszcza. Harrison ranny w ramię stał na pagórku, na którym Elskwatawa zwykle odprawiał szamańskie obrzędy, i patrzył na krwawe zwycięstwo. Wszędzie leżały zwłoki poległych.

W uszach przyzwyczajonych już do bitewnego zgiełku cisza wydała się czymś denerwującym i niesamowitym. Śmierć nie zakończyła jeszcze swego żniwa. Gdy major Bill Koller służbis-cie spytał generała, co robić z rannymi Indianami, Harrison zwrócił na niego oczy i przez chwilę milczał, ważąc coś w myślach, a potem rzucił szorstko:

— Dobić!

Stojący obok pułkownik Clay Orval zaskoczony taką decyzją zareagował:

- Panie generale, to ranni ludzie...
- Powiedziałem! — Gubernator ruchem lewej ręki nakazał milczenie. — Proszę zabrać rannych i poległych żołnierzy. Wszystkie zabudowania podpalić.

— Tak jest! — Bill Koller oddalił się ociężałym krokiem.

W kilka chwil później wśród wigwamów opustoszałego Miasta Wielkiego Ducha rozlegały się wystrzały. Potem płomienie ogarnęły zabudowania. Gdy armia Harrisona opuszczała miejsce bitwy, miasto trawił potężny pożar.

Harrison wracał do Vincennes przygnębiony. Osiągnął cel: zwyciężył Indian u źródeł rzeki Tippecanoe, zniszczył wojenną stolicę indiańskiej konfederacji, prawdopodobnie zniechęcił licznych wodzów do Tecumseha i Elskwatawy, po klęsce wiele plemion powinno odpaść ze Związku Oporu, a o to głównie chodziło... Mimo to cień niezadowolenia okrywał twarz generała. Pozostawił przecież w

zbiorowej mogile nie opodal Tippecanoe sześćdziesięciu zabitych, wioził ponad stu czterdziestu rannych. Stracił ośmiu oficerów, w tym zasłużonego dla Vincennes majora Dawisa. Bolesnie dokuczalo mu poza tym zranione tomahawkiem ramię...

Ryszard Kos stal na łagodnym wzniesieniu otoczony kilkunastoosobową gromadą Indian, których spotkał w puszczy śpiesząc do Tippecanoe, i patrzył na dopalające się Miasto Wielkiego Ducha. Był dzień 10 listopada. Niebem płynęły postrzępione jesienne chmury. Słońce niechętnie wyglądało spoza ciemnosiwych obłoków. W powietrzu unosiły się spragnione żeru stada długoskrzydłych sępów. Ziemia wokół, dopalających się chat pokryta była nie pogrzebanymi ciałami czerwonoskórych bohaterów. Nad szczątkami stolicy indiańskiej konfederacji unosił się tuman gryzącego dymu.

— Straszne... — szepnął Kos. Coś bolesnego ścisnęło go za gardło. Odwrócił oczy od niesamowitego pobojuwiska. — Musimy pogrzebać zmarłych — powiedział po chwili do współtowarzyszy, — A kilku z was niech wyruszy w puszcze i zwołuje rozproszonych po bitwie wojowników.

W milczeniu skinęli głowami na znak aprobaty. Czterech zaszyło się w knieję, pozostali zajęli się pogrzebem. Na małowicznym pagórku, z którego Harrison prowadził amerykańską jazdę do ataku, wykopano zbiorową mogiłę. W nią złożono ciała około trzystu indiańskich patriotów. Ciężka i smutna była to praca. Dopiero późnym wieczorem z dala od dopalających się zgliszcz, pod kępą rozłożystych buków, rozbili obóz, ustalili kolejność straży i udali się na spoczynek. Kos nie mógł spać. Tragedia Miasta Wielkiego Ducha drażyła jego serce głębokim smutkiem. Cóż mógł jednak uczynić?... Postanowił zgromadzić rozproszonych Indian i czekać na powrót Tecumseha.

Następnego dnia na dopalające się zgliszcz wracać poczęły pierwsze oddziały wojowników. Pojawił się Czarny Jastrząb. Przywiódł pięćdziesięciu Sauków i Lisów, za nim przybył ranny w głowę Lotny Płomień z kilkoma Szawanezami, potem waleczny wódz Dakotów — Biały Mustang, następnie przychodzili pojedynczy wojownicy... U schyłku dnia z garstką Lisów dotarł Keokuk. Był posępny jak burzliwa noc. Usiadł w głębokim milczeniu przy obozowym ognisku, nie pozdrowił nikogo. Siedział zasępiony. Coś rozważał w zadumie.

Późną nocą przywlokł się na chwiejnych nogach Elskwatawa. Z myśliwskiej torby wyglądały szyjki butelek. Towarzyszył mu

Cichy Wąż — wojownik z plemienia Wyandotów. Obaj byli pod wpływem spożytego alkoholu. Szaman zwał się pod pień buku, wyciągnął flaszkę i siorbał z niej alkohol, potem mruczał coś pod nosem, aż wreszcie zasnął. Cichy Wąż poszedł w jego ślady.

Na drugi dzień koło południa dopadł pogorzelska zziąjany Tecumseh. Widać było, że ostatni odcinek drogi odbył w niezwykłym pośpiechu. Niejasne wieści o toczącej się bitwie zdobył od wojowników napotkanych w puszczy. Dlatego śpieszył pełen niepokoju i najgorszych przeczuć. Teraz stał obok zbiorowej mogiły poległych w boju wojowników i patrzył na zgliszcz Miasta Wielkiego Ducha. Nad szczątkami chat unosiły się jeszcze nikle smużki dymu. Północne, chłodne powiewy podrywały popiół. Siwy pył zmieszany z resztkami dymu wisiał nad spalonym miastem. Tecumseh patrzył na dzieło zniszczenia z dziwną twarzą. Mięśnie policzków mu drgały, wargi zacisnął, jego czarne oczy przesłaniała mgła rozpacz. On — wielki sachem skonfederowanych plemion płakał, zachowywał się jak dziecko, choć był wojownikiem. W milczeniu otoczyli go wodzowie: Czarny Jastrząb, Lotny Płomień, Keokuk, Biały Mustang i Ryszard Kos. Nie śmieli przerywać smutku Pумы Gotowej do Skoku. Rozumieli, że dla sachema zagłada Tippecanoe jest strasliwym ciosem, choć nie zdawali sobie w pełni sprawy z dalszych skutków tej klęski. Jedynie Kos, znając plemienne zwyczaje Indian, przewidywał rozpadnięcie się Związku Oporu.

Długo Tecumseh wpatrywał się jeszcze w dymiące popioły miasta. Potem zwrócił wzrok na stojących wokół wodzów.

— Chcę usłyszeć o wszystkim — powiedział cicho.

Ruszyli pod kępę buków. Tu na uboczu usiedli. Strzeliły w górę złote płomienie ogniska. Czarny Jastrząb barwnie, ale konkretnie przedstawił przebieg wydarzeń. Mówił o pojawieniu się wody ognistej w obozie, o ukryciu w szuwarach amunicji i broni, o planowanej ucieczce przez bagno, o wezwaniu wojowników do walki przez Elskwatawę.

Gdy Czarny Jastrząb kończył relację, zataczając się na nogach zbliżył się szaman. Był podparty. Z hałasem usiadł obok ogniska. Oczy Tecumseha zwróciły się na brata.

— Dlaczego nie usłuchałeś woli Rady Starszych? — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego pozwoliłeś na picie wody ognistej?... Dlaczego podjąłeś walkę?...

Elskwatawa skrzywił w pijackim uśmiechu twarz i powiedział:

- To wina tehrzliwych wojowników, tylko odważni zwyciężają...
- Milcz! — ryknął sachem. — Woda ognista Długich Noży pomieszała ci zmysły. Zniszczyłeś wszystko, zdrajco...

Ryszard Kos położył dłoń na ramieniu wodza, pochylił się do ucha Tecumseha i szepnął:

- Bądź ostrożny, bracie, jeden z wojowników Wyandotów jest szpiegiem Harrisona. Nosi imię Cichego Węża. Nie warto głośno mówić "o niektórych sprawach.

- Skąd taka wiadomość?
- Wiadomość jest pewna. Później wszystko wyjaśnię. Tecumseh surowym wzrokiem patrzył w oblicze brata.
- Znasz Cichego Węża? — spytał.
- Znam. To mężny wojownik.
- Zginął w walce?
- Nie, jest tam. — Szaman wskazał ręką na obozowe ognisko czerwonoskórych.
- Niech Biały Mustang przyprowadzi tutaj tego kujota — zwrócił się Tecumseh do wodza

Dakotów.

Po chwili przed obliczem Skaczącej Pумы stanął Cichy Wąż. Był niespokojny, patrzył zakopotanym i nieco przestraszonym wzrokiem.

- Ty jesteś Cichy Wąż?
- Tak, jestem.

— Dlatego nazwano cię takim imieniem, bo jak wąż cicho wykradasz tajemnice czerwonoskórych braci i sprzedajesz Długim Nożom w Vincennes. Czy tak?

Wyandota cofnął się zaskoczony szorstkimi słowami sachema.

— Dlaczego milczysz, psie?! — syknął Tecumseh.

Cichy Wąż błyskawicznie odwrócił się i pobiegł w stronę puszczy. Tecumseh wstał i podniósł do ramienia sztucer. Huk rozdarł powietrze. Zdrajca zatoczył się i padł.

Szawanez usiadł.

— Uszy nasze otwarte są na słowa Czerwonego Serca — powiedział.

Ryszard Kos przedstawił historię porwania Zorzy Rannej i kolejne pościgi, walkę na rzece i śmierć Johanna Guntera,

a także relację Marka Shelly'ego o szpiegostwie Cichego Węża i rozkazach Harrisona, aby jak najdalej od Tippecanoe odciągnąć Kosa. Potem wyciągnął zabrane z kieszeni Guntera dokumenty i zniżył głos:

— Te papiery znalazłem ukryte w bluzie białego łowcy skalpów, Johanna Guntera. — Podał kopertę Tecumsehowi. — Czy wiecie, co one mówią? — Oczy wodzów zwróciły się na Ryszarda. — Gunter był szpiegiem, za pieniądze sprzedawał tajemnice

Unii Anglikom, a Amerykanom dostarczał informacji o kanadyjskich siłach zbrojnych Anglii. Obie strony uważały go za swojego człowieka, a w rzeczywistości obydwie okłamywał. Dla niego ważne były tylko pieniądze. Gunter miał przy sobie cenny tajny dokument polecający wszystkim jednostkom angielskim na pograniczu stać w pogotowiu bojowym i czekać na ostateczny rozkaz przekroczenia granicy. Czy moi bracia zrozumieli znaczenie tego dokumentu?

Ręce Tecumseha spoczywające na kolanach zacisnęły się w dwie pięści. Czoło przecięła zmarszczka. Wolno podniósł się, plecami oparł się o pień buku, mięśnie na policzkach drgały mu nerwowo. Surowym, nienawistnym wzrokiem patrzył na swego rodzony brata — Elskwatawę.

- Dokument ten mówi, że Anglia przygotowana jest do rozpoczęcia działań wojennych przeciw Unii... — dorzucił Kos.

- Zdrajco! — syknął przez zaciśnięte zęby Skacząca Puma. Podniósł dłoń do rozpalonego czoła. Potem zwrócił się do Czarnego Jastrzębia: — Bracie, tobie powierzam nadzór nad tym psem. — Wskazał ręką Elskwatawę. — Nie może opuścić obozu. Nie pozwólcie mu pić ognistej wody. Najlepiej zwińcie go!

Przyćmione alkoholem oczy szamana patrzyły na Skaczącą Pumą z odrobiną zdziwienia. Uśmiechał się sarkastycznie. Sięgnął do kieszeni bluzy po butelkę, ale Czarny Jastrząb chwycił go za ręce, zaś wódz Dakotów, odebrawszy butelkę z nie dopitą wódką, rozbił ją o wystający korzeń drzewa. Lotny Płomień w tym czasie związał rzemieniem ręce szamana.

Tecumseh opuścił głowę. Stał milczący, pełen bólu i wewnętrznej rozterki. Potem bez słowa opuścił obóz. Ryszard patrzył na jego wysmukłą sylwetkę, oddalającą się w stronę lasu. Nikt z siedzących nie zareagował. W ognisku trzaskały palące się drwa. Niebem ciągnęły postrzępione zwały chmur. Jesienny wiatr

giał czuby niedalekich drzew, odzierał je z liści i szumiał niezrozumiałą opowieść o smutnych dziejach tej krainy.

Puma Gotowa do Skoku zaszył się w puszczy. Usiadł na zwałonym pniu sosny, wsparty łokciami o kolana złożył gorące czoło w dłonie. Pograżył się w zadumie. Wewnętrzny ból rozsadzał piersi, a siłą woli hamowana wściekłość wyciskała z oczu łzy. Poświęcił wszystkie swoje siły ojczyźnie, ratowaniu czerwonoskórych plemion przed zagładą. I oto w ostatniej chwili, kiedy z takim trudem zjednoczył wszystkie różnojęzyczne szczepy Indian, zadano mu druzgocący cios. Wiedział, że po klęsce nad Tippecanoe część plemion opuści Związek Oporu i walka przeciw białym znowu skończy się podobnie jak powstanie Pontiac — ostatecznym zwycięstwem białych twarzy. Tylko zjednoczone plemiona, oddane pod dowództwo naczelnego wodza, mogły skutecznie bronić swych praw do ziemi ojców. Anglicy i Amerykanie wkrótce rozpoczną wojnę, a wtedy armia Związku Oporu zrealizowałaby wielki plan Tecumseha... A teraz?... Prawie wszystko stracone. Głupota Elskwatawy, alkohol i chytróść białych zwyciężyły. Co dalej czynić?... Tysiące myśli kłębiły się w głowie wodza. Zatopiony w swych rozmyślaniach i pełen wewnętrznego bólu nie słyszał szumu drzew ani plusku pobliskiego strumienia.

Przez trzy dni Tecumseh nie pojawił się w obozie. Nikt nie odważył się przerwać jego samotności. Wszyscy wiedzieli, że zgodnie z wierzeniami indiańskimi sachem rozmawia \*z Duchem Opiekuńczym, że czeka na łaskę objawienia, wskazującą drogę wyjścia z trudnej sytuacji. W ciągu tego czasu do obozu ściągnęły nowe gromady Indian, a pod wieczór trzeciego dnia rozmyślań Tecumseha przybył Czarna Strzała, wódz Seneków, z kilkunastoma wojownikami i białym Kanadyjczykiem. Był to James Brenton — angielski poseł, którego Ryszard i Tecumseh poznali w wiosce Odźbwejów. Brenton podążał do Skaczącej Pomy. Kiedy zatrzymał się w wiosce Peoriów na nocleg i wyjawiał cel swej podróży, Czarna Strzała zdecydował się poprowadzić białego posła do Tippecanoe, zwłaszcza że Zorza Ranna czuła się już dobrze i nie wymagała opieki ojca. Tak więc wódz Seneków pozostawił córkę w wiosce zaprzyjaźnionych Peoriów, a sam ruszył do stolicy Związku Oporu.

Wodzowie ciepło przyjęli Brentona, ugościli przy wieczornym ognisku i oddali naprędce zbudowany wigwam do jego dyspozycji.

Później Czarna Strzała długo rozmawiał z Ryszardem. Przekazał mu pozdrowienia od Zorzy, która wkrótce pod opieką Węszącego Wilka miała wrócić do rodzinnej wioski.

— Cieszę się, że córka Czarnej Strzały już zdrowa — powiedział Kos. — Gdy tylko czas pozwoli, pośpieszę do wioski moich braci Seneków, aby zobaczyć najpiękniejszą kobietę tej krainy.

Przez twarz wodza przemknął uśmiech zadowolenia.

- Zorza Ranna tęskni za Czerwonym Sercem — rzekł poważnie.
- A ja za nią.

Czarna Strzała położył dłoń na ramieniu Kosa i spoglądając mu prosto w oczy powiedział:

- ..Jesteś biały...
- Jestem z wami! — stanowczym głosem przerwał Ryszard. — Pokochałem twoją córkę, wodzu.

Czasy są burzliwe, nie wiem, czy los zwiąże nasze drogi. Jedno wiem, że nie uczynię jej krzywdy.

Rozumiesz?

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie i udali się na spoczynek. Noc bowiem była już późna.

Rankiem Kos poszedł szukać Tecumseha. Odnalazł sachema siedzącego na pniu sosny. Wódz nie zwrócił uwagi na szelest zbliżających się kroków. Ryszard stanął poza jego plecami i położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Tecumseh nie poruszył się.

— Bracie! — szepnął Kos. — Trzy dni i trzy noce minęły, jak opuściłeś obozowe ognisko. Ocknij się! Ból zostaw kobietom. Nam trzeba czynu.

Tecumseh podniósł głowę. Popatrzył w las. Ryszard usiadł obok niego.

• Widzisz! — Szawanez wskazał drzewa rzędem stojące wzdłuż strumienia. — Spadają żółte i czerwone liście. Coraz ich mniej. Wiatr to sprawia. Liście to Indianie, wiatr to biali. Przyjdzie czas, że drzewa będą nagie, bez liści. Idzie taki czas, że na tej ziemi nie spotkasz czerwonoskórego.

- Nie wszystko stracone! — rzucił Kos. — Walka dopiero się zaczyna. Zwycięstwo będzie z nami.
- Tecumseh pokręcił smutnie głową.



— Czy ujarzmisz wiatr?... Czy zwyciężysz go?... Czy założysz mu pęta?... Nie! To niemożliwe. Tak też wygląda walka czerwonych z białymi...

• Nie masz racji. Po wielkiej burzy milknie wiatr i przychodzi cisza, a wiosną konary drzew znowu pokrywają się świeżą zielenią liści. Przyjdzie więc czas zwycięstwa i odrodzenia czerwonoskórych ludów.

• Oby tak było!

• Będzie. — Umilkł. Po chwili zaś powiedział: — W obozie oczekuje cię, wodzu, poseł Anglików, James Brenton.

Tecumseh rzucił gwałtownie spojrzenie w twarz Kosa.

• Z czym przybył? Przyniósł wampum wojny?

• Nie wiem. Chce rozmawiać z tobą. Myślę, że chodzi o wojnę Anglii z Unią.

Długo jeszcze rozmawiali na temat zbliżającego się konfliktu zbrojnego białych i wymieniali swoje poglądy. Potem Tecumseh wstał.

— Jakże to inaczej byłoby wszystko, gdyby ten zdrajca, Elskwatawa, nie dopuścił do bitwy... Chodźmy! — powiedział.

Poszli w stronę obozu, pod kępę olbrzymich buków. Przy ognisku zastali zebranych wodzów i Kanadyjczyka, który na widok Tecumseha podniósł się.

— Witam białego brata w prowizorycznym obozie Związku Oporu — powiedział Puma. — Usiądźmy. Ranek jest chłodny, a pieczeń wapiti nad płomieniem ogniska zachęca do śniadania.

Usiedli. Tecumseh zdjął z szyi kalumet i nabił go pokruszonymi liśćmi. Zapalił, a potem podał Brentonowi. Kiedy fajka obiegła koło siedzących i wróciła do rąk wodza, Tecumseh wskazał na pieczeń.

— Posilmy nasze ciała. Pieczone mięso wapiti jest smaczne i zdrowe. Później biały brat powie, z czym przybywa do kraju Szawanezów.

Sięgnęli po pieczeń. Nożami odcinali płaty soczystego mięsa i ze smakiem jedli. Kiedy zaspokoili głód, Kanadyjczyk wyraził chęć przedstawienia poselskiej misji. Wówczas Tecumseh zwrócił się do Czarnego Jastrzębia:

-/- Co się dzieje z Elskwatawą?

• Spoczywa w wigwamie pod strażą.

• Przyprawdźcie go tutaj. Niech w kręgu Rady Starszych wysłucha poselstwa przyjaciół z angielskiej Kanady.

Czarny Jastrząb oddalił się. W pobliżu stały zbudowane w pośpiechu szałaszy. W jednym z nich uwięziono szamana. Po chwili Elskwatawa wraz z naczelnikiem Sauków zbliżyli się do ogniska i usiedli. Szaman zajął miejsce naprzeciw Skaczącej Pumy.

— Tecumseh oczekiwał poselstwa Anglików — zaczął sachem. — Wiem, że biały brat przynosi Związkowi Oporu propozycję wojennego sojuszu przeciw Unii. Czy tak?

James Brenton uśmiechnął się przyjaźnie.

• Tak to można nazwać.

• Zbrojne oddziały angielskie czekają wzdłuż kanadyjskiej granicy na bojowy sygnał — mówił dalej Tecumseh. — Działania wojenne zaczną się w najbliższych tygodniach...

• Widzę, że Tecumseh jest doskonale zorientowany w politycznej sytuacji.

• Główne siły angielskie pod wodzą generała Izaaka Brocka skupiły się w forcie Malden nad rzeką Detroit — ciągnął dalej Tecumseh. — W ten sposób kontrolują cieśninę St. Clair, łączącą jezioro Huron z Erie, Mądra i rozważna decyzja...

Sachem przerwał na chwilę. Brenton z głębokim zaciekawieniem i zdumieniem patrzył na Skaczącą Pumę.

— Armia angielska jest jednak słaba — mówił dalej Szawanez. — Amerykanie przygotowują się w pośpiechu do wojny. Zwiększyli załogi fortów, gromadzą broń i ściągają ochotników z całego pogranicza. Aby rozbić Związek Oporu, stoczyli tu bitwę i spalili Tippecanoe. Obawiają się połączonych sił Indian i Anglików... — Wódz zrobił pauzę, potem dobitnie dokończył: — I połączone siły Anglii i Związku Oporu pokonają Amerykanów.

Brenton wyraźnie był zdumiony wiadomościami, jakie posiadał Tecumseh, i ich interpretacją. W jego oczach wódz Indian urósł do rangi światłego i bystrego polityka.

— Przybyłem tutaj w tajnej misji — zaczął — ale właściwie nie mam już wiele do powiedzenia, bo wielki sagamore Związku Oporu przed chwilą wyjaśnił wszystko. Przywożę

pismo, które generał Brock polecił mi wręczyć osobiście Tecumsehowi. — Wyjął zalakowaną kopertę i podał wodzowi Szawanezów. Mówił dalej: — Gubernator Górnej Kanady upoważnił mnie do zawarcia sojuszu ze Związkiem Oporu i zapewnienia czerwonych braci o trwałej przyjaźni Anglii do plemion, które opowiedzą się po stronie Kanady.

— Tecumseh ceni wysoko przyjaźń — powiedział wódz — ale dla samej tylko przyjaźni nie zawiera się wojennych sojuszków. — Słowa zabrzmiały ostro jak trzask rzemieennego bicz. — Przeczytaj, bracie, słowa gubernatora — zwrócił się do Kosa.

Ryszard rozłamał pieczęć, rozłożył papier i począł czytać:

Do Tecumseha

wielkiego wodza Związku Oporu! Na ziemiach czerwonych braci wyrosło państwo białych buntowników, które przybrało miano Unii. Dąży ono do zagarnięcia wszystkich terenów za-, mieszkałych przez indiańskie plemiona oraz objętych przez prawowitą Anglię. Dlatego połączmy nasz oręż przeciw wspólnemu wrogowi i zadajmy mu ostateczny cios.

Po zwycięskiej walce zwiąże nas trwała przyjaźń i braterstwo, o czym zapewnia czerwonych braci

Gubernator Górnej Kanady

gen. Izaak Brock. Malden, w 1811 roku, dnia 2

listopada.

Tecumseh opuścił głowę, ręce oparł na kolanach, milczał. Ryszard Kos złożył pismo i wsunął do kieszeni łosiowej bluzy. James Brenton czekał na decyzję Tecumseha, a kiedy milczenie poczynało mu ciążyć, spytał:

— Jaką odpowiedź mam zawieźć generałowi Brockowi?

Skacząca Puma spojrział w oczy posła, a potem powiódł po twarzach siedzących wodzów.

— Mówcie! — rzucił sucho. — Jakie jest wasze zdanie?

Po chwili zabrał głos Czamy Jastrząb.

• Długie Noże wypierają nas z ziemi ojców — powiedział. — Niszczą nasze wioski i osady. Zabijają kobiety i dzieci. Stańmy po stronie Anglii. Wspólnie zwyciężymy.

• Nasze miejsce u boku kanadyjskich oddziałów gubernatora Brocka — powiedział Czarna Strzała, wódz Seneków. — Ale czy gubernator zagwarantuje nam po tej wojnie pokój, czy angielscy osadnicy nie zaczną wdierać się na ziemie naszych plemion?

Wodzowie mówili o trapiących ich wątpliwościach, wyrażali swoją nieufność do białych sprzymierzeńców. Przypominali dzieje Pontiac, którego w ostatniej chwili, tuż przed ostatecznym zwycięstwem, opuściły sojusznicze wojska Francji.

Wypowiedzieli się prawie wszyscy. Milczał jedynie ponury

Keokuk, wódz Lisów, oraz Elskwatawa. Ostatni zabrał głos Tecumseh. Zwrócił się do Brentona z tymi słowami:

• Związek Oporu przyjmuje propozycję zawarcia zbrojnego sojuszu z Anglią pod warunkiem, że Anglicy zagwarantują walczącym plemionom nietykalność indiańskich terenów po wszystkie czasy.

• Taką odpowiedź mam zanieść generałowi?

• Tak.

• Warunki sojuszu muszą być zawarte na piśmie — dorzuci Ryszard Kos — i uwierzytelnione podpisami obu stron.

• Czy Tecumseh podziela tę wypowiedź?

• Tak. Domagam się układu w formie mówiącego papieru Hugh!

• Przedstawię warunki gubernatorowi... — zaczął Brenton językiem Algonkinów i umilkł, bo Elskwatawa nagle zarechota szyderczym śmiechem. Wstał i zwrócił się po angielsku do posła:

• Głupi, z kim chcecie zawierać sojusz?! Oto cała armia wojowniczego Związku Oporu. — Wskazał kilkuset wojowników otaczających dalekim kręgiem Ognisko Rady. — Amerykanie rozgromili wojsko Skaczącej Pumy, zostały zgłiszczą. Patrz!...

Twarz Tecumseha wykrzywił gniewny grymas.

— Mlecz, zdracjo! — ryknął. — Zgliszczą Tippecanoe to twoje dzieło! — Zerwał się i cisnął tomahawk pod stopy Elskwatawy. — Wstawaj! Niech Manitou rozstrzygnie, kto z nas pozostanie przy życiu.

Iskry gniewu migotały w rozszerzonych źrenicach Pумы. Twarz mu pobladła, mięśnie lewego policzka drgały dziwnie, a wargi zacisnęły się.

Zaskoczony gwałtownym zachowaniem brata, Elskwatawa powstał. Podjął wojenny topór. Na jego twarzy przez chwilę malowało się wahanie pomieszane z lękiem. Potem znowu przybrał drwiący i szyderczy wyraz. Wyszedł z kręgu siedzących. Szeregi wojowników rozstały się. Dwaj bracia stanęli naprzeciw siebie.

Wokół Tecumseha i Elskwatawy zamknął się szeroki krąg wojowników i wodzów patrzących na dwóch ludzi, którzy mieli przejść do historii swego narodu jako dwie przeciwstawne osobowości, jeden jako wielki wódz zjednoczonych plemion, sachem słynący z mądrości i gorącego patriotyzmu, drugi jako szaman okrzyczany za cudotwórcę, egoistyczny, żądny sławy szarlatan i zdrajca.

Tecumseha rozpieła wściekłość. Oto stał przed nim ten, który w przededniu wybuchu wojny amerykańsko-angielskiej dopuścił do zagłady Tippecanoe, który częściowo zburzył plan strategiczny ratowania indiańskich ziem przed naporem kolonizacji białych i któremu już miał zamiar... wybaczyć wszystko. Byli przecież rodzonymi braćmi! Ale oto przed chwilą znowu zamiast ratować trudną sytuację Związku Oporu po przegranej bitwie Elskwatawa wystąpił przeciwko konfederacji plemion. Głęboki gniew pomieszany z niewysłowionym bólem rozpieła piersi wodza Szawanezów.

Ryszard Kos stał koło Jamesa Brentona. Patrzył niespokojnie na rozpoczynający się pojedynek. Anglik spytał: „— Czy po klęsce Indian nad Tippecanoe rzeczywiście Tecumseh rozporządza tak małą liczbą wojowników?

Ryszard pochylił się do ucha Brentona — To tylko straż przyboczna Tecumseha. Wszystkie plemiona przystąpiły do konfederacji.

- Czy ostatnia klęska nie zniechęci plemiennych wodzów do Związku Oporu?
- Być może — szepnął Kos. — Tego obawia się Skacząca Puma. Stąd ten krwawy pojedynek.

Nie mieli czasu dalej rozmawiać. Elskwatawa nie wytrzymał palącego wzroku brata. Błyskawicznie podniósł tomahawk i runął na przeciwnika. Tecumseh uskokzył zwinnie w bok. Szaman ponownie zaatakował. Wódz schylił się, ostrze toporu przecięło powietrze. Wówczas Skacząca Puma poderwał się i z rozmachem uderzył tomahawkiem w głowę Elskwatawy. Szaman był jednak szybki, osłonił się swoim toporem. Brzęknęły twardo ostrza. Obaj zwarli się na krótko i zaraz odskoczyli od siebie. Dyszący stali, czujnie wpatrując się w każde drgnienie mięśni. Nagle Elskwatawa pochylił się do przodu, zrobił gest, jakby chciał zaatakować, Tecumseh odruchowo przysiadł ku ziemi. Szaman cisnął tomahawk. Zafurkotało ostrze toporu. Skacząca Puma legł na murawie. Patrzący wstrzymali na moment oddech. Tomahawk wbił się ostrzem w ziemię poza leżącym wodzem. Tecumseh błyskawicznie poderwał się i podniósł topór Elskwatawy. Szaman, blady, wolno cofał się.

— Stój, zdrajco! — zawołał sachem i odrzucił daleko poza siebie własny i zdobyty tomahawk. Wydobył nóż. Elskwatawa zatrzymał się i również sięgnął do pasa. Przez chwilę stali obaj nieruchomo, potem Tecumseh zaczął zbliżać się do przeciwnika. Elskwatawa nagle ruszył do ataku. Wódz i tym razem uniknął ciosu. Cisnął z rozmachem długi, myśliwski sztylet. Szaman zajął chwiał się, zwolnił krok, dziwnie jakoś zwiotczał i runął na ziemię. Próbował się podnieść, ale upadł ponownie i znieruchomiał.

Tecumseh, skrzyżował ręce na piersi, opuścił głowę. Na jego obliczu malował się smutek.

Czarna Strzała podbiegł do leżącego szamana, pochylił się, ukląkł i położył Elskwatawę na plecach. W lewej jego piersi widniała rękoność noża.

— Nie żyje! — szepnął wódz Seneków.

Krąg wojowników spoglądał na ciało szamana i wysmukłą sylwetkę Tecumseha. Nikt nie odezwał się, nie zakłócił ciszy. Jedynie wiatr szumiał w pobliskiej kniei, a niebem płynęły szare zwały jesiennych chmur.

Nagle ciszę przerwał mocny głos sachema:

— Bracia, tak chciał Wielki Manitou. Każdy zdrajca musi zginąć. — Przerwał i powiódł wzrokiem po twarzach wodzów i wojowników. Potem ciągnął dalej: — Zbliża się wojna. Wraz z armią angielskich przyjaciół zwyciężymy znieprawionych Amerykanów i pomścimy Tippecanoe. Kto nie wierzy Skaczącej Pumie, niech odejdzie.

Nikt z wodzów i wojowników nie poruszył się. Wszyscy patrzyli z ufnością na wielkiego Tecumseha.

— Bracia! — mówił dalej sachem. — Jutro gońcy poniosą do wszystkich plemion Związku Oporu czerwono-czarne wampumy wojny. Ogłaszam mobilizację wszystkich indiańskich sił zbrojnych pod fortem Malden, u boku generała Izaaka Brocka,

naszego sojusznika. Tam podpiszemy obustronny układ. Święta, wojna w obronie ziem naszych ojców nadchodzi. Bracia! Śmierć Długim Nożom!

Bojowy krzyk uderzył w jesienne, listopadowe niebo. Podniosły się w górę strzelby i tomahawki. Spomiędzy chmur wyj-i rzało słońce i zalsniło srebrem na ostrzach wojennych toporów, na lufach sztucerów i grotach strzał...

Digitalizował „bodziokb”